



Sycylijska opowieść

NICKY PELLEGRINO

Prószyński i S-ka

NICKY PELLEGRINO

Sycylijska opowieść

Przełożyła
Edyta Jaczewska

Prószyński i S-ka

Powiedz mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś.

Jean Anthelme Brillat-Savarin

Z miłości do jedzenia

Luca Amore uważa, że wie, jak potoczy się osiem kolejnych dni, pomijając kilka – mniejszych lub większych – mało istotnych urozmaiceń. Tak to już bywa, że sprawy zazwyczaj toczą się trybem, jaki sobie przewidział.

W tej chwili Luca sprawdza, czy w kuchni wszystko przygotowano dokładnie tak jak trzeba. Menu na pierwszy dzień wypisane kredą na tablicy, obok której wiszą na kołkach cztery czyste fartuchy. Talerze ustawione w stos, lśniące sztucce i rondle. Luca wyszorował drewniane stolnice do wyrabiania i wałkowania ciasta, naszykował tacę powitalnych migdałowych ciasteczek i szeroko pootwierał okiennice, aby zaprezentować roztaczający się z okien widok.

Całe pokolenia jego rodziny gotowały w kuchni tego domu, u szczytu najbardziej stromego biegu schodów w Favio. Przez cały ten czas pejzaż za oknem nie uległ zmianie – różowe i złotawe budynki wciąż wspinają się na skalistą grań, pośrodku stoi katedra. Na tarasach powiewa suszące się pranie. Palmy daktylowe wyciągają się ku niebu.

Luca cieszył się tym widokiem, jak swoją własnością, od dzieciństwa. W tym domu mieszkali jego dziadkowie. Matka często go do nich przyprawiała, przystając na stopniach schodów dla złapania oddechu, narzekając za każdym razem.

Teraz dziadków już nie ma, a dom należy do niego. Początkowo Luca myślał, że może tutaj zamieszka, że wyprowadzi się od matki. Zaczął remont, wymienił popękane płytki, odświeżył ściany nową warstwą farby.

Przy odnawianiu kuchni zaczął się wahać. Z każdym zmienianym w niej drobiazgiem coraz silniej dopadał go żal za kobietami z rodziny Amore, które mieszkały tu kiedyś. Nowoczesna sześciopalnikowa kuchenka, długi granitowy blat roboczy, nawet i stół jadalny, który Luca własnoręcznie oskrobał z farby i odnowił – wszystkie te zmiany sprawiały mu radość, choć jednocześnie, w pewien sposób, pozbawiały łączności z przeszłością.

Jego *nonna*, niezliczone cioteczne babki i dalekie kuzynki... Niektóre z najprzyjemniejszych wspomnień Luki wiązały się z widokiem ich wszystkich, zebranych tutaj, wyrabiających ciasto chłodnymi, wprawnymi dłońmi. Hałaśliwe kobiety o rozłożystych ciałach, zawsze o się coś sprzeczące: o najlepszy przepis na *pasta al forno* czy o jakąś na wpół już zapomnianą zniwagę. Całkowicie zapełniały sobą przestrzeń tej kuchni.

Nonna do ostatnich dni uwielbiała gotować; przygięta do ziemi i staruteńka, wciąż wyczarowywała smaczne jedzenie. Luce brakowało i jej, i pozostałych krewnych. Modernizacja wnętrza, wymiana i przeróbki wszystkiego, co znajome, były poszukiwaniem sposobu na zatrzymanie ich w pamięci.

Już od ponad dziesięciu lat Luca prowadzi szkołę kulinarną „Z miłości do jedzenia”. Goście zjeżdżają tu z całego świata, by robić dania jego *nonna*, przyprawiane szafranem i cynamonem albo aromatyzowane czekoladą, z której Favio słynie. Luca uczy ich rzeczy najważniejszych – jak odróżnić dobrą oliwę od złej, po czym poznać *gelato* fałszywe, a po czym prawdziwe.

Wczesnym latem zabiera uczestników kursów na zbieranie kaparów z obsypanych kwiatami krzewów, które dziko porastają kamienne mury miasteczka. Goście smakują miejscowe wino Nero d'Avola i ser *caciocavallo*. Rankiem kupują na targu sardynki i słodkie pomidory z Pachino, zaś noce spędzają w pięknym starym domu rodziny Amore.

Bywa, że z sezonu na sezon ten plan ulega zmianom, ale w ogólnych zarysach każdy kurs jest taki sam. Ludzie zjeżdżają się, przygotowują jedzenie, nawiązują przyjaźnie. W ciepłe

wieczory siadają na tarasie, racząc się limoncello i opowiadaniem o swoim życiu. Bywają miłe chwile, zdarza się śmiech.

A potem, ostatniego dnia, pakują walizki. W księdze pamiątkowej pojawiają się pożegnalne wpisy, padają obietnice utrzymania kontaktu. Mniej więcej tydzień później napływa fala listów z podziękowaniami, ze zdjęciami dań odtworzonych w domu. Ale wkrótce listy przestają się pojawiać, a Luca jest już zbyt zajęty następnymi warsztatami, aby się tym przejmować.

W miarę upływu lat tak wiele osób ulotniło się z jego pamięci... W albumie pełnym zdjęć trudno powiązać nazwiska z twarzami. Te, które zapadają w pamięć, zwykle należą do gości marudnych albo takich, których nietolerancje pokarmowe zmieniły planowanie menu w spore wyzwanie. Tych, którzy skłonni bywają do kłótni i dramatycznych scen, gubią torby i kapelusze albo cierpią na migotanie przedsionków, okazujące się później atakiem ciężkiej niestrawności.

Luca uwielbia swoją pracę. Gotowanie to radość, a poznawanie nowych osób ciekawiło go zawsze. Ale przyjemnością jest również ten moment, kiedy wszyscy sobie pojedą i Luca zostaje sam. Lubi takie poranki jak dzisiejszy, gdy dom jest pusty i należy tylko do niego. Przywraca w nim ład, a jeśli zostaje nieco czasu, Luca robi tylko dla siebie odrobinę *cavatelli*. Czując ciasto pod dotykiem palców, zręcznie kształtuje z niego makaronowe muszelki. Tak jak go nauczyła babka.

Dzisiaj nie ma na to szansy. Nowi goście pojawiają się niedługo, czwórka, same kobiety. Luca zagląda do notatek i uczy się na pamięć ich imion. Z Anglii jest Moll, która twierdzi, że pasjonuje ją gotowanie, oraz Tricia, prawniczka z zawodu. Z Ameryki przyjeżdża Valerie, najstarsza z nich. A aż z Australii – Poppy, która przyznaje, że nigdy wcześniej nie była we Włoszech i może jeść wszystko poza podrobami.

Luca zakłada, że ta nowa grupa będzie przypominała wszystkie poprzednie. Mimo to zdaje sobie sprawę, że są rzeczy, których nie da się wywnioskować z wypełnionych przez uczestniczki formularzy. Nie wie dokładnie, jakim kuchennym doświadczeniem dysponuje każda. Czy będą rozumiały, że ciasto należy wyrabiać nasadą dłoni, aż stanie się odpowiednio twarde? Czy będą miały zdrowy apetyt, czy raczej będą zamartwiały się o swoje talie? Czy przy obiedzie wypiją zaledwie kieliszek wina, czy całą butelkę?

Istnieją też inne, ważniejsze kwestie związane z tą grupą, lecz Luca jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. W tej konkretnej chwili wszystkie cztery kobiety stoją przy taśmociągu z bagażami na lotnisku w Katanii. Moll, Tricia, Valerie i Poppy.

Oto, czego Luca o nich nie wie:

Jedna z nich ukrywa pewien sekret. Druga ma nadzieję znów odnaleźć miłość. Jedna rozpaczliwie pragnie uciec od własnego życia, jednej już się to udało.

Wyjmując wodę mineralną, butelkę prosecco i pięć kieliszków, Luca nie ma pojęcia, jak różny okaże się ten kurs gotowania od wszystkich poprzednich. Ani że całkowicie odmieni jego życie.

„Witam w szkole kulinarnej «Z miłości o jedzenia», w naszym uroczym, barokowym miasteczku Favio na południu Sycylii. Oto pań fartuchy, oto deseczka do formowania *cavatelli*, wasze mapy i plan zajęć. Proszę się nie przejmować, nie trzeba robić notatek, przepisy zostaną paniom rozdane na koniec kursu. Wy macie jedynie zrelaksować się i dobrze bawić. Zaczynamy wakacje...”.

Poppy

To będzie przygoda – pierwsza z wielu, mam nadzieję. Bo w moim życiu na razie przygód brakowało. Zajmowałam się robieniem tych rzeczy, które powinnam robić, nie zaś tym, czego chciałam naprawdę. Ale teraz to się zmieniło. Nadeszła moja chwila.

Dlaczego zdecydowałam się tu przyjechać? No cóż, moja rodzina ze strony ojca pochodzi z Sycylii. Dziadek wyjechał stąd, kiedy był dzieckiem, ale nigdy nie pozbył się ani akcentu, ani zamiłowania do pikantnej kiełbasy, do której jedzenia nigdy nie zdołał przekonać nas, dzieci. Urodził się na Ortygii... Wybieramy się tam czwartego dnia, o ile się nie mylę? Och tak, od dawna bardzo chciałam przyjechać na Sycylię, ale to taki długi i drogi przelot z Australii. A poza tym, no cóż... Brendan nie chciał.

Brendan to mój były mąż. Rozwód sfinalizowaliśmy trzy miesiące temu. Wszystko odbyło się bardzo kulturalnie. Udawałam, że mi smutno, bo on chyba tego oczekiwał, ale prawdę mówiąc, nie było mi zbyt ciężko. Nie mamy dzieci ani nawet kota. Dom udało się sprzedać szybko, więc podzieliliśmy rzeczy, oszczędności i akcje. W sumie nasz rozwód był równie mało ekscytujący, jak przedtem nasze małżeństwo. Byliśmy razem przez dziesięć lat i przez cały ten czas nigdzie nie podróżowałam samodzielnie. Czuję się trochę nieswojo, muszę się przyznać. Pobyt w obcym kraju... Tu przecież nawet pachnie inaczej, prawda? No cóż, to cudowne uczucie, ale też i nieco przytłaczające.

Och, bardzo proszę, ja też wypiję jeszcze kieliszek wina! Wiem, że robi się późno, ale jestem zbyt pobudzona po podróży, żeby kłaść się spać. A na tym tarasie jest uroczo. Co za widok... Straszliwie mi się podoba, że wszystko tu się sypie i ma setki lat, zupełnie inaczej niż w Sydney, które wydaje się w porównaniu takie zorganizowane i nowe. Tam nie miewa się tego przecucia, że za każdym rogiem czeka przyjemna tajemnica.

Znacie jeszcze kogoś, kto był na warsztatach „Z miłości do jedzenia”? Nie? Ja też nie. Zarezerwowałam miejsce pod wpływem chwili, bo spodobała mi się ich strona internetowa. Pewnie to trochę ryzykowne, ale wydało mi się, że to jedyna szkoła kulinarna w tej części Sycylii. Czytałam blog Luki, oglądałam filmiki z jego zajęć i któregoś wieczoru, po paru kieliszkach chardonnay, zdecydowałam się.

Ciacho? Tak, chyba tak. Szkoda, że nie mógł zostać i wypić z nami tych kilku drinków, ale przypuszczam, że on takich kursów ma mnóstwo. I świetnie, że tu nie nocuje, bo mamy cały dom dla siebie. To jednak o wiele mniej krępujące.

I cieszę się, że jest nas tylko cztery. Większa grupa byłaby jakaś taka bardziej anonimowa, nie wydaje wam się? A w ten sposób wszystkie będziemy miały szansę zrobić dania, które nam pokaże Luca. Nie żebym była taką znów świetną kucharką, ale bardzo lubię jeść. Dlatego właśnie te wakacje tak mnie pociągały. Jest szansa, by spróbować prawdziwej włoskiej kuchni zamiast restauracyjnych dań, zawsze na jedno kopyto: wszystko polane sosem pomidorowym i wszystkie smaki tak totalnie przewidywalne.

Zamierzam teraz, kiedy znów jestem wolna, o wiele więcej podróżować. Chciałabym zjeździć z plecakiem Indie, odwiedzić Wietnam, Chiny, Amerykę Południową. Tyle jest różnych miejsc! Ale uznałam, że takie wakacje to rozsądniejszy pomysł na pierwszą wyprawę. Taki bezpieczny sposób, by zacząć wszystko od nowa.

Dzień pierwszy

(1) Radość zakupów

Poppy obudziła się wcześniej, kompletnie wyspana, i uznała, że to efekt zmiany stref czasowych. Dwanaście godzin w samolocie plus różnica czasu pomiędzy Sycylią a Sydney – to się musiało jakoś odbić. Usiadła w łóżku i poczuła, że trochę ją pobolewa głowa. Przypomniała sobie całe to wypite wczoraj wino. Przestała się dziwić.

Ponownie zasnąć już by nie zdołała, więc wygramoliła się z łóżka, ziewając i się przeciągając. Podeszła najpierw do okna, by znów zerknąć na widok. Jeszcze nie do końca się rozjaśniło, ale stojąca naprzeciwko katedra była oświetlona. Latarnie uliczne wkoło niej dawały również dość światła, by Poppy dostrzegła nierówny rząd domów, stłoczonych ramię przy ramieniu na skalistym zboczu. Dotarło do niej, że miasteczko zostało wzniesione na dwóch stromych wzgórzach, zaś główna ulica biegnie dzielącą je dolinę.

Poppy postanowiła zatem wyjść i rozejrzeć się w pierwszych promieniach świtu. Mogłaby trochę się poruszać. Wieczorny powitalny obiad był obfity. Luca zaprowadził je do pobliskiej restauracji, gdzie zajął się zamawianiem potraw. Na początek zjadły *arancini*, kulki z wilgotnego ryżu z nadzieniem z mięsa i sera, usmażone na złoto i tak smaczne, że Poppy nie mogła powstrzymać się przed wzięciem dokładki. Potem pojawiła się ceramiczna waza pełna parującej zupy z zielonych warzyw, z pokruszonym makaronem spaghetti. Zakładając, że to danie główne, Poppy nałożyła sobie drugą wazową łyżkę.

Okazało się, że dań pojawiło się więcej. Znacznie więcej. Słodko-kwaśna *caponata* z bakłażanów, cukinii i selera, mięsne klopsiki duszone z liśćmi cytryny, treściwa wieprzowa kiełbasa upstrzona jasnymi płatkami chili. Nijak nie dawało się wykręcić od dalszego jedzenia. Poranny długi spacer po stromym wzgórzu aż się prosił.

Poppy ubrała się po cichu, żeby nie pobudzić pozostałych, chociaż grube mury tego starego domostwa zapewne tłumili odgłosy krzątania. Dochodziła szósta, niebo już pojaśniało. Poppy zawiązała sznurowadła przy trampkach, długie ciemne włosy zebrała z tyłu głowy. Była gotowa.

Z początku ruszyła rześko. Zbiegła po długich schodach, minęła wczorajszą restaurację, teraz zamkniętą na głucho, i skręciła w jakąś wąską alejkę. Tam pojawiły się kolejne schody, prowadzące pod górę, aż do katedry. Wspinaczka zmusiła Poppy do zwolnienia kroku, zadyszana jeszcze zanim dotarła na szczyt wzgórza. Kobieta odpoczęła chwilę, rozglądając się dokoła i obserwując domy na przeciwległym zboczu. Odszukała wreszcie ten, z którego niedawno wybiegła, połyskujący różaną barwą w pierwszych promieniach porannego słońca.

Odkryła, że Favio to miasteczko pełne schodów. Schody wiły się wężowato pomiędzy domami i łączyły kręte boczne ulice. Gdyby co rano odbywała przebieżkę, taką jak dzisiaj, stwierdziła, za dziewięć dni, wyjeżdżając z Sycylii, byłaby w o wiele lepszej formie fizycznej.

Droga powrotna powiodła Poppy obok kolejnych dwóch kościołów, trzech starszych panów odbywających poranną pogawędkę na jakiejś ławce, paru chudych psów i jednej staruszki, zbierającej coś ze sporego krzewu wyrastającego ze skalistej ściany.

– *Buongiorno, signora* – odezwała się Poppy (chodziła raz w tygodniu na wieczorny kurs włoskiej konwersacji). – Co pani zbiera?

Kobieta wyprostowała się i uśmiechnęła, a potem wyciągnęła przed siebie koszyk. Poppy zobaczyła, że jest pełen setek małych zielonych pączków.

– Co to takiego? – udało jej się spytać.

Kobieta odparła szybkim potokiem wymowy, której mało wprawne ucho Poppy nie było w stanie rozdzielić na poszczególne słowa i zrozumieć.

– Przepraszam, mój włoski jest dość kiepski – wyjaśniła.

Znów się uśmiechając, starsza pani podsunęła jej garść świeżej zieloności. Przyjrzawszy się porządnie, Poppy zorientowała się, bez żadnych wątpliwości, z czym ma do czynienia. Kapary, dokładnie takie, jakie kupowała w domu. Tyle że surowe i twarde.

Potem dostrzegła rosnące wszędzie wokół krzewy kaparowe, kaskadami pokrywające zbocza i wpychające się między skalne szczeliny. Wracając, zebrała trochę pączków i napełniła nimi kieszenie bluzy z kapturem. Może wieczorem zapyta Lucę, jak je najlepiej zakonserwować?

Poppy myślała o Luce podczas wspinaczki na strome zbocze. Wczorajszego wieczoru wydał jej się intrygujący. Przy obiedzie, kiedy wszystkie opowiadały, kim są i skąd przyjechały, Luca o sobie mówił bardzo niewiele. Urodził się w Favio i przez jakiś czas studiował w Anglii – tylko tyle się o nim dowiedziała. Ale w jakim jest wieku? Czy ma kogoś? Czy może jakieś dzieci? Starannie pominął te tematy.

Kiedy sobie poszedł, a one pozostały na tarasie, Tricia rzuciła, że jej zdaniem Luca to ciacho. Ale to nie jego wygląd przyciągał wzrok. Albo raczej – nie tylko wygląd. Przecież większość mężczyzn na Sycylii ma ciemne włosy, brązowe oczy i opaloną cerę. Tu raczej chodziło o coś w sposobie bycia. O to, jak zaglądał w oczy podczas rozmowy, choć jednocześnie zdawał się zachowywać dystans.

Poppy spojrzała na zegarek. Do chwili zanim przyjdzie Luca, aby przygotować dla nich śniadanie, pozostała godzina. Teraz w dół, z powrotem w stronę szkoły kulinarnej. Czy trafię po drodze na jakieś otwarte miejsce, gdzie można napić się kawy? – pomyślała.

Przy głównej ulicy pojawiły się oznaki, że miasteczko zaczyna się budzić. Jakiś biały busik, z pęczkami długołodygowej odmiany brokułów, przymocowanymi pasem na dachu, rozpoczynał dostawę. Poppy dostrzegła grupki uczennic w bordowych szkolnych mundurkach, zakonnice w okularach przeciwsłonecznych, mężczyzn palących papierosy. Szybkim krokiem mijali ją ludzie ubrani w biurowe uniformy. Poppy ogarnęło to cudowne wrażenie, że oto dysponuje wakacyjną wolnością, podczas gdy inni muszą pracować jak zwykle.

Przy końcu ulicy trafiła na placik, gdzie znalazła bar ze stolikami wystawionymi pod trzy wysokie daktylowce. Poczula zapach kawy i słodkich wypieków. W środku jakiś pan w garniturze zatrzymał się na parę chwil, by wypić espresso i przejrzeć nagłówki w dzisiejszej gazecie. Poppy znalazła sobie stolik w słońcu i przeciwoczyła składanie zamówienia: *Un cappuccino e un cornetto con crema, per favore.*

Kelner, naturalnie, mówił po angielsku (wydawało się, że tutaj wszyscy przed czterdziestką znają ten język). Mimo to Poppy nie żałowała lekcji konwersacji, które zdążyła wziąć w domu. Stanowiły część jej przygotowań do wyprawy. Podobnie jak czytanie przewodników i planowanie wakacyjnej garderoby, były sposobem na podtrzymanie entuzjazmu.

Skończyła swoją kawę z mlekiem i ciastko, ale nikt nie podchodził z pytaniem, czy ma ochotę zamówić coś jeszcze. Podejrzewała, że mogłaby i pół dnia siedzieć przy tym stoliku i obserwować przechodzących ludzi, nie zamawiając nic więcej, a mimo to nikt nie próbowałby jej stąd wyganiać. Zupełnie inaczej niż w jej ulubionej australijskiej kafejce, gdzie inni klienci zawsze wypatrywali stolika, a obsługa, choć życzliwa, była pośpieszna.

W domu, w Sydney, byłby teraz wieczór, a ludzie jedliby obiad lub zbierali się w barach. Brendan pewnie nadal tkwiłby w pracy, bo właśnie o tej porze lubił dzwonić do

potencjalnych sprzedawców albo zostawiać ulotki w skrzynkach pocztowych. Byli w trakcie negocjacji kilku ofert, mieli jedną nową pozycję, która wydawała się obiecująca, choć o tej porze roku rynek nieruchomości ogólnie tracił impet.

Większość znajomych Poppy dziwiło, że po rozwodzie małżeństwo pracuje ze sobą nadal, ale na razie taki układ nie powodował zbyt wielu problemów. Te rzeczy, które Poppy zawsze u Brendana irytowały, nie zmieniły się. Nadal potrafił być arogancki ponad miarę, miał skłonność, by przechodzić do porządku dziennego nad wadami danej posesji, i zwyczaj nieprzyjmowania do wiadomości odpowiedzi odmownej.

Kiedy się rozstawali, zaproponowała, aby zakończyć również partnerstwo w interesach, ale Brendan ją przekonał. „Tworzymy świetny zespół, wiesz o tym. Żyć już razem nie chcemy, ale to nie powód, żeby razem nie pracować, nieprawdaż? Co dwie głowy, to nie jedna. Chociaż spróbujmy”.

Nawet odwiózł Poppy na lotnisko w piątek, pocałował ją w policzek i życzył przyjemnej podróży. Teraz czekają ją dni z dala od pracy. Żadnych klientów wydzwanających o najdziwniejszych porach, żadnego Brendana u boku, dyktującego jej plan dnia. Wolne od zwykłych obowiązków. Na tę myśl Poppy niemal zakręciło się w głowie z ulgi.

Zastanawiała się, czy nie zamówić kolejnej kawy, ale zmieniła zdanie. Była zgrzana i spocona po spacerze. Lepiej wziąć prysznic, zanim Luca pojawi się ze śniadaniem.

Powrotna wspinaczka po schodach do domu rodziny Amore wydawała się nieco łatwiejsza. Otwierając frontowe drzwi, Poppy odezwała się głośno na powitanie:

– Hej! Wstał już ktoś?

– Och, dzięki Bogu! – To była Tricia, jedna z Angielek. – Istna tragedia! Zapomniałam prostownicy do włosów! Nie śmieję się. Mówię poważnie.

Już wczorajszego wieczoru Poppy zauważyła, że Tricia robi wrażenie kobiety wytwornej. Z tymi gładkimi kasztanowymi włosami, ślicznie ubrana... Teraz przedstawiała obraz zgoła odmienny – w pośpiesznie zawiązanym szlafroku, z błyszczącą cerą i rozpuszczoną fryzurą.

– To ten upał – poskarżyła się Tricia, przeczesując czuprynę palcami. – Włosy mi kompletnie szaleją. Proszę, powiedz, że przywiozłaś jakąś prostownicę...?

Poppy pokręciła głową.

– Przykro mi, nie używam. Nie możesz ich związać?

– To właśnie zamierzam zrobić, tyle że muszę je najpierw wyprostować – odparła Tricia podniesionym głosem. – Ech, szlag by to! Stawiałam właśnie na ciebie. Obudzę pozostałe, może któraś jednak ma prostownicę. Pomódl się za mnie.

Prostowanie włosów? Poppy była na wakacjach i nie zamierzała bawić się w traktowanie żelazkiem niczego, nawet ubrań. Nie mogąc się nadziwić, że Tricia aż tak bardzo przejmuje się swoim wyglądem, szybko wzięła prysznic. Ubrała się w lekkie lny i jako pierwsza zeszła na dół, na śniadanie.

Luca już tam był. Nastawił makinetkę i właśnie wykładał ciastka i pokrojone owoce. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Dzień dobry, dobrze spałaś? – zapytał po angielsku z nieznacznym akcentem.

Zajmując stołek przy kontuarze, Poppy sięgnęła po szklankę soku pomarańczowego.

– Tak, dziękuję. Spodziewałam się, że po tak wielkim posiłku nie zasnę przez pół nocy, ale wszystko w porządku. W sumie, kiedy się obudziłam, znów zrobiłam się głodna!

Maszynka do kawy pyrkotała i syczała.

– Bardzo dobrze – zwrócił się Luca do Poppy, zdejmując urządzenie z ognia. – Apetyt podczas takich wakacji się przydaje. Ale nie martw się, jemy sporo, ale też sporo chodzimy. Nie będziesz miała problemów.

Nalewał kawę, kiedy pojawiły się Valerie i Moll.

– Dzień dobry! – przywitały się chórem. – Tak, bardzo prosimy o kawę. Och, popatrzcie tylko na te ciastka! Co za pyszności!

Valerie zajęła stołek obok Poppy i starannie rozłożyła na kolanach serwetkę. Zaś Poppy pomyślała, że to jedna z tych kobiet, które kiedyś musiały być fantastyczne. Na jej twarzy wciąż było znać ślady delikatnej urody: wydatne kości policzkowe, jasnoniebieskie oczy i srebrzyste włosy, zwinięte i podtrzymywane szylkretową spinką. Valerie odznaczała się również sporym wdziękiem, tworząc ostry kontrast z Moll – o praktycznej fryzurze i w ciężkich butach. Mimo to obie dogadywały się na tyle dobrze, że mogłyby uchodzić za stare przyjaciółki.

Wydawały teraz, zaciekawione, okrzyki zachwyty nad śniadaniem. Co jest w tych malutkich ciasteczkach w kształcie półksiężyców? Aha, migdały i kandyzowana skórka pomarańczowa. A te, które wyglądają jak miniaturowe kornwalijskie paszteciki? Czekolada i wołowina? No, nie... Poważnie?!

Poppy spróbowała jednego. Smak okazał się niespotykany – wyczuła trochę ciemnej gorzkiej czekolady, odrobinę pikantności, ale też i ziemistość czegoś, co mogło być mięsem. Chociaż pewności nie miała.

– Mówi się na nie *'mpanatigghi* – wyjaśnił Luca. – I uważa się, że stanowią część hiszpańskiego dziedzictwa. Ale pomówimy o tym szerzej, kiedy pojawi się Tricia.

– Och, ona jest na górze. Przeżywa jakiś kryzys z włosami – powiedziała Moll, obdarzona głosem dość donośnym. – Valerie pożyczyła jej prostownicę, ale zdaje się nie taką, do jakiej Tricia jest przyzwyczajona, więc uprzedziła, że to może trochę potrwać. Mówiła, żebyśmy zaczęli śniadanie bez niej.

Luca wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy, czasu jest mnóstwo.

Kiedy się wreszcie pojawiła, Tricia wydawała się odmieniona. Miała na sobie jedwabny top i pasującą do niego bransoletkę w odcieniu zieleni, który podkreślał kasztan jej, teraz już idealnie gładkich, włosów.

– Dzień dobry wszystkim. – Skinęła głową, jakby z lekkim zażenowaniem. – Okropna jestem, prawda? Strasznie przepraszam, że kazałam wam czekać. Wypiję tylko szybkie espresso i mogę potem iść.

– Nie ma pośpiechu. – Luca nalał kolejną kawę i podsunął jej talerzyk. – Zjedz coś spokojnie.

– Tak. I sprawdź, czy odgadniesz sekretne składniki w tym tutaj – powiedziała Moll, wskazując na *'mpanatigghi*. – Założę się, że nijak ci się nie uda.

Tricia pokręciła głową.

– Za słodyczkami z rana nie przepadam. Dla mnie tylko odrobina owoców, dziękuję.

Moll zmarszczyła brwi.

– Naprawdę powinnaś spróbować jednego – nalegała. – Są całkowicie odmienne od wszystkiego, co możesz zjeść w Anglii.

Tricia zbyła jej słowa wzruszeniem ramion.

– Kawa i owoce wystarczą – upierała się. W jej głosie pojawiła się ostra nutka.

Absolutnie niewzruszony Luca podsunął jej talerz z pokrojonymi owocami i powrócił do stojącej na palniku makinetki.

– Zanim ruszymy na targ, chciałbym opowiedzieć wam o smakach Sycylii – powiedział. – Nie popełnijcie błędu, wyobrażając sobie, że tutejsze jedzenie jest takie samo jak we Włoszech kontynentalnych. Tylekroć podlegaliśmy inwazjom: Greków, Arabów, Hiszpanów, a wszyscy oni pozostawiali po sobie coś, co wzbogacało naszą kuchnię. Niemniej jednak to

kuchnia prosta. Jemy to, co oferują nam ziemia i morze, a składniki są dla nas równie istotne, co samo powstające z nich danie.

– To Arabowie wprowadzili przyprawy, prawda? – domyśliła się Moll.

Luca pokiwał głową.

– Przekonacie się, że używamy cynamonu i goździków, migdałów i pistacji, łączymy rybę z serem, co bulwersuje całą resztę Włoch. Gotujemy, stosując dość ograniczony zestaw składników, ale i tak potrawy się różnią co wioska i co rodzina. To, co wam zademonstruję, to sposób jadania w rodzinie Amore jak daleko sięgnąć wstecz pamięcią.

Poppy zaczynała czuć się niezręcznie. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy te kulinarne wakacje to jednak dobry pomysł. Wszystkie pozostałe kobiety zdawały się wiedzieć znacznie więcej od niej. A co, jeśli ona nie zdoła dotrzymać im kroku?

– A więc kuchnia sycylijska to zasadniczo *cucina povera*, tak? – stwierdziła teraz Moll. Podejrzenia Poppy się potwierdziły. Nigdy wcześniej nie słyszała tego określenia.

– Tak – zgodził się Luca z aprobatą. – Stworzyli ją biedni ludzie, których zadowalało to, co mieli do dyspozycji. Istnieje jednak bogatsza, bardziej wyrafinowana kuchnia arystokratyczna. Podział pomiędzy nimi zachował się do dziś. Z tego względu wielu starszych ludzi na Sycylii nadal nie chce gotować z dodatkiem śmietany.

– A rodzina Amore była zamożna czy biedna? – zaciekała się Tricia.

– Z całą pewnością nie była bogata – odparł Luca. – Ale moja *nonna* była kobietą ciekawą i miała o wiele bardziej otwarty umysł od większości mieszkańców wyspy. Uwielbiała gotować i nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż odkrywanie nowych przepisów. Wiele dań, które wam zademonstruję, pochodzi z jej repertuaru.

– A jaką najbardziej niezwykłą rzecz nam pokażesz? – zapytała Moll.

– Wydaje mi się, że kurczaka w czekoladzie z *prosecco* – powiedział. – Ale za bardzo się rozpędzamy. Dziś przygotujemy proste danie z makaronem i sosem z mielonym mięsem doprawionym na lokalny sposób, z odrobiną cynamonu. A na danie główne? Zobaczymy, co się będzie dobrze prezentować na targu. Pieczone sardele, nadziewana mątwą albo miecznik z warzywami i mnóstwem dobrej oliwy. No to jak, możemy się już zbierać na zakupy?

Zaczęło się zamieszanie przy szukaniu aparatów fotograficznych i torebek, przy nakładaniu kremu z filtrem (Poppy) i szminki (Tricia). Valerie zawróciła w ostatniej chwili, żeby zmienić buty, a Moll nie mogła się zdecydować, czy ma zabrać szal.

Luca cierpliwie czekał przy drzwiach, aż wszystkie będą gotowe.

– No to wreszcie ruszamy – odezwała się Tricia.

– Tak. Przepraszamy za zwłokę – powiedziała Valerie tym swoim akcentem z Manhattanu.

– Nie ma pośpiechu – uspokajał je Luca. – My tu w Favio wcale tak z niczym nie gnamy. Wolimy spokojnie cieszyć się życiem.

Na zewnątrz zaczynało robić się upalnie. Wszyscy razem szli powoli zacienioną stroną głównej ulicy, mijając odrapane barokowe *palazzi*, które Poppy dostrzegła już wcześniej tego ranka. Później zapuścili się w płataninę wąskich uliczek pełnych dziwnych małych sklepików i poukrywanych restauracyjek, aż dotarli na niewielki plac. W centrum *piazza* znajdował się targ.

Był prowizoryczny i pełen życia. Pomędzy ocienionymi płótnem straganami stały ciężarówki, których płaskie paki zastawione były wysoko drewnianymi skrzynkami pełnymi warzyw. Z przyczep kempingowych sprzedawano parzące w palce *arancini* na przekąskę. Klienci targowali się ze sprzedawcami albo blokowali wąskie przejścia pomiędzy kramami, plotkując z przyjaciółmi i sąsiadami.

Zdawało się, że Lucę znają tu wszyscy. Straganiarze nawoływali do niego na powitanie, kobiety całowały go w policzki, mężczyźni poklepywali po plecach.

– Więc zorganizowałeś sobie kolejną grupę cudzoziemek? Znów same kobiety, he? – żartowali. – Jak ty to robisz, Luca?

Poppy czuła się oszołomiona gwarem i kolorami. Ten sposób robienia spożywczych zakupów wydawał się jej bardzo emocjonujący. Od zawsze nie cierpiała pchania wózka pomiędzy bezdusznymi rzędami gazowanych napojów i błyskawicznych nudli w swoim supermarkecie. Tutaj wszyscy robili wrażenie szczęśliwych. Całe miejsce aż tętniło życiem.

Po jej prawej ręce jakiś starszy pan stał za jutowymi workami pełnymi suchej fasoli i donośnie wyśpiewywał swoje ulubione arie. Po lewej rybacy manewrowali tasakami, oprawiając poranny połów. W powietrzu unosił się metaliczny zapach mięsa, słonawy owoców morza. Sprzedawcy nawoływali, proponując kaski na spróbowanie.

– Proszę skosztować moich karczochów! I mojego wina, jest dobre na trawienie.

– Nie, nie, *bella, bella*, proszę podejść tutaj i spróbować mojego salami wyrabianego z czarnych świń własnego chowu!

– Proszę posmakować mojej oliwy, mojego sera *ragusano*, moich słodkich pomidorów z Pachino! Lepszych nie znajdziecie nigdzie, przysięgam!

Valerie podeszła bliżej, by przyjrzeć się straganowi z piętrzącymi się stosami pomidorów wszelkich rozmiarów i kształtów. Moll uwijała się, robiąc zdjęcia słojom mięsistych zielonych oliwek.

Nawoływania nieco przycichły, a Poppy zauważyła, jak obracają się głowy kilku sprzedawców płci męskiej. Zastanowiło ją dlaczego, lecz wkrótce zobaczyła, co przykuło ich uwagę. Jakaś kobieta, bardzo szczupła i bardzo piękna, ubrana w krótką sukienkę i niebezpiecznie wysokie szpilki, szła prosto w stronę Luki z szerokim uśmiechem na twarzy.

– *Ciao, caro*. – Kiedy ujmowała go pod ramię i całowała w oba policzki, zapachniało perfumami, zabrzęczały złote breloczki przy bransoletce.

– *Buongiorno*, Orsolina. Jak się dzisiaj masz? – odparł pogodnie.

– Dobrze, jak zawsze.

Odwróciła się w stronę grupy, ale wciąż trzymała dłoń na ramieniu Luki.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała śpiewną angielszczyzną. – Witamy w Favio. Mówiła tak, jakby miasteczko należało do niej. Gestem wolnej dłoni obejmowała rozsypujące się *palazzi* i wznoszącą się wysoko w górze nad nimi katedrę.

Kiedy już została przedstawiona jak należy, Orsolina odwróciła się do ich przewodnika po włosku. Cicho i szybko.

Tricia uniosła brwi.

– Hej, i co o tym sądzisz? – szepnęła do Poppy. – To jego dziewczyna?

– Możliwe.

– No cóż... Nawet jeśli nią nie jest, chciałaby być. Nigdy się nie myłę.

– Jest bardzo efektowna.

– Tak, ale przesadza. Te buty to Manolo. Lekka przesada jak na poranny spacer na targ, nie uważasz?

– Jak ona daje radę w tych obcasach na tym nierównym kamiennym bruku? – zachodziła w głowę Poppy. – Takie kobiety jak ona chyba się z tym już rodzą...

Luca starał się zakończyć rozmowę. Wskazał dłonią w kierunku straganów z rybami, mówiąc coś, co wywołało u Włoszki zmarszczenie brwi. Orsolina wzruszyła ramionami, wyrzucając dłonie w powietrze.

– *Okay, okay*, zobaczę cię zatem wieczorem – powiedziała po angielsku, już głośniej. –

Przyjdź wcześniej, jeśli się uda.

– Zdecydowanie jego dziewczyna – zawyrokowała Tricia. Poppy nie była przekonana.

Kiedy już zabrali się za sprawunki, Luca zdawał się dobrze wiedzieć, czego chce, i działał zdecydowanie. Trwał akurat sezon na mieczniki, więc zażyczył sobie kilka cienko pokrojonych filetów ze świeżutkiej ryby, aby przygotować je dla grupy w sposób ulubiony przez jego babkę. Kupił trochę mielonego mięsa, doprawianego koprem włoskim, do dania z makaronem i warzywa do słodko-kwaśnej *frittada*. Zakupy na lunch były gotowe.

Wychodzili z targu obładowani torbami, mijając stragan, na którym piętrzyły się wyłącznie dziwacznie wyglądające zielone warzywa o wijących się, bladozielonych wąsach.

– Luca, co to jest? – zapytała Poppy.

– Ach, to zielenina, którą wczoraj wieczorem jadłyście w zupie. Nazywa się *tenerumi*.

To szczyty pędów naszej sycylijskiej długiej cukinii. Mają bardzo ożywczy smak, a przy okazji są zdrowe. Wydaje mi się, że nie spotyka się tego nigdzie indziej.

– Czy do zupy wykorzystuje się całą roślinę? Łodygę, liście? I te wąsy też?

– Zgadza się. Może kupię trochę któregoś dnia i wam zademonstruję, ale na razie jedzenia nam wystarczy. Czas wracać i zabierać się do gotowania.

– Pal sześć zieleninę! – syknęła Tricia, kiedy Luca zawrócił już w stronę domu. –

Zapytaj go o tę dziewczynę w szpilkach.

Poppy się roześmiała.

– Sama go zapytaj.

– A kto wie, czy tego nie zrobię?

(2) Makaron, kapary i ciepłe dłonie

Kuchnia stanowiła największe pomieszczenie w starym kamiennym domu; gdyby Poppy miała napisać ogłoszenie o sprzedaży nieruchomości, określiłaby ją jako „odpowiednią dla osoby lubiącej przyjmować gości”. Tak dużą powierzchnią roboczą pragnęłaby dysponować każdy kucharz: piekarnikiem i płytą grzejącą restauracyjnych rozmiarów, otwartymi półkami, pełnymi kompletów talerzy i garnków.

Wśród ścian pod wysokim sklepieniem panował chłód. Pod jedną ze ścian stał stół z blatem z niebieskich kafli, pod przeciwległą – drewniany kredens. Drzwi z listew prowadziły do spiżarni.

Harmonijnie odnowione tradycyjne sycylijskie domostwo, pomyślała Poppy, komponując w duchu folder reklamowy. Mnóstwo schodów. Dom odpowiedni dla młodego małżeństwa o sprawnych stawach kolanowych.

Zerknąwszy do pozostałych sypialni, uznała, że jej własna, z widokiem na katedrę, jest najlepsza ze wszystkich. Tricia dysponowała niewielkim balkonikiem, Valerie wanną, a u Moll było najwięcej miejsca, ale Poppy wolała krajobraz za własnym oknem. Kusilo ją, żeby pozostać w pokoju, ułożyć się na łóżku i napawać wygodą, ale pozostałe panie zeszły na dół, gdzie szykowały się do pierwszej lekcji: robienia makaronu. Poppy raz próbowała kiedyś zrobić makaron, w maszynie pożyczonej od znajomych. Wałkowała ciasto coraz cieniej i cieniej, a później nadziewała je ricottą i szpinakiem. Zajęło jej to parę godzin i zdaniem Brendana skórka niewarta była wyprawki.

Kiedy dołączyła do reszty, lekcja już trwała (Moll rzuciła jej nieco karcące spojrzenie). Panie zaczęły już szykować sos. Wszystko, co było potrzebne do makaronu, czekało na wierzchu. Szerokie drewniane stolnice ułożono na roboczym blacie i oprószono mąką. Przy każdym stanowisku leżał wałek do ciasta i jakieś żłobkowane narzędzie. Poppy szybko podeszła do wolnego miejsca przy kontuarze, żeby Luca mógł rozpocząć demonstrację.

– Najpierw przygotujemy bardzo proste ciasto – powiedział, z rozmachem sypiąc mąkę do dużej i płaskiej drewnianej misy. – Przekonacie się, że my, Sycylijczycy, mamy dość swobodne podejście do makaronu. Nie istnieją żadne żelazne zasady co do kształtu odpowiedniego do danego sosu i zwykle nie zwracamy sobie głowy nadziewaniem makaronowego ciasta serem czy mięsem. Nasze lata bywają gorące, więc trzeba dbać o prostotę, bo w przeciwnym razie ciasto wysycha, zanim jeszcze skończy się je wyrabiać. Nawet nie dodajemy do niego jajek. To tylko gruboziarnista mąka z twardej pszenicy i letnia, osolona woda. Zdziwicie się, jakie to łatwe.

Kiedy połączył składniki, podzielił ciasto na cztery równe porcje. Każdej z uczestniczek kursu wręczył kawałek do wyrobienia i ukształtowania.

Moll śmiało zabrała się do pracy, a Poppy patrzyła, jak naciska ona i turla swój kawałek ciasta. Starła się naśladować tamtą, jak umiała najlepiej, próbując opanować skrępowanie.

– Bardzo dobrze, Poppy. Możesz posypać deskę odrobiną mąki, jeśli ciasto się klei – zachęcił ją Luca. – Tricia, nie wyrabiaj ciasta palcami, używaj nasady dłoni. Valerie, prawie idealnie.

Przez kilka chwil stał i przyglądał się pracy podopiecznych. Podszedł do stanowiska Poppy i dotknął kuli ciasta, aż wreszcie położył palce na dłoniach kobiety. Nieco się spięła, zaskoczona dotykem.

– Już gotowe – powiedział. – Poczuj, że jest całkiem zwarte. Masz ciepłe dłonie, Poppy.

– Czy to dobrze? – zapytała.

– Najlepsi kulinarni specjaliści od wypieków mają dłonie zimne – wtrąciła Moll pogodnie.

Rozczarowana Poppy spojrzała na Lukcę.

– To prawda?

– Tak, ale nic się nie martw. Pozostałe panie mogą kontynuować wyrabianie, a ja tymczasem na twoim kawałku pokażę, co dalej.

Wprawnymi ruchami rąk rozciągnął ciasto, nadając mu kształt długiego i bardzo grubego spaghetti, które następnie pokroił ostrym nożem na kawałeczki.

– I teraz zaczyna się magia... – zapowiedział.

Poppy patrzyła, jak Luca, trzymając w jednej dłoni drewnianą, żłobkowaną deseczkę, drugą dociska do niej kasek ciasta, przesuwa go w dół kciukiem i tworzy mały, zwinięty kluseczek przypominający muszelkę. Powtórzył tę czynność kilka razy, upewniając się, czy wszystkie ją zobaczyły i zrozumiały, o co chodzi.

– Teraz ty popróbuj – zwrócił się do Poppy.

Rzecz wyglądała na całkiem prostą, ale Poppy musiała zbyt mocno dociskać ciasto – pierwszy klusek przylepił się jej do kciuka. Oprószyła dłonie mąką i spróbowała ponownie. Drugi klusek wyszedł niekształtny. Podobnie trzeci.

– Jestem do niczego. W ogóle sobie z tym nie radzę – powiedziała.

– Nic podobnego. To kwestia wprawy. Pozwól, pokażę ci jeszcze raz.

Luca stanął obok, na tyle blisko, że Poppy zrobiło się nieswojo. Nakrył jej kciuk własnym i tak pokierował jej dłonią, że ta jednym gładkim ruchem zrolowała kawałek ciasta w kształt muszelki.

– Rzecz w stałym, ale delikatnym nacisku – wyjaśnił Luca. – A teraz jeszcze raz. Beze mnie.

Poppy spróbowała, z zadowolającym rezultatem. Następna muszelka wyglądała jeszcze zgrabniej.

– Och, dzięki za cierpliwość! Chyba w końcu zaczynam łapać, o co chodzi.

– To naprawdę dość łatwe. Kiedy już wpadniesz w rytm, robienie *cavatelli* stanie się prawdziwym relaksem.

– Zgadzasz się, że można to tak odebrać – przytaknęła Moll, która trzymała swoją deseczkę jak prawdziwy ekspert, produkując na niej idealne malutkie makaronowe muszelki.

Valerie też radziła sobie całkiem nieźle. Jedynie Tricia marszczyła brwi z wysiłku, starając się, żeby i jej się udało.

Kiedy wykorzystały już całe ciasto, Luca nakrył *cavatelli* czystą ściereczką (żeby nie wysychało) i zajął się resztą posiłku. Warzywa były przygotowane, miecznik przyprawiony. Kuchnię wypełnił zapach jedzenia.

Valerie oświadczyła, że musi na chwilę usiąść. Po długim locie skarżyła się na opuchnięte kostki, teraz robiła wrażenie znużonej. Mimo że również Poppy odczuwała skutki samolotowej podróży, ranek spędzony w kuchni dodał jej energii. Moll zajęła się nakrywaniem stołu, a Tricia wróciła do pokoju, aby się nieco odświeżyć. Poppy pozostała w kuchni, obserwując, jak Luca dopieszcza lunch.

– Gotujesz od zawsze? – zapytała, zadowolona, że mogą przez chwilę pogawędzić sam na sam.

– Nie, wręcz odwrotnie. Wszystkie kuchenne prace wykonywały moja *nonna* i inne kobiety w rodzinie. Kiedy byłem chłopcem, nigdy nawet nie dotknąłem garnka.

– Kiedy to się zmieniło?

– Pojechałem na studia do Anglii, ale nie cierpiałem tamtejszego jedzenia. Te ciężkie zapiekanki, kupowane w piekarniach, ciągle tylko ryba z frytkami, te posiłki z puszek. – Skrzywił się na samo wspomnienie. – Wpędziły mnie w chorobę, więc zwróciłem się do rodziny, błagając o przepisy. *Nonna* odpisała natychmiast. Wytłumaczyła, jak robić prostą minestrę ze świeżych warzyw i makaron *al forno*. Co tydzień przysyłała mi jakąś nową recepturę. Dania, które gotowałem, nie były tak dobre, jak jej. Co prawda nie mogłem dostać wszystkich potrzebnych składników, ale i tak efekt okazał się smaczniejszy niż to, czym się żywiłem do tej pory.

Poppy wyobraziła sobie młodego człowieka usiłującego radzić sobie w obcym kraju.

– I tak gotowanie stało się twoją pasją?

– Najpierw moją pasją stało się jedzenie – roześmiał się Luca. – Ale któregoś lata przyjechałem do domu, gdzie *nonna* nauczyła mnie gotowania innych rzeczy. Na przykład *cavatelli*, jakie zrobiliśmy dzisiaj. We dwójkę spędzaliśmy w tej kuchni całe godziny, robiąc makaron w różnych kształtach, piekąc ciasta. Stopniowo babcia przekazała mi własne zamiłowanie do pichcenia.

– A teraz ty robisz to samo – powiedziała Poppy, poruszona opowieścią. – Dzielisz się własną pasją z innymi.

– Taki był mój zamysł. – Luca zerknął na garnek wypełniony wodą na makaron, która właśnie zaczynała wrzeć. – Lubię myśleć, że na całym świecie są ludzie, którzy odbyli ten kurs i teraz podtrzymują pamięć o mojej *nonna*, gotując według jej przepisów.

– Czy ona wiedziała, że zamierzasz się zająć właśnie tym? Rozmawiałeś z nią o swoich planach? O otwarciu szkoły?

– Nie, bo takich planów wtedy nie było. *Nonna*, gdyby się dowiedziała, zdziwiłaby się ogromnie. Podejrzewam, że wyobrażała sobie moją przyszłość zupełnie inaczej.

Luca wrzucił *cavatelli* do wrzątku.

– Pogotują się tylko kilka chwil – oznajmił. – Czas jeść. Zgodzisz się zawołać wszystkie panie?

Moll pięknie zastawiła stół na tarasie. Aby biały obrus nie odfrunął, przytrzymały go

dwie spore muszle. Na nim stała srebrna solniczka, dzbanuszek z oliwą, koszyk złocistego chleba i karafka ze schłodzonym winem rosato.

– Głodne? – zapytał Luca, wynosząc miski z makaronem, polanym lekko sosem i posypanym serem.

Panie pośpiesznie zajęły miejsca. Stuknęły się kieliszkami.

– *Buon appetito* – powiedziały chórem.

Moll, zanim jej spróbowała, skrupulatnie sfotografowała swoją porcję. Tricia patrzyła na to spod uniesionych brwi.

– Chcesz tak robić ze wszystkim, co będziesz jadła? – spytała zaciekawiona.

– Owszem, raczej tak – przyznała Moll otwarcie.

Nie mogąc się doczekać, Poppy nadziała na widelec pojedyncze *cavatelli*. Okazało się bardziej jędrne niż makaron, jaki miała okazję jadać do tej pory. Spróbowała sosu, w którym odnalazła aromat przypraw: nutkę cynamonu i aromat kopru. Pyszne! – zgodziła się. Naprawdę bardzo smaczne.

– A więc, Luca... – Tricia z uśmiechem odłożyła widelec. – Opowiedz nam coś o tej dziewczynie, którą spotkaliśmy na targu. Czy to dobra znajoma?

– Orsolina? – Luca kawałkiem skórki od chleba wytarł talerz, zbierając resztki sosu. – Znam ją od wielu lat. Pochodzi z rodziny, która w Favio tradycyjnie zajmuje się wyrobem czekolady. Jutro odwiedzimy ich *dolceria*. Czekają nas degustacja. Przyjrzymy się pracy cukierników. Stosują te same techniki od ponad stu lat, ich czekolada jest absolutnie niepowtarzalna. Niektórym ludziom nie smakuje zupełnie.

– A ty ją lubisz? – zapytała Tricia.

– Tak, oczywiście. To czekolada, na której się wychowałem.

– A Orsolinę?

– Ją też lubię – roześmiał się Luca. – Moja *nonna* kiedyś pomagała w *dolceria*, jeśli brakowało personelu. Sam też tam pracowałem przez jakiś czas, więc znam rodzinę Orsoliny naprawdę dobrze. To moi najbliżsi przyjaciele.

I zanim Tricia zdążyła wydusić z niego dalsze informacje, zmienił temat.

– Na dzisiejsze popołudnie zaplanowałem piesze zwiedzanie miasta – oznajmił. – Ale jeśli któraś z pań woli odpocząć, nie ma sprawy. Zajrzemy do katedry, a później udamy się uliczkami w górę, na Pizzo, gdzie czeka na nas najlepszy widok na Favio.

– Chętnie się przejdę – powiedziała Poppy.

– Ja również – zgodziła się Moll.

Wahała się tylko Valerie.

– Chciałabym, ale obawiam się, że nie dam sobie rady na tych wszystkich schodach. Jesteście wszystkie znacznie młodsze ode mnie. I w o wiele lepszej formie.

– Możemy dostosować się do twojego tempa – zaproponowała Luca. – Może pójdziesz z nami do katedry, a potem, jeśli okażesz się zmęczona, zawrócisz?

Poppy przypomniała sobie o zebranych dzisiejszego ranka kaparach.

– Zaczekajcie momencik! Chcę wam coś pokazać – powiedziała. – Jedną chwileczkę.

Zielone pączki wciąż spoczywały bezpiecznie w kieszeni bluzy. Poppy niepokoiła się, że zwiędły, ale pozostawały krągłe i jędrne. Zebrawszy je w garść, zawróciła na dół po schodach i pokazała zdobycz pozostałym.

– To z krzaków, które rosną dziko na wzgórzu – wyjaśniła.

– Ach, wybrałaś się na zbieranie! – powiedział Luca z aprobatą. – Tu często trafia się coś wartego zebrania. Dziko rosnący koper i zioła, poza tym owoce opuncji, które uwielbiam. No i oczywiście kapary. O tej porze roku nigdy nie ruszam na wzgórze bez koszyka. Tak na

wszelki wypadek.

– Spróbowałam jednego i okazał się gorzki – powiedziała Poppy. – Trzeba je ugotować albo zalać octem czy coś?

– Konserwuje się je w soli – wyjaśniła Moll.

– Zgadza się. – Luca pokiwał głową na potwierdzenie. – Na spacerze możemy zebrać więcej. Potem pokażę ci, jak się to robi.

Lunch zakończył się kolejną kawą i talerzem migdałowych ciasteczek, podczas gdy Luca zajmował się brudnymi naczyniami (uparł się, że zrobi to samodzielnie). Poppy czuła przyjemne odprężenie. Osunąwszy się wygodniej na oparcie krzesła, pozwoliła, by rozmowa wokół stołu toczyła się bez jej udziału.

– Nigdy już się nie zmieszczę w swoje dzinsy rurki, jeśli będę tak jadła codziennie – narzekała Tricia. – Muszę bardziej uważać.

Moll wzruszyła ramionami i sięgnęła po następne ciasteczko.

– No cóż, ja nie zamierzam marnować czasu na zamartwianie się tymi kilkoma funtami więcej – oświadczyła. – Szaleństwem byłoby przegapić wszystkie te niesamowite smaki. Postanowiłam jeść wszystko, na co mi przyjdzie ochota.

– Zgadzam się z tobą – poparła ją Valerie. – Zresztą w moim wieku parę funtów w tę czy we w tę nie robi różnicy. Prawdziwy problem to ten, że wszystko zaczyna obwisać. Nie wolno mi już nosić bluzek bez rękawów, a o dzinsach rurkach w ogóle mogę zapomnieć.

– A ile ty właściwie masz lat? – zapytała Tricia.

Valerie wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

– Wystarczająco dużo, żeby nie ujawniać wieku.

Tricia otaksowała ją wzrokiem.

– Ja bym ci dała pięćdziesiąt parę.

– Jesteś szalenie uprzejma. A teraz dodaj jeszcze kilka.

– Serio? W takim razie wyglądasz rewelacyjnie! Nie przejmowałabym się na twoim miejscu.

– Owszem, racja – zgodziła się Moll. – Ja mam czterdzieści, gdyby ktoś pytał.

– Poppy? – zapytała Tricia.

Poppy niechętnie otworzyła oczy.

– Trzydzieści jeden. Ale dopiero skończone – wyznała.

– Ach, no cóż... Ja mam trzydzieści osiem. Pewnie i tak jestem już za stara na dzinsy rurki, więc równie dobrze mogę jeść te ciasteczka.

– Ja się staro nie czuję – zwierzyła się Valerie. – Moje ciało być może już się rozpada, ale w głowie wciąż ta sama dziewczyna co zawsze. Bywa, że zniecka dostrzegam własne odbicie – w lusterku wstecznym albo w szybie w metrze na przykład – i ono mnie przeraża. Bo ja nie siebie widzę. Zresztą inni ludzie w moim wieku twierdzą o sobie to samo.

Tricia przyłożyła obie dłonie do policzków i mocno naciągnęła skórę.

– Widzicie? Dzień w dzień stosuję serum i kremy. Fortunę na nie wydaję, nakładam jedno na drugie. A i tak wszystko zaczyna zdązać na południe. Kiedy skończę czterdziestkę, zafunduję sobie lifting.

– Bylebyś tylko nie zrobiła sobie ust glonojada – powiedziała Valerie. – Jak ta aktorka. Jakżeż się ona nazywa...?

Luca wyłonił się z kuchni, gotów sprzątnąć pozostałe filiżanki i kieliszki.

– Nie macie ochoty na więcej? – zapytał, zanim zabrał ze stołu ciasteczka.

Tricia podniosła wzrok.

– Rozmawiamy tu o nieuchronnej starości – poinformowała gospodarza.

- Ach tak?
- I wszystkie przyznałyśmy się, ile mamy lat. A ty?

Luca parsknął śmiechem. Zęby miał białe. Natura obdarzyła go oliwkową cerą. W jego włosach ledwie dawało się dostrzec siwe niteczki.

- Mówią, że trudno zgadnąć – odparł wymijająco.
- A jeśli odgadniemy poprawnie, przyznasz się? – zapytała Tricia.
- Nie.
- Dlaczego?

Luca roześmiał się ponownie.

- Jeśli już skończyłyście, powinniśmy się przyszykować do naszej pieszej wycieczki.

Panie zaczęły się zbierać, więc powstało małe zamieszanie. Valerie chciała zajrzeć na chwilkę do toalety, Tricia postanowiła przebrać się w szorty. Kiedy wydawało się, że wszystkie są już gotowe, Moll powiedziała:

- Ojej, zaczekajcie! Za sekundę wracam.

Zanim się wyszykowały, popołudnie było w pełni. Trwał najdotkliwszy upał.

– Kłopot w tym, że jak teraz po tych schodach zejdziemy, to potem trzeba się będzie znów po nich wspinać – westchnęła Valerie.

- Masz całkowitą rację – powiedziała Tricia. – Są diabelnie strome.

– Moja *nonna* tymi schodami schodziła i wracała na górę parę razy na dzień, przez całe życie – dodał im otuchy Luca. – To właśnie dzięki nim żyła tak długo.

Zarzuciwszy na ramię skórzaną dużą torbę, Poppy poczuła, jak mięśnie jej nóg protestują przy schodzeniu. Odczuwała właśnie skutki porannego truchtu, ale obiecała sobie, że codziennie będzie ćwiczyć choć trochę. Jeśli tylko zdoła.

Na dole, przy głównej ulicy, trzeba się było zatrzymać i poczekać na Moll i Valerie, które poszły kupić *gelato*. Luca wkroczył za nimi do cukierni, gotów do pomocy przy zamawianiu.

– Ciekawy gość, nie? – powiedziała Tricia cicho, gdy zniknął. – Jak zaczyna gadać o jedzeniu, zamknąć się nie może. Ale zapytaj go tylko o niego samego... Ciszą.

- Zauważyłam – zgodziła się Poppy.

- Ciekawa jestem jego historii. Miałaś okazję porozmawiać z nim więcej?

- Tak, trochę wcześniej. I dowiedziałam się jedynie, że kochał swoją *nonna*.

– Naprawdę? – Tricia zdawała się zaintrygowana. – Myślisz, że może jest gejem? Takie tajemnicze typy często bywają.

Poppy zastanowiła ta myśl.

– Nie przypomina mi żadnego znanego mi z Sydney... Oni tam o wiele bardziej rzucają się w oczy. Tak czy inaczej, przecież jeszcze dziś rano łączyłaś go w parę z tą kobietą z targu?

- Jak ona się nazywała? – roześmiała się Tricia. – Orsolina? Masz rację. Rzeczywiście.

Z cukierni wyłoniły się Moll i Valerie, wyjadające łyżeczkami lody z papierowych kubeczków. Luca pozostał za ich plecami, pogrążony w rozmowie ze sprzedawcą.

– Tak, dziś wieczorem. O zwykłej porze – mówił. – U Mazzary, oczywiście. *Ci vediamo*.

Grupa kontynuowała nieśpieszny spacer, wspinając się po stopniach prowadzących do katedry z kamienia koloru masła. Zwiedzili bogato zdobione wnętrza, wchodząc przez wielkie, sklepione wrota, a następnie ruszyli pod górę stromym zboczem, zatrzymując się, by zbierać kapary przy każdym krzaku, na jaki trafiali. Po drodze Luca wskazywał kobietom miejsca warte zainteresowania: w tym domu kiedyś mieszkał pewien sławny filozof, tutaj kręcono zdjęcia do

znanego serialu telewizyjnego, tu znajduje się kolejny kościół, ale ksiądz słynie ze zrzędlivego usposobienia i nie toleruje zwiedzających. Teraz z kolei jeszcze tylko kilka schodów i zaraz szczyt Pizzo, skąd można będzie podziwiać panoramę miasteczka.

Valerie miała kłopoty z dotrzymaniem kroku reszcie, więc Poppy też postarała się, aby zostać z tyłu.

– Ja na tej górze byłam już dziś rano – powiedziała. – Zostanę z tobą.

– Dziękuję... Chyba nie dam rady tam się wdrapać. – Valerie była bardzo blada. –

Kiedyś miałam niezłą formę, ale chyba ją całkiem straciłam. Naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje...

– Jestem pewna, że to przez ten upał – uspokajała Poppy. – I nie ma tego wiatorku, który był na tarasie podczas lunchu.

– No cóż... Mam nadzieję, że dotrzymam wam przynajmniej, dziewczyny, kroku na tym kursie. Nie chciałabym robić za zawalidrogę.

– To zabawne, bo ja myślę o sobie dokładnie tak samo – przyznała Poppy.

– Naprawdę?

– Tak. Ale mam na myśli gotowanie, a nie chodzenie.

– Och, rozumiem. No cóż, Luca wydaje się cudownym nauczycielem, więc tym bym się za bardzo nie przejmowała. – Valerie przysiadła na ławce, opierając się plecami o mur. – Ach, tak lepiej.

– Tam jest jakiś bar. Może skoczę i zobaczę, czy nie dadzą mi dla ciebie zimnej wody?

– Byłoby świetnie.

Niewielki lokalik okazał się zaskakująco zatłoczony. Poppy weszła do środka i poczuła, że skupia się na niej wzrok wszystkich gości.

– Poproszę butelkę wody mineralnej – zwróciła się do barmana, ostrożnie dobierając włoskie słowa.

– Z lodem? – mruknął po angielsku.

– Nie. W butelce, jeśli można. Niegazowaną.

A potem usłyszała damski głos, śpiewny i znajomy.

– Ty chyba jesteś jedną z nowych kursantek Luki? – Orsolina siedziała w głębi baru samotnie i paliła papierosa. Przed nią stał drink w kolorze pomarańczy. – Nie wołałabyś napić się czegoś ciekawszego niż woda? Aperol spritz? – Przechyliła głowę i uniosła kieliszek.

– Dziękuję, ale moja koleżanka źle się czuje. To dla niej kupiłam tę wodę.

Orsolina zmarszczyła brwi.

– Źle się czuje? A gdzie Luca?

– Poszedł na Pizzo z pozostałymi.

Orsolina zgasiła papierosa i wstała.

– Lepiej pójde z tobą.

– Na pewno nic jej nie będzie... Nie trzeba. Zajmę się nią.

– Skończyłam kurs pierwszej pomocy – nalegała Włoszka. – A poza tym tu stoi mój samochód. Może trzeba ją będzie gdzieś przewieźć?

Valerie zastały na ławce pochyloną, z głową między kolanami. Uniesiona ku nim twarz była straszliwie blada.

– Trochę mi słabo – wyznała Valerie. – Fatalnie się czuję.

Orsolina okazała się zadziwiająco zaradna. Sprawdziła puls Valerie, kazała sobie dokładnie opisać objawy (mdłości i zawroty głowy), przyłożyła dłoń do czoła tamtej, sprawdzając, czy nie ma czasem gorączki.

– Moim zdaniem to nadmiar słońca – zawyrokowała. – I być może wino do lunchu.

I tyle schodów, do których pani nie przywykła.

– Tak, to te schody – zgodziła się Valerie. – Gdybym tylko mogła położyć się na chwilę, na pewno poczułabym się lepiej. Ale nie jestem pewna, czy uda mi się wejść z powrotem na górę, do domu.

– Może... Jeśli będziemy szły naprawdę powoli – podsunęła Poppy.

Orsolina zbyła ten pomysł.

– Zabiorę ją raczej do domu taty – powiedziała. – Tam nie trzeba wchodzić po żadnych schodach. Będzie mogła odpocząć, dopóki nie poczuje się wystarczająco dobrze.

– Nie chcę wam sprawiać kłopotu... – zaprotestowała Valerie.

– To żaden kłopot – zapewniła ją Orsolina. – Zresztą Luca oczekiwałby, że wam pomogę.

– No cóż, jeśli jest pani pewna... Dziękuję bardzo.

– Pojadę z wami – zaproponowała Poppy.

– Nie, nie, ty lepiej idź na górę, na Pizzo. I powiedz Luce, co się stało. W przeciwnym razie będzie się niepokoił. Ma w planach zajrzeć później do mnie, więc będzie mógł zabrać twoją koleżankę, gdy ta poczuje się lepiej.

Poppy odczekała, aż Orsolina pomoże Valerie wsiąść do lśniącego białą fiata bambino, a potem, o wiele za szybko, odjedzie wąską uliczką. Później ruszyła, by odszukać pozostałych. Znalazła ich nieco wyżej, na wzgórzu. Jej koleżanki stały na stopniach jakiegoś kościoła i uważnie słuchały mówiącego coś Luki.

Kiedy przekazała mu nowinę, nachmurzył się.

– Dlaczego Orsolina nie wysłała mi esemesa? Natychmiast zszedłbym na dół. No dobrze, przynajmniej Valerie jest w dobrych rękach. W domu rodziny Mazzara zajmą się nią jak trzeba.

Najbardziej przejęła się Moll.

– Och, biedna Val! Od rana była trochę osłabiona. I jest starsza, niż wygląda, przecież wiecie.

– Zaraz tam pojadę i zobaczę, jak się czuje – zdecydował Luca. – Na pokazanie wam, jak się konserwuje kapary, znajdzie się chwila jutro. A dziś wieczorem, tak czy inaczej, czas wolny. Miałem wam podsunąć myśl, abyście poszły na pizzę. W drodze powrotnej pokażę wam, gdzie jest najlepsza pizzeria.

– Czy nie powinnyśmy jednak pojechać z tobą? Sprawdzić, jak się ma Val? – zastanawiała się Moll na głos. – Może czegoś potrzebuje?

– Nie, nie. Niczym się nie przejmujcie. Nacieszcie się wolnym wieczorem. My się już wszystkim zajmiemy. Orsolina i ja.

Nie minął nawet jeden dzień, odkąd stanowiły grupę, a mimo to miały wrażenie, że to nie w porządku tak wracać do domu bez Valerie. W zwarzonych nastrojach, kiedy już zaplanowały, gdzie się później spotkają na obiedzie, rozeszły się każda w swoją stronę: Tricia, żeby skontaktować się na Skypie z rodziną, Moll zeszła do głównej ulicy, by pooglądać sklepowe wystawy, zaś Poppy do swojego pokoju, aby trochę odpocząć. Zabrała ze sobą włoskie czasopismo, które znalazła w salonie, chcąc sprawdzić, czy jej znajomość języka wystarczy do zrozumienia kilku akapitów.

Najpierw otworzyła okno i wpuściła przedwieczorną bryzę, a później wzruszyła poduszki na łóżku. Kiedy już wszystko było idealnie, położyła się, aby poczytać. Pismo otworzyło się na stronie z zagiętym rogami. Zdziwiona Poppy zobaczyła zdjęcie Luki w granatowym fartuchu szkoły „Z miłości do jedzenia”, z deseczką do *cavatelli* w jednej dłoni.

Spróbowała przebić się przez towarzyszący fotografii tekst. Artykuł najwyraźniej opowiadał o Sycylijskich, którzy zdecydowali się powrócić do domu, rezygnując z okazji zrobienia lukratywnej kariery za granicą. Lucę opisano jako człowieka, który odniósł międzynarodowy sukces, ale tylko ten fragment Poppy zdołała zrozumieć. Frustrujące, myślała, tak leżeć i zastanawiać się, z jakiej działalności zrezygnował i dlaczego. Gdyby tylko znaleźć jakiś włosko-angielski słownik, można by dowiedzieć się więcej. Ale Poppy nie zauważyła w domu żadnego.

Około szóstej po południu w katedrze odezwały się dzwony. Odpowiedziały im dzwony pozostałych kościołów w Favio. Poppy usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi i założyła, że to wraca Moll. Ziewnęła, marząc, żeby organizm wreszcie przystosował się do zmiany stref czasowych i żeby się wreszcie pozbyć posamolotowego otępienia.

Zanim na dobre zmorzył ją sen, zwlokła się z łóżka, postanawiając sprawdzić, czy znajdzie kogoś gotowego na aperitif.

Zabrała ze sobą pismo na dół, na taras, gdzie znalazła czekającą Tricię. Tamta przebrała się ponownie i nałożyła na twarz świeży makijaż.

– Ten widok najładniej się prezentuje wieczorem – stwierdziła. – Wszystko wówczas staje się bardziej miękkie i nabiera złotawej barwy, nie sądzisz?

– Jest zdecydowanie niepowtarzalny – zgodziła się Poppy. – Luca na pewno też tak uważa. Według artykułu, który właśnie próbowałam czytać, porzucił międzynarodową karierę, żeby tu wrócić.

– Zobaczmy. – Tricia zerknęła do magazynu, a potem zmarszczyła brwi. – Och, to po włosku! Co tu jest napisane? Jaką karierę?

– Nie jestem pewna. Tekst niczego nie wyjaśnia. A przynajmniej nie w sposób dla mnie zrozumiały.

– Jak sądzę, to artykuł sponsorowany. Taka reklama firmy – skomentowała Tricia. – Popatrz tylko na niego, w tym fartuchu z wielkim logo „Z miłości do jedzenia”. Cała reszta tego kawałka mówi pewnie o gotowaniu. Bo on się tylko tym interesuje. Wydaje się, że nie dostrzega niczego więcej. Nawet gdy ta biedna staruszka Val zaczyna mdleć.

– Daj spokój, to nie fair – sprzeciwiła się Poppy. – Przecież to nie tak, że on ją zostawił na pastwę losu. Ja przy niej byłam. I Orsolina.

– Tak. Ona ma w zwyczaju co chwila wyskakiwać spod ziemi, nieprawdaż? – Tricia znów skupiła wzrok na zdjęciu Luki. – Hm, owszem, ciacho. Zdecydowanie ciacho. Rozumiem teraz, czemu ona tak się do niego klei. Na jej miejscu być może robiłabym to samo, zwłaszcza jeśli w jego domu aż roi się od kobiet.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy stanowiły powód do niepokoju Orsoliny. Ty jesteś mężatką, ja świeżą rozwódką.

Tricia wzruszyła ramionami.

– Och, nigdy nic nie wiadomo. Parę szklaneczek wina, piękny i rozgwieżdżony sycylijski wieczór i wszystko może się zdarzyć...

Z miłości do jedzenia

Luca Amore gromadzi pierwsze wrażenia. Bo pierwszy dzień zawsze daje pojęcie, czego może oczekiwać po kolejnych. Jest już w stanie stwierdzić, że wśród tego grona to Moll jest prawdziwą pasjonatką kulinariów, przy każdej okazji gotową popisywać się posiadaną wiedzą. Widzi, jak bardzo Tricii zależy na podziwie, i zapamiętuje, aby chwalić ją za każdą aktywność. Valerie to obserwatorka, więc trudno mieć pewność, co się dzieje w jej głowie. Poppy natomiast wciąż się martwi, że sobie nie poradzi. Tej trzeba będzie nieustannie dodawać otuchy.

Odkąd kobiety zaczęły wierzyć, że muszą być idealne? – zastanawia się Luca. Jego *nonna* nigdy nie była taka. Jeśli kroila *cavatelli* w pośpiechu i kluseczki wychodziły nierówne, wruszała tylko ramionami.

– Smakować będą tak samo – mówiła.

Nierzadko zdarzało jej się wyskakiwać do sklepu po jakiś zapomniany sprawunek z rękami w mące i w fartuchu zaplamionym sosem, który właśnie bulgotał na kuchni. Luca był pewien, że babcia nigdy w życiu nie cierpiała z powodu nieudanej fryzury.

Prowadząc kursy, wiele nauczył się o kobietach. Przede wszystkim odkrył, jak niewyrozumiałe potrafią być dla siebie samych i dla innych przedstawicielek swojej płci. Cele i oczekiwania to nic zdrożnego – Luca ma je również – ale kobiety są zdeterminowane tak bardzo, że rozczarowanie jest nieuchronne. To cecha charakterystyczna dla wszystkich grup, które Luca uczy gotować. Obecna czwórka nie jest pod tym względem żadnym wyjątkiem.

Mimo to uczestniczki kursu wydają mu się całkiem sympatyczne. Wszystkie cztery chyba się dogadują, co ogromnie ułatwia mu pracę. Luca wierzy, że zdołają się powstrzymać od omawiania tematów, które zawsze prowadzą do kłótni (religia i polityka). Ma ogromną nadzieję, że stan zdrowia Valerie nie będzie problemem; ucieszył się, że wyglądała znacznie lepiej, kiedy zegnał się z nią wcześniej dzisiejszego wieczoru.

Luca uważa, że w twarzy kobiety, jeśli pozwoli jej starzeć się bez ingerencji, jest piękno. Taka twarz łagodnieje, bardziej miękko układa się na kościach. Koloryt cery bladej, przypominając odcień kości słoniowej. A Valerie jest niesłychanie elegancka. Chodzi jak tancerka, wyprostowana, mimo że rozluźniona. Włosy ma siwe, a jednak dłuższe niż u większości kobiet w jej wieku; upina je wysoko. Nosi się swobodnie, ale w sposób przemyślany.

Tricia też jest piękna, choć cała kanciasta, jak złożona wyłącznie z ostrych krawędzi. Wydaje się zbyt świadoma obrazu, jaki tworzy, więc Luca ma się przed nią na baczności. O wiele bardziej nieskrępowany czuje się w towarzystwie Moll i Poppy, których twarze pokazują dokładnie to, kim są ich właścicielki: osobami naturalnymi i otwartymi. W myślach Luca porównuje je do misek z wiosenną minestrą albo zimową zupą z makaronem i ziemniakami – solidne, godne zaufania, pożywne.

I pokłada ufność w tym, że nadchodzące dni okażą się wolne od sporów i scen. Że Tricia się zrelaksuje, Valerie będzie się czuła dobrze, Moll i Poppy odnajdą w kuchni pewną równowagę. Ma nadzieję na piękne dni, dobre jedzenie, wino... Na radosne wakacje. Nie ma powodu oczekiwać czegoś innego.

Oczywiście pierwsze wrażenie nie zawsze jest prawdziwe. Luce już wcześniej zdarzało się mylić.

Tricia

Toksyczne. Tak bym określiła moje życie. Od wielu lat mnie zatruwa. Mam dość toczenia walk w imieniu innych ludzi. W swojej pracy dostrzegam wyłącznie najgorsze ludzkie cechy – kiedy do mnie trafiają moi klienci, to już tylko nienawiść i robienie sobie wbrew. Jestem im potrzebna przy tych gorzkich zakończeniach, w tych chwilach kiedy zduszona została cała miłość. Najbardziej sympatyczni z pozoru, potrafią zmienić się w monstra, kiedy rozpada się ich rodzina. Ukrywają stan posiadania, kłamią, niszczą się nawzajem. Niektórzy zdają się zatracać wszelki rozsądek i całe tygodnie poświęcają walce o to, kto zatrzyma łazienkową zasłonkę. A potem kwestię opieki nad dzieckiem ustalają w mgnieniu oka.

Dzieci, biedactwa. Zawsze wychodzą na tym najgorzej. Zanim jednak dorobiłam się własnych, nigdy się tym nie przejmowałam. Teraz każdy nakaz ustalenia kontaktu z dzieckiem czy zgoda na wyjazd z nim za granicę ma za sobą historię, która łamie mi serce. Bywają dni, że płacząc przez całą drogę powrotną do domu i każę taksówkarzowi parkować za rogiem. A potem jeszcze z dziesięć minut zbieram się w sobie, zanim jestem w stanie stanąć we własnych drzwiach.

Początkowo wydawało mi się, że prawo to taka błyskotliwa kariera. Uwielbiałam tę mentalną dyscyplinę, to przesiadywanie w uniwersyteckiej bibliotece w otoczeniu wszystkich tych oprawnych w skórę tomów. Później polubiłam formalności i zwyczaje – perukę, kiedy jestem w sądzie, „Wysoki Sądzie, to”, „Wysoki Sądzie, tamto”. No i te sądowe spory oczywiście. Nie ma nic lepszego niż dreszcz wygranej, ten moment, kiedy już się wie, że sprawę masz w kieszeni.

Są takie dni, kiedy klientowi pomagam i czuję się dobrze sama ze sobą. Ale najczęściej już tak nie bywa.

Mogłabym wam opowiedzieć kilka historii, rzeczy, które widziałam i słyszałam. Paul nigdy nie lubił, żebym o nich mówiła, jego to nieprzytomnie nudziło. Paul jest lekarzem. Jego klienci nie wydają się tak trudni jak moi. No cóż, jest anestezjologiem, więc w zasadzie jego pacjenci przez większość czasu śpią. W każdym razie miał dość oglądania mojego przygnębienia, więc załatwił mi terapeutę, jakiegoś antydepresanta. Jestem pewna, że u innych ludzi te leki działają, ale ja nie cierpiałam, gdy spłaszczały wszystkie wrażenia. Życie wydawało się takie samo, tylko wytłumione. Mówiłam swojemu terapeutce, że jestem nieszczęśliwa nie bez powodu. Nienawidzę tej swojej choleryjnej pracy. I żadna pigułka tego nie odmieni, prawda?

Oczywiście mogłabym odejść, kompletnie zmienić zawód. Ale pracowałam tak ciężko i tak długo, żeby zdobyć właśnie ten... Teraz jest czas na zarabianie pieniędzy, na inwestowanie w przyszłość. Poza tym dzieci uczą się w prywatnych szkołach, kredyt hipoteczny mamy olbrzymi. Paul dokonał paru kiepskich inwestycji. Człowiek zarabia i wydaje. Tak to już bywa.

Więc tkwię w pułapce. Co bym musiała robić, żeby przynosić do domu takie pieniądze, jakie zarabiam, rozwodząc ludzi? Jestem dobra w tym, co robię, mam sukcesy. Mimo to nie mogę znieść myśli, że będę robiła to samo przez następne dziesięć czy dwadzieścia lat, aż będzie mnie stać, by przejść na emeryturę.

To Paul zarezerwował dla mnie te wakacje. Bardzo to z jego strony i miłe, i pełne troski. Bo on jest właśnie takim mężczyzną. Ale przyjechać ze mną nie chciał. Uważał, że dobrze nam zrobi, jeśli trochę odpoczniemy od siebie. Mówi, że zmieniłam się w osobę, dla której szklanka zawsze jest na wpół pusta. I że nie z taką kobietą się żenił.

Nie wiem, dlaczego wam to opowiadam. Może przez to wino? Albo nie mogę o tym

pomówić z nikim w pracy, a przyjaciółki mają własne problemy. Mężowie, którzy potracili posady w City, tego typu sprawy.

Kiedy jestem tutaj, na wakacjach, i siedzę na tym tarasie, praca i Londyn wydają się takie odległe! Nie jestem osobą, której łatwo przychodzi odprężenie. Wszystkie rzeczy, które powinny mi w tym pomagać – to wylegiwanie się na plaży, masaże, maseczki – na mnie nie działają zupełnie. Ale tu jest określony rozkład dnia. Są rzeczy do zrobienia i do zobaczenia, wszystko jest zaplanowane. A Luca pilnuje całości.

Mam nadzieję, że do wyjazdu całkiem się rozkręcę. Ale wtedy pojedę do domu i okaże się, że nic się nie zmieniło. To samo życie, te same stare troski.

Więc napijmy się jeszcze wina i cieszymy się, póki możemy. Dobrze?

Dzień drugi

(1) Z miłości do czekolady

Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślała Tricia po przebudzeniu, była jej prostownica do włosów. Porządna prostownica. Ta, którą pożyczyła jej Valerie, nie nadawała się do niczego. No, prawie do niczego. Tricia doskonale rozumiała, że innym ludziom może się to wydawać czymś trywialnym, ale rozpoczynanie dnia z przyzwoicie wyglądającymi włosami dla niej samej było istotne. Matka wbiła jej do głowy, jak ważna jest dbałość o wygląd. Jako dziecko Tricia zakładała, że wszystkie kobiety mają jaskrawoczerwone paznokcie u nóg, więc przeżyła szok, kiedy zobaczyła gołe stopy innej mamy i przekonała się, że tak nie jest. Choć matka Tricii lakierowała je nadal, wierząc, że do każdego dnia należy się odpowiednio przygotować i przywitać go z właściwą prezencją. Tricia wiedziała nawet, że matka kładzie się do łóżka z rękami utuszowanymi wodoodpornym tuszem, mimo że sypia sama od wielu lat. Od śmierci taty.

Okropnie to denerwujące. Tricia dokładnie pamiętała, gdzie położyła tę prostownicę – na komodzie, starannie owiniętą sznurem i przygotowaną do zapakowania do walizki. Jedno z dzieci musiało wtedy o coś zapytać i odwróciło jej uwagę, stwierdziła. Zara była ostatnio bardzo przylepna, a Charlie nieustannie zadawał pytania. Oboje byli w pokoju, kiedy się pakowała, chociaż włączyła im na dole Disney Channel, a Zarze dała do zabawy swojego iPhone'a.

Teraz pozostało jej jedynie umyć włosy i wysuszyć je na szczotce, ale ponieważ były gęste, a suszarka podróżna, mogło to potrwać wieki. Tricia wątpiła, czy któryś ze sklepów w Favio może sprzedawać porządne prostownice. Zdaje się, że to taka zapadła dziura... Chociaż Orsolina jest zrobiona co do najmniejszego szczegółu, więc może sprawa niezupełnie stracona?

Tricia odkryła, że myśli o Orsolinie z zawiścią. I nie tyle chodziło o urodę tamtej, ile o beztrudne życie, jakie – można sobie wyobrazić – prowadziła. Przyjemny i niezbyt obciążający rodzinny biznes, fantastyczny chłopak. Żadnych dzieci. Mimo że Tricia kochała zarówno Zarę, jak i Charliego, a nawet i Paula po tych piętnastu latach małżeństwa, czasem budziła się, z lękiem wyglądając każdej sekundy nadchodzącego dnia.

Tego ranka jednak otworzyła oczy i przekonała się, że jest na Sycylii, gdzie nie ma nic do roboty poza miłym spędzaniem czasu. Sięgnąwszy do nocnego stolika, założyła okulary (miała bardzo krótki wzrok) i znalazła plan zajęć wręczony im przez Lucę po przyjeździe. Z przyjemnością spostrzegła, że ma przed sobą dzień wypełniony zwiedzaniem, spacerami i degustacją.

Paul miał świetny pomysł, rezerwując dla niej te wakacje. Choć Tricia podejrzewała, że mąż liczył, iż zainspirują ją do częstszego korzystania z kosztownej kuchni firmy Bulthaup, którą zainstalowali podczas remontu domu.

Może po powrocie mogłabym zrobić dla rodziny makaron? – pomyślała. Przecież Luca wręczył każdej z nich na własność deseczkę do *cavatelli*. ... Nie, bardziej prawdopodobne jest, że mały, oprószony mąką przyrząd zostanie wciśnięty do jakiejś szuflady i zapomniany, podczas gdy Tricia nadal będzie zamawiać jedzenie na wynos z lokalu kawalek dalej ulicą i przeglądać przy posiłku streszczenia spraw.

Tricia przeciągnęła się, ziewnęła i zabrała do porannych rutynowych czynności. Szybki prysznic, kremy i balsamy, nakładane szybkimi ruchami, soczewki kontaktowe, ramiona obolałe

od unoszenia przy suszeniu włosów. Potem jeszcze szybkie przeciągnięcie kiepską prostownicą (naprawdę nie nadawała się do niczego!). Kiedy skończyła, Tricia marzyła o kawie.

Pozostałe panie zastała na dole, przy śniadaniu. Siedziały na zewnątrz, na tarasie. Wśród nich lepiej wyglądająca Valerie.

– Dzień dobry. Jak się dzisiaj wszystkie macie? – zapytała.

– Bardzo dobrze... Świetnie... Znakomicie... – odpowiedziały chórem.

– Musiałaś wrócić późnym wieczorem, Val. Było po północy, kiedy się kładłam, a ciebie wciąż nie było...

Na policzkach starszej pani pojawił się ledwie zauważalny rumieniec.

– Tak w sumie... Przenocowałam w domu ojca Orsoliny. Nie chciał słyszeć o puszczaniu mnie z powrotem. Przyniósł mi kolację do łóżka. I w ogóle strasznie wokół mnie skakał.

– A gdzie była matka?

– Vincenzo jest wdowcem – wyjaśniła Valerie. Rumieniec nabrał intensywności.

– Ach tak?

– To faktycznie bardzo miły pan. I nie musicie na mnie tak patrzeć, wszystko było absolutnie niewinne. Źle się czułam, jak zapewne pamiętacie.

– Jasne – uśmiechnęła się Tricia, częstując się kawałkiem melona. Sprawdziła, czy w makinetce zostało jeszcze trochę kawy.

– Tak czy inaczej, poznacie go później. Będzie nas dzisiaj oprowadzał po *dolceria* – oznajmiła Valerie. – Wczoraj wieczorem dał mi spróbować trochę swojej czekolady.

– Elegancka amerykańska turystka spotyka owdowiałego włoskiego producenta czekolady... – zaczęła znaczącym tonem Tricia.

Valerie zaczerwieniła się na dobre.

– Och, przestań! Jesteś okropna.

Moll też się śmiała.

– Jeśli nie będziesz chciała, może się nim zainteresować ktoś inny – powiedziała śpiewnie tym swoim akcentem ze wschodniego Londynu. – Mężczyzna z własną fabryczką czekolady... Jak on właściwie wygląda? I ile ma lat?

– Jest bardzo miły – powtórzyła Valerie, nie dając się pociągnąć za język. – To uprzejmy człowiek.

Tricia pokroiła melona na małe kawałeczki.

– Mnie z tego wyłączcie. Rola macochy Orsoliny mnie nie interesuje – stwierdziła.

– Nawet mimo czekolady? – zapytała Poppy, sięgając po kolejne ciastko.

– Ta czekolada musiałaby być naprawdę niezwykła.

Valerie pozwoliła sobie na uśmiech.

– No cóż... Moim zdaniem jest raczej niezła – przyznała.

Luca wyłonił się z kuchni z kolejną maszynką do kawy w ręku.

– A więc dzisiejszego ranka udajemy się do fabryczki czekolady – powiedział pogodnie, napełniając kursantkom filiżanki. – Chociaż to właściwie manufaktura, bo używa się tam wyłącznie tradycyjnych technik, nie zaś maszyn. Poznacie Vincenza Mazzarę, prawnuka założyciela *dolceria*. Vincenzo jest przekonany, że dzisiejsze czekolady nie przypominają oryginalnych i że obowiązkiem jego rodziny jest przechować pamięć o tradycji. Podchodzi do tego z wielką pasją. Jest niemal jak poeta.

– Nietuzinkowy człowiek... – stwierdziła Tricia, rzucając Valerie z ukosa żartobliwe spojrzenie.

– Nietuzinkowy, owszem – zgodził się Luca. – Wzór dla wielu tutaj, w Favio. Zwykle

nie wychodzi do grup turystów zwiedzających *dolceria*, ale mnie łączy z nim szczególnie związek. I jego przemyślenia na temat czekolady są fascynujące. On wierzy, że jest niezbędna dla zachowania siły i wigoru i że codzienne jej spożywanie jest sprawą podstawowej wagi.

– Nawiasem mówiąc, co jest tak cudownego w tej jego czekoladzie? – zainteresowała się Tricia, która zwykle unikała słodczy.

– Sama się przekonasz – obiecał Luca.

Antica Dolceria Mazzara mieściła się przy wąskiej uliczce, na którą Tricia nie zwróciła uwagi, choć prawdopodobnie przechodziła nią kilkakrotnie. Stare zabudowania zarośnięte były dzikim winem. Przy głównej ulicy nie postawiono żadnego szyldu, który kierowałby w tę stronę.

– Vincenzo uważa, że jeśli ludzie mają znaleźć jego *dolceria*, odnajdą ją tak czy siak – wyjaśnił Luca.

Drzwi otworzyły się przy akompaniamencie dźwięku staroświeckiego dzwonka. Za nimi ukazało się niewielkie pomieszczenie. Powietrze pachniało ciepłym cukrem, na ścianach wisiały drewniane półki pełne zabytkowych przyrządów do wyrobu czekolady, oprawione listy i zdjęcia plantacji kakaowca. Za przeszklonym kontuarem widniały kolejne półki, te z kolei z tabliczkami czekolady w pastelowych papierkach i pudełkami przewiązаныmi wstążkami.

Powitała ich Orsolina, w wykrochmalonym białym fartuchu, z ciemnymi włosami utkniętymi pod muślinowym czepkiem.

– *Buongiorno*. – Wyszła zza kontuaru i ucałowała wszystkich w policzki. – Witamy w naszej *dolceria*. Ojciec przyjdzie za parę minut, by podzielić się z wami historią naszej czekolady. Ale najpierw... Przygotowałam dla was niewielki poczęstunek. Przepraszam na chwileczkę.

Przeszła za wahadłowe drzwi, mieszczące się w ścianie za ladą, skąd powróciła z czterema filiżaneczkami do espresso, pełnymi parującej, gęstej czekolady.

– Och nie! Ja dziękuję – zastrzegła się Tricia.

– Ależ musisz! – Orsolina była uparta.

– Tak. Pożyj wreszcie trochę! – wtrąciła Moll.

Wydawało się, że łatwiej będzie ustąpić.

– No dobrze. Podajcie mi jedną – powiedziała Tricia, walcząc z głosem, żeby nie pokazać poziomu irytacji.

Napój okazał się kleisty i treściwy; kiedy próbowała go przełknąć, w ustach pozostawił warstewkę czekolady. Pod głęboką słodyczą Tricia wyczuła odrobinę cynamonu i wanilii, ale i coś jeszcze. Może alkoholową nutkę jakiegoś likieru? Dwa łyki wystarczyły jej w zupełności. Odstawiła naczynie na tacę, z nadzieją, że nikt nie zauważy.

– Mój ojciec dawał mi taką gorącą czekoladę do picia przed snem. Kiedy byłam mała – powiedziała Orsolina. – Mówił, że to osłodzi moje sny, a ja mu wierzyłam. Ten smak to dla mnie wciąż jedna z najbardziej podnoszących na duchu rzeczy, jakie znam.

Tricia wyłowiła z torebki chusteczkę higieniczną i wytarła wargi do czysta.

– Ale w tym jest alkohol, prawda? – zapytała. – Więc raczej trudno nazwać to napojem dla dzieci...

– Próbuja panie właśnie smaku historii – odpowiedział jej nowy głos.

Za wahadłowych drzwi wyszedł starszy siwowłosy mężczyzna o oliwkowej cerze. Mógłby się wydać dość nijaki, gdyby nie jego oczy – o przejrzystej, płowozłotej barwie, niczym u drapieżnego ptaka. Tricia uznała, że to musi być Vincenzo Mazzara.

– Czekolada, którą panie degustujecie, ma w sobie czystość i moc – ciągnął autorytarnie. – To czekolada, której tradycja sięga czasów prastarej cywilizacji Azteków. Jej

smak nigdy nie został wypaczony. Podawałem ją córce, kiedy była dzieckiem, a teraz mam zaszczyt serwować ją paniom.

W sklepiku zapadła cisza. Milczała nawet Moll.

– Witam w mojej *dolceria* – dodał gospodarz nieco cieplej, choć nadal bez uśmiechu. – Zapraszam do środka. Pokażemy paniom sposób wyrobu czekolady.

Zanim weszli do zakładu, każda kursantka Luki dostała biały fartuch i muślinowy czepek.

– Ze względów higienicznych – wyjaśniła Orsolina.

W normalnych warunkach Tricia znalazłaby zapewne jakąś wymówkę, aby nie zakładać czegoś tak absolutnie nietwarzowego, ale te dziwne żółte oczy Vincenza Mazzary... Nie chciały się od niej oderwać.

– Tak, oczywiście – mruknęła jak pozostałe.

Pomieszczenie za wahadłowymi drzwiami okazało się niewielkie. Przypominało raczej zwykłą domową kuchnię – z jasnoszarym marmurowym blatem roboczym, biegnącym przez całą jej długość, i dużym mikserem w kącie.

Vincenzo czekał w milczeniu, aż wszystkie skupiły na nim uwagę. Dopiero wtedy rozpoczął.

– W obecnych czasach ludzie uważają czekoladę za smakołyk, za coś jedzonego dla przyjemności – oświadczył tonem, w którym pobrzmiwał żal. – Ale mieliśmy w Favio czas, gdy widok objeżdżającego miasteczko *ciucculattaru* z młynkiem na wózku był widokiem powszednim. *Ciucculattaru* na zamówienie przygotowywał czekoladę, rozpuszczając ją i mieszając na rozgrzanym kamieniu, zaś klienci kupowali ją jako rodzaj pożywnego pokarmu, dodającego energii. Obecnie naszą robimy niemal dokładnie tak samo. To prosta i czysta receptura. Wyłącznie cukier, nasiona kakaowca i przyprawy.

Tricia nie mogła pozbyć się wrażenia, że wprawdzie Vincenzo zwraca się do wszystkich, ale patrzy wyłącznie na nią. Przeniosła spojrzenie na posadzkę. Podniosła wzrok, ale wilcze żółte oczy nie przestały jej przyspilać.

– Oto, w jaki sposób powstaje – ciągnął gospodarz powolną, miarową angielszczyzną. – Najpierw praży się nasiona, później miele się je z cukrem, a jeszcze później mieszanka jest podgrzewana w niewysokiej temperaturze, żeby nie rozpuściły się kryształki cukru.

Orsolina podsunęła ojcu rondelek, z którego wylał gęstą, grudkowatą masę wprost na blat roboczy.

– Teraz zaprezentuję paniom, jak sprawić, aby czekolada stała się gładka i puszysta – oznajmił.

Za pomocą dwóch ostrzy nabrał porcję masy i przeniósł do niewielkiego metalowego naczynia, które ustawił na głębokiej drewnianej tacy.

– Proszę bardzo, oto *battatura* – oświadczył i zaczął uderzać tacą o stół. Walił rytmicznie przez co najmniej minutę. Metalowe naczynie brzęczało głośno.

Zanim skończył, czekolada nabrała lśniącego, gładkiego połysku.

– Widzicie? Wszystkie banieczki powietrza znikły. – Podsunął im naczynie pod nos.

– Czy w taki sposób wyrabia się każdą pojedynczą tabliczkę? – zapytała Tricia z niedowierzaniem.

– Tak, oczywiście.

– Wydaje się, że to niesłychanie pracochłonne. Nie można by tego potrzęsania załatwić za pomocą jakiejś maszyny? – zastanowiła się na głos.

Vincenzo rzucił jej mroczne spojrzenie.

– Rodzina Mazzara to najstarsi producenci czekolady na Sycylii. To nasza tradycja.

- Tradycja to nie wszystko – nie ustępowała Tricia.
- My wierzymy, że tak. Być może po degustacji zmieni pani zdanie.

W pomieszczeniu sklepowym Orsolina ustawiła kilka płytkich białych naczynek, napełnionych połamanymi kawałkami czekolady. Do spróbowania.

– Zaczynicie, panie, od tej najpopularniejszej, siedemdziesięcioprocentowej – poinstruował Vincenzo. – Smakując ją, spróbujcie zaobserwować jej zapach i smak. Ale przede wszystkim zwróćcie uwagę na konsystencję.

Molly ugryzła kawałeczek.

– Ona ma w sobie jakieś drobinki... Nie jest jednolita – stwierdziła zdziwiona.

– Ja bym to opisał jako chrupkość – wyjaśnił Vincenzo. – Bierze się z nieroztopionych drobinek cukru, których opór czuje się w zębach. Właśnie to sprawia, że nasza czekolada jest tak niepowtarzalna.

– Jest w niej głębia smaku, nieprawdaż? – zauważyła Moll entuzjastycznie. – Najpierw czuje się słodczy, a potem gorzyc czystego kakao.

Tricia wzięła z naczynia kawałek.

– Czy istnieje jakiś właściwy sposób próbowania czekolady? – zastanowiła się na głos. – Czy mam pozwolić jej rozpuścić się w ustach, czy ją rozgryzać?

– Dobre pytanie. – Oczy Vincenza znów się zwróciły ku niej. – Najpierw proszę się wgryźć, żeby zmiażdżyć cukrowe okruchy. Stopi je naturalne ciepło w ustach, tworząc tym samym przyływ smaków: dymnego, pikantnego, gorzkiego i ziemistego. Nie licząc podstawowej słodczy.

Tricia spróbowała tak zrobić. Widziała, że Vincenzo czeka na jej reakcję.

– Jeszcze nigdy nie próbowałam czegoś podobnego – przyznała, kiedy osobiwa chropawa masa zmiękła i popłynęła pod jej językiem. – Więc tak właśnie powinna smakować prawdziwa czekolada?

– Właśnie tak. Te fabrycznie produkowane tabliczki, które kupują ludzie, nie powinny nosić wspólnej z nią nazwy. To wyłącznie tanie słodczy. A teraz pora na spróbowanie niektórych smaków: cynamon i wanilia, *pepperoncino*, sól, pomarańcza, biały pieprz. Używamy wyłącznie najczystszych składników. Nasza czekolada jest jak dobre wino, nie wolno jej niczym rozcieńczać. Żadnego mleka ani tłuszczów roślinnych, żadnego aromatyzowania sztuczną wanilią czy esencją pomarańczową. Wszystko, co w niej wyczujecie, jest darem natury.

– Dlaczego nie możemy kupić takiej czekolady w Anglii? – zastanowiła się Moll. – Nigdy nigdzie jej nie widziałam.

– Dostarczamy ją do kilku sklepów – powiedziała Orsolina. – Ale wytwarzamy tak niewielkie ilości, że trudno ją znaleźć.

– Dlaczego zatem nie zacząć produkować więcej? – zasugerowała Moll. – Moglibyście rozwinąć zakład, zatrudnić więcej pracowników, kupić wyposażenie i eksportować czekoladę do krajów na całym świecie. Jestem pewna, że zdobyłaby popularność.

Tricia myślała dokładnie tak samo. Spojrzała na Vincenza, czekając na jego odpowiedź.

Milczał przez długą chwilę. A potem nachmurzył się, przeciągając dłonią po siwych włosach.

– Może i w pewien sposób stalibyśmy się bogatsi, gdybyśmy tak zrobili... – odparł. – Ale z punktu widzenia wszystkich liczących się spraw zbiednelibyśmy.

– Chce pan powiedzieć, że może stracić kontrolę nad jakością produktu, jeśli firma zbyt się rozrośnie? – zapytała Moll.

– Tak. Ale chodzi również o coś znacznie głębszego – odpowiedział Vincenzo. – Codziennie wdychamy zapach naszej czekolady, dotykamy jej i próbujemy jej smaku, jak całe

pokolenia naszej rodziny. Nasze życie jest słodkie i nie pragniemy go zmieniać.

Tricia nie mogła nie zastanowić się, jak to wszystko odbiera jego córka. Czy Orsolinie odpowiada taka rzemieślnicza egzystencja? Czy z miłości do czekolady gotowa jest spędzić całe życie, potrzęsając rondlami, nawet jeśli biznes opłaca się wystarczająco, by zaspokoić jej upodobanie do drogich markowych szpilek? Przyglądając się teraz dziewczynie i jej ślicznym rysom ocienionym paskudnym muślinowym czepkiem, Tricia w to zwątpiła.

Pozostałe panie chciały kupić czekoladę. Moll wypełniła pudełko tabliczkami wszelkich smaków, Poppy jeszcze zmagala się z decyzją, jaką wybrać dla siebie. Tricia również nabyła kilka tabliczek, ale wyłącznie z grzeczności. Nie widziała sensu w zabieraniu ich do domu. Paul czekolady nie tykał nigdy, a dzieciom, jak podejrzewała, bardziej odpowiadała zwykła Cadbury's.

– Czy nie powinniśmy się zbierać na naszą kolejną wycieczkę? – zapytała, zerkając na zegarek. – Chyba czekają na nas w winnicy.

Luca odsunął się od Orsoliny.

– W sumie masz rację. Przygotowali lunch, więc powinniśmy niebawem ruszać.

Mimo to Vincenzo się nie śpieszył. Bez najmniejszego szacunku dla ich planu zajęć uparł się, że czekoladę opakuje jak należy, starannie przewijając pudełka z zakupami białą rypsową wstążką. Na odchodnym wcisnął każdej z pań kilka dodatkowych próbek.

– Och, mojej nie ma sensu pakować – powiedziała do niego Moll. – Kupiłam ją dla siebie do zjedzenia, nie na prezent. Mam zamiar jeść po kilka kawałeczków dziennie, od dzisiaj... Dla zdrowia, naturalnie.

– *Brava!* – powiedział Vincenzo z aprobatą. – Można także używać jej do gotowania, Luca pokaże wam jak. Inna tradycja to jedzenie czekolady z chlebem. Albo rozpuszczanie jej na wolnym ogniu i picie przed snem.

Kiedy wychodziły, gospodarz każdej uściśnął dłoń. Tricia, ostatnia, przystanęła przy drzwiach. Przez kilka chwil żółte oczy Vincenza przyglądały się jej uważnie.

– Dziękuję za poświęcony nam czas – powiedziała grzecznie.

– *Prego, signora* – odparł. – Bardzo miło tu panią gościć. Zawsze.

Choć raz Lucę dopadł pośpiech. Mężczyzna zaproponował, że podrzuci pudełka z czekoladą do domu, a potem dołączy do pań u dołu schodów, gdzie zaparkował swojego dużego, białego volkswagena minivana.

– Do winnicy mamy dwadzieścia minut jazdy – wyjaśnił. – Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak zasiedzieliśmy się w *dolceria*. Zwykle Vincenzo dołącza do moich grup ledwie na parę chwil... Widocznie ucieszył go widok Valerie w o wiele lepszej formie.

Tricia odezwała się, dopiero gdy zaczął wbiegać po schodach i znalazł się poza zasięgiem głosu.

– A tak serio, Valerie, kiedy opowiadałaś o nim dziś rano, mówiłaś, jakby ten wytwórca czekolady był jakimś słodkim starowiną. Całkiem mnie zwiodłaś!

– Nie mów mi, że twoim zdaniem to też ciacho... – powiedziała Poppy.

– Nie. Jeśli już, wydał mi się raczej groźny – przyznała Tricia.

– Te oczy... – rozmarzyła się Poppy.

– No właśnie!

– Wczorajszego wieczoru był dla mnie szalenie miły – zaprotestowała Valerie. – Prawdziwy džentelmen. I wcale nie żaden groźny typ.

(2) Z miłości do wina

Tricia zajęła miejsce obok Luki z przodu minivana. Nasłuchiwała paplaniny pozostałych

kobiet za swoimi plecami i przyglądała się przez okno mijanemu krajobrazowi. Okolica poprzecinana była szachownicą kamiennych murków, które dzieliły gaje oliwne z zaoraną ziemią pomiędzy drzewami. Niektóre pastwiska lśniły zielenią, ale jeśli taka sucha pogoda ma się utrzymywać, wkrótce pozółkną i one. Takiego właśnie wyglądu pół latem, tak głęboko na południe, spodziewa się człowiek, westchnęła. Do Afryki w końcu nie jest stąd zbyt daleko. Ale nie powinny one mieć barwy oczu pewnego mężczyzny...

Vincenzo Mazzara zrobił na niej wrażenie, zarówno dobre, jak i złe. Tricia domyślała się, że jest młodszy od Valerie, choć niewiele. Miał na sobie zwyczajną białą tiszertkę, jego brzuch okrąglił się bez skrupowania ponad zawiązanym wokół bioder fartuchem, ale poza tym wydawał się w całkiem niezłej formie. „Groźny”. Tak go określiła. Chłód w jego spojrzeniu wzbudzał niechęć Tricii. Czowała się taksowana wzrokiem, oceniana. No nie, doprawdy! Co on sobie wyobraża?

– Nie bardzo smakowała ci nasza czekolada, prawda? – zagaił Luca, przerywając jej zamyślenie.

– Rzeczywiście. – Tricia roześmiała się lekko. – I całe to zamieszanie przy jej wyrobie. Nie widzę sensu w tym wszystkim.

– Sporo osób go nie dostrzega – przyznał Luca. – W Favio można również kupić tabliczki czekolady produkowanej maszynowo, w fabryce. Zobacysz je w sklepach wzdłuż głównej ulicy. Niektóre kosztują więcej, niż liczy sobie Vincenzo, chociaż składniki mają podrzędnej jakości. Turyści jednak, robiąc zakupy, nie mają o tym pojęcia.

– Na pewno Vincenza to irytuje...

– Oczywiście. Ale taki sam problem mają producenci *gelato*, sklepy z *arancini* czy winnice. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał koszty i ułatwić sobie sprawę, produkując wyroby gorsze. A potem będzie udawał, że to autentyk.

– Nic się na to nie da poradzić?

– Vincenzo chce spróbować. Ma pewien plan. Zaczynamy właśnie robić powolne, przemyślane kroki. Być może, jego zdaniem, zbyt powolne. Niecierpliwi go to, bo Vincenzo nie jest człowiekiem, który przejmuje się zanadto opinią innych, ale w całej sprawie trzeba zachować ostrożność.

– Czemu się nie poddać i nie produkować masowo, jak wszyscy inni? – zapytała Tricia.

– Człowiekiem, który łatwo się poddaje, też nie jest – odparł Luca, kierując minivana w stronę wysokiej żelaznej bramy, na długi i wąski podjazd, po obu stronach zarośnięty winoroślą.

Tricia w swoim czasie zwiedziła kilka winnic, a ta tutaj niewiele różniła się od pozostałych. Najpierw spacer po wyschniętej glebie, żeby obejrzeć rosnącą w słonecznym żarze winorośl, a potem zbawienny chłód wytwórni wina, gdzie będą się gapić na rzędy stalowych kadzi i dębowych beczek. Będzie mowa o fermentacji i leżakowaniu, o słodczy winnych gron, zawdzięczanej gorącemu, słonecznemu klimatowi, o zwalczaniu szkodników.

Próbowała udawać zainteresowanie, ale romantyczna strona winiarstwa zawsze jej umykała. Złapała się nawet na tym, że zaczyna kłąć w duchu, ile razy Moll zadaje kolejne pytanie albo przystaje, aby zrobić jeszcze więcej zdjęć. Jedyne sens odwiedzin winnicy, zdaniem Tricii, leży w próbowaniu samego wina. Ale na razie nie pojawiły się żadne kieliszki.

– To jedna z największych winnic w okolicy – powiedział do niej Luca. – Pod koniec waszego pobytu zajrzemy do mniejszej, prowadzonej zgodnie z biodynamicznymi zasadami. Sądzę, że tamta zaciekawi cię bardziej.

– Super – uśmiechnęła się Tricia, zastanawiając się, czy faktycznie aż tak widać po niej znużenie.

– Niedługo przejdziemy do degustacji win i zjemy lunch – ciągnął Luca. – Szefa kuchni mają tu świetnego, zdobywcę nagród, chociaż podobno ma swoje humory. Wyrzucił stąd paru krytyków kulinarnych i ludzi, którzy za bardzo narzekali. Do spraw kuchni podchodzi ogromnie poważnie. A większość używanych przez niego produktów rośnie na miejscu, w kuchennych ogrodach.

Tricia ożywiła się nieco. W domku na wsi również miała ogródek warzywny – rzędy podniesionych grządek, otoczone starymi podkładami kolejowymi – gdzie spędzała liczne godziny, doglądając upraw, ku sporej irytacji Paula. On nigdy nie umiał pojąć przyjemności płynącej z rzędu zielonego, zdrowo rosnącego szpinaku, ze zbierania strąków fasoli z bambusowej kratownicy czy z wykopywania młodych ziemniaków. Na wsi Tricia częściej też gotowała – proste posiłki, ale jej się zdawało, że kosztuje samego dobra. Uwielbiała tamten dom wśród pastwisk i lasów. Gdy tylko zjeżdżali z autostrady i pojawiały się pierwsze znaki drogowe wskazujące najbliższą wieś, Tricia odprężała się i relaksowała.

To Paul zapragnął go sprzedać. Posłużył się, jako wymówką, zaciskaniem pasa w obliczu trudnych ekonomicznie czasów. Ale ona wiedziała, że wiejskie weekendy go nudzą. Po prostu. W mieście można było pójść na wystawę. A w porze lunchu miało się do wyboru więcej niż jedną restaurację. Mnóstwo sklepów i przedstawień.

Sprzedano zatem kucyka Zary, a ich rzeczy popakowano i przywieziono do miasta. Dom trafił na rynek. Tricia, tak czy inaczej, dopilnowała wiosennych nasadzeń. Zajmując się rzędami sałaty i fasoli, myślała, że dla kogoś, kto ten dom nabędzie, zbiory będą przyjemnością.

– Czemu nie trzymasz doniczek z ziołami na dachowym tarasie u nas w domu? – podsunął Paul. – Rukola mogłaby tam chyba rosnąć?

Tricia wyobraziła sobie świeże listki pokryte niewidzialnymi miejskimi truciznami. Benzynowe spaliny z autobusów i taksówek, powietrze, którym oddychało zbyt wielu ludzi... Nie zwracała sobie głowy.

Rodzina, która kupiła wiejski dom, była z Londynu, jak oni. Później Tricia usłyszała od znajomych z wioski, że nowi zaglądają tam tylko z rzadka. Na pewno absorbowały ich inne rzeczy, wyjazdy na narty czy jacht. Od czasu do czasu Tricia fantazjowała, że odkupuje posiadłość, nic nie wspominając o tym Paulowi, i zagląda tam sama jedna. Warzywnym grządkom podsypuje świeżego kompostu, kupuje pojemniki z rozsądą...

– Ogrody też chętnie zobaczę – powiedziała do Luki.

– Zwykle tego nie robimy, ale jeśli zostanie czas, nie widzę przeszkód. Zapytam szefa kuchni.

Moll nadal zasypywała przewodnika pytaniami. Wyraziła nawet gorliwe zainteresowanie obejrzeniem procesu etykietowania, na co przewodnik pokiwał zgodnie głową. Tricia przystanęła na uboczu. Gdy tylko wszyscy znikli we wnętrzu wiaty do butelkowania, skorzystała z okazji i wymknęła się, obchodząc budynek wytwórni wzdłuż ściany.

Ogród warzywny zasadzono na łagodnej pochyłości, na tyle blisko kuchni, że dobiegały tutaj aromaty jedzenia. Był tyleż piękny, co praktyczny. Rośliny tłoczyły się wokół wiklinowych ram albo tradycyjnych drewnianych podpórek. Kwiaty rosły bezładnie, tworząc plamy przypadkowych barw pomiędzy kępami zieleni. Gładkie kamienie ułożono, tworząc z nich ścieżkę, więc Tricia ruszyła ich szlakiem przez ziołowe rabaty, zerwawszy kilka igieł rozmarynu. Roztarła je między palcami i wdychała żywiczną woń.

– *Signora*, czy mogę w czymś pomóc? – zaskoczył ją męski głos. – Zgubiła pani swoją grupę?

Mężczyzna miał na sobie czepek szefa kuchni (choć wyglądał absurdalnie młodo). W rękę niósł szeroki, płaskodenny kosz. Tricia założyła, że to praktykant, wysłany, by zebrał

warzywa na lunch.

- Wszystko w porządku, dziękuję – odparła.
- Podoba się pani ogród? – zapytał.
- Tak. Ten mi się podoba. Czy zajmuje się nim jakiś ogrodnik?

– Ja jestem ogrodnikiem – odparł po angielsku z silnym obcym akcentem, obdarzając Tricię uśmiechem. Pomyślała, że piękny z niego chłopak. – Inni też mi pomagają, oczywiście, ale to ja się tutaj zjawiam pierwszy z rana. Kopię, sadzę i pielę. A w nagrodę mogę później zbierać.

- A co zbiera pan dzisiaj?
- Groszek. Na zupełną potrzebę nam sporo.

Tricia ustawiła się obok niego i ruszyli wzdłuż rzędu roślin, zrywając strączki i napełniając kosz. Słońce mocno przypiekało im karki. Jemu najwyraźniej obecność kobiety nie przeszkadzała, bo nie skomentował tego w żaden sposób. Przechylał tylko kosz w stronę Tricii za każdym razem, kiedy zebrała kolejną garść strączków.

- Nigdy nie hodowałam zielonego groszku – powiedziała. – Jest trudny w uprawie?
- Czasami. Tutaj sezon jest krótki, ze względu na upał. To będzie ostatnia partia, ale i tak mieliśmy niezły zbiór. W zeszłym roku tak się nie udało.
- Niedobre wiadomości dla zup. Szef kuchni był zły? Słyszałam, że bywa humorzasty. Piękny chłopak się uśmiechnął.
- Myślę, że zrozumiał – odparł.

Reszta grupy wysłała na poszukiwanie Tricii Valerie, która właśnie wyłoniła się zza rogu i przystanęła, oceniając oczy dłonią. Tricia pomachała do niej z uśmiechem.

- Włamałam się do ogrodu! – zawołała.
- Ach, Luca się domyślił, że tu będziesz. – Valerie podeszła ścieżką z kamieni aż na brzeg rabaty z groszkiem. – Nie miałam pojęcia, że jesteś ogrodniczką.

Tricia wzruszyła ramionami.

– Tak w sumie to nie jestem... Znudziłam się tylko i ruszyłam się rozejrzeć. I co, Moll nadal uczy się na kupca winnego?

Valerie patrzyła skonsternowana.

- Słucham?
- Skończyliście już oglądać wytwórnię? – zapytała Tricia nieco mniej zgryźliwie.
- Och, tak. Pozostali są teraz w restauracji i próbują pierwszego wina. Luca pomyślał, że nie będziesz chciała tego przegapić.

Tricia obejrzała się na młodego kucharza. Kto wie, czy nie wołałaby tu z nim zostać. Wziąć do ręki szpadel czy motykę, usunąć nieco zwiędłych roślin, powdychać zapach czystej ziemi i zielonych pędów...

– Lunch zostanie podany lada chwila – dodała Valerie. – Jedzenie zostało dobrane do win. Lepiej się nie spóźnić.

– No tak, zapewne masz rację – zgodziła się Tricia i skinąwszy głową kucharzowi, poszła w ślad za Valerie do wytwórni.

Restauracja okazała się chłodna i nowoczesna, z oknami od podłogi do sufitu, prezentującymi widok na zewnątrz, i z przeszkloną posadzką, dzięki której goście mogli oglądać baryłki wina w pogrążonej w półmroku piwnicy poniżej. Pozostałe kursantki już siedziały przy stole, popijając wino z kieliszków. Tricia zajęła wolne miejsce, z którego doskonale było widać otwartą kuchnię, gdzie dwóch kucharzy, jeszcze młodszych niż ten,

którego spotkała w ogrodzie, krzątało się wśród patelni i ostrych noży.

- Jest jakieś menu? – zapytała, nie widząc żadnego na stole.
- Nie. To, co nam podadzą, zostawiliśmy w gestii szefa kuchni – powiedział Luca.
- Naprawdę? Ja wolałabym mieć wybór. Czy to byłby jakiś problem?

Luca skrzywił się z powątpiewaniem.

– Tutejszy szef kuchni to Sycylijczyk. Tak właśnie lubi prowadzić restaurację. Jeśli nie będzie ci smakowało, na pewno zaproponuje coś w zamian.

- A czy mogę przynajmniej zobaczyć menu?
- Nie jestem pewien, czy je mają. Ale już idzie szef. Zapytam.

Tricia ujrzała, jak do kuchni, z koszem pełnym groszku, wchodzi młody ogrodnik.

Postawił kosz na długiej ławce, skinął na jednego z kucharzy, żeby do niego podszedł, i razem zabrali się do luskania.

– To przecież nie może być szef? – Zdumiona, wskazała ręką. – Wygląda, jakby miał dwadzieścia lat.

– Są tu z niego bardzo dumni – roześmiał się Luca. – Santo to miejscowy chłopak, młody talent, ale nie aż tak młody, na jakiego wygląda. Pewnie go poznasz, bo kiedy w Locanda jest tak spokojnie jak dzisiaj, sam przynosi dania do stołu. Mam go zapytać o to menu?

Tricia pokręciła głową, zażenowana.

- Nie. Nie ma sprawy. Nie trzeba.
- To przynajmniej pozwól, że się dowiem, co dla nas zaplanował.

Tricia spoglądała na pięknego chłopaka, krzątającego się po kuchni ze zwierzęcym niemal wdziękiem. Szybkiego i uważnego, muskularnego i silnego.

- A mógłbyś go zapytać, czy poda nam zupę z zielonego groszku?
- Jasne.

Luca podniósł się z krzesła i zbliżył do otwartego łukowatego przejścia, prowadzącego w głąb kuchni.

Przywitał się z trzema kucharzami typowo po włosku – kilkoma szorstkimi uściśnięciami dłoni, klepaniem po plecach i mnóstwem śmiechu. Przez parę chwil rozmawiali z ożywieniem.

- Jacyż przystojni mężczyźni, nieprawdaż? – mruknęła Tricia.
- Miałam przystojniaka za męża – powiedziała Poppy. – To nie wszystko.
- Pewnie masz rację. – Tricia patrzyła na Lucę i młodego szefa kuchni. – Wiesz, kiedy pierwszy raz przyjechałam do Włoch, byłam zaraz po dwudziestce. A faceci nie dawali mi spokoju. Chodzili za mną, gwizdali, podszczypywali mnie w tyłek. Do szału mnie to doprowadzało. Tym razem nie dzieje się nic podobnego... Chyba się zestarzałam.
- Może to oni zdążyli się po prostu nauczyć lepszych manier? – podsunęła Poppy.
- Dobrze, zadowolę się taką interpretacją – roześmiała się Tricia. – Nie jestem gotowa, żeby się zestarzeć. To jeszcze może poczekać.

Luca usłyszał ten śmiech i obejrzał się w jej stronę. Również się uśmiechnął i uniósł kciuk.

- Zupa z groszku. – Poruszył niemo ustami.

Zgodnie z przewidywaniami Luki jedzenie przyniósł im Santo. Postawił dania na stole z milczącym uszanowaniem. Najpierw pojawiła się, serwowana w delikatnych białych miseczkach, zupa. Zjadliwie zielona, z kleksem mascarpone.

- *Buon appetito* – powiedział szef kuchni. – Mam nadzieję, że będzie smakowało.

Tricia spróbowała łyżkę. Zapachniało ogrodem. Zupa była słodka, orzechowa, o kremowej konsystencji, a jednocześnie aż śmiesznie lekka. Wypełniała smakiem całe usta.

– Dobry Boże, ależ to pyszne!
– To wiosenna zupa – powiedział Santo. – Mam dość groszku jeszcze na jeden raz...
Może na dwa. Macie panie szczęście, że nie przyjechałyście później.

– Miałby pan coś przeciwko podzieleniu się przepisem? – zapytała Moll. – Bardzo chciałabym ugotować coś takiego w domu.

– Ależ oczywiście, podzielę się. Ale zupa, którą pani zrobi, nie będzie smakowała jak moja – stwierdził bez cienia arogancji. – Bo w mojej kuchni groszek trafia do garnka już parę chwil po zebraniu i wyłuskaniu. Zioła i pory pochodzą z ogrodu, mascarpone od miejscowego producenta. Jest bardzo świeże. Bez takich składników zupa się nie uda.

Moll, jak zwykle, nie traciła ducha.

– Mimo to chciałabym spróbować.

Lunch przeciągnął się na pół popołudnia; danie za daniem, każde podane z kieliszkiem odpowiedniego wina. Zjedzono smażone placuszki z bobu i dzikiego kopru, świeży makaron przybrany słonymi oliwkami i pokruszonymi pistacjami, mięsistą białą rybę w słodko-kwaśnym sosie. Przy każdej potrawie Tricia sądziła, że dotarła do granicy przejedzenia, ale ku jej zdziwieniu każda na nowo pobudzała apetyt.

Na sam koniec podano mocną kawę, słodkie wino i konfitury ze skórki cytryn i pomarańczy, które według Luki zostały uduszone w miodzie i znakomicie robiły na trawienie.

– Prędzej bym pomogła trawieniu, gdybym przestała jeść – stwierdziła cierpko Tricia, poklepując się po płaskim brzuchu.

– Ależ każda porcja była bardzo niewielka, a smaki szalenie lekkie. To zdrowe jedzenie – uspokajał Luca.

– W domu na lunch zjadam przy biurku raptem pojemnik sushi albo sałatkę z Pret A Manger.

– Brzmi paskudnie. Chybabym się zabił. – Luca uśmiechnął się szeroko. – Proszę, spróbuj trochę *aranciata e cedrata*. Ma słodko-kwaśny smak, który my, Sycylijczycy, uwielbiamy. Chyba będzie ci odpowiadał bardziej niż czekolada Vincenza Mazzary.

Trudno się było dziwić, że w drodze powrotnej do Favio Tricia zasnęła w samochodzie. Obudziwszy się, poczuła w kąciку ust maleńką drobinę wilgoci, przerażona, że się zaśliniła przez sen. Na szczęście Luca nie odrywał wzroku od drogi.

– Dojeżdżamy? – zapytała.

– Tak. Drzemałaś zaledwie kilka minut.

Ziewnęła.

– Całe to wino... Pyszne było, ale trochę za dużo. Bardzo dobrze, że go nie tknąłeś.

– Przecież prowadzę – rzucił lekko.

– Na kieliszek czy dwa mógłbyś sobie chyba pozwolić, prawda?

– Być może. Ale wolę nie.

Tricia próbowała przypomnieć sobie, czy widziała go sięgającego po alkohol.

– Wczoraj przy lunchu też nie piłeś. Ani kiedy poszliśmy na obiad. W ogóle nie pijesz w pracy?

– Można to tak ująć.

Kiedy skręcili w główną ulicę, ożywiły się pozostałe kursantki. Szukały torebek i zbierały z siedzeń zapakowane jak na prezent wina prosto z winnicy.

– Wszyscy do końca dnia mamy wolne – oznajmił Luca. – Poppy, mam jeszcze trochę czasu i mogę ci pokazać, jak przygotować kapary, które zebrałaś wczoraj. Jeśli któraś z was ma ochotę się przyłączyć, zapraszam.

– Bardzo bym chciała, ale naprawdę muszę zrobić nowy wpis na moim kulinarnym blogu – wymówiła się Moll. – Och, nie wspominałam wam? To nic takiego. Prowadzę go dla rozrywki.

– Ja też chyba trochę odpocznę. – Valerie wydawała się mocno znużona.

Tricia poczuła, że i ona ma ochotę na odrobinę samotności. Postanowiła porozglądać się po sklepach, zobaczyć, co piszczy w miejscowej modzie, i sprawdzić, czy nie uda jej się znaleźć jakiejś porządnej prostytutnicy. Choć na to ostatnie nadziei raczej nie miała. Luca pokazał jej, w którą pójść stronę, więc ruszyła przed siebie, po drodze zerkając na wystawy.

Niebawem przekonała się, że praktycznie co trzeci sklep sprzedaje czekoladę. Tabliczki piętrzyły się w witrynach, niektóre owinięte w pastelowe papierki, zupełnie jak te w Dolceria Mazzara. Tricię kusiło, by spróbować, jak smakują.

Złapała się na tym, że weszła do sklepu, niemal oglądając się przez ramię. Śmieszne! I co z tego, że Vincenzo Mazzara mógłby ją zobaczyć? Ona ma prawo kupować wszystko, na co jej przyjdzie ochota.

Sklep okazał się co najmniej dwukrotnie większy niż ten w *dolceria*. Człowiek za kontuarem był mały i krzepki. Oczy miał zupełnie zwyczajne.

– Tylko jedną tabliczkę, *signora*? – zapytał z żalem. – Jest pani pewna? Lepszej czekolady nie znajdzie pani w calutkim Favio.

– Naprawdę? A mnie mówiono, że najlepsza pochodzi z tej małej wytwórni za rogiem. Mężczyzna nachmurzył się, mrużąc pod nosem coś po włosku.

– Proszę?

– Mówiłem, że to najstarszy sklep z czekoladą, *signora*. Co nie oznacza, że najlepszy. Koniec końców, to kwestia opinii. Sama pani zdecyduje, którą woli.

Tricia zapłaciła za tabliczkę, wcisnęła ją na dno torby i wyszła ze sklepu. Ani przez moment nie ludziła się, że wyczuje smakiem różnicę pomiędzy świeżym nabytkiem a produktami Vincenza Mazzary. Czekolada to czekolada, czyż nie? Śmieszne, żeby się nakrecać z powodu takiego drobiazgu!

Idąc zacienioną stroną ulicy, Tricia mijala kolejne sklepy sprzedające miejscowe przysmaki – *torrone*, czekoladę, *gelato* (naturalnie!), paczki suchego makaronu, sery i słoiki z przetworami z czerwonej papryki, tace pełne biszkoptów i *cannoli*. Wydawało się, że Sycylijczycy mają obsesję na punkcie jedzenia. Wszyscy, których Tricia dotąd miała okazję tu poznać, rzadko mówili o czymś innym. A przecież to tylko jedzenie! Smaczna przekąska, paliwo, które ma człowiekowi zapewnić siłę. Przygotowywanie go dla wielu znanych Tricii osób (nie wyłączając przez większość czasu jej samej) stanowiło uciążliwy obowiązek.

Pomiędzy natłokiem spożywczych delikatesów znalazło się jednak kilka miejsc oferujących drogie obuwie i markowe ubrania. Ba, była nawet księgarnia i krawiec, kwiaciarnia i sklep z biżuterią. W Favio można było kupić więcej, niż Tricia się spodziewała, ale nie znalazła tej jedynej rzeczy, której akurat potrzebowała. Szła więc dalej, aż sklepy się skończyły, a ona dotarła do rzędu nowoczesnych apartamentowców. Zawróciła, żeby przejść się przeciwną stroną ulicy, i zdecydowała się wstąpić na coś do picia do mijanej wcześniej kawiarenki.

Miała nadzieję, że natknie się tam na jedną z koleżanek, ale w środku siedziało tylko dwóch starszych panów, grających w szachy, których zauważyła, idąc w przeciwną stronę. Na ich stoliku piętrzyły się kieliszki, filiżanki i popielniczki. Mężczyźni zdawali się szykować do naprawdę długiej partii.

Tricia zajęła stolik jak najdalej od dymu z ich papierosów i zamachała ręką, aby zwrócić uwagę kelnera. Zamówienie złożyła zwięźle i po angielsku. Kawa, osobno dzbanuszek

odtłuszczonego mleka, piwo Peroni. Za koszyczki chipsów i drobnych przekąsek z góry podziękowała, ale poprosiła o cząstkę cytryny w szyjce butelki. „Jeśli można”.

Zanim zamówienie zrealizował kelner, poruszający się równie nieśpiesznie (czy równie boleśnie ślamazarny), co reszta mieszkańców Favio, minęły wieki. Wprawdzie Tricia akceptowała fakt, że miejscowy tryb życia sprzyja relaksowi, ale trudno jej było do tego przywyknąć. W domu oczekiwała, że zamówienie pojawi się przed nią w ciągu najbliższych minut, a gdy kończyła jeść – że brudna zastawa zostanie sprzątnięta błyskawicznie. Miała niską tolerancję dla powolności zarówno przemawiających z namaszczeniem sędziów, jak i dla klientów, którzy opornie chwyтали to, co im mówiono. Każdego, kto się ślimaczył. Wszystko to doprowadzało ją do szału. Niecierpliwość była skazą na jej charakterze, więc Tricia próbowała nad nią zapanować. Omówiła tę kwestię ze swoim terapeutą i nawet zapłaciła za kilka spotkań z hipnotyzerem, którego gabinet był nadmiernie przegrzany, a głos tak spokojny i miarowy, że nie zdołał nim zablokować natłoku myśli przepływających przez mózg klientki.

Na tacy wreszcie pojawiły się napoje, w otoczeniu wszystkich tych rzeczy, których Tricia nie zamawiała: cukiernicy, miseczki z krakersami na słono, kolejnej ze słodkimi ciasteczkami. Żeby czegoś nie powiedzieć, aż przygryzła wargę. Paul nie cierpiał, kiedy narzekała, twierdził, że psuje tym każdą okazję. Tricia, która wiedziała, że mąż ma trochę racji, próbowała walczyć z tym odruchem. Przynajmniej tutaj, podczas wakacji, mogłaby zaakceptować sposób, w jaki toczą się sprawy. Bo w domu, przy pracy do wykonania i rodzinie do ogarnięcia, wobec zbyt małej liczby godzin w ciągu każdej doby, okazywało się to nierealne.

Tricia sądziła, że dynamicznym młodym ludziom, jak choćby Luca i Santo, musi doskwierać takie rozwlekłe życie. Ba, nawet Vincenzo Mazzara aż kipiał energią podczas potrząsania tą jego czekoladą, by nadać jej gładkość! To są mężczyźni o wysokich wymaganiach. Jakżeż oni znoszą tę powolność i niekompetencję otoczenia?

Obserwowała starszych panów nad szachownicą – zastanawiających się nad każdym ruchem przez długie minuty, sięgających po szachową figurę, aby jednak zmienić zdanie i zastygnąć w bezruchu jeszcze na chwilę. No tak, oni zapewne nie mają nic innego do roboty. I problem ze znalezieniem sposobów, by jakoś wypełnić czas.

Tricia spróbowała zwolnić tempo, dostroić się do otoczenia. Piwo sączyła tak wolno, że zanim je skończyła, zrobiło się letnie. Nawet wolniej oddychała. Pomyślała, że być może nadejdzie dzień, w którym i w jej życiu skończy się wieczna gonitwa. Kiedy dzieci wyjdą już z domu, kiedy ona i Paul przejdą na emeryturę i może staną się jak ci starszkwowie, marnujący czas na pozbawioną celu grę w miarę jak upalne popołudnie przechodzi w wieczór... Ale to chwila odległa o całe lata. Aż do jej osiągnięcia każdy dzień będzie składał się z tak wielu rzeczy, które należy wykonać...

Nawet kiedy spędzali jeszcze weekendy w domu na wsi, Tricia nie lubiła trwonić wolnych godzin. Ten czas przydawał się na robienie różnych rzeczy z dziećmi albo nadganiecie lektury książek, o których mówili wszyscy. Nie mogła sobie pozwolić na spędzanie go na niczym.

Właśnie dlatego, gdy klienci spóźniali się na umówione spotkanie albo kelnerom nie chciało się sprzątnąć stolika i zapytać, czy zechciałaby zamówić coś jeszcze, Tricię ogarniała niecierpliwość. Uznawała takich ludzi za złodziei swego czasu. Okradali ją, być może, zaledwie z sekund czy minut, te jednak dodawały się do siebie i koniec końców nabierały wartości.

Próbowała powstrzymać się od bębnienia palcami o stół, gdy dostrzegła znajomą postać. Przechodziła pomiędzy pniami daktylowców i kierowała się w stronę Tricii.

– *Buona sera!* – zawołała Orsolina.

Znów prezentowała się bardzo szykownie. Włosy opadały jej na plecy lśniąca falą. Przebrała się w krótką portfelową sukienkę w wiśniowym kolorze i dobrane odcieniem buty na wysokim obcasie.

– Mogę się przyłączyć? – zapytała.

– Ależ proszę! Chociaż życzę powodzenia, jeśli w tym miejscu spróbujesz zamówić coś do picia.

Siadając, Orsolina gwizdnęła na kelnera i uniosła w górę dwa palce.

– Oni mnie tu znają. – Zapaliła papierosa, nie pytając, czy Tricii to nie przeszkadza. – Codziennie wieczorem po pracy zaglądam do tego baru na drinka. Albo do tego drugiego, po schodach za katedrą.

– Sama?

– Czasem z ojcem. W inne wieczory towarzyszy mi Luca. Ale owszem, bardzo często sama. To taka krótka chwila przerwy pomiędzy *dolceria* a domem, okazja, żeby pobyć z ludźmi. Sąsiedzi mijają mnie, ja mówię im „dobry wieczór”. Dzielimy się nowinami, czasem trochę plotkujemy.

– Brzmi przyjemnie – powiedziała Tricia.

– Tak, rzeczywiście.

Kelner przyniósł dwie wysokie szklanki napełnione przejrzystym pomarańczowym płynem i lodem oraz dwie małe miseczki orzeszków i chipsów.

– To teraz mój ulubiony koktajl. Aperol Spritz – wyjaśniła Orsolina. – Zamówiłam i dla ciebie. Dobrze robi na trawienie.

– Gdyby wszystko tak dobrze działało na trawienie, jak twierdzą tutejsi ludzie, na pewno nie czułabym się tak ciągle wzdęta – roześmiała się Tricia.

– Na Sycylii łatwo przesadzić z jedzeniem – zgodziła się Orsolina. – Na pewno dzisiaj w winnicy zjedlicie dobry lunch? Moim zdaniem dla kuchni Santa warto trochę pocierpieć.

Tricia spróbowała drinka. Był chłodny i smakował niemal jak lekarstwo. Z tą kwaśną nutą cytrusów i przyjemnymi bąbelkami prosecco.

– Szalenie mi się podoba twoja sukienka – powiedziała do Orsoliny. – Gdzie robisz zakupy? Chyba nie w tym miasteczku?

– Staram się co sezon jeździć do Rzymu. I tak mamy tam rodzinę. A jeśli nie, mam dobre sklepy na Ortygii. Luca zabierze was tam za jakiś dzień czy dwa, jak sądzę. Szukasz czegoś szczególnego?

– Och, tylko prostownicy do włosów. Swoją zostawiłam w domu, a naprawdę ciężko mi się bez niej obejść.

– Rozumiem. W takie rzeczy Luca raczej waszych pokoiów nie wyposażył... A może na czas pobytu pożyczysz sobie moją? Jest całkiem niezła. Bardzo wysoka temperatura i nie rozdwiają włosów.

Oto język, jaki Tricia rozumie!

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. Latem i tak pozwalam włosom się kręcić. Po drodze do domu Luki możesz zajrzeć do nas i ją sobie wziąć.

– Byłoby cudownie! Oszczędzisz mi co najmniej pół godziny dziennie.

– A potem deszcz popada i włosy znów zaczną się wić... Wiem, wiem – uśmiechnęła się Orsolina. – Ale powiedz mi, jak ci smakuje spritz?

Tricia upiła kolejny łyk.

– To jednak chyba gust nabyty... – przyznała.

– A nasza czekolada?

– Też, szczerze mówiąc. Przepraszam.
– Nie ma za co przeproszać. Każdy lubi co innego.
– Doceniam wysiłek, jaki wkładacie w jej wytwarzanie, tylko moje podniebienie nie potrafi go docenić. – Tricia sięgnęła do torebki i wyjęła tabliczkę, którą właśnie kupiła. – Luca opowiadał mi o sklepach sprzedających czekoladę gorszej jakości, więc nabyłam dla porównania. Czy to podróbka?

Orsolina zmarszczyła nos.

– Ta jeszcze wcale nie jest najgorsza. Robiona fabrycznie, maszynowo, ale przynajmniej składniki ma porządne. Możliwe, że nie wyczujecie różnicy.

– A ty byś wyczuła?

– Konsystencja byłaby inna, aromat, wrażenie w ustach. Ojciec mówi, że w tej nie ma ani odrobiny magii.

– Bardzo entuzjastycznie opowiada o waszej czekoladzie...

– Oczywiście. – Orsolina wzruszyła ramionami. – To w końcu jego życie.

– A twoje? Nie nudzisz się tutaj?

Orsolina zaczęła obracać na nadgarstku złote kółko bransoletki.

– Dlaczego miałabym się nudzić?

– To małe miasteczko. Powolne, nudne.

– Jeśli wydaje ci się, że Favio jest nudne, zupełnie go nie znasz. – Orsolina nachyliła się do przodu. Oparła łokcie na stoliku i ściszyła głos. – Mogłabym opowiedzieć ci coś fascynującego niemal o każdym, kto przejdzie przez drzwi tego baru w ciągu najbliższych trzydziestu minut. Naprawdę.

– No dobrze. – Tricia również mówiła cicho. – Choćby tych dwóch starszych panów przy szachownicy. Opowiedz mi coś o nich.

– Nic prostszego. – Orsolina potarła palcem nos. – Są starymi przyjaciółmi. Przez wiele lat ten siwy sypiał z żoną tego łysego.

– A łysy wiedział?

– W końcu się dowiedział. Waśń trwała, dopóki ona nie umarła. Teraz obaj wolą toczyć spory o figury szachowe niż o kobietę.

– Nie wierzę – powiedziała Tricia.

– A dlaczego miałabym kłamać?

– No dobrze. To powiedz mi coś na temat Luki.

– A co byś chciała wiedzieć?

– Ile ma lat?

– Więcej niż ja. Dobiega czterdziestki.

– A co was łączy? – Tricia była zwolenniczką otwartego podejścia do spraw.

Orsolina zawahała się.

– Zadałaś mu to pytanie? – Zgasiła papierosa.

– Jeszcze nie.

– No to je zadaj. Tylko powiedz mi później, co ci odpowiedział. – Uśmiechnęła się cierpko. – A na razie... Może chcesz wiedzieć o nim coś innego?

– Jak wygląda jego historia?

– Z Lucą wiąże się wiele historii.

– No dobrze, ale co robił, zanim otworzył szkołę kulinarną? – nie poddawała się Tricia.

– Mieszkał za granicą. Był fotografem.

– Mody?

– Nie. Fotografował ludzi.

– Portrety zatem?

Orsolina pokręciła słomką w pustej szklance.

– Mieszkał w Londynie. Chyba zarobił tam masę kasy.

– Nie wyobrażam sobie Luki żyjącego takim życiem...

– A jednak. Tak było, słowo daję. Teraz faktycznie je zmienił. Żyje zupełnie inaczej.

Chyba nawet nie widziałam go z aparatem w ręku... – Orsolina zerknęła na zegarek i skinęła głową w stronę szklanki Tricii. – Jeśli nie chcesz tego dopijać... Powinniśmy chyba już pójść po tę prostownicę.

Rozmowa na temat Luki tylko podsyciła ciekawość. Tricia miała jeszcze inne pytania, chciała dowiedzieć się więcej, ale Orsolina wstała już z miejsca. Wyraźnie nie miała ochoty na ciąg dalszy.

W milczeniu ruszyły główną ulicą, skręciły w alejkę, przy której mieściła się *dolceria*. Minęły zakład i doszły do drewnianych drzwi wprawionych w kamień.

– To wasz dom?

– Tak. To jeden z oryginalnych sycylijskich domów w skale. Sklepienie jest niskie, więc uważaj na głowę. – Otwierając drzwi, Orsolina zsunęła z nóg szpilki. – Nawet ja muszę się schylać gdzieniegdzie, a wcale nie jestem duża.

Wewnętrzne ściany były chropowate. Światło wdzierało się przez świetliki, ledwie sięgając kątów pomieszczeń. Nieliczne podniszczone meble charakteryzowała prostota.

– Moja rodzina mieszka tu od dziewiętnastego wieku – wyjaśniła Orsolina. – Tata nie lubi dużych zmian.

– To jest... Niesamowite! – powiedziała Tricia.

– Tak naprawdę są dwa domy. Dzielącą je ścianę przebito, więc całość jest obszerniejsza, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. I nowoczesna tam, gdzie to się liczy. Dom chłodny latem, ciepły w zimie. Idealny.

Tricia pomyślała, że pachnie tu stęchlizną, więc musi być chyba bardzo wilgotno, ale nie powiedziała nic na głos. Zamiast tego zapytała:

– Twój ojciec jest w domu?

– Nie jestem pewna. – Orsolina zawołała Vincenza, ale nie odpowiedział. – Może jeszcze siedzieć w *dolceria* albo ma jakieś spotkanie. To może ja skoczę po tę prostownicę?

Na starym kredensie Tricia zauważyła ustawione gęsto, oprawione w ramki fotografie. Wzięła jedną do ręki. Portret ślubny z wczesnych lat osiemdziesiątych, sądząc po ubraniach. Włosy Vincenza były jeszcze czarne i gęste, długie do ramion. Jego żona bardzo przypominała Orsolinę. Była równie ładna, choć pulchniejsza.

Na innych zdjęciach widniała przede wszystkim Orsolina: jako dziecko, w szkolnym mundurku albo siedząca przy pianinie, ubrana w bikini na plaży, obsługująca klientów za ladą *dolceria*. Z tyłu Tricia odkryła fotkę Luki, który stał obok Vincenza na jakiejś łodzi. Obaj trzymali w dłoniach wędki. Luca wyglądał młodziej, ale nie chłopięco, zaś włosów jego towarzysza nie pokrywała jeszcze całkiem siwizna. Żaden się nie uśmiechał. Dziwne, że oprawiono takie właśnie zdjęcie, pomyślała Tricia. Usłyszawszy kroki Orsoliny, czym prędzej odstawiła ramkę na miejsce.

– Dopilnuję, żeby ci ją zwrócić przed wyjazdem – powiedziała, sięgając po prostownicę.

– Och, nie trzeba, zostaw ją po prostu u Luki. Odbiorę ją, kiedy będzie mi potrzebna.

– Naprawdę doceniam twój gest. I dziękuję ci już teraz, w razie gdybyśmy miały nie zobaczyć się ponownie.

– Zobaczymy się – zapewniła ją Orsolina. – Favio to mała miejscina. Nigdzie nie da się ruszyć tak, żeby na kogoś nie wpaść.

Wróciwszy do szkoły kulinarnej, Tricia przygotowała degustację czekolady, łamiąc na kawałeczki tabliczkę Vincenza Mazzary i tę drugą, kupioną później. Ułożyła je na osobnych talerzykach, pod którymi schowała opakowania. A potem zawołała na dół pozostałe kursantki.

– No dobrze, zasadnicze pytanie brzmi: czy potrafimy odróżnić tę rzemieślniczego wyrobu czekoladę od wyprodukowanej w fabryce – powiedziała, gdy zebrały się już wszystkie.

– Ja spróbowałam po kawałku obu i nijak nie mogę wyczuć różnicy. Teraz wasza kolej.

Moll chętnie spróbowała jako pierwsza. Nie śpieszyła się, pozwalając każdemu kawałkowi czekolady rozpuścić się na języku. Wskazała na talerzyk z prawej.

– To ta z *dolceria*, bez żadnych wątpliwości. Smak ma większą głębię i ta... zgrzytliwość jest nieco wyraźniejsza. Mam rację, prawda?

Tricia zirytowała się (zwykle tak właśnie reagowała na mądrale).

– Powiem ci, gdy spróbujecie już wszystkich.

Żadna z pozostałych dwóch pań nie wydawała się równie pewna, jak Moll.

– Czuję jakąś różnicę, ale tak subtelną, że nie potrafię określić, która jest lepsza – stwierdziła Poppy.

– Valerie?

– Ja się chyba zgodzę z Moll – odparła Valerie po zastanowieniu. – Moim zdaniem ta smakuje tak, jakby zrobiono ją z większą troskliwością...

Tricia uniosła talerzyk z prawej strony, pod którym ukazało się pastelowe opakowanie czekolady Mazzary.

– Dobra robota! Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłyście. Ja nigdy bym tego nie wyczuła. Chyba jedzenie nie zajmuje mnie tak bardzo jak was...

– To kwestia wyćwiczenia kubków smakowych – wyjaśniła Moll z niejaką wyższością. – Trzeba doświadczać tego, co się wkłada do ust, a nie jeść łapczywie, jak robi to większość. Jeśli, oczywiście, do kulinariów podchodzisz poważnie, naprawdę poważnie, jak ten młody szef kuchni, który gotował dziś dla nas lunch... To właśnie tak trzeba robić.

– Ja tego zupełnie nie chwytam. Wszystkich tych mężczyzn, którzy mają bzika na punkcie jedzenia. – Tricię ogarnęła przekora. – Skąd się to bierze?

Moll popatrzyła na nią nierozumiejącym spojrzeniem. Zupełnie jakby pytanie nie miało sensu.

Odpowiedziała natomiast Valerie.

– Osobiście uważam, że to raczej miłe – oświadczyła.

– Ale dlaczego?

Valerie się zawahała.

– Jedzenie ma w sobie coś zmysłowego, nieprawdaż? Więc mężczyźni, którzy się nim przejmują, są na pewno właśnie tacy.

Aż do tej pory Tricia uważała Valerie, z tą jej szczupłą figurą w wyprasowanych lnianych ubraniach, za nazbyt pruderyjną, by roztrząsać kwestię zmysłów.

– Naprawdę?

– Zawsze lubiłam przyglądać się mężczyznom przy kuchni – wyjaśniła tamta. – Żonglującym nożami, garnkami i patelniami, przygotowującym surowe składniki i zmieniającym je w coś, co ma się ochotę dotknąć, powąchać, zjeść to oczami. Poczuc smak w ustach i poczuć go w sobie.

– Skoro tak to ujmujesz... – bąknęła Tricia, dostrzegając Valerie w zupełnie nowym świetle. – Może i faktycznie jest w tym coś zmysłowego.

– Jeśli mężczyzna potrafi gotować... Albo przynajmniej przyrządzić smaczną czekoladę. Myślę, że w ten sposób dowodzi on swojej większej wrażliwości i o wiele większej

namiętności. Jakkolwiek by tę namiętność rozumieć – oświadczyła Valerie bez najmniejszego śladu pruderii.

Z miłości do jedzenia

Luca Amore otwiera się na nowe możliwości. Z tych czterech kobiet, które przybyły, by czegoś się od niego nauczyć, jedna go pociąga, choć on sam ledwie zdaje z siebie tego sprawę. Kiedy są razem, nawiązuje się między nimi nić sympatii. Rodzaj ciepła, przyjemnego wrażenia.

Luca nie ma nadziei, że coś się wydarzy, wręcz przeciwnie. W tej chwili zajmują go przygotowania do nadchodzącego dnia, więc myśli tylko o tym, co trzeba kupić. Potrzebny będzie kurczak do dania z czekoladą, które im obiecał, i szafran do makaronu.

Niektóre rzeczy ma już w kuchennych szafkach. Odznacza je na swojej liście, zastanawiając się, czy to nie pora, by zmienić przepisy, których uczy. Być może Luca zaczyna się nimi nudzić, nawet jeśli dla każdej nowej grupy pozostają czymś świeżym. Nie sposób oczekiwać, że rytm każdego dnia w miasteczku takim jak Favio ulegnie większym zmianom. Między innymi to właśnie przyciągnęło go z powrotem do bezpiecznego, nieśpiesznego życia. A mimo to, po wszystkich tych latach, pojawia się niepokój, potrzeba odmiany, którą Luca będzie w sobie nosił zawsze, cokolwiek by sobie próbował wmawiać. Tęsknoty za czymś więcej.

Postanawia, że jednak wprowadzi nowe przepisy, ale nie dla tej grupy, tylko dla następnej. Wtedy zatelefonuje tu i tam, pogrzebie w Internecie i znajdzie inne miejsca, które złożą się na program kursu. Może ten producent mascarpone, o którym wcześniej wspominał Santo, zgodziłby się powitać uczennice Luki w swoich progach? Może powstają w okolicy nowe firmy, o których jeszcze Luca nie słyszał? Nie zaszkodzi popytać.

Luca zaczyna spisywać nową listę, listę rzeczy, które można by zmienić. Decyduje, żeby odświeżyć pokoje gościnne. Czy powinien kupić nowe narzuty na łóżka, w bardziej jaskrawych kolorach, czy też pomalować ściany na inny odcień? Może już czas na nowe ręczniki albo saszetki pełne suszonych kwiatów i ziół, przydające zapachu każdej sypialni?

Pisząc, zastanawia się, czy nie poprosić o radę przyjaciółki, Orsoliny. Od lat polega na jej pomocy w podobnych sprawach. Ona rozumie wagę wyglądu różnych rzeczy i Luca ma pewność, że jej oczy natychmiast dostrzegą, co trzeba zastąpić, a co lepiej zostawić, jak jest.

Jest zadowolony, że zaczął robić cokolwiek. Zakłada, że te niewielkie zmiany to wszystko, czego mu potrzeba. Gdybyż tylko wiedział, jak bardzo się myli! Gdybyż choć tylko podejrzewał... Zaniepokoiłby się. Luca już tysiące razy napominał sam siebie, że pewne rzeczy są nie dla niego. To samo powtarzał Orsolinie. Przeszłość to przeszłość. A żeby nowe życie miało sens, wszystko w nim musi wyglądać inaczej. Nie jest do końca pewien, czy Orsolina faktycznie przyjęła to do wiadomości, ale on jest co do tego przekonany.

Luca lubi robić takie spisy spraw. W kieszeni zawsze nosi zawsze przeznaczony do tego celu notatnik Moleskine. Kiedy rzeczy są już na papierze, a później odkreśla się je z listy, ma się nad nimi kontrolę.

Luca ufa swoim spisom. Pozwoliły mu trwać przez ponad dziesięć pracowitych lat prowadzenia szkoły kulinarnej i nie ma żadnego powodu, by uważać, że kiedyś go zawiodą.

Valerie

Och, próbowałam tego w Hiszpanii. A może w Chorwacji? Jestem pewna, że coś podobnego jadłam raz kiedyś w Turcji. Tak, chyba sporo podróżowałam, chociaż gdy byłam w waszym wieku, ledwie nos wystawiałam za próg domu. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że tyle świata zobaczę.

To wszystko przez Jean-Pierre'a. Nie, nie był moim mężem, choć spędziliśmy ze sobą blisko dwadzieścia lat. Jean-Pierre był najbardziej nieoczekiwaną rzeczą, jaka przytrafiła mi się w życiu.

Poznaliśmy się, kiedy rozwiodłam się z moim drugim mężem. Miałam wkrótce skończyć czterdzieści pięć lat i bałam się, że już do końca życia pozostanę sama. Mnóstwo moich koleżanek żyło samotnie, ale mnie aż odrzucało od myśli o tym. Znow chciałam być kochana, na każdy możliwy sposób, dałam więc ogłoszenie osobiste w nowojorskim piśmie: „Kobieta o szczerym charakterze pozna podobnie usposobionego mężczyznę”. No, wiecie, takie tam. Nadeszło kilka ładnych odpowiedzi, a ja wybrałam te, które wydawały się godne uwagi.

Jean-Pierre był pierwszy. Umówiliśmy się na spotkanie w kawiarni, ale omal się nie minęliśmy, bo ja czekałam przy jednym stoliku, a on przy drugim. Trochę potrwało, zanim skojarzyłam go z fotografią, którą mi przysłał wcześniej. Okazał się o wiele starszy, tęższy, miał mniej włosów i wcale nie był przystojny. A mimo to polubiłam go od razu – jego uśmiech, głos. No i szczerze mówiąc, fotka, którą wysłałam mu ja, też wcale aż tak bardzo aktualna nie była...

Spotkaliśmy się po raz drugi i trzeci. Chodziliśmy do teatru, jadaliliśmy w restauracjach, spędziliśmy długi weekend w niewielkim miasteczku w New Hampshire. Widywaliśmy się regularnie. Aż w końcu zostaliśmy parą.

Jean-Pierre był człowiekiem sukcesu. Zajmował się handlem zagranicznym i był wystarczająco zamożny, żeby mi pokazać to, co mnie ominęło do tej pory. Zabierał mnie wszędzie, zatrzymywaliśmy się w najlepszych miejscach. Był pewien dom na południu Francji i uroczy apartament w Paryżu. Jean-Pierre miał przyjaciół na całym świecie i udziały w jachcie, którym pływaliśmy po wyspach. Korsyka, Sardinia, a potem dalej, Capri. Spędziliśmy razem cudowne chwile.

A później, jakiś rok temu, mój cudowny Jean-Pierre zmarł. Miał trzy udary i ten ostatni go wykończył. Po jego śmierci... Tak, dziękuję, przyda mi się chusteczka. Strasznie przepraszam, zawsze tak się kończy, kiedy o tym mówię. Nie mogę się opanować. Początek był tak bardzo romantyczny, a koniec taki smutny.

Przy czym byłam? Ach, oczywiście. Większość tego, co posiadał, odziedziczyły jego dzieci – domy, lwią część pieniędzy. To rzecz naturalna, miały do nich pierwszeństwo. Na szczęście przez te wszystkie lata zachowałam swoje niewielkie mieszkanko na poddaszu w Greenwich Village, więc przynajmniej dziś mam dach nad głową. No i pozostała mi jeszcze pewna sumka na czarną godzinę. Jean-Pierre o tym pomyślał.

Brak mi naszego wspólnego życia, ale ciągle staram się być czymś zajęta. Znow zaczęłam poznawać Nowy Jork, chodzić na wystawy i przedstawienia. Cały czas coś robię. Nawet zaczęłam pracować przez dwa dni w tygodniu w butik, w którym kiedyś kupowałam ubrania. Bardzo dobrze mnie tam traktują.

Tak czy inaczej, sądziłam, że nie będę już nigdy wyjeżdżać, nie bez Jean-Pierre'a. A potem zobaczyłam to ogłoszenie o szkole kulinarnej i zdałam sobie sprawę, jak bardzo za

tęsknię za podróżami. Mam już sześćdziesiąt pięć lat i kto wie, ile dobrych chwil jeszcze mi pozostało. Sprawdziłam, jak wyglądają moje oszczędności i pomyślałam: „A co mi tam, stać mnie”.

Myślałam, że namówię na wspólny wyjazd moją przyjaciółkę, Maeve, ale wycofała się, bo wystąpiły u niej jakieś problemy z biodrem. Pewnie też bym zmieniła zdanie, ale wpłaciłam już zaliczkę. No i wiedziałam, co powiedziałby Jean-Pierre o takim chowaniu się w domu zamiast zdobywaniu nowych doświadczeń. On wszystko postrzegał jako nową sposobność. „Człowiek nigdy nie wie, co może się zdarzyć”. Zawsze mi to powtarzał.

Cieszę się, że mimo wszystko nie zrezygnowałam. To takie piękne, szczególne miejsce. I na dodatek poznałam was wszystkie. W takim momencie życia jak ja człowiek ceni sobie szansę zawarcia nowych znajomości, bo zdarzają mu się tak rzadko...

Jesteście jeszcze takie młode... Och, ja wiem, że tak się nie czujecie, ale wiercie mi, jesteście. Zazdroszczę wam tych lat, które przed wami, i wszystkich tych możliwości. Nie chcę, żeby moje słowa zabrzmiały ponuro, ale czuję, że najlepsze już poza mną. Miałam szczęście, że spotkałam takiego mężczyznę jak Jean-Pierre. Nie mogę oczekiwać, że to się powtórzy.

No i tak siedzę i paplam o sobie, a wy już na pewno chcecie kłaść się spać. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Może to przez tych wszystkich Włochów, których ciągle spotykamy? Są tacy przystojni i namiętni i przypominają mi, jak sama się kiedyś czułam. Teraz to już wszystko przeszłość. Oczywiście, że tak.

Dzień trzeci

(1) Cornetti, oliwa z oliwek i smaki niespodziewane

Valerie nie spała dobrze. Łóżko okazało się twardsze, niż przywykła, prześcieradło nieco zbyt szorstkie. Przy Jean-Pierre przyzwyczaiła się mieć wszystko, co najlepsze: obsługę do pokoju, codziennie świeżą pościel, apartament z widokiem. Ta mała sypialnia z ukośnym drewnianym sufitem i pojedynczym oknem wyglądającym na szeregi zniszczonych dachów była całkiem urocza, ale w wyobraźni Valerie widziała, jak Jean-Pierre marszczy brwi i sugeruje, aby poszukać czegoś lepszego.

Zawsze tak robiła – wyobrażała sobie, co Jean-Pierre pomyślałby o każdym miejscu, które ona odwiedza, o każdym posiłku, który gotuje albo który jest jej serwowany. Brała pod uwagę jego opinię nawet wówczas, gdy się ubierała. On wolał oglądać ją w jasnych kolorach i fasonach, które podkreślały jej sylwetkę. Sprawiało mu przyjemność, kiedy nosiła biżuterię, którą jej podarował. Nie żeby Valerie zawsze nosiła się tak, jak sobie tego życzył, ale ona lubiła go uszczęśliwiać i ten nawyk nie opuścił jej do końca. Po prostu.

Cieszyła się, że ma przynajmniej wannę, w której mogła się wymoczyć, kiedy budziła się o świcie i okazywało się, że jest sama. Dotyk ciepłej wody na skórze przynosił ukojenie. Valerie rozkoszowała się nią, wpatrując się w paznokcie u nóg, które pozwoliła sobie pomalować na koralową czerwień dzień przed wyjazdem z Nowego Jorku.

Niepokoilią się tą podróżą. Wydawało się, że to spore ryzyko: wyjazd do obcego kraju, język, którego nie zna, i brak na miejscu przyjaciół do pomocy, gdyby coś poszło nie tak. Jeszcze w samolocie była przekonana, że popełnia błąd, że powinna była zostać w domu, zaoszczędzić pieniądze.

Teraz jednak była tutaj i odbierała rzeczy inaczej. Zapomniała już, że uwielbia tak wiele rzeczy związanych z podróżami. Tu codziennie można było zobaczyć albo zrobić coś interesującego. W każdym miejscu pojawiały się inne dźwięki – w Favio było to, jak dostrzegła, bicie kościelnych dzwonów – ludzie ubierali się, mieszkali i jedli inaczej. Wszystko było takie nowe! A Valerie czuła się zadziwiająco bezpiecznie, być może ze względu na otaczającą Lucę aurę. On panował nad wszystkim na bardzo zdecydowany, choć spokojny sposób. Tak jak lubiła.

No i jeszcze te nowo zawierane przyjaźnie. Koleżanki okazały się osobami, do których w domu nic być może by jej nie ciągnęło, ale tutaj, skoro już znalazły się razem, znajdowała w każdej coś wartego polubienia. Tricia była zadziorna, ale zabawna, Moll szczerą i troskliwą, Poppy zaś przypominała Valerie ją samą w jej wieku: dziewczynę ufną, otwartą i żyjącą nadziejami.

Woda w kąpieli zaczęła się robić chłodna. Valerie sięgnęła po ręcznik i ostrożnie wyszła z wanny. Niedobrze byłoby poślizgnąć się i potłuc czy coś sobie zwichnąć. Och, ależ ostatnio na siebie chucham! – pomyślała. Biorę lekarstwa na podtrzymanie aktywności mózgu, wykonuję niezliczone ćwiczenia, żeby zachować szczupłość i jędrność. Kto by pomyślał, że starzenie się oznacza aż tyle pracy?

Strój wybrała i wyprasowała jeszcze poprzedniego wieczoru. Eleganckie, białe lniane spodnie i niewielka bluzeczka, turkusowy szal, żeby ukryć ramiona (Valerie nie przestawała myśleć, że są zwiotczałe). Pantofle na płaskim obcasie, bo dziś rano czeka je zwiedzanie plantacji drzew oliwnych i Luca uprzedzał, że będzie sporo chodzenia. Wszystko, czego może

potrzebować, włożyła do zapinanej na suwak podróżnej torebki: portfel, balsam do ust, okulary przeciwsłoneczne. Ibuprofen, w razie bólu głowy.

Nie nosiła ze sobą zdjęcia Jean-Pierre'a. Zresztą to nie wygląd ją w nim pociągał, ale jego duch, rodzaj atmosfery, która zdawała się go otaczać. Aparat nie potrafiłby jej uchwycić, niestety, zresztą niemal przepadła po pierwszym udarze. Później Jean-Pierre był już kimś innym. Wyblakł.

Valerie nigdy nie spotkała mężczyzny otoczonego takim blaskiem, choć czasem zdarzał się ktoś, kto przejawiał chwilowe jego przebłyski. U Vincenza Mazzary przypominały one bardziej gorąco niż światło, niemniej jednak były niezwykle.

Valerie umalowała się lekko i spięła włosy, szczesując je z twarzy. Żałoba ją postarzyła, wykuła w twarzy nowe linie i odebrała cerze koloryt. Mimo że Valerie starała się nie płakać, wciąż ją coś poruszało na nowo – melodia piosenki, którą uwielbiali oboje, jakiś szczególnie zapach czy drobna uprzejmość wyświadczona przez nieznanego. Tamtego dnia, kiedy źle się poczuła, trochę się rozkleiła w domu rodziny Mazzaro. Ten zabawny, przypominający jaskinię przybytek mieszkalny okazał się pełen zadziwiająco pięknych pomieszczeń i szlachetnej troski. Vincenzo nie powiedział wtedy ani słowa, ale podsunął jej chusteczkę i przyniósł kieliszek brandy. Podejrzewała, że jego własne smutki i żale sprawiają, że on rozumie te jej.

Po raz ostatni przyjrawszy się swojemu odbiciu, Valerie zeszała na dół, do kuchni. Nie było tam ani śladu Luki, ale Moll już się kręciła, szukając przyborów potrzebnych do zaparzenia kawy.

– Dzień dobry – odezwała się pogodnie. – Nasz przyjaciel chyba się dziś spóźnia? Może zaspał?

– A to szczęściarz! Gdybym tylko tak potrafiła... Budzę się tutaj tak wcześnie.

– Ojej! To po podróży przez ocean, jak u Poppy? – zapytała Moll.

– Tak przypuszczam. A kiedyś latanie wcale mi nie przeszkadzało. Teraz przez pół nocy nie potrafię zmrużyć oka, a potem uchylam powieki z pierwszym brzaskiem.

– Biedactwo... Nie ma nic gorszego niż problemy ze snem. Chciałabyś trochę kawy czy to tylko pogorszy problem?

– Och, kawa. Tak – poprosiła Valerie z wdzięcznością. – Nie wyobrażam sobie, że miałabym zacząć dzień bez filiżanki. A tu jest taka cudowna. Nie jak te pomyje, które podają w kraju.

– Wszystko tutaj smakuje lepiej – zgodziła się Moll, odkrywszy makinetkę w górnej szafce, razem z ziarnistą kawą i młynkiem. – Podejrzewam, że to ma coś wspólnego z tematem naszej wczorajszej rozmowy. Włosi tak się przejmują jedzeniem, że gotowanie przychodzi im w sposób naturalny. Czyż nie byłoby cudownie tu zamieszkać? W Anglii człowiek nigdy nie jest wystarczająco daleko od brygad żywiących się fasolką na tostach.

– Zawsze przecież możesz wrócić. Dla ciebie to blisko, krótki przelot.

– No chyba tak... – Moll odwróciła się i zajęła mieleniem kawy. Głośny hałas przez chwilę uniemożliwił rozmowę. – Val, zanim zejda pozostałe... – dodała zakłopotana Moll, gdy już uporała się z młynkiem. – Chciałbym tylko powiedzieć ci, jak bardzo mi przykro. To, co nam opowiedziałaś wczoraj wieczorem, o stracie Jean-Pierre'a i o wszystkim innym... To naprawdę musiało być druzgocące przeżycie. Bardzo ci współczuję.

– Och, dziękuję... – Przerażona Valerie poczuła, że jest bliska łez.

– Myślałam o tym później – ciągnęła Moll z przejęciem. – Najważniejsze, że masz czego żałować. Dopóki trwał wasz wspólny czas, zrobiłaś wszystko, co chciałaś.

– To prawda – wykrztusiła Valerie.

– Tak łatwo jest odkładać rzeczy na później. Martwić się brakiem pieniędzy albo tym, że

nie uda się wygospodarować wolnego czasu. Sama grzeszę podobnym myśleniem.

– Mieliśmy szczęście, bo te kwestie nas nie dotyczyły. – Valerie odzyskała panowanie nad sobą.

– Tak czy inaczej, żyłaś chwilą. I założę się, że tego nie żałujesz, mimo że się skończyło.

– Niczego bym nie zmieniła. Gdyby Jean-Pierre wciąż żył, tak właśnie byśmy postępowali.

Obserwując, jak Moll parzy kawę, Valerie myślała o tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby on nie umarł. O tej porze roku znajdowałiby się najprawdopodobniej we Francji i jedliby śniadanie przy basenie, zastanawiając się, czy woda jest wystarczająco ciepła, aby do niej wskoczyć. Planowałiby proszony obiad z przyjaciółmi albo wycieczkę łodzią.

– On był ode mnie starszy – powiedziała. – A w ciągu swoich lat dorobił się różnych dolegliwości. Być może dlatego tak bardzo zależało mu na życiu pełnią życia, choć podejrzewam, że on po prostu taki był. Od zawsze. Jean-Pierre był osobą szalenie dynamiczną. I gonił marzenia.

Moll napełniła dwie filiżanki.

– Sama za nimi podążam, nawet jeśli są niewielkie. W przeciwnym razie dzień człowieka trąci monotonią. Układanie prania czy odkurzanie podłóg, koniec końców, staje się całym twoim życiem.

– No ale podłogi, tak czy inaczej, odkurzać trzeba, nieprawdaż? – Valerie sięgnęła po filiżankę.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Podniosła wzrok, spodziewając się Luki, ale zobaczyła Poppy, ubraną w strój do biegania, z zaczerwienioną, połyskującą od potu twarzą.

– Jasny gwint, te schody naprawdę mnie omal nie zabiły dzisiejszego ranka! – Poppy opadła na jedno z kuchennych krzeseł, wachlując dłońmi policzki.

– W głowie mi się nie mieści, że po nich wbiegałaś. – Moll wyjęła z lodówki butelkę z wodą i napełniła szklankę. – Jesteś szalona!

– I w dobrej formie – powiedziała Valerie z podziwem.

– Niezupełnie... Och, dzięki. – Poppy przyjęła wodę. – Muszę jeszcze przestać przystawać dla odzyskania oddechu. Ale tam jest tak uroczo z samego rana, kiedy wciąż jest chłodno. I spotyka się tak niewiele samochodów i ludzi.

Valerie wyjrzała na zewnątrz, gdzie blade poranne niebo nabierało właśnie ciemniejszego odcienia błękitu.

– Znów będzie słonecznie – stwierdziła. – Mamy wielkie szczęście do pogody, ale wolałabym, żeby nie zrobiło się zbyt upalnie.

– Tak. Jeśli będzie goręcej, przestanę biegać – przytaknęła Poppy. – Chyba że znajdę jakiś bardziej płaski kawałek miasteczka.

– Bieganie? – Tricia pojawiła się w kuchni świeża jak poranek, w bładoniebieskiej portfelowej sukience, z włosami prostymi jak druty. – Poważnie? Po całym tym limoncello, które wczorajszego wieczoru wypiliśmy na tarasie?

– Czułam się trochę marnie – przyznała Poppy. – Ale jak się wypociłam, pomogło. Teraz umieram z głosu. Gdzie Luca? Nie powinien już tu być z koszykiem śniadaniowych pyszności?

– Po Luce ani śladu – odparła Moll. – Zastanawiam się nawet, czy nie zrobić na szybko jajecznicę na grzankach, ale lodówka świeci pustkami.

Tricia wyjęła z torebki porządnie złożoną kopię planu zajęć.

– Stoi jak byk: „Ósma – śniadanie”. Takie spóźnienie jest do Luki niepodobne. Może wysłać do niego esemesa?

- A dał ci numer? – zaciekawiła się Poppy.
- Ach, nie, faktycznie. Jeszcze nie dał.

Moll raz jeszcze przejrzała zawartość lodówki, w razie gdyby jednak coś umknęło jej uwadze.

– Resztki wczorajszego melona i parę pomidorów – powiedziała. – Ale możemy zejść do tej kawiarenki na *piazza* i tam sobie zamówić coś do jedzenia.

– Dobry pomysł, tak zrobimy. Tylko wezmę szybki prysznic – powiedziała Poppy. – Zejdę za pięć minut. No, nie więcej niż za dziesięć. Obiecuję.

– Jak można wyszykować się w dziesięć minut? – zapytała Tricia, nalewając sobie kawy. – To nie jest normalne.

Valerie postanowiła zaczekać na tarasie. Usiadła z twarzą zwróconą do słońca. Dobrze znów znaleźć się w Europie... Światło tutaj było inne niż w domu, bardziej miękkie, słońce łagodniejsze, a nieba więcej, niż człowiek mógł zobaczyć w Nowym Jorku wśród tych wszystkich wieżowców.

Obok niej westchnęła Molly.

– Wyobraź sobie życie z widokiem tak pięknym, jak ten...

– Kiedyś tak mieszkałam. No cóż, tamten widok też był piękny, ale inaczej. Nasz dom we Francji wyglądał na pole słoneczników, w stronę niżej położonego lasu. Po jakimś czasie uznałam to za coś oczywistego.

– Musi ci tego ogromnie brakować.

– Tak, oczywiście, choć i tak miałam szczęście, że tak długo należałam do mnie.

Większość ludzi nie ma okazji pomieszkać w taki sposób. Zanim poznałam Jean-Pierre'a, większość życia spędziłam, sprzedając piękne przedmioty zamożnym ludziom w butik przy Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. I nigdy nie sądziłam, że czeka mnie cokolwiek innego. To on zmienił wszystko.

– Brzmi jak scenariusz filmowy... – W głosie Moll zabrzmiała tęsknota. – Mnie się nigdy nie przydarzyło nic podobnego.

Valerie zerknęła na koleżankę. Zwyczajna i rozsądna, oto jak opisałyby Moll.

Stalowszare włosy, obcięte bardzo krótko. Rozciągliwe ubranie i toporne obuwie. Ale kiedy się uśmiecha, uśmiech obejmuje swoim ciepłem wszystko wokół. I sprawia, że Moll staje się niemal ładna.

– Nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze może się przydarzyć.

Moll pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

Valerie zastanowiła się, jak wyglądało życie tamtej. Na jej palcu nie ma obrączki, ale to w obecnych czasach nic nie znaczy. Może jest samotna? Rozwiedziona? Zapytanie byłoby niegrzecznością.

– No cóż, teraz jestem tutaj – podjęła Moll tonem nieco bardziej optymistycznym. – Marzyłam, żeby tu przyjechać, i udało mi się, koniec końców. Nie powinnam narzekać.

Z kuchni dobiegł szmer głosów. Wśród nich zabrzmiał jeden niski, męski. Valerie podniosła się z krzesła.

– Chyba jest wreszcie Luca.

– Bogu dzięki – powiedziała Moll, również wstając. – Mój żołądek błaga o coś do jedzenia.

Kiedy weszły do kuchni, Luca był w trakcie przeprosin.

– Zaspiałem, bardzo przepraszam. Wczorajszego wieczoru przeciągnęło się do późna zebranie w domu Mazzarów...

– Miałymy właśnie wybrać się do tej niewielkiej kawiarni przy *piazza*, na kawę i *cornetti* – powiedziała Valerie.

– Dobry pomysł. – Luca uśmiechnął się z wyraźną ulgą. – Tam robią najlepsze *cornetti* w miasteczku. A kawę podają paloną na miejscu i bardzo zącą.

Znów był sobą. Troskliwie ujął Valerie pod ramię, kiedy schodzili po stopniach schodów, informując jednocześnie Moll, że o smaku ciastek decyduje wyczuwalna nuta lasek wanilii. Dołączył do ogólnego śmiechu, kiedy Poppy opowiedziała, jak podczas porannego biegania jakiś starszy pan zatrzymał samochód i zaproponował podwiezienie. A jednak zdawało się, że dzisiejszego ranka jest w nim coś innego. Jakaś ledwie powstrzymywana energia, która przypomniwała Valerie, jaki czasem bywał Jean-Pierre.

Patrzyła na idącego przodem główną ulicą Lucę. Mężczyzna miał na sobie lniane spodnie w odcieniu kości słoniowej, koszulę w jasnych, zielono-niebieskich barwach i pastelowy bawełniany sweter, narzucony na ramiona.

Był przystojny w sposób pasujący do otoczenia. W Nowym Jorku jego koszula mogłaby się wydać krzykliwa, w Londynie sweter byłby zupełnie nieodpowiedni. Nawet i na południu Francji Luca wydawałby się nie na miejscu, jak podejrzewała Valerie. Tutaj pasował idealnie.

Teraz uważnie zwracał głowę w kierunku Moll, która rozwodziła się na temat jedzenia.

– W kraju śniadanie poza domem zawsze wydawało mi się czymś dekadentkim – mówiła. – Ale tutaj jest zwyczajne, prawda? Człowiek wstępuje na kawę i ciastko po drodze do pracy i w ogóle się nad tym nie zastanawia. To zapewne dlatego tyle tu małych barków i kawiarenek. Uwielbiam to, naprawdę.

Luca w milczeniu pokiwał głową, co zresztą Moll nie przeszkadzało zupełnie.

Kiedy weszli na *piazza*, wskazała w stronę kawiarni.

– O, patrzcie, jest *signor* Mazzara! Trzeba się przywitać.

Producent czekolady siedział samotnie przy stoliku pod palmami daktyłowymi. Przed nim stał talerz nietkniętych biszkoptów. Kiedy podeszły, uniósł wzrok. Valerie zastanowiła się, czy nie dostrzega na jego twarzy błysku irytacji, że mu przeszkadzają.

– *Buongiorno*. – Moll już do niego podchodziła z uśmiechem na twarzy.

Mina Vincenza ociepliła się nieco. Wstał z krzesła i ucałował ją lekko w oba policzki.

– *Buongiorno*. Jak miło was wszystkich widzieć – powiedział swoją uważną angielszczyzną. – Dobrze się macie?

– Tak. I nie możemy się doczekać kolejnego pięknego dnia w Favio. – Moll promieniała.

– Proszę, musicie się do mnie przysiąść. – Vincenzo skakał wokół gości, zabierając krzesła od sąsiednich stolików i usadzając towarzystwo wokół swojego. – Siadajcie, przyjaciele. Co mogę dla was zamówić?

Luca uznał, że przyda się drugi stolik, więc hałas i zamieszanie zaczęły się od nowa. Z pomocą przybył kelner. Skończywszy przestawianie mebli, trzej mężczyźni przystanęli na uboczu i rozpoczęli rozmowę, cichą i szybką. Valerie widziała wyraźnie wyłącznie twarz kelnera. Marszczył brwi, słuchając czegoś, co mówił Luca.

Wreszcie wrócili do stolika i potoczyła się rozmowa o zwykłych sprawach: o prognozie pogody, planach na ten dzień, o przepisach, które kursantki miały poznawać później. Jeśli w powietrzu wisiało napięcie, wyczuwała je wyłącznie Valerie.

Kelner przytasał filiżanki z kawą i talerze pełne półksiężyców. Valerie poczęstowała się, jedno z ciastek rozrywając palcami. Nie przepadała za francuskimi rogalikami, uważając, że

są zbyt ciężkie i maślane, ale ich włoska wersja okazała się odmienna. Lżejsza i bardziej słodka.

Vincenzo skinął głową w jej stronę.

– Dopisuje pani apetyt – stwierdził. – Musi się już pani czuć zupełnie dobrze.

– Tak, dzięki Bogu. Przyjechać na Sycylię i nie mieć ochoty na jedzenie? To byłoby straszne! Wszystko tutaj jest takie piękne!

– W większości – zgodził się. – Ale złe jedzenie też się trafia, jak wszędzie indziej.

Poszczyliło się paniom, że macie za przewodnika Lucę. On wskazuje wam drogę do tego, co najlepsze. Weźmy na przykład to *cornetto*, którego pani próbuje. Zostało świeżo upieczone dziś rano i pod każdym względem przewyższa te sprzedawane w kawiarni po drugiej stronie *piazza*. Ale skąd ma o tym wiedzieć zwyczajny turysta? Przyjeżdżając do Favio, wybiera na własne ryzyko.

– Ale przecież istnieją przewodniki – odparła Valerie.

– Prawda. Niemniej jednak informacje w nich zawarte mogą być nieaktualne. Nawet i tutaj rzeczy się zmieniają.

– Mimo wszystko chyba nawet to gorsze *cornetto* jest całkiem niezłe. Nie mam racji? Vincenzo zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Tylko po co jeść, jeśli coś nie jest możliwie najlepsze?

– Żeby zaspokoić głód?

– Mojego głodu nie zaspokoi *cornetto*, które jest zbyt ciężkie albo zbyt słodkie. Albo aromatyzowane ekstraktem zamiast prawdziwej wanilii. Dlaczego miałbym oczekiwać, że odwiedzający Favio zadowolą się czymś, co nie zadowala mnie?

– Tylko co można z tym zrobić? – zastanowiła się na głos Valerie.

– Właśnie w tej kwestii staramy się coś zdecydować. Wczoraj wieczorem odbyło się w moim domu duże spotkanie. Jedno z wielu, na których dyskutowany jest mój plan.

Valerie słuchała z zaciekawioną.

– Może to na tym etapie bardziej nawet pomysł niż plan – przyznał Vincenzo. –

Chciałbym mianowicie, by wydano drukiem listę najlepszych miejsc. Taki przewodnik kulinarny dla odwiedzających Favio.

– Dobry pomysł.

– Tak, ale są problemy. – Sięgnąwszy po biszkopta, Vincenzo przełamał go na pół. – Kto ma ustalać standardy? Kto decydować, czy te biszkopki zasługują, żeby trafić na naszą listę? Kto powie właścicielowi kawiarni po drugiej stronie placu, że jest nisko oceniany? To bardziej skomplikowane, niż może sobie pani wyobrazić. A już zwłaszcza w takim miasteczku, gdzie zatargi i przyjaźnie sięgają pokoleń wstecz.

Valerie wybrała jedno *cornetto* i spróbowała kęs. Chrupki i cienki. Smakował migdałami i cukrem pudrem.

– Ten wydaje się idealny.

– Ale nie ma pani go z czym porównać. Może gdyby spróbowała pani taki z innej cukierni w miasteczku, zmieniłaby pani zdanie?

– Czy to naprawdę takie istotne, żeby wybierać tylko to, co naprawdę najlepsze? – zapytała. – Większość turystów nawet nie będzie miała pojęcia, że tak nie jest.

– Ale niektórzy będą wiedzieli. I to oni się dla mnie liczą – upierał się Vincenzo.

– Jak rozumiem, turystyka jest tutaj branżą kluczową? – ustąpiła Valerie. – Favio to niezamowna miejscina, prawda? Wielu ludzi trwa tutaj wyłącznie dzięki pieniądзом przywożonym przez turystów.

– Owszem. Tyle że mnie nie interesuje oskubywanie turystów z ich pieniędzy. –

W głosie Vincenza zabrzmiało rozdrażnienie. – Tu chodzi o to, że trwonimy własną szansę na wzbogacenie życia. Mój pomysł ma wielu przeciwników. Na przykład kelner stąd mówi mi, że nie powinienem tego robić. Twierdzi, że spowoduję kłopoty. Ale ja nie jestem bojaźliwy.

– Na pewno nie. – Wymianie zdań przysłuchiwała się Tricia. – Mimo to uważam pana za idealistę.

Vincenzo wzruszył ramionami.

– Być może. Różnie mnie już nazywano.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. To rzecz szlachetna mieć idee.

– Ale, jak podejrzewam, pani ich nie podziela?

– Dla mnie idee to jedno, a rzeczywistość to zupełnie co innego – odparła Tricia.

– I obie nie mogą się spotkać? – zapytał Vincenzo. – Wierzy pani, że do siebie nie przystają? Naprawdę może to pani uczciwie stwierdzić?

I wtedy Valerie to dostrzegła. Tę niespodziewaną energię, tę jasność, którą miał w sobie niegdyś Jean-Pierre. Ten człowiek tutaj był jej pełen. Odłożyła to, co zostało z *cornetto*, chwytając dłonią krawędź stolika. Kiedy ogarniało ją podobne uczucie, ten przypływ żalu, udawało jej się oddychać z najwyższym trudem.

Poczuła lekkie dotknięcie.

– *Signora*, nagle pani zbladła... Żle się pani poczuła? – zatroskał się Vincenzo.

– Nie... To nic takiego. Nie.

Moll poderwała się, by przynieść więcej wody, Poppy zastanowiła się na głos, czy Valerie nie dokuczają czasem obniżony poziom cukru we krwi. Luca zrobił zmartwioną minę. Vincenzo nie powiedział nic więcej, ale jego dłoń nie opuszczała jej ramienia. Valerie wciąż czuła nacisk jego palców.

– Nic mi nie jest, naprawdę – powtórzyła. – To tylko chwilowe. Sami wiecie, jak to bywa.

– A może wolałabyś nie jechać dziś z nami i odpocząć? – zapytał Luca.

– Nie. Absolutnie nie. Nie chcę, żeby mnie ominęło cokolwiek.

– Może powinienem umówić cię z lekarzem?

– Naprawdę nie ma potrzeby.

– No cóż, jeśli jesteś pewna... Bo całkiem niedługo pora się zbierać. Powinniśmy wkrótce być na plantacji oliwek Ortolo.

– Jasne. Jestem gotowa. – Valerie usiłowała napędnąć własny głos energią, której nie czuła.

– Spędzimy sporo czasu na nogach – ostrzegł Luca. – Trzeba będzie dużo chodzić. Dasz radę?

– Tak. Jasne – odparła Valerie, już silniejszym głosem.

Vincenzo ścisnął jej ramię.

– Uważam, że jest pani bardzo dzielna, *signora* – powiedział cicho, zanim cofnął dłoń.

Długa jazda na plantację sprawiła Valerie przyjemność. Cieszyła się, że Moll nie zamyka się buzia, a Luca ma tyle wiedzy o oliwkach i może się nią podzielić. Oparła się o siedzenie, a twarz zwróciła ku oknu. Miała nadzieję, że taki przypływ uczuć więcej się nie powtórzy. Pragnęła wyłącznie mile spędzić dzień, zobaczyć drzewa i spróbować oliwy. Wzbudzić w sobie wakacyjny nastrój, który towarzyszył jej podczas wcześniejszego siedzenia na nasłonecznionym tarasie.

Pozostali również wydawali się w dobrym nastroju. Rozmawiali (no cóż, niemal krzycząc) o wytwórcy czekolady i jego wygórowanych standardach. Każdy miał swoje zdanie.

– To typowy perfekcjonista, nieprawdaż? – mówiła Poppy. – Brendan też trochę taki

bywa. Jego sposób to jedyny sposób. A kiedy już raz wbije sobie coś do głowy...

– Nie zgadzam się – sprzeciwiła się Moll. – Vincenzo upiera się przy doskonałych wynikach, a to zupełnie co innego.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie, uważam, że jest napuszony – oświadczyła Tricia. – Kimże on jest, żeby decydować, co jest dobre, a co nie?

– No ale przecież on mówił dokładnie to samo...

– Jest arogancki.

– Pewnie koszmarne się z nim pracuje.

– Ma wysokie wymagania, co w tym takiego złego?

Valerie milczała. Dokładnie wiedziała, kim jest Vincenzo. Widziała go już w kimś wcześniej i nie spodziewała się, że zobaczy jeszcze kiedykolwiek w życiu.

Żelazna brama plantacji Ortollo była ozdobna, a kamienny mur po jej obu stronach wysoki. Drzewa oliwne rosły w rzędach. Niektóre miały pnie tak grube i poskręcane, że musiały tu stać od wielu stuleci.

Luca powiedział, że drzewa oliwne są w takim samym stopniu częścią historii Sycylii jak barokowe budowle. A może nawet ważniejszą, bo dostarczają pożywienia. Podtrzymują przy życiu.

– Ta plantacja pozostaje od ponad trzystu lat w rękach tej samej rodziny. Niesamowite, jeśli się nad tym zastanowić. Tyle się pozmieniało przez ten czas, a jednak to, co tu widzicie, pozostało takie samo.

Valerie nie mogła przestać myśleć o oliwkach, które rosły wokół starego domu Jean-Pierre'a we Francji. Wszędzie, gdzie nie spojrzała, odnajdywała kolejne wspomnienia. Zastanawiała się, czy to się kiedykolwiek zmieni.

– Tutaj człowiek niemal oddycha historią, nieprawdaż? – odezwała się Moll, kiedy samochód zaparkował obok kilku starych kamiennych budynków.

– Później spróbujecie również jej smaku – obiecał Luca. – Oliwa Ortollo to moja ulubiona. Jest śmiała i pikantna, a mimo to elegancka. Ma charakter.

Z powitaniem czekała na nich młoda kobieta. Miała ciemne kręcone włosy i twarz jak z renesansowego portretu – o wysokim czole i silnym nosie. Wysiadającej z auta Valerie podała pomocną dłoń.

– Witam, witam. Nazywam się Giulietta Ortollo. – Poczekała chwilę, aż wszystkie panie pozbierały torebki i kapelusze. – A teraz proszę za mną. Zwiedzimy gaje oliwne. Wszystkie panie macie wodę? To dobrze, bo dzisiaj gorąco. Najpierw zapraszam tutaj, do autentycznej kamiennej prasy do oliwek. Zbierzcie się dokoła, żebyście mogły mnie lepiej słyszeć.

Valerie pożałowała, że nie zabrała kapelusza. Kiedy tak stała wraz z innymi obok dwóch wielkich kręgów z wulkanicznego kamienia, słońce paliło ją w kark. Naprawdę nie miała ochoty na omdlenie i wywołanie kolejnych niepokojów o stan jej zdrowia. Zrobiła kilka kroków do tyłu, chroniąc się w odrobinie cienia oferowanej przez mocno przyszyżone drzewa. I spróbowała skupić się na słowach Giulietty.

Rozprasał ją widok z tego miejsca. Gaj założono na łagodnym zboczu, które ciągnęło się w stronę szerokiej równiny poniżej. Pomiędzy oliwkami rosły opuncje, migdały i cytrusy, nieporządne kępy oregano i tymianku, strzeliste cyprysy i drzewa karobowe.

Jednym uchem słuchała szczegółowej opowieści o zbiorach (każdą oliwkę zbierało się ręcznie), o tradycyjnych odmianach drzew i biologicznych metodach uprawy stosowanych przez rodzinę Ortollo, i myślała jednocześnie, ile szczęścia miała Giulietta, przychodząc na świat

wśród właścicieli tego miejsca.

– O tej porze roku w gajach nic się nie dzieje – mówiła właśnie ich przewodniczka. – Gdybyście panie przyjechały w październiku, mogłybyście zobaczyć zbiór i wyciskanie oliwek.

– Bardzo bym chciała to zobaczyć – powiedziała Moll z żalem.

– Może któregoś dnia pani tu wróci?

Moll zamilkła. Valerie zauważyła, że szeroką twarz koleżanki ściągnęło zmartwienie.

– Widziałam i zbiór, i tłoczenie oliwy – odezwała się cicho. – Tak naprawdę nie ma w tym nic ekscytującego.

Giulietta wyprowadziła je na suchą, zakurzoną drogę, wijącą się pomiędzy gajami. Moll i Tricia spowalniały tempo, robiąc zdjęcia, Luca zaś zrównał krok z Poppy, idąc marszem o wiele bardziej energicznym. Wkrótce oboje wysforowali się na czoło grupy. Valerie usłyszała ich śmiech i zastanowiła się, o czym też mogą rozmawiać? Jej samej brakowało obecnie takiej swobody w męskim towarzystwie. A w wieku Poppy w ogóle nie wyobrażała sobie, że kiedyś w życiu będzie musiała się bez niej obywać. A już na pewno nie spodziewała się tej niewidzialności, jaką nadają siwe włosy i zmarszczki.

Valerie zdawało się, że od czasu gdy obejrzał się za nią mijany mężczyzna czy od ostatniego pełnego zachwytu spojrzenia, minęły wieki. Można to nazwać próżnością, ale bez tego jej życie straciło kolory. Jakże chciałaby znów poplirtować, przegadać z jakimś mężczyzną całą wieczór, poczuć znajomy dreszczyk wzajemnego zainteresowania!

Kilka razy, po drugim z trzech udarów, Jean-Pierre powtarzał, że ma nadzieję, iż Valerie znów znajdzie miłość. Odrzucała wtedy te słowa, nie chcąc sobie nawet wyobrazić, że żyje dalej bez niego, pewna, że gdyby do tego doszło, miłość będzie ostatnią potrzebną jej rzeczą. Myliła się. To właśnie miłość sprowadza te rzeczy, za którymi Valerie tęskni: fizyczność, owszem, też, ale przede wszystkim poczucie wspólnoty i zrozumienia. Przyjęcie do wiadomości, że nie zazna tego już nigdy więcej, okazało się jej drugą wielką stratą.

Ubita droga wiodła teraz pod górę, z powrotem do grupy niewysokich kamiennych zabudowań. Valerie miała nadzieję, że znajdzie się tam ocienione miejsce, gdzie będzie można przysiąść. Jej oddech przyśpieszył, serce zabiło mocniej, chociaż podejście wcale nie było strome. Czyżby to podeszły wiek wywoływał takie sensacje? – zastanawiała się. Tę stopniową utratę sił? Ile czasu minie, zanim zacznę przykrawać swoje życie tak, by pasowało do tego, na co pozwala mi moja fizyczność? Przygnębiająca myśl jak na taki jasny i śliczny dzień...

Giulietta nie przestawała mówić, opowiadając o skandalach związanych z oliwą, o oszustach, którzy mieszają ją z olejem z tanich nasion albo sprzedają zjełczałą jako świeżo wytłoczoną.

– To katastrofa, te oliwne oszustwa! I zdaje się, że z roku na rok jest gorzej – narzekała. – Ryzykujemy przecież reputację wszystkich włoskich produktów!

– Po czym można poznać, że oliwa jest złej jakości? – zastanowiła się głośno Moll.

– Zwykle pierwszym sygnałem jest cena – odparła Giulietta. – Oliwy niemal nigdy nie udaje się kupić po okazyjnej cenie.

– Ale te butikowe oliwy są takie drogie! Niektórych z nas na nie po prostu nie stać – zwróciła uwagę Moll.

– Ja bym powiedziała, że nie stać nas, żeby nie płacić. Ale, ale, już pora spróbować naszej oliwy, która bez wątpienia jest znakomitej jakości. Przygotowałam dzisiaj dla pań dwie mieszanki, zupełnie do siebie niepodobne.

Zabrała grupę na szeroki taras wyłożony kawałkami starych kamiennych amfor i kolorowymi ceramicznymi płytkami.

– Możecie tu zobaczyć część mojej rodzinnej historii – powiedziała. – Ale to oliwa

stanowi najważniejszy łącznik z naszą przeszłością.

Valerie poczuła słodkawy zapach palącego się drewna, choć nigdzie nie widziała ognia. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś rozpała go w taki upał. Ku jej uldze Giulietta zaprowadziła wszystkich w stronę altany ocienionej rozpiętą na kracie zielonolistną winoroślą. Wewnątrz stał drewniany stół, a na nim koszyk z chlebem o chrupiącej skórce i dwie miseczki, tak wiekowe, że glazura popękała na nich już dawno, oraz taca szklaneczek do shotów i dwie niewielkie ciemne butelki z oliwą. Valerie, tknięta nagłym głodem, miała nadzieję, że to nie całość obiecanego lunchu.

Zajęli miejsca wokół stołu (Luca wciąż u boku Poppy). Giulietta niemal nabożnym gestem zaczęła nalewać oliwę do szklaneczek.

– Najpierw spróbujemy łagodniejszej, która mimo to jest mocno intensywna w smaku – zapowiedziała.

Oliwa miała odcień słonecznej żółci. Valerie podniosła szklaneczkę do nosa i przekonała się, że zawartość pachnie świeżo skoszoną trawą.

– Jeśli to dobra oliwa, czy nie powinna być bardziej zielona? – zapytała Moll.

– Interesujące pytanie. Niektórzy ludzie twierdzą, że kolor oliwy jest istotny – powiedziała Giulietta. – Ale prawdę mówiąc, nie determinuje on jakości. Będzie różny w zależności od gatunku. No i nie ma tego jak sprawdzić, więc nie warto zwracać na barwę uwagi. Oliwa powinna być przechowywana w ciemnym szkłe, które chroni ją przed światłem, więc nie zobaczymy koloru, dopóki nie otworzymy butelki.

– I mamy ją teraz wypić? – zapytała Tricia z powątpiewaniem w głosie.

– Tak właśnie. Trik polega na tym, aby upić łyżeczkę, a potem szybko wciągnąć powietrze przez zęby. Żeby wzmocnić aromat.

Giulietta zademonstrowała, jak się bierze odważny haust powietrza, zanim przełknęła łyk oliwy. Valerie spróbowała również, choć trochę się krępowała siorbać głośno. Sądząc po minach koleżanek, one odczuwały to samo.

– I co sądzicie? – zapytała Giulietta, kiedy spróbowały już wszystkie.

Valerie starała się znaleźć właściwe słowa. Oliwa miała bogaty aromat, ale nie sposób było zdecydować, z czym ją porównać. Z jakimś owocem? Warzywem? Nie miała zielonego pojęcia.

– Mnie się wydaje, że wyczuwam pomidory i karczochy – powiedziała Poppy z wahaniem.

– Tak, być może. Jest zdecydowanie roślinna – zgodziła się Moll. – Choć sama wolę te bardziej pikantne. Ta jest przyjemna, ale bardzo łagodna.

– W takim razie chyba będzie pani bardziej smakowała nasza druga oliwa. – Giulietta odkorkowała kolejną butelkę, napełniając pozostałe szklaneczki płynnym złotem.

Tym razem Valerie zassała powietrze z większym entuzjazmem. Pieprzność oliwy uderzyła w tylną ścianę gardła, pozbawiając ją tchu. Valerie zakrztusiła się, zakasłała, oczy zaszczyły jej łzami. A reszta, oczywiście, narobiła okropnego zamieszania, którego za wszelką cenę chciała uniknąć. Tricia zaczęła walić ją w plecy, Luca wcisnął w dłoń szklankę z wodą.

– Och, nie, Val... Biedactwo, nic ci nie jest? – Moll pogrzebała w kieszeniach i wyciągnęła w jej stronę pogniecioną papierową chusteczkę.

Valerie próbowała powiedzieć coś pokrzepiającego, ale zdołała tylko zachrypieć.

– Nie próbuj nic mówić, tylko oddychaj – poradziła Moll.

– Następnym razem proszę jej spróbować z odrobiną chleba. To pomoże kontrolować tę pieprzność – doradziła Giulietta, gdy Valerie doszła już do siebie.

Valerie pokręciła głową.

– Chyba zostanę przy tej pierwszej oliwie, dziękuję – odparła jeszcze nieco chropawym głosem. – Zdaje się, że lepiej odpowiada mojemu podniebieniu.

Próbowała zbyć całą sprawę śmiechem, chociaż prawdę mówiąc, sytuacja wcale nie wydawała jej się zabawna. Przy każdej możliwej okazji wypadała na osobę kruchą. Najpierw omal nie zemdląła, teraz okazało się, że nie jest nawet w stanie spróbować łyka oliwy, nie wywołując zamieszania. Zastanawiała się, co też pomyślał sobie pozostali. Luca na pewno uważa ją za starowinkę.

Pożałowała, że reszta nie potrafi dostrzec, jaka ona jest naprawdę. Gdybyż tylko mogli ją poznać jako młodą kobietę, która umiała wypływać daleko i szybko biegać! Gdybyż tylko spotkali ją, zanim jej skóra pomarszczyła się, a brwi przerzedziły. Zanim jej twarz zaczęła przypominać twarz jej matki. To podobieństwo chwilami było denerwujące.

Ta melancholia, skoro już wydało się kawał oszczędności na tę wycieczkę i było pełną nadziei na wspaniale spędzony czas, była okropna. Valerie nigdy jednak nie potrafiła świadomie odmieniać własnego nastroju. Tylko Jean-Pierre znajdował sposoby, żeby go rozjaśnić, a ją podnieść na duchu. Umiał ją rozbawić niemal zawsze, nieważne, jak była przygnębiona. Ale teraz go zabrakło i nie istniał już nikt, kto by ją rozumiał tak dobrze.

Valerie była zdana wyłącznie na siebie.

(2) Chleb i słowne potyczki

Zapach palonego drewna, jak się okazało, napływał od strony pieca na wolnym powietrzu, ustawionego w przeciwległym krańcu tarasu. Zapowiedziawszy, że lunch przyrządzi na ich oczach, Luca podsylił ogień wiórami oliwnego drewna.

– Zjemy *scacce*. To tradycyjny roboczy posiłek, który żony wnosily kiedyś mężom na pola – powiedział. – Zawsze należał do ulubionych w tej części Sycylii. W domu mojej *nonna* robiło się go na Gwiazdkę, na Wielkanoc, na urodziny i chrzciny. Za każdym razem, kiedy zbierało się wielu wygłodniałych ludzi.

– Jestem już głodna – poskarżyła się Moll.

– Przygotowanie trochę potrwa, ale jestem pewien, że tymczasem Giulietta chętnie poda wam więcej chleba i oliwy do spróbowania. Albo po prostu mi pomóżcie. W ten sposób oczekiwanie upłynie szybciej.

Valerie została w cieniu, ze szklaneczką wina pod ręką. Patrzyła, jak Luca zagniata ciasto z semoliny i oliwy. Kiedy gotował, zdawał się być w kompletnej harmonii z własnym ciałem. Poruszał się z wdziękiem, oszczędnymi ruchami. Przyjemnie było patrzeć, jak wałkuje ciasto na cienkie arkusze, a potem składa je, każdą warstwę smarując ricottą i sosem pomidorowym, posypuje mięsistymi czarnymi oliwkami i listkami młodego szpinaku, oprósza solą. I wreszcie jedną ręką wsuwa ciężką tacę do pieca.

– To zupełnie jak *focaccia* z nadzieniem – stwierdziła Moll, obserwując go uważnie.

– Tak, ale o wiele smaczniejsza, bo chleb jest bardzo cienki i zupełnie niezakalcowaty – powiedział Luca. – Nasze *scacce* będzie potrzebować trzydziestu minut w piecu, więc pójdę po komórkę i zadzwonię w kilka miejsc. A kiedy wrócę, przyrządzimy sałatkę z pomidorów i ziół. I będziemy gotowi do jedzenia.

Skierował się do samochodu. Giulietta odeszła również, tyle że do piwnicy. Po kolejną butelkę wina cerasuolo, o wiśniowej barwie, którym miały się raczyć przy lunchu.

– Wyobraźcie sobie... Mieszkać w takim miejscu! – westchnęła Moll, patrząc w ślad za Włoszką. – Niektórzy ludzie mają masę szczęścia w życiu.

Tricia skrzywiła się z powątpiewaniem.

– Tak, jest tutaj ładnie. Ale chyba nie dałabyś rady zamieszkać tu na stałe, prawda? Tylko

pomyśl, jak nudne jest życie w podobnej izolacji.

– Można by się do tego przyzwyczaić – upierała się Moll. – Życie w zgodzie z rytmem pór roku, jeść to, co zrodzi ziemia.

– Pewnie dlatego wszyscy tutaj mają obsesję na punkcie kuchni – powiedziała Tricia. – Poza jedzeniem i piciem nie bardzo jest tu co robić.

Moll zdawała się dotknięta.

– Chcesz powiedzieć, że jestem osobą nudną, ponieważ interesuje mnie jedzenie?

– Nie, skądże... Oczywiście, że nie.

– Mnie się wydaje, że ona mówi, że życie miejscowych jest po prostu mocno ograniczone – wtrąciła Poppy. – Czy nie tak?

– Owszem. Jasne...

Moll przerwała koleżance w pół zdania.

– A czy nasze życie ograniczone nie bywa? Mieszkam w Londynie, a i tak zwykle trzymam się tych samych miejsc i dokonuję tych samych wyborów. To może i wielkie miasto, ale mój udział w nim jest bardzo nieznaczny.

– Mimo to możliwości mamy mnóstwo. A oni mają tylko to. – Tricia objęła gestem widok na drzewa porastające pochyłość opadającą w stronę odległego paska morskiego błękitu, na postarzałe kamienne mury, na jaskrawe plamy bugenwilli i kępę drzew cytrusowych. – Tak, to jest piękne... Ale co tutaj robić, dokąd pójść?

– A jeszcze dwa wieczory temu mówiłaś, jak stresująco działa na ciebie praca – wytknęła Moll.

– Wiem, bo... Bo ona jest stresująca. Wolałabym więcej równowagi, mniej presji, więcej okazji do wyrwania się gdziekolwiek. Ale tak czy siak nie zrezygnowałabym z miasta, żeby utkwąć w miejscu takim jak to.

Słuchając Tricii, Valerie zastanawiała się, czy tamta nie jest czasem jedną z tych kobiet, które nigdy nie bywają w pełni zadowolone, niezależnie od okoliczności. Miała takie znajome, wiecznie nadpruwające zgrabne szwy własnej egzystencji, zmieniające wystrój pokoi, kupujące nowe ubrania, próbujące nowych hobby. Spodziewające się, że zmiana polepszy wszystko. Ale działało się tak nadzwyczaj rzadko.

– Czyż szczęście nie jest w większości przypadków kwestią doceniania tego, co się ma? – podsunęła. – Wydaje mi się, że miejscowi tak potrafią. Gdybyś ich zapytała, jestem pewna, że nie zgodziliby się z opinią, że ich życie nie jest zajmujące.

– Bo nie znają innego – upierała się Tricia.

Valerie nie miała najmniejszej ochoty na spór.

– Każdy jest inny – stwierdziła łagodnie. – Przypuszczam, że nie ma sposobu, by naprawdę dowiedzieć się, co się dzieje w życiu drugiego człowieka.

Do sałatki Luca wybrał mięsiste dojrzałe pomidory i wymieszał je z listkami natki pietruszki, piórkami słodkiej czerwonej cebuli i kolejną obfitą porcją oliwy. Valerie jeszcze nigdy nie skosztowała tyle oliwy podczas jednego posiedzenia. Zastanowiła się, co też na ten temat miałby do powiedzenia jej lekarz.

Tricia musiała myśleć podobnie.

– To mimo wszystko tłuszcz, nawet jeśli z tych zdrowszych... – powiedziała, krzywiąc się na widok szczerze chlustającego oliwą Luki.

– Nie martw się. Cudownie wpływa na skórę – pocieszyła ją Moll.

Scacce zostało wreszcie wyciągnięte z pieca. Pachniało roztopionym serem i drzewnym dymem. Luca pozwolił potrawie przez parę minut odpocząć, a później pokroił ją na plastry, które ułożył na drewnianej desce i postawił pośrodku stołu.

– Wygląda wspaniale. – Tricia uniosła aparat. – Luca, możemy? Bardzo bym chciała mieć zdjęcie nas wszystkich przy *scacce*. Zanim jeszcze zaczniemy jeść.

– Jasne. – Wziął od niej aparat i cofnął się o kilka kroków. – Dobrze. Teraz zróbcie wszystkie radosne i głodne miny... Super!

Nie zwracając sobie głowy sprawdzeniem rezultatu, oddał Tricii aparat.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Jestem pewna, że zrobiłeś o wiele lepszą fotkę niż ja zazwyczaj. No tak, przecież pracowałeś kiedyś w Londynie jako profesjonalny fotograf, nieprawdaż?

Valerie ujrzała na twarzy Luki zaskoczenie.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał.

– Och, któregoś dnia wspomniała o tym twoja przyjaciółka Orsolina. Jakiego typu fotografią się zajmowałeś konkretnie?

Luca spojrzął chłodno. Milczał przez chwilę.

– Różnie – odparł. – Głównie ludźmi.

– I zrezygnowałeś, żeby powrócić na Sycylię? Dlaczego?

– To mój dom – odparł krótko. – Dlaczego miałbym nie wrócić?

– To dosyć popularna historia – wtrąciła Giulietta, dolewając wina do szklanek. – Młodzi ludzie często wyprowadzają się, szukając nowych możliwości, a potem odkrywają, że tęsknią za domem. Ja sama też przez jakiś czas studiowałam za granicą, ale mam to miejsce we krwi. Nie umiałabym mieszkać nigdzie indziej. Ty pewnie odbierasz to podobnie, Luca, co?

– Masz rację – zgodził się.

– Choć nie ma tu aż tylu możliwości, jeśli chodzi o pracę – przyznała Giulietta. – Człowiek musi się zadowolić tym, co znajdzie. Albo sam stworzy sobie działkę, jak to zrobił Luca.

– Więc nie robisz już zdjęć? – zapytała Tricia.

Wzruszył ramionami.

– Robię, oczywiście. Ludziom, którzy chcą, żeby im pstryknąć fotkę z właśnie ugotowanym daniem. Tyle że teraz nie pobieram opłaty.

– I nie brakuje ci tego?

– Przyszła pora, by zacząć coś innego.

– Bardzo bym chciała zobaczyć twoje prace – powiedziała Tricia.

– Och, ja też! – włączyła się Poppy. – To znaczy jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jasne. Zobaczą, może uda mi się znaleźć parę zdjęć przed waszym wyjazdem – mruknął Luca. – Powinny być jakieś w domu mojej matki.

Zwrócił uwagę pań na gotowe jedzenie, pochłonął mały kawałek *scacce*, rzucił, że musi jeszcze dokądś zadzwonić, i znikł gdzieś przy samochodzie.

Kiedy odszedł, Tricia obróciła się do koleżanek.

– Bardzo się zdziwię, jeśli pozwoli nam obejrzeć te swoje zdjęcia. Jak myślicie, dlaczego on robi takie uniki? Dziwne, nie?

– Po co go wypytywać, skoro wyraźnie widać, że on nie chce na ten temat rozmawiać? – odezwała się Moll dość ostro.

– Jestem ciekawa. To wszystko.

– Niektórzy ludzie nazwaliby to wścibstwem – rzuciła Moll.

– Och, wyluzuj! – odparła Tricia. – Nie bądź taka nadęta. Zamierzam go pytać o wszystko, na co mam ochotę.

Valerie nie cierpiała takich tarć. Nigdy nie rozumiała, czemu ludziom wydaje się, że porządna sprzeczka skutkuje oczyszczeniem atmosfery. Kłótnie nigdy nie prowadzą do niczego

dobrego. Zakłócają równowagę i zawsze wiążą się z nieprzyjemnością.

– Dajcie już spokój – powiedziała, choć nie miała wątpliwości, że Tricia i Moll nie przestaną się wzajemnie irytować.

– Każdy człowiek ma prawo do prywatności. – Moll trwała przy swoim stanowisku. – A wścibstwo to zwykły brak dobrych manier.

– Dobrze. Przeszanę. Zadowolona? A może nie daje ci spokoju coś jeszcze? Bo jeśli tak, wywalmy to sobie od razu. – W głosie Tricii pojawiła się niebezpieczna nutka.

Charakterystyczna dla prawnika, pomyślała Valerie.

– W sumie mogę to powiedzieć, dlaczego nie? – ciągnęła spokojnie Moll. – To są kulinarne wakacje, więc nie jestem pewna, po co tak właściwie tu przyjechałaś. Wciąż tylko krytykujesz ludzi interesujących się jedzeniem. Nie no, doprawdy, czego ty się spodziewałaś?

– Nie krytykuję. Ja tylko dociekam – odcięła się Tricia. – Interesują mnie ludzie, taka już jestem. Przykro mi, jeśli cię to razi. Nic nie jest wymierzone przeciwko tobie, Moll, więc nie bierz tego tak osobiście.

– No cóż... Ja uważam, że to jest sprawa osobista. – Moll zgrzytnęła odsuwającym od stołu krzesłem. – I dziękuję bardzo, ale mam już tego powyżej uszu. Idę na spacer.

Tricia patrzyła w ślad za odmaszerowującą koleżanką.

– A tę co ugryzło, jak sądzicie? Zespół napięcia przedmiesiączkowego? Naskoczyła na mnie znieca, nieprawdaż? No cóż, to przecież nie moja wina...

Valerie patrzyła na idylliczny krajobraz przez zmrużone powieki. Wyglądało na to, że życie nie może być idealne, a przynajmniej nie przez zbyt długi czas. Ludzie mają dziwną umiejętność sprawiania, że wszystko staje się brzydkie. Nawet i to.

– Moll jest osobą wrażliwą – zwróciła się do Tricii. – Bardziej niż się na pozór wydaje. Pójdę i porozmawiam z nią.

Kolejny spacer w upale był jej zupełnie niepotrzebny do szczęścia tego dnia, więc Valerie z ulgą zobaczyła Moll niezbyt daleko. Siedzącą w pełnym słońcu, z zamkniętymi oczami i plecami opartymi o starą kamienną prasę do oliwek.

– Uważaj, bo dostaniesz udaru – ostrzegła.

Moll otworzyła oczy.

– Wysłały cię po mnie?

– Nikt mnie nigdzie nie wysyłał.

– Pewnie uważasz, że przesadziłam z reakcją?

Valerie spojrzała na ziemię. Gdyby usiadła obok Moll, mogłaby się już nie podnieść.

A poza tym miała na sobie czyste, białe lniane spodnie.

– W sumie uważam, że miałaś trochę racji. Jeśli Luca woli nie opowiadać o sobie, jest to wyłącznie jego sprawa. Ale muszę przyznać, że i mnie zżera ciekawość. To chyba nic złego, prawda?

– Pewnie tak – przyznała Moll niechętnie.

– Praca Tricii jako prawnika polega na sondowaniu ludzi i zadawaniu im pytań. To jej druga natura. Pewnie po prostu taką ma osobowość.

Moll westchnęła.

– Rzecz w tym, że ja jej nie lubię. Od początku. Jest próżna i małostkowa, wiecznie rozwodzi się o tych swoich włosach. Przyjechała tu, bo ma masę pieniędzy, którymi może szastać, a nie dlatego, że kocha jedzenie albo Włochy.

Valerie poddała się wreszcie i przycupnęła na ziemi obok Moll. Spodnie w razie czego można później przeprać.

– Jest mnóstwo ludzi, których nie lubię – stwierdziła. – Całe stada.

- Serio? – W głosie Moll zabrzmiało zdumienie.
- Nie należę do tych słonecznych typów, co to uwielbiają każdego, kto stanie na ich drodze, zwłaszcza jeśli istnieje powód, by go nie lubić. Ja nawet wcale nie mam tak znowu wielu przyjaciół. Przez długi czas uważałam, że Jean-Pierre to jedyny człowiek, którego potrzebuję, a teraz... No cóż, musiałam zacząć od początku i poszukać nowych. To nie takie łatwe, wierz mi.
- Po co mi to mówisz?
- Być może to jedna z rzeczy, które pozwalają mi cieszyć się tymi wakacjami. To zawieranie nowych znajomości. Jesteście ode mnie młodsze i całkiem różne, ale lubię was wszystkie.
- Chcesz mnie namówić, żebym ją przeprosiła, prawda?
- Niezupełnie. Choć przypuszczam, że jedna z was będzie musiała to zrobić. – Valerie zerknęła na piegowate policzki Moll, czerwieniejące w słonecznym żarze. – Naprawdę powinnaś się posmarować kremem z filtrem, wiesz?
- Na krem z filtrem zgoda, na przeprosiny nie. – Moll przyjęła tubkę. Wycisnęła nieco kremu na palce i rozsmarowała nierówno po twarzy, karku i ramionach. – Wiesz, żal mi Luki.
- Tak? A dlaczego?
- No cóż, jeśli był dobrym fotografem, to nie rzucił tego bez istotnego powodu. Tacy ludzie potrafią zarabiać masę pieniędzy. Nie powiesz mi chyba, że zarabia krocie, prowadząc szkołę kulinarną. Coś musiało mu się nie ułożyć.
- Teraz to ty jesteś ciekawska – stwierdziła Valerie.
- Tak, ale ja go bombardować pytaniami nie zamierzam. Każdemu wolno mieć sekrety, nieprawdaż? Założę się, że i Tricia ma kilka własnych.
- Przypuszczam, że tak – zgodziła się Valerie.
- I niezależnie od tego, co mi powiesz, ja jej nie przeproszę.

Atmosfera w samochodzie w drodze powrotnej była napięta, ale nawet jeśli Luca to zauważył, nic nie dał po sobie poznać. Włączył CD-ROM z popularną włoską muzyką, podkręcił nieco zbyt głośno i prowadził szybciej niż poprzedniego dnia.

Dojechali do Favio u schyłku popołudnia, kiedy znów otwierano sklepy. Luca zaparkował u stóp schodów, wyłączył muzykę, ale silnik zostawił na chodzie.

– No dobrze, moje panie. Mam nadzieję, że smakował wam lunch i podobała się wycieczka na plantację Ortolo – przemówił niemal oficjalnie. – Teraz dwie godziny czasu wolnego na zakupy albo relaks, bo potem czeka nas druga lekcja w szkole kulinarnej. Dania, które przygotujemy, złożą się na nasz obiad. Tymczasem się pożegnam. Do zobaczenia za niedługo.

Teraz, dla odmiany, to Valerie niemal wbiegła po prowadzących do domu schodach. Co za ogromna ulga, zatrzasnąć za sobą drzwi pokoju! Po pierwsze splukała kurz ze swoich porządnych lnianych spodni, po drugie wyciągnęła się na łóżku i przymknęła oczy. Co za dziwny, nietypowy dzień, niemal od początku zabarwiony jej własnym szarym nastrojem! A potem jeszcze zepsuty sprzeczką.

Ona i Jean-Pierre nie kłócili się nigdy. Jeśli było to konieczne, ustępowała mu, ale działa się tak nadzwyczaj rzadko. Valerie pożałowała, że nie może wyjąć komórki z torebki i tak po prostu do niego zadzwonić. Nadal był pierwszą osobą, której chciała opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło. Nie żeby podzielił się z nią jakąś ekstramądroscią przy tej konkretnej okazji, ale być może dałby radę ją uspokoić. „Nie przejmuj się, to się rozejdzie po kościach”, powiedziałyby

zapewne.

Miała nadzieję, że to prawda.

Musiała zapaść w drzemkę, bo ocknęła się niemal godzinę później, na odgłos kościelnych dzwonów. W ustach jej zaschło, oczy piekły. Valerie ziewnęła i poszła do łazienki, by spryskać twarz zimną wodą. Pomyślała o wieczornej lekcji gotowania. Miała ogromną nadzieję, że Moll i Tricia będą się do siebie odnosić uprzejmie, nawet jeśli są zbyt dumne na przeprosiny.

Ktoś cichutko zapukał do drzwi i do sypialni wsunęła się Poppy. Jej długie włosy były mokre i potargane, lekko piegowata cera pozbawiona makijażu, a i tak miała w sobie coś ponętnego. Być może chodziło o wydatność warg, krągłość policzków albo te ciemne oczy i łuk brwi, a może o ciało? Zaokrąglone i miękkie pomimo regularnego biegania. Valerie pomyślała, że tamta jest wręcz niedorzecznie ładna.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę... Chciałam zajrzeć na chwilę i porozmawiać o tej sprawie dziś po południu. – Niespokojna Poppy zniżyła głos. – Jak uważasz, co powinnyśmy zrobić?

– Zignorować – zasugerowała Valerie, mając nadzieję na uniknięcie kolejnych starć. – Zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Nie przejmuj się, to się rozejdzie po kościach. Tak to bywa z takimi sytuacjami.

Na buzi Poppy zalśniła ufność, że starsza kobieta wie najlepiej.

– Naprawdę tak uważasz?

Valerie uderzyła młodość rozmówczyni. Po wszystkich tych latach małżeństwa z apodyktycznym Brendanem Poppy musiało być ciężko polegać na kimkolwiek.

– To Moll i Tricia powinny się ze sobą dogadać – powiedziała dziarsko. – Jestem pewna, że sobie poradzą. Przecież obie są dorosłe. Wszystko będzie dobrze.

Poppy zaskoczyła ją niespodziewanym cmoknięciem w policzek.

– Jesteś taką uroczą kobietą, Val – powiedziała, a potem uciekła za drzwi.

Valerie, zanim zeszła na dół, musiała otrzeć oczy chusteczką i poprawić rzęsy tuszem. Męcząca jest ta podatność na emocje, pomyślała. A przecież nigdy w życiu nie bywałam tak płaczliwa.

W kuchni Moll pomagała Luce w przygotowaniach do lekcji. Na widok Valerie chyba jej ulżyło.

– Dobrze wypoczęłaś? – zapytała z uśmiechem.

– Tak. Zgasłam jak świeca, gdy tylko się położyłam. A ty?

– Nie chciało mi się spać. Nie zamierzam zmarnować ani minuty pobytu, jeśli tylko się da. W domu będzie mnóstwo czasu na wypoczynek.

Valerie stłumiła ziewnięcie.

– Zgadzam się z tobą całkowicie. Mimo to drzemka była bardzo smaczna.

Luca zaczął wypisywać kredą na tablicy wieczorne menu: *maltagliati* z szafranem, kurczak z czekoladą z Favio.

– Kolejne przepisy twojej *nonna*? – zapytała Valerie, przyglądając się uważnie.

– Tak. Nauczyła mnie obu tych dań, chociaż kurczak to oryginalny przepis rodziny Mazzara – odparł. – Pochodzi od matki Vincenza, o ile mi wiadomo. Moja *nonna* zbierała przepisy. Spisywała je wszystkie, czasem na odwrocie opakowań po makaronie, żeby nie tracić pieniędzy na papier. Był kiedyś jej cudowny stary notes. Trzymała go tutaj, w kuchni.

– I co się z nim stało?

– Tego nie wiem. Szukałem go po jej śmierci. Kiedy odnawialiśmy dom, niemal rozebraliśmy go na kawałki, ale notesu ani śladu. To smutne, ale chyba zginął na dobre.

– Może go zniszczyła? – podsunęła Valerie. – Niektórzy kucharze strzegą receptur zazdrośnie.

– Nie, moja *nonna* nie była taka. – W głosie Luki zabrzmiała duma. – Dla niej przepis był jak rozmowa. Zresztą uwielbiała rozprawić o jedzeniu: jakie są najlepsze składniki, w jaki sposób można ulepszyć danie.

– Może jej notes wyrzucono przez pomyłkę? Ludzie potrafią zrobić takie głupstwo podczas porządków w rzeczach należących do zmarłego – powiedziała Valerie.

Myślała oczywiście o Jean-Pierze. Jak zawsze. Chciałaby móc zatrzymać tyle należących do niego przedmiotów. Sweter z szetlandzkiej wełny, nieco drapiący, niebieską sztruksową czapkę i pasek z miękkiej skóry ze srebrną sprzączką... Znoszone, stare rzeczy, które jego dzieci powsadzały do plastikowych toreb na śmieci i przekazały dla biednych, zanim Valerie miała okazję je powstrzymać. Te ubrania musiały jeszcze nim pachnieć, tą cytrusową nutą wody kolońskiej i olejkami do skóry. A ona tak chciałaby owinąć się swetrem... A nawet i włożyć czapkę na głowę.

– Notes twojej *nonna* mógł się zaplątać między jakimiś starymi ubraniami czy obuwiami – stwierdziła.

– Racja – zgodził się Luca. – To prawdopodobne. Pod koniec umysł babci zaczął słabnąć, więc mogła schować notatki w jakimś dziwnym miejscu. Nigdy do końca nie pozbyłem się nadziei, że jeszcze go znajdzie. Ale na razie muszą mi wystarczyć przepisy, które dla mnie skopiowała, i dania, które próbowałem odtworzyć z pamięci.

– To świetnie, że dbasz o rodzinną tradycję – wtrąciła Moll. – Moje dzieci zupełnie nie interesują się gotowaniem. Próbowałam im pokazywać, jak się robi ich ulubione dania, ale w ogóle ich to nie obchodzi. Beze mnie żyłyby zupą z puszek i daniami na wynos.

– Ile masz dzieci? – zapytała Valerie.

– Dwie dziewczynki, Lolę i Rae, czternaście i szesnaście lat. Na czas wyjazdu zostawiłam im zamrażarkę pełną jedzenia. Wystarczy, że wrzucą coś do mikrofalówki. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby w niektóre wieczory nie chciało im się zrobić nawet tego. Po co, skoro kawałek dalej ulicą jest McDonald's.

– Są jeszcze młodziutkie – powiedziała Valerie. – Być może zmienią zdanie.

– Mam nadzieję. Na razie jednak ostatnią rzeczą, jaką chciałyby po mnie odziedziczyć, jest zeszyt z moimi przepisami. No ale i tak nie powinnam narzekać. To naprawdę dobrze dziewczyny.

Pojawiły się pozostałe kursantki i Moll umilkła. Przeszła ku skrajowi kuchennego blatu, gdzie stała Valerie, i pozostała przy jej boku, kiedy Luca zaczął demonstrować pierwsze danie. Zrobiło się nieco niezręcznie, ale Tricia ignorowała Moll, zwracając się przede wszystkim do Poppy.

A więc tak to teraz będzie wyglądać, pomyślała Valerie z niejakim żalem. Grupa podzieliła się na pół. Czy mi się to podoba, czy nie, zdaje się, że przez resztę wakacji będę miała Moll za towarzyszkę, pomyślała.

Luca rozpoczął lekcję od zagniecenia kolejnej porcji makaronowego ciasta, tym razem złotego od sproszkowanego szafranu, który wymieszał z mąką.

– *Maltagliati* to makaron robiony, gdy człowiekowi się śpieszy – wyjaśnił. – Nazwa oznacza „źle pocięty”, więc nie trzeba tu żadnych starań ani perfekcji. *Zaganiana mamma* może go zrobić na szybki lunch dla rodziny. Moja *nonna* często nam go podawała, żeby podtrzymać naszą energię przy ciężkiej pracy. Czasami ucierała nieco bazylii i dodawała do ciasta, więc robiło się zielone, nie złote. Nie zabierało niemal w ogóle czasu.

To naprawdę jest bardzo proste, zgodziła się Valerie, wałkując ciasto i tnąc je na

niewielkie, nierówne kwadraty. Żadna z nich nie miała z tym trudności. Nawet Poppy, która na początku lekcji wydawała się spięta, zaczynała się dobrze bawić.

Zamiast robić ciężki sos, Luca podsmażył na oliwie kilka kolorowych papryk, dodał podarte liście bazylii, szczyptę soli i na sam koniec trochę mielonych, prażonych migdałów.

Dzwonek do drzwi odezwał się dokładnie w chwili, gdy wyłączał gaz pod patelnię.

– Ach, znakomicie! To na pewno moja specjalna dostawa. W samą porę – powiedział, kierując się ku drzwiom.

Otworzył je, a Valerie wydało się, że słyszy głos Vincenza Mazzary. Poczula, jak na myśl, że znów go zobaczy, ogarnia ją lepszy nastrój, lecz natychmiast skarciła się za niemądre pomysły.

Vincenzo wszedł do kuchni, niosąc w jednej ręce kilka tabliczek swojej czekolady, a w drugiej pęk polnych maków. Miał na sobie niebieską koszulę w kratę, rozpiętą pod szyją, z podwiniętymi rękawami.

– Słyszałem plotkę, że ktoś tu robi specjalnego kurczaka mojej *mamma* – powiedział, kładąc czekoladę na kuchennym blacie.

– Tak naprawdę to w wersji mojej *nonna*... – poprawił go Luca. – Z prosecco zamiast z białym winem.

– Nie?! Twoja *nonna* zmieniła przepis? Nie wierzę.

– W jej wersji jest lepszy – oświadczył Luca.

Czerwone maki, związane w niestaranny bukiet kawałkiem rypsowej wstążki z jego sklepu, Vincenzo wręczył Valerie.

– Dla pani, *signora*. Mam nadzieję, że już pani lepiej?

Valerie poczuła, że ma rumiane policzki.

– Jakie śliczne! Bardzo dziękuję.

– Zebrałem je tuż przed przyjściem. Obawiam się, że nie wytrzymają długo i wkrótce zaczną więdnąć, więc proszę się nimi nacieszyć, dopóki się da.

Lata minęły od chwili, gdy po raz ostatni dostała kwiaty od mężczyzny. Jean-Pierre preferował trwalsze podarunki, a żaden z byłych mężów po ślubie nie zawracał sobie głowy prezentami.

– Znajdę wazon i wstawię je do wody. – Valerie wiedziała, że robi wrażenie podenerwowanej.

Moll pomogła jej ułożyć delikatne lodygi zakończone papierowymi płatkami, uśmiechając się, gdy chwytala jej wzrok. Na pewno myśli, że to romantyczny gest. Valerie wiedziała, że tak nie jest. Dobięła wieku, kiedy kwiaty (nawet te polne) dostaje się raczej jako wyraz współczucia niż adoracji. Mimo to czuła się mile połączona. Uznała, że maki są śliczne.

– A teraz wracamy do naszych zajęć – poinstruował Luca, wyjmując z lodówki głębokie naczynie, w którym marynowały się kawałki kurczaka. – Skoro gotujemy według jego rodzinnego przepisu, pomyślałem, że zaproszę *signore* Mazzarę na obiad. Zapomniałem, jaki będzie zgorszony, odkrywając, że namoczyłem kurczaka w prosecco, ale moja *nonna* przysięgała, że to właśnie sekret nadający mięsu kruchość i delikatny aromat.

– Luca, przyjacielu. Przynajmniej czekoladę pozwól mi przygotować jak należy – poprosił Vincenzo. – Czy może tę część przepisu twoja *nonna* też ulepszyła?

– Nie, nie. Jestem pewien, że by się nie ośmieliła – zaśmiał się Luca. – Chociaż czasami, dla oszczędności, robiła to danie z królika zamiast z kurczaka. Ale podejrzewam, że twoja *mamma* robiła tak samo, jeśli o kurczaka akurat było trudno.

Rozpakowawszy przyniesioną przez siebie ciemną czekoladę, Vincenzo zaczął ją rozcierać, korzystając z moździerza. Utarł ją na pastę z kilkoma goździkami i nasionami

fenkułu.

Obaj mężczyźni krzatali się ramię w ramię: Luca zeszklił cebule na skwierczącej oliwie i podsmażył w niej na złoto kurczaka, Vincenzo nałożył na wierzch tuszki czekoladową masę. Luca dodawał po łyżeczce: biały ocet, posiekane chili, odrobinę cukru i kolejną odrobinę prosecco.

– Całą resztą butelki możemy się uraczyć, kiedy kurczak będzie się dusił – powiedział, wyjmując smukłe kieliszki do szampana z górnej półki kredensu. – Pewnie to kolejny powód, dla którego moja *nonna* wolała ten przepis.

Valerie po raz pierwszy widziała, że Luca pije alkohol, choć nalał sobie zaledwie pół kieliszka. Uniósł go w szybkim toaście i wypił do dna.

Vincenzo sięgnął do lodówki po kolejną butelkę.

– Twoja *nonna* na pewno chciałaby, abyśmy nacieszyli się i tym – oświadczył.

– Nie byłaby zaskoczona. – Luca uśmiechnął się od ucha do ucha. Mimo to odmówił dolewki.

Zasiedli przy stole na tarasie. Luca przyniósł spirale przeciw komarom, miseczkę z tłustymi zielonymi oliwkami, trochę chleba i butelkę oliwy Ortolini. Słońce zachodziło, a oni popijali schłodzone prosecco, podczas gdy zapach kurczaka duszonego w winie i czekoladzie podsyczał apetyty.

Valerie zawsze lubiła tę wieczorną porę, kiedy światło powoli miękło, przechodząc w ciemność, i zapalało się świece. Wszyscy wyglądali teraz o wiele lepiej: ostre rysy twarzy Tricii złagodniały i stały się niemal ładne, opalenizna na skórze Vincenza nabrała głębi, jego oczy połyskiwały ciemniejszym złotem. Poppy zmieniła się w piękność. Nawet siedząca koło niej zwyczajna mała Moll nabrała uroku.

– Nasz trzeci dzień niemal dobiegł końca – powiedziała ze smutkiem. – Te wakacje zdają się przelatywać nie wiadomo kiedy. Nie zdarzają się wam takie chwile, kiedy chciałybyście po prostu zatrzymać czas?

Moll skinęła głową.

– Jasne, że się zdarzają.

– Niedługo znajdę się z powrotem w domu, a to wszystko zmieni się wyłącznie we wspomnienia i kilka zdjęć. Jak cała reszta mojego życia.

Zobaczyła, że Vincenzo zerka w jej stronę. Prowadził wprawdzie rozmowę z Tricią, ale być może dobiegły go wypowiedziane przez Valerie słowa.

– Dopadło mnie straszliwe ponuractwo, prawda? Szczerze mówiąc, przez cały dzień miałam ten dziwny nastrój.

– Jestem pewna, że to całkiem naturalne. Biorąc pod uwagę, przez co przeszedłaś – odparła Moll współczująco.

Vincenzo przyglądał się obu, zdając się czekać na okazję do rozmowy. Valerie uśmiechnęła się doń, ale nie przerywała konwersacji z koleżanką.

– Jean-Pierre kazałby mi przestać tak nad wszystkim rozmyślać i żyć chwilą – przyznała.

– To dobra rada – zgodziła się Moll. – Ale chyba łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Często mnie zabierał w jakieś piękne miejsce, a jeśli czyniłam uwagę, że bardzo chciałabym tam któregoś dnia powrócić, zaczynał się śmiać. „Przecież jesteś tu teraz, Valerie. Ciesz się tym”, mawiał.

– Naprawdę? Musiał być świetnym człowiekiem...

– Tak. Gdyby nim nie był, być może aż tak bardzo bym za nim nie tęskniła. Ojej, przepraszam! Zmieńmy szybko temat, zanim popsuję nastrój wieczoru.

– Może sprawdzimy, czy Luce nie trzeba pomocy przy podawaniu obiadu – podsunęła Moll. – Zresztą i tak chcę zobaczyć, jak on gotuje ten makaron. Mój w domu, nie wiedzieć czemu, często się klei.

Vincenzo skorzystał ze sposobności następczonej serwowaniem obiadu i zmienił miejsce przy stole na to, gdzie poprzednio siedziała Moll. Zaatakował swój makaron z entuzjazmem i przyjął dokładkę, zbyt zajęty jedzeniem, żeby rozmawiać.

– Wie pani, mamy we Włoszech takie powiedzenie – odezwał się do Valerie, kiedy wreszcie otarł usta serwetką. – Mój *papa* upodobał je sobie szczególnie. „Przy stole człowiek się nie starzeje”, powtarzał często, tłumacząc w ten sposób swój nawyk długiego biesiadowania.

– Przy stole człowiek się nie starzeje – powtórzyła Valerie. – Podoba mi się. Gdyby tylko była to prawda...

– A czemu nie zdecydować się w to wierzyć? Przy stole jest dobrze: świętuje się przy nim, współczuje innym, zawiera nowe przyjaźnie. – Vincenzo położył serwetkę obok pustego talerza. – Cóż może być lepsze niż chwila, kiedy zasiada się do miski ze smacznym daniem przy szklaneczce wina? Jest tak, jakby najlepsze w życiu człowiek wciąż jeszcze miał przed sobą.

– Dużą wagę przywiązuje pan do jedzenia, prawda?

– Jak większość Sycylijczyków, a już zwłaszcza moje pokolenie. Żaden z życiowych kamieni milowych nie jest uważany za należycie uczczony, jeśli nie towarzyszy mu wielka uczta. Oczywiście częściowo ma to związek z popisywaniem się. My, Sycylijczycy, to uwielbiamy. Ale przede wszystkim chodzi o jedzenie.

– Czy pan gotuje dla siebie samego porządny posiłek każdego wieczoru? Nawet jeśli Orsoliny nie ma w domu? – zaciękała się Valerie.

– Oczywiście. A cóż miałbym robić innego? Czasem jest bardzo prosty. Jakaś świeża ryba z sosem z oliwy, cytryny i ziół. Czasem *caponata* albo sałatka z warzyw, przybrana migdałami i chili. Lubię poświęcać czas na zastanawianie się, co zjem, i codziennie kupować na targu świeże produkty. Ale moment prawdziwego odprężenia przychodzi, gdy zaczynam gotować.

– Lubił pan przebywać w kuchni od zawsze?

– Tak. Kiedy jeszcze była z nami moja żona, gotowaliśmy wspólnie. Wtedy robiliśmy więcej jedzenia, dwa albo trzy dania, i zapraszaliśmy na posiłek przyjaciół. A potem siedzieliśmy nad stołem pół nocy. – Vincenzo się uśmiechnął. – No bo, oczywiście, przy stole człowiek się nie starzeje.

– W domu jadam przed telewizorem – przyznała się Valerie. – Być może dlatego zrobiłam się taka stara.

– Stara? Nie, nie wydaje mi się, *signora*. – Mężczyzna wziął się do zbierania brudnych miseczek po makaronie. – Ale jeśli pani uwagę odwraca telewizja... Jak może pani w pełni doceniać smak i konsystencję tego, co pani je?

– Często to tylko chińszczyzna na wynos, którą kupuję po drodze do domu – wyznała Valerie. – Gotowałam częściej, kiedy żył mój partner, Jean-Pierre. On wydawał obiady na dziesięć czy dwadzieścia osób, ale wybór menu należał do mnie. Gotowanie dla jednej osoby wydaje mi się trochę pozbawione ducha. Podobnie jak zasiadanie do stołu, żeby zjeść w samotności.

– Ja natomiast dbam, aby w dania tchnąć duszę – odparł Vincenzo. – Mam serwetkę, ładnie wypolerowane sztuczce, zastawę odziedziczoną po *mamma* i ciotkach. Zmieniam posiłek w niewielkie święto.

Valerie podniosła się, żeby pomóc mu odnieść puste naczynia do kuchni.

– To by tylko sprawiło, że poczułabym się jeszcze bardziej samotna – powiedziała. – Telewizor dotrzymuje mi towarzystwa. Choć przez połowę czasu nie mam pojęcia, co oglądam. Gra wyłącznie po to, żeby był jakiś hałas.

– Odgłos telewizora to jedna z tych rzeczy, których nie cierpię. – Vincenzo się skrzywił. – Zawsze powtarzam Orsolinie, żeby go przyciszyła.

Valerie nie była zdziwiona. Również Jean-Pierre niezłomnie twierdził, że godziny przed ekranem to godziny stracone. Wolał angażować się w życie, niż siedzieć i oglądać je w telewizji.

Zastanowiła się, jaka też była żona Vincenza, ale zdecydowane poczucie, że nie wypada, powstrzymało ją przed zadawaniem dalszych pytań. W głębi serca zgadzała się z Moll: narzucanie się drugiemu ze swoją ciekawością jest po prostu niegrzeczne. Wcześniej czy później ludzie sami opowiedzą ci to, co uważają za stosowne.

Podano danie główne, a przy stole ponownie nastąpiła zmiana miejsc. Moll znalazła się na przeciwległym jego krańcu, zaś Tricia przesiadła się, zajmując miejsce u drugiego boku Vincenza. Szybko zmonopolizowała rozmowę.

– Gdzie, u licha, człowiek chodzi wieczorami w takiej okolicy? – zapytała.

– Kafajka na *piazza* jest otwarta dość długo – odparł. – Jest też jeden mniejszy bar na wzgórzu, który wieczorami bywa wcale pełny.

– Ale ja myślę o takim prawdziwym wyjściu – upierała się Tricia. – Z muzyką i tańcami.

– Już od lat tego nie robiłem – przyznał Vincenzo. – Jest chyba takie miejsce parę kilometrów dalej, przy plaży. Rodzaj dyskoteki, gdzie latem biegają dzieciaki. Ale jeśli wychodzę gdzieś sam, to zwykle po to, aby nacieszyć się filiżanką gorącej czekolady i likierem po obiedzie.

– No cóż... Brzmi to dość przyjemnie. Być może powinniśmy spróbować dzisiejszego wieczoru?

Tricia prawie nie tknęła obiadu. Połowę *maltagliati* zostawiła na talerzu, a teraz bawiła się kurczakiem, chociaż był tak miękki, że rozpływał się w ustach, mieszając się z delikatnie słodkawym i pikantnym sosem. Valerie pomyślała, że niedojadanie tak dobrego jedzenia to czyste marnotrawstwo. Nawet jeśli nieco rozprasza nas siedzący obok mężczyzna.

– A więc kto jeszcze chce się przejść do miasteczka na deser i kieliszek przed snem? – zapytała Tricia. – Poppy? Luca?

Moll jadła, nie podnosząc wzroku znad talerza. Nie raczyła odpowiedzieć nawet wówczas, gdy pozostali przytaknęli pomysłowi. Valerie zerknęła na koleżankę. Chociaż kusilo ją, żeby ten wieczór przeciągnąć, nie było na to szans.

– Nie zmierzę się dziś ponownie z tymi schodami – powiedziała lekko. – Chyba zostanę w domu.

Moll podniosła oczy.

– Ja też. Tak przyjemnie się tutaj siedzi. Po co się ruszać?

Vincenzo próbował przekonać obie do zmiany zdania.

– Ale spacer po obiedzie robi dobrze na trawienie – nalegał. – A gorąca czekolada w barze na *piazza* jest doskonała, przysięgam. Z całą pewnością wspomnę o niej w swoim przewodniku kulinarnym. Musi pani jej spróbować.

– Może innym razem – odparła Valerie. – Jeśli znajdzie pan czas.

– Oczywiście. Bardzo chętnie. – Vincenzo błysnął uśmiechem. – To może jutro wieczorem?

Ucałował ją delikatnie w oba policzki i odszedł. Wargi miał ciepłe. Valerie czuła leciutkie drapanie jego zarostu. Vincenzo pachniał piżmem i ziarnami kakaowca.

Przez ulotną chwilę trwało drżące przecucie wzajemnego pociągu. Było zupełnie niespodziewane i pozostawiło po sobie nadzieję, z której stanowczo nie umiała zrezygnować.

Z miłości do jedzenia

Luca Amore pamięta, jak się to skończyło. Końcówka jest właśnie tą częścią, z którą usiłuje się uporać. Cała reszta równie dobrze mogłaby się przytrafić komuś innemu. Tutaj, w kuchni swojej *nonna*, pod koniec wieczoru, pochłonięty rutynowym sprzątaniami po obiedzie: ładowaniem zmywarki, chowaniem do lodówki resztek jedzenia, przecieraniem powierzchni roboczych, prawie nie może uwierzyć, że kiedyś prowadził tamto życie.

Wspomnienie o nim mogło już przyblaknąć w pamięci większości ludzi, ale najwyraźniej nie w pamięci Orsoliny. Luca wie, że ona ma odruch przywiązywania się do tego, co się jej mówi. Pamięta, że matka Orsoliny była dokładnie taka sama.

Ale tam nie było żadnej z nich, więc mogły znać sprawę wyłącznie w najogólniejszych zarysach. Orsolina była jeszcze dzieckiem, gdy Luca dopiero co skończył osiemnaście lat i usiłował przetrwać w Londynie jako student. Wszystko w tym wielkim, szarym mieście kosztowało więcej, niż się spodziewał. Życie stawało się coraz bardziej ograniczone, coraz marniejsze w swojej skromności. Zrezygnował z zakwaterowania i koczował na sofach u znajomych, opuszczał posiłki, a zamiast jeździć autobusem, chodził piechotą. Mógł poprosić matkę o więcej pieniędzy, ale czuł się winny za te, które wziął od niej i tak.

To zajęcie zaczęło się od przysługi dla Harry'ego, studenta najczęściej pozwalającego Luce przemocować u siebie w mieszkaniu. Luca go lubił. Harry nie skąpił na jedzeniu, dzielił się z nim kawą i piwem, rozśmieszał go. Ale później zaczął opuszczać zajęcia na uczelni i wkrótce w ogóle zrezygnował ze studiów. Luce powiedział, że znalazł całkiem fajne zajęcia i że przydałaby mu się w nim pomoc.

– Ty obstawisz tylne wejście, ja stanę od frontu – poinstruował, wręczając mu aparat.

Luca całą noc przesiedział w krzakach z termosem kawy i paczką słodkich herbatników. Mimo to walczył ze sobą, żeby nie zwinąć się w kłębek na ziemi i nie zasnąć. We wczesnych godzinach porannych to jemu udało się pstryknąć zdjęcie. Nie rozpoznał blondynki, która wymknęła się tylną bramą, kiedy jaśniał już świt, ubrana we wczorajsze ciuchy. Ale Harry przykazał mu fotografować każdego, kto będzie wchodził czy wychodził, więc Luca wypełnił polecenie. Dopiero później odkrył, że była sławna, była gwiazdą jakiejś opery mydlanej. Zdradzała swojego chłopaka.

Dziewczyna przeszła tuż obok kryjówki Luki, więc nietrudno było uwiecznić ją na zdjęciu. Negatywy wywołano, okazały się dobre i wyraźne. Harry zaklinał się, że Luca ma wrodzony talent, a potem podzielili się z nim zawrotną sumą pieniędzy.

Kiedy drugi raz poprosił o pomoc, Luca się nie wahał. Wystawianie obok pojemników pełnych gnijącego jedzenia na tyłach restauracji na West Endzie przyjemne raczej nie było, ale znów udało mu się zrobić zdjęcie, które wydrukowano w niedzielnej gazecie. I znów podzielili się honorarium.

I w ten oto sposób Luca został fotografem, do spółki z Harrym, który wiedział wszystko o tym, jak za pomocą łapówek zdobywać informacje. A koniec końców załatwił im obu kontrakt z pewną agencją.

Luce najbardziej odpowiadały wyzwania i pościg. Ten przypływ adrenaliny, ta ekscytacja, jaką dawał mu odniesiony sukces. Lubiał korzystać ze swojego intelektu, nie tylko z aparatu. A najlepsze ze wszystkiego było zdobywanie czegoś, czego nie udawało się zdobyć nikomu innemu. Był na tyle młody, że interesowało go niewiele więcej.

Studia, w porównaniu z tą pracą, wydawały się nudne, więc również Luca je sobie

odpuścił i poświęcał się karierze dzień i noc. Wspólnie z Harrym zainwestowali w motocykl, bardzo szybki. Zarabiali spore pieniądze i szybko je wydawali. W tamtym życiu wszystko było szybkie i łatwe: praca, imprezy, nawet kobiety. I wszyscy żyli tak samo.

Latem podążali za sławnymi ludźmi do miejscowości wypoczynkowych w Hiszpanii, Włoszech i Francji. Zimą przychodziła pora na wyjazdy rodziny królewskiej na narty. Harry miał kontakty, ale to Luca zawsze udawało się zrobić lepsze zdjęcie. Stanowili zgraną drużynę.

Od czasu do czasu sprawy się komplikowały. Zdarzało się, że ktoś Lucę skłął albo opluł. Raz oberwał pięścią. Przyzwyczyił się, że targa ze sobą ciężki sprzęt fotograficzny i drabiny, że sypia w samochodach i w środku nocy godzinami wystaje pod nocnymi klubami. Często zbierał się pod nimi cały tłumek, uniemożliwiając zdobycie materiału na wyłączność. I Luca, i Harry robili się coraz bardziej bezwzględni i zdeterminowani. Wykorzystywali przysługi i przyjaźnie. Liczyło się wyłącznie ujęcie.

Ona była największą nagrodą ze wszystkich, więc lubił ją śledzić najbardziej. Po jakimś czasie zaczęła go rozpoznawać, zapamiętała nawet jego imię. „Nie dzisiaj, Luca, proszę”, zdarzało jej się powiedzieć, jeśli akurat czuła się kiepsko albo nie miała makijażu. Czasem opuszczał aparat, dawał spokój, a później jakoś sobie radził z wściekłością Harry’ego. Warto było. Dla tych chwil, kiedy ona się uśmiechała i mówiła: *Ciao, bello!* Tych rzadkich chwil, kiedy wręcz dla niego pozowała.

Tamtego, ostatniego lata uganiali się za nią wokół całego Morza Śródziemnego. Pojechali do pewnej willi na południu Francji, na pogrzeb w Mediolanie, na Sardinie, gdzie wypożyczyli motorówkę, żeby się jak najbardziej do niej zbliżyć. Luca obserwował ją przez długi obiektyw, wychwytywał każdy wyraz jej twarzy i zmianę nastroju. Przyglądał się setkom obrazów, które rozsyłali po całym świecie. W końcu znał jej twarz niemal tak samo dobrze, jak własną.

A potem wszystko się skończyło, pewnej nocy, w mrocznym paryskim tunelu. I ta końcówka okazała się właśnie tą częścią, o której Luca nijak nie potrafił zapomnieć.

To właśnie z nią się zmagał.

Moll

Bardzo długo oszczędzałam, wiesz? Nie jestem taka jak wy. Mój przyjazd tutaj nie oznaczał wyłącznie wypełnienia na formularzu zgłoszeniowym szczegółów karty kredytowej i spakowania walizki.

Kiepsko się żyje z pensji pracownika socjalnego, zwłaszcza jeśli samotnie wychowuje się dwójkę dzieci. Niewiele zostaje na dodatkowe przyjemności. Od lat nie miałam wakacji i prawie nigdy nie oglądałam restauracyjnych wnętrz. Nawet cappuccino na wynos to dla mnie spory luksus. Naprawdę mocno zaciskałam pasa.

I od zawsze marzyłam o wyjeździe do Toskanii. Wyobrażałam sobie ten krajobraz z cyprysami, gdzieś pod Florencją czy Sieną, i jakiś rozłożysty, rozsypujący się *palazzo*. Ale wszystko, za czym się rozglądałam, było takie drogie... A ja nie chciałam już dłużej czekać. Nie chciałam marnować kolejnego roku czy dwóch, żeby odłożyć więcej pieniędzy.

A potem znajoma blogerka przesała mi na Facebooku informację o tym miejscu. Brzmiała idealnie. Styl kulinarny, oczywiście, kompletnie odmienny, choć ja, szczerze mówiąc, wolę jedzenie z północnych rejonów Włoch. Ale rozwiązanie było przystępne cenowo. Mogłam przyjechać od razu, a właśnie o to mi chodziło.

Mimo to czułam się winna, że aż tyle wydam na samą siebie. Loli potrzebne są nowe ubrania, a dla Rae przydałoby się odłożyć nieco więcej na studia. Obie dziewczynki jednak kazały mi się nie martwić i uparły się, abym wyjechała. Mama wsparła mnie jakimiś wyszperanymi zaskórniakami. We trzy przyparły mnie do muru. Kochane!

Pewnie dlatego denerwują mnie takie kobiety jak Tricia. Dla niej ten pobyt na Sycylii to wyłącznie tegoroczne wakacje. Pewnie już się zastanawia, dokąd pojedzie na przyszłość.

Sama chciałam zacząć trochę popodróżować, kiedy dziewczynki dorosną i wyjdą z domu, nawet gdybym musiała jeździć z plecakiem. Bo tak naprawdę nigdzie w życiu nie byłam. Kiedy wyszłam za mąż, jeździliśmy tylko z przyczepą kempingową do Kornwalii, a wcześniej, jeszcze jako studentka, dorabiałam latem po barach i kawiarniach, więc nigdy nie było czasu.

Chociaż i tak, w pewnym sensie, podróżowałam po świecie zastępczo, za pomocą jedzenia. Jedzenie w moim przypadku to główny asumpt do podróży. Bardziej interesuje mnie smak różnych rzeczy, niż jak co gdzie wygląda. Wolę targ rybny od galerii sztuki, ingrediencje od pamiątek. Potrzeba mi tylko przyzwoitej książki kucharskiej i mogę podróżować wszędzie, nie ruszając się z mojej własnej, wygodnej kuchni: do Maroka, Meksyku, Chin. Gdzie chcesz.

Na weekendy zawsze planuję małe przygody. Uwielbiam wyszukiwać niewielkie sklepiki z przyprawami albo włoskie delikatesy i po prostu wdychać ich zapach. Pożądam nowych przepisów i aromatów, a tam mogę je znaleźć.

W zeszłym roku dopadł mnie kompletny azjatycki bzik. Starłam się odnaleźć harmonię smaków: słodkiego, kwaśnego i pikantnego, więc szafkę kuchenną miałam pełną wina shaoxing i buteleczek z *kecap manis*. Przedtem dominowała kuchnia indyjska, to ucieranie w móżdżerzu nasion kminu rzymskiego i kolendry, które potem wrzucałam na gorący olej, bazę do aromatycznego curry. Dziewczynki uwielbiały moją kuchnię meksykańską, burrito i domowe taco. Podobało im się również, gdy odbiło mi na Hiszpanię i przygotowywałam paellę. Polubiły nawet surową rybę i wasabi, kiedy jadłyśmy po japońsku.

Ale moją ulubioną jest kuchnia włoska. Zawsze do niej wracam, gdziekolwiek bym zawędrowała z tymi swoimi rondlami i książkami kucharskimi. Tu nie ma smaków, które się

nudzą, nie ma dań, które by mi się przejadły. Zawsze uwielbiałam wyrabiać ciasto na makaron czy *gnocchi*, odparowywać późnym latem słodkie pomidory na sos, ucierać na tarce kawałek twardego, ostrego parmezanu.

A teraz jestem tutaj – nie tylko gotuję sycylijskie dania, ale też naprawdę jestem na Sycylii. Robię to, co zawsze doradzał ci Jean-Pierre, Val: żyję chwilą, podążam za swoim marzeniem.

Tak, tęsknię za dziewczynkami, ale one mówią, że świetnie sobie radzą beze mnie. Moja mama zagląda do nich codziennie, a ja wieczorami skajpuję.

Może już nigdy nie wrócę do Włoch, ale jestem tu i teraz i naprawdę chcę nacieszyć się każdą chwilą, nie oglądając się na nic. W końcu po to tak długo oszczędzałam. I nikt mi tego nie zdoła zepsuć.

Dzień czwarty

(1) Miecznik, cannoli i czyjaś tajemnica

Moll obudziła się na dźwięk budzika, jak co rano. Zanim przychodziła pora się wyszykować, lubiła dawać sobie przynajmniej godzinę na uaktualnienie bloga. W domu zdarzało jej się zamieścić kilkuakapitowy wpis, często o rzeczach, które gotowała, aby podzielić się drobnymi wskazówkami i pomysłami.

Teraz wśród rzeczy wartych opisanie mogła przebierać.

Dzisiejszy wpis, naturalnie, w całości poświęciła oliwie. Uznała, że nie ma większego znaczenia, jeśli kilka uwag Giulietty przekaże jako własne. Doprawdy, kto się połapie? Poza tym liczą się przede wszystkim konkrety: jak odróżnić dobrą oliwę od złej.

Najpierw jednak sprawdziła komentarze pod wczorajszą notką. Jej stali komentatorzy wydawali się podekscytowani pobytom Moll na Sycylii. Domagali się przepisów i większej liczby zdjęć. Chcieli wiedzieć, jaki jest Luca i co się dzieje każdego dnia. Moll z przyjemnością spełniała ich prośby.

O pewnych rzeczach lepiej jednak nie wspominać. Na przykład o sprzeczce z Tricią. Nie żeby Moll wstydziła się swojego wybuchu. Nigdy nie tolerowała głupiej gadaniny. Uważała się za osobę, która mówi wszystko prosto z mostu. A jeśli się to komuś nie podoba, to już jego problem.

Tricia od początku działała jej na nerwy, bo Moll doskonale wyczuwała, gdy ktoś traktuje ją protekcyjnie. I co z tego, że nie maluje sobie paznokci i nie prostuje włosów? Że jest pracownikiem socjalnym, a nie adwokatem? Że mieszka w Hackney, a nie w Belgravii? Nikomu nie daje to prawa do zadzierania nosa.

Skończyła aktualizację bloga i włożyła laptopa do miękkiego pokrowca. Do następnego razu. Moll uwielbiała Internet. Pozwolił jej na całkiem nowe życie, na poznanie tak wielu ludzi, którzy myśleli w podobny sposób...

Komputer był jedyną rzeczą, którą Moll skrupulatnie odkładała na miejsce. Cała reszta pokoju tonęła w nieładzie. Ubrania wylewały się z walizki, toaletka była zastawiona wyciągniętymi z bagażu drobiazgami, a na podłodze wały się buty, książki i pogniecione papierki po czekoladzie. Ogarnianie tego wszystkiego wydawało się bez sensu. Tylko bym zrobiła jeszcze większy bałagan, pomyślała.

Na chybił trafił Moll wyszukała w walizce coś do założenia. W domu zapakowała do niej mnóstwo luźnych bluzek, spodni wiązanych troczkami i spódnic z elastycznymi paskami, a mimo to po wczorajszym obiedzie doświadczała nieprzyjemnego wrażenia, że ubranie wpija się w jej ciało.

Są w życiu gorsze rzeczy niż kilka kilo nadwagi, stwierdziła. A wieczorem nacieszyła się przecież każdym kęsem. Tym daniem z makaronu, z jego wyrazistymi smakami warzyw podsmażonych na pachnącej trawą oliwie, tym kurczakiem uduszonym w kąpieli z przypraw i czekolady. Spodziewała się, że będzie ciężki, jak meksykańskie *mole*, które kiedyś próbowała zrobić, ale sos okazał się delikatny. Nie zdominował mięsa, tworząc idealną harmonię słodczy i kwaskowatości, w połączeniu z nagłym ogniem chili będącym ukoronowaniem każdego kęsa.

Moll po prostu nie mogła się doczekać smaków nadchodzącego dnia. Kilka niewielkich ciasteczek na śniadanie; te napełnione niezbyt słodką cytrynową marmoladą należały do jej

ulubionych. A potem zarezerwowany lunch w pewnej restauracji na Ortygii. Luca obiecał im ucztę złożoną z owoców morza.

Zastanawiała się, czy przyniósł już śniadanie. Nie usłyszała trzaśnięcia drzwi wejściowych, ale jej pokój leżał na uboczu domu, oddalony i zaciszny. Nie dobiegał tu ani hałas suszarki do włosów Tricii, ani krzątania Poppy, wymykającej się o świcie, żeby pobiegać w dół i w górę Favio licznymi schodami. Moll była z tego zadowolona.

Rezerwując ten wyjazd, myślała wyłącznie o gotowaniu i jedzeniu. Nie brała pod uwagę, że kurs oznacza nawiązywanie bliskich kontaktów z innymi kobietami. Gdy tylko je poznała, już wiedziała, że to nie są osoby w jej guście. Nawet Val, chociaż ją tak bardzo polubiła, należała do innego świata.

Pochłonięta własnymi myślami, Moll wcisnęła się w czarne legginsy z Marks & Spencer i powieknę tunikę z krótkimi rękawami, drukowaną w jasne słoneczniki. Nie zawracała sobie głowy przeglądaniem się w lustrze. Zdawała sobie sprawę, jak wygląda, nie potrzebowała ciągłego przypominania.

Nigdy nie była jakoś szczególnie ładna. Przejmowała się tym, kiedy była w wieku Loli i Rae, ale później nabrała przeświadczenia, że to rodzaj przewagi. Przynajmniej nie trzeba się martwić przybieraniem na wadze i zmarszczkami. To niesamowite, ile czasu i pieniędzy marnują niektóre kobiety, walcząc ze zmianami na twarzy. Moll nie widziała w tym sensu. Woląa myśleć, że ma talent pozwalający jej przebić wzrokiem pozory i dotrzeć do sedna ludzkiego charakteru.

Podsumowanie pozostałych uczestniczek kursu przyszło jej łatwo. Tricia jest skoncentrowana na sobie i próżna (tego typu Moll nie lubiła najbardziej). Val to osoba serdeczna i mądra. Poppy stoi na rozdrożu życia i sprawia wrażenie dość wrażliwej (łączyło je obie doświadczenie rozvodu).

Lecz przejrzanie Luki nie było już takie proste. Owszem, ma tę swoją kulinarną pasję i potrafi gotować. Poza tym Moll wyczuwała w nim ogólnie sympatyczny charakter. Jasne, że musi istnieć jeszcze coś innego, jakaś skrywana strona osobowości... W pracy Moll spotykała wielu skrzywdzonych ludzi. Przejawiała się ta krzywda na różne sposoby, a Moll przywykła w każdym na swojej drodze wypatrywać jej symptomów. A jednak co do Luki nie miała pewności. Może był w nim jakiś zablizniony ślad traumy, a może nie.

Jednej rzeczy jednak była pewna – on robił słodkie oczy do Poppy. Od początku przyłapywała go na spojrzeńiach w stronę tamtej, pełnych czegoś w rodzaju wahania podszytego zachwytem. Moll wyobrażała sobie, że nie dostrzega tego nikt inny, nawet i sama zainteresowana.

Natomiast drugi flirt, rozgrywający się pomiędzy Vincenzem a Valerie, był o wiele bardziej oczywisty. Teraz musiał być już widoczny dla wszystkich. Jakie to słodkie, że on przyniósł jej kwiaty! Odrobina męskiego zainteresowania mogłaby świetnie zrobić Val, ale być może lepiej, jeśli na tym się skończy? Biedna Valerie naprawdę nie potrzebuje w życiu miłosnego zawodu...

Moll była głodna i rozpaczliwie potrzebowała kawy. Przez zamknięte okiennice usłyszała bicie kościelnych dzwonów, oznajmających godzinę. Ósma. Luca w kuchni na pewno już wykłada ciastka. Chwyciwszy aparat, Moll zeszła na dół, by to sprawdzić.

Nie była zadowolona, kiedy zastała w kuchni Tricię, zajętą otwieraniem drzwi szafek i zatraskiwaniem ich na powrót.

– Szukam maszynki do kawy – powiedziała do Moll głosem pełnym irytacji. – Gdzie on chowa to cholerstwo? Nie wiesz czasem?

– W tej szafce na górze, obok lodówki. Reszta przyborów do kawy też tam jest.

– Och, dzięki, jest, faktycznie. Hej, powinnaś była pójść z nami wczoraj wieczorem. Smakowałyby ci ta czekolada na gorąco. Była gęsta i naprawdę bogata w smaku.

Moll nie raczyła odpowiedzieć.

– A na koniec odwiedziliśmy jeszcze dwa bary. Nie można powiedzieć, żeby Favio zadziwiało nocnym życiem.

Tricia wyjęła porozkładaną na części maszynkę do kawy i teraz bezskutecznie usiłowała złożyć ją w całość. Moll patrzyła na te wysiłki, aż poczuła, że nie zdierży dłużej.

– Daj mi to tu – powiedziała.

– Och, dzięki. – Tricia odsunęła się na bok. – Nigdy nie umiałam sobie radzić z takimi rzeczami. W domu mamy tę wielką maszynę, Paul kazał ją zainstalować specjalnie. Dla mnie jej obsługa to istny koszmar, więc zwykle nie zawracam sobie tym głowy. Kupuję kawę na mieście.

Moll wolałaby, żeby Tricia przestała się tak starać. Miała nadzieję, że zdołają obchodzić się nawzajem dużym łukiem aż do końca wyjazdu i unikać wszelkich zbędnych interakcji. Irytowało ją, że ktoś tak przez nią nielubiany usiłuje być tak uprzejmy. Teraz będzie musiała zrewanżować się tym samym.

– Długo wczoraj siedzieliście? – Spróbowała nadać głosowi ton zainteresowania.

– Tak chyba mniej więcej do północy, może dłużej. Wyszliśmy, kiedy już zaczęli zamykać. W sumie to był miły wieczór, dużo śmiechu. A Vincenzo szalenie czarujący.

Moll miała nadzieję, że wkrótce pojawią się pozostałe kursantki. A najlepiej Val. Na razie jednak starała się, jak umiała, znosić paplaninę Tricii.

– Czarujący? Całkiem możliwe – powiedziała bez większego entuzjazmu.

– Zdaje się, że jego żona wiele lat temu zginęła w wypadku drogowym. Powiedział mi, że potrafił ją jadący zbyt szybko motocyklista. Vincenzo nie ożenił się po raz drugi. Dziwne, nie sądzisz?

Ona we wszystko musi wściubiać nos! – pomyślała Moll.

– Na pewno zajęty był wychowywaniem Orsoliny i prowadzeniem firmy.

– Taaak. Tak właśnie mówił. – Tricia łypnęła spod oka na nią. – Rozmawialiśmy trochę we dwoje o życiu, ale przysięgam, nie wypytywałam go. Więc mnie już nie karć, okej?

– Poppy też była z wami? – zapytała Moll, ignorując aluzję.

– Nie, poszli sobie z Lucą nieco wcześniej. Chyba mieli zamiar przejść się na Pizzo i obejrzeć panoramę nocą.

– Więc zostałaś tylko ty i *signor* Mazzara?

– Przez mniej więcej ostatnią godzinę owszem.

Moll zastanowiła się, co to znaczy. Wprawdzie uważała Tricię za kobietę, która nie przejmie się czekającym w domu mężem, a jednak, mogłaby przysiąc, Vincenzo wcale nie był nią zainteresowany.

Trzaśnięcie frontowych drzwi zabrzmiało jak ratunek. Najpierw Moll usłyszała poranne powitanie, a później w kuchni pojawił się Luca. Dźwigał koszyk wypełniony – miała nadzieję – po brzegi pieczywem i ciastkami.

– Och, witam. Robicie kawę? – odezwał się pogodnie. – Dobrze. I mnie się trochę przyda.

– Późno poszedłeś spać? – zapytała Tricia.

– Jak na mnie tak – przyznał. – Zwykle wolę zasypiać grubo przed północą.

Tricia parsknęła śmiechem.

– Mięczaki z was tutaj, w Favio. U nas nie uważamy, że to późna pora.

Molly mogłaby się z nią spierać. Ona nawet w weekendy trafiała do łóżka przed dwudziestą drugą trzydzieści z książką i herbatką rumiankową i wcale nie wydawało się jej, że

to coś niezwykłego. Zachowała jednak tę myśl dla siebie i pomogła Luce rozpakować koszyk, wyjmując świeże *cornetti*, z których sączył się krem, miękkie ciasteczka marcepanowo-pistacjowe, chrupiące bułki, jeszcze lekko ciepłe, dojrzałego melona o miąższu barwy pomarańczy i trochę podłużnych w kształcie truskawek.

Wyłożywszy wszystko na półmisek, naląła sobie kawy i wyszła na taras, by tam się nią nacieszyć. Nawet kiedy dobiegły ją głosy Valerie i Poppy, nie chciało jej się wracać do środka. Przyjemnie było tak posiedzieć i popatrzeć na miasteczko skąpane w porannym świetle. Zdażyła już zrobić kilkadziesiąt zdjęć tej panoramy, ale żadne nie było w stanie oddać rzeczywistości. A może poprosić Lucę o wskazówki? Może potrzebny jest inny obiektyw? Przecież on był kiedyś zawodowym fotografem, powinien to wiedzieć.

– A, tu jesteś! – Valerie wyszła na zewnątrz. – Dziś rano wszyscy jemy śniadanie w środku.

– Dziękuję, ale tu mi dobrze.

Valerie zawahała się.

– No to jak chcesz – powiedziała i wycofała się do wnętrza.

Moll miała nadzieję, że Valerie nie usiłuje jej matkować. Nie było takiej potrzeby. Nigdy nie zaliczała się do osób, które są spragnione nieustannego towarzystwa. W domu były dziewczynki i ciągle wpadał w odwiedziny któryś z przyjaciół, a w pracy, w biurze bez ścianek działowych, zawsze czuła się otoczona ludźmi. Tutaj przyjemnie było pobyć samej. Zauważała różne rzeczy. Na przykład człowieka na balkonie po przeciwnej stronie ulicy, który podlewa swoje krzaczki pomidorów, zanim dosięgnie je słońce. Dobiegał ją odgłos zamiatania podłóg przez mieszkającą tuż obok sąsiadkę i zapach czegoś słodkiego, piekącego się w jej piekarniku. Staruszka wciągała za sobą po schodach wózek z zakupami, gdzieś, w którymś domu powyżej, głośno kłóciła się jakaś para. Wszystko to składało się na Sycylię. To właśnie była Sycylia, której Moll chciała doświadczyć. Zamiast tej ciągłej paplaniny grupki kobiet, z ich banalnymi flirtami i małostkowymi plotkami.

Ziewnęła i potarła oczy. Przez chwilę pomyślała, co teraz robią dziewczynki. Miała nadzieję, że nie zasnęły i poszły do szkoły. Zadała sobie pytanie, czy pamiętały, żeby podlać zioła w doniczkach i nakarmić koty. Tu, w Favio, żyło mnóstwo dzikich kotów, a Moll było żal tych wychudzonych stworzeń o matowym futrze i poranionych grzbietach. Luca wyganiał je z tarasu i mówił, żeby ich nie dokarmiać, ale ona i tak, kiedy nie patrzył, podrzucała im resztki.

Zabrawszy pusty kubek po kawie, Moll wróciła do kuchni po dolewkę. Pozostali wciąż siedzieli wokół śniadaniowego stołu. Talerz Poppy pełen był niedojedzonych ciastek i kawałków skórki melona. Talerz Tricii, dla odmiany, czyściutki. O tym, że zjadła śniadanie, świadczyło zaledwie kilka ogonków po truskawkach. Val smarowała bladziółtym miodem kromkę chrupkiego chleba.

– To o której wyruszamy na Ortygię? – zapytała Moll, nalewając sobie do kubka to, co zostało w maszynie do kawy.

– Za jakieś pół godziny – zaproponował Luca.

– A kiedy już dojedziemy, jaki jest plan?

– Aż do lunchu macie wolne i możecie robić, co dusza zapragnie. Ortygia pełna jest historii. Można tam zobaczyć ruiny świątyn i pospacerować po starówce. Aha, i sklepy są ciekawe. A przynajmniej tak mówi Orsolina.

Moll nie była zainteresowana bezcelowym wałęsaniem się po sklepach. Jeśli czegoś potrzebowała, po prostu szła to kupić, a w przeciwnym razie sklepy omijała. Przejrzała przewodnik, który wcześniej znalazła na jakiejś półce, i sprawdziła, co jest warte zobaczenia.

Tricia tymczasem poszła na górę, najpewniej poprawić makijaż, Poppy – żeby posmarować kremem z filtrem odsłonięte ramiona. Val natomiast po okulary słoneczne.

– Jest jakaś katedra, którą mogłybyśmy zwiedzić... – powiedziała Moll, kiedy już wróciły wszystkie. – I te ruiny, o których wspominał Luca.

– W sumie całkiem chętnie obejrzałabym sklepy – przyznała Val. – Chętnie się przekonam, co tu jest modne.

– Ja również – zgodziła się Tricia. – Jestem tu od trzech dni i jeszcze ani razu nie użyłam karty kredytowej. To niebywałe. Amex niedługo wyśle po mnie misję ratunkową.

Zajęły miejsca w minibusie, przy czym Moll zadbała, aby nie trafiło jej się siedzenie obok Tricii. To była ich najdłuższa, na razie, wyprawa. Droga wiodła przez połacie suchej ziemi gajów oliwnych, przy niej rosły dzikie maki i oleandry, w oddali pasło się stado przeżuwających z powagą kóz. Na horyzoncie po raz pierwszy mignęła szeroka wstęga błękitu Morza Śródziemnego (Moll natychmiast zamarzyła, aby się w nim zanurzyć).

Otoczoną morzem Ortygię łączyły ze stałym lądem mosty. Z tego co Moll wyczytała na blogach innych ludzi, było to miejsce, gdzie warto poszukać autentycznej sycylijskiej kuchni. Zrobiła wcześniej trochę notatek na temat tych rzeczy, których miała nadzieję tu spróbować.

– Czy na lunch będzie miecznik? I świeże sardele? – zapytała Lucę.

– Mam taką nadzieję. Ale kto może przewidzieć, co też uda się wyciągnąć z morza?

W Il Capriccio podają tylko najświeższe ryby. Kupują je bezpośrednio z łodzi rybackich. Jedną rzecz jednak mogę ci obiecać: najlepsze *cannoli*, jakie posmakujesz w życiu.

Za plecami Moll Tricia jęknęła głośno.

– Błagam, czy możemy na minutę przestać mówić o jedzeniu? Przecież dopiero co skończyliśmy śniadanie!

– Nie zdawałam sobie sprawy, że dzisiaj ten temat już był poruszany – odparła sztywno Moll. – Bardzo przepraszam.

I ucieszyła się, kiedy Luca dodał:

– Ja tam mogę zawsze mówić na temat *cannoli*. Nieważne, jak jestem najedzony.

– A co w nich takiego niezwykłego? – zapytała Tricia. – No dawaj, przecież się aż palisz, żeby nam opowiedzieć.

– One mają długą i ciekawą historię – roześmiał się Luca. – Kiedyś robiono je na święto wiosny, jeszcze w średniowieczu, kiedy Sycylię okupowali Arabowie. Niektórzy uważają, że *cannoli* to był nasz sposób na umocnienie narodowej tożsamości. Inni, że symbolizowały płodność i chroniły przed złymi duchami.

– Och, proszę... – jęknęła ponownie Tricia. – Przecież to tylko ciastka, czyż nie? Jakim cudem miałyby odganiać złe duchy?

– To nie są zwyczajne ciastka – sprzeciwił się Luca. – Mają chrupiący, lekki wafelek, a kiedy człowiek się w nie wgrzyzie, *ricotta* przesycona aromatem kwiatu pomarańczy rozplywa się w ustach. Chrupią zmielone pistacje. Bywają *cannoli* dobre i złe. Sam jestem straszliwie wybredny i jadam je wyłącznie tam, gdzie napelniane są masą w chwili zamówienia, więc w żaden sposób nie zdążą rozmięknąć.

– Te *cannoli*, które kupujemy u siebie, to wielkie, tłuste, mdlące słodkie ciacha – wtrąciła Valerie.

– Tak słyszałem, owszem. Ale te tutaj są nieduże i delikatne i nawet w przybliżeniu nie tak słodkie. Oczywiście istnieją różne ich wersje, w zależności od tego, gdzie się pojedzie. Do niektórych dodaje się czekoladę albo miód, marsalę lub wodę różaną, kandyzowaną skórkę cytrynową, a nawet *zucca*, czyli skórkę arbuza w cukrze. Istnieją rodzinne przepisy przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie, nigdy niezapisane, podobnie jak przepisy na

inne specjały, takie jak *arancini* albo pikantne ciastka z orzechami i figami, które nazywamy *cuccidati*.

– W twoich ustach to wszystko brzmi szalenie romantycznie – powiedziała Poppy. Tricia tym razem tylko parsknęła.

– Przecież to ciastka! Gdzie tu romantyzm?

Luca znów się roześmiał.

– Spróbujecie *cannoli* w Il Capriccio, a potem możecie mi wmawiać, że się nie zakochałyście.

Podczas jego przemowy Moll robiła notatki, uznawszy, że być może wykorzysta je na blogu.

– A w jaki sposób ty robisz *cannoli*? – zapytała.

– Szczerze mówiąc, sam ich nie robię. Kupuję je, jak inni. Zwykle są cieńsze i bardziej chrupkie od tych, które udały mi się kiedykolwiek. W miejscach takich jak Il Capriccio rurki piecze się owinięte wokół kawałka trzciny cukrowej zamiast w nowoczesny sposób, wokół metalowej foremki. Niektórzy twierdzą, że najlepsze *cannoli* można znaleźć w Palermo, ale moim zdaniem żadne nie mogą się równać z miejscowymi.

Moll uważnie zapisała wszystko, co mówił Luca, i schowała notes do podniszczonej, skórzanej torby na ramię. Torba pełna była innych rzeczy, których mogła ewentualnie potrzebować – muślinowy szal w blad różowym kolorze, żeby zakryć nagie ramiona, gdyby mieli zwiedzać jakiś kościół, zapasową kartę pamięci do aparatu, okulary do czytania drobnego druku na restauracyjnych menu – a i tak była o połowę mniejsza niż wielkie torbiszczki, które targała ze sobą Tricia. Logo na nim było rozpoznawalne nawet dla Moll. Gucci. Coś podobnego kosztowałoby jej miesięczną pensję, a służyło, jak stara konduktorka, za ledwie do noszenia przedmiotów. Moll nijak nie była w stanie zrozumieć takiego szaleństwa.

Zaparkowali w pobliżu nadmorskiego bulwaru, a potem przeszli w słońcu, mijając jachty i łodzie rybackie kołyszące się na wodzie w marinie, i skierowali się w stronę sporego *piazza*, w którego centrum ogrodzenie otaczało jakieś starożytne ruiny.

– To świątynia Apolla – wyjaśnił Luca. – Datowana gdzieś na szóste czy siódme stulecie. Ma ciekawą przeszłość. Zbudowali ją Grecy, potem przejęli muzułmanie, a jeszcze później Normanowie zrobili z niej kościół.

Moll zauważyła, że z budowli pozostały wyłącznie fragmenty kolumn, kilka kamiennych stopni i osypujący się mur. Pomiedzy nimi rozciągał się przystrzyżony trawnik. Moll nie należała do osób, do których w takich miejscach przemawia historia. Nie zdarzało się jej odczuwać łączności z ludźmi, którzy przewijali się przez *piazza* w minionych epokach. Mimo to zrobiła parę fotek, by je ewentualnie wykorzystać później.

Również Tricia nie wydawała się specjalnie podekscytowana. Ledwie rzuciła okiem na stare ruiny.

– A gdzie te sklepy, o których nam mówiłeś, Luca? – zapytała.

Wskazał ręką w stronę szerokiego bulwaru, obrzeżonego szeregiem przeszklonych sklepowych witryn, na których Moll dostrzegła manekiny prezentujące letnią modę w jasnych kolorach (i na pewno w najmniejszych możliwych rozmiarach).

– W sumie to i ja chciałabym zajrzeć do pewnego sklepu... – zwróciła się do Luki. – Czytałam o nim w przewodniku, który znalazłam w domu. Nazywa się Il Gusto di Sicilia.

– Ach tak? Znam go świetnie. Musisz przejść się na drugi koniec wyspy, ale to nie tak daleko. Sprzedają tam wiele lokalnych produktów spożywczych od niewielkich producentów. Mają też jakieś wina.

– Brzmi świetnie.

– Będą ci wmuszali masę próbek – ostrzegł Luca. – Uważaj, żeby nie najęść się za bardzo.

– Zostawię sobie miejsce na miecznika i *cannoli*. Obiecuję.

– W takim razie zaznaczę ci to miejsce na mapie – zaproponował. – Spotkamy się ponownie przy świątyni Apolla w samo południe. A później pójdziemy na lunch. I nie spóźnijcie się, bo nie zatrzymają dla nas stolika.

Grupa się rozdzieliła: Val ruszyła z Tricią na zakupy, a Moll poszła dalej, z Poppy i Luca, w stronę starówki. Idąc szybkim krokiem, skręcili w wąską boczną uliczkę i dotarli do rzędu budynków, które łukiem obramowywały długi plac. Nad placem górowała kolejna, tym razem barokowa, katedra.

– To ortygiańska *duomo* – powiedział Luca. – Ongiś również grecka świątynia. Jeśli wejdziecie do środka, zobaczycie oryginalne doryckie kolumny.

Poppy wyciągnęła szyję, podziwiając wspaniałą fasadę.

– Zastanawiam się, czy przychodził tu mój dziadek, kiedy był mały. Urodził się na Ortygii, ale nie opowiadał o historii tego miejsca. Mówił wyłącznie o jedzeniu i o pogodzie.

– To tutaj odbywa się większość ślubów i chrztów na wyspie. Tych okazałych – wyjaśnił Luca. – Na pewno kiedyś tu był, nawet jeśli jego rodzina zwykle modliła się w innym kościele. Wejdziemy do środka?

– Tak, bardzo chętnie – zgodziła się Poppy.

Moll nie dała się skusić. Nieważne jak były piękne, nie dla kościołów tutaj przyjechała.

– Ja pójdę dalej – powiedziała. – Może później. Jeśli zostanie jeszcze czas.

Żadne nie próbowało przekonywać jej do zmiany zdania. Poppy chętnie przyjęła zaoferowany przez Moll różowy szal do okrycia nagich ramion. Kiedy w towarzystwie Luki wchodziła po stopniach katedry, szal zatrzepotał na wietrze pomiędzy sylwetkami obojga. Moll nie powstrzymała się i pstryknęła im zdjęcie.

Para znikła za wielkimi, łukowato sklepionymi drzwiami, a ona znalazła sobie miejsce przy pustym stoliku w zatłoczonej ulicznej kawiarni, naprzeciwko katedry. Ostatnio przekonała się, że szklanka coli daje natychmiastowy zastrzyk energii, i czuła, że teraz bardzo jej potrzebuje. Nawet jeśli za napój zedrze z niej skórę.

Przed *duomo* pozowała do fotografii jakaś panna młoda w średnim wieku. Nie miała najlepszej figury, a suknia obciskała ją nieco przesadnie. Popijając lodowato zimną colę, Moll wspominała własny ślub. Jak została dopięta w tafcie barwy kości słoniowej, tak ciasnej, że ledwie mogła oddychać, a co dopiero cieszyć się weselną kolacją...

Nawet sycylijscy drużbowie w tandetnych garniturach przypominali przyjaciół byłego męża Moll, Keitha. Szczególnie jeden, w spodniach rurkach. Keith był typowym chłopakiem z East Endu, gdzie wszyscy w tamtych latach stylizowali się bardzo podobnie, zwłaszcza na ślubach.

Moll dopiła colę i zapłaciła. Nie w tym rzecz, że swego małżeństwa żałowała – przecież dzięki niemu miała dziewczynki – ale żal jej było lat przeżytych dokładnie tak, jak sobie tego życzył Keith. Kontrolował wszystko, począwszy od pilota do telewizora, na tym, co jedli, skończywszy. Moll przez lata kupowała mięso z kością i doprawiała je jedynie solą i pieprzem. Smażyła frytki w wielkim garze z gorącym olejem. Na stole stawiała butelki z keczupem i pikantnym sosem, którym on później wszystko szczerze polewał. Podawała do obiadu kubki z herbatą i talerze z miękkim białym chlebem, posmarowanym grubo masłem. Codziennie punkt szósta po południu Keith zjadał obiad przy akompaniamencie drącego się w kącie telewizora, a o siódmej wieczorem był już w pubie.

Niektóre przyjaciółki Moll miały mężów o wiele gorszych. Keith przynajmniej nie

wracał do domu pijany i wściekły. I nigdy nie uderzył żony, ani razu. Uwielbiał Lolę i Rae i kiedyś zabierał je na huśtawki do miejscowego parku – na godzinę co niedziela. Teraz dziewczynki wołały już pizzę i kino, ale poza tym, jak podejrzewała Moll, rytuał spotkań pozostał bez zmian.

Wszystko zaczęło się od drobnych aktów buntu: stawiania obiadu na stole pół godziny później, podprawiania gulaszu czosnkiem, który kupowała już zmielony, w słoiczku, korzystania ze świeżych ziół zamiast z suszonych. Moll nie знаła się jeszcze wtedy na kuchni, gotowała głównie to, czego nauczyła się od matki. Wiedziała jednak, że ma w sobie tęsknotę za życiem na swój sposób bogatszym.

Wszystko się zmieniło, gdy spróbowała pesto. Przeczytała artykuł w dodatku lifestylowym do niedzielnej gazety i pomyślała, że nazwa brzmi uroczo, pojechała więc kawał drogi do Clerkenwell i kupiła trochę we włoskich delikatesach. Zjadła je łyżeczką prosto ze słoika. Nigdy wcześniej nie próbowała czegoś, co by smakowało w taki sposób: ta słodycz i zapach zmiażdżonych listków bazylii, ostrość świeżego czosnku, łagodność oliwy i sera, lekko żywiczny posmak orzeszków piniowych, a wszystko połączone i eksplodujące smakiem w jej ustach. Wróciła do sklepu po więcej, chociaż przy pierwszym zakupie wzdrygnęła się na widok ceny.

Tamten niewielki słoiczek pesto obudził w niej coś więcej poza kubkami smakowymi. Moll nagle zrozumiała, ile ją omija, i jej bunt zaczął przybierać coraz większe rozmiary. Nabyła jedną z książek kucharskich Elizabeth David i upierała się przy gotowaniu według przepisów autorki, choć Keith większość obiadu zostawiał na talerzu i wychodził potem po rybę z frytkami. Moll wróciła na uczelnię i ukończyła kurs pracownika socjalnego. Hodowała już bazylię w doniczkach i robiła własne pesto.

Kiedy wystąpiła o rozwód, zaszokowani byli wszyscy, nie mniej niż sam Keith. Jej rodzina martwiła się o zabezpieczenie finansowe, przyjaciółki pytały, czy naprawdę sądzi, że znajdzie kogoś lepszego.

Wstając, żeby opuścić kawiarnię, Moll patrzyła, jak włoska panna młoda gramoli się do ślubnego samochodu, i nie zazdrościła jej ani odrobinę. Jej samej nigdy nawet nie przyszło do głowy, by ponownie wyjść za mąż. Mężczyźni wymagają wiele uwagi i ciągłego podtrzymywania na duchu, a na to Moll brakowało i czasu, i energii.

Zarówno jej matka, jak i babka trwały szczęśliwe w małżeństwach dekadę za dekadą. Ale one nigdy nie miały okazji, by przespacerować się średniowiecznymi uliczkami wśród domów w odcieniu bladego miodu. Uliczkami tak wąskimi, że nie przejechałoby nimi żadne auto. Zamiast makaronu jadały ziemniaczane purée instant, zamiast *cannoli* – krem Angel Delight z proszku. Ich życie odmierzały kubki herbaty z cukrem (trzy łyżeczki na kubek!).

Mapa powiodła teraz Moll wzdłuż nadmorskiego bulwaru i restauracji z pasiastymi markizami, spod których kelnerzy nawoływali do przyjrzenia się menu z bliska. Nie widziała wśród nich lokalu pod nazwą Il Capriccio, więc tylko kręciła stanowczo głową i szła przed siebie.

Il Gusto di Sicilia okazał się spełnieniem idealnego wyobrażenia Moll o sklepie. Drzwi były otwarte szeroko na ulicę, a z wnętrza rozchodził się zapach dojrzewających serów i wędzonych wędlin. Tuż obok wejścia stała kobieta z tacą pełną maleńkich kanapeczek, którymi kusiła przechodniów. Moll nie oparła się i wzięła jedną. Kanapka miała w środku twardy, pikantny ser i świeżą bazylię, tak pyszne, że ślinka napływała do ust. Moll nabrała ochoty na kolejną.

Oto istna świątynia jedzenia! Całą jedną ścianę zajmowały słoiki pikli i przetworów. Moll ruszyła wzdłuż ich rzędu, przyglądając się uważnie. W tym kryła się pasta z karczochów,

w tamtym pesto z dziko rosnącego kopru włoskiego, w następnym słodko-kwaśna *caponata*.

Znad kontuaru zwieszały się przypominające kształtem tykwę miejscowe sery, w gablotach pod nim leżały twarde gomółki pieczonej ricotty. Wyłożono salami i całe półcie *prosciutto*, na regałach ustawiono octy i oliwy, półki przeszklonych szafek uginały się od wyboru *antipasti*. Moll zachłannie chłonęła ten widok. Miała nadzieję, że nikt nie zabroni jej robienia zdjęć.

Pomimo ostrzeżenia Luki oparcie się chęci spróbowania oferowanych towarów okazało się niemożliwością. Moll podjadła słodkawej kielbasy, wędzonej mozzarelli, ricotty z miętą i kaparami. Obsługa uparła się, że otworzy wino, i nalano Moll szklaneczkę. Do popijania smacznych kąsków.

Najbardziej jednak zaskakiwały ceny. Wszystko tutaj zdawało się kosztować ułamek tego, co w Londynie, mimo że i jakość, i wybór były lepsze. Moll uważnie wybierała rzeczy, które chciała zabrać ze sobą do domu, wydając pieniądze wyłącznie na to, czego z całą pewnością tam nie znajdzie.

Spacer powrotny odbyła o wiele wolniej, solidnie obciążona zakupami. Zanim doszła do *duomo*, było zbyt późno, żeby wejść do środka, więc ruszyła dalej, ku wyznaczonemu miejscu spotkania.

Valerie i Tricia już tam stały, również obciążone zakupami, tyle że na ich torbach wypisane były nazwy sklepów odzieżowych. Nastąpiła krótka chwila prezentacji zdobyczy i opowiadania oraz wyciągania różnych rzeczy wśród szelestu papieru pakowego. Moll udawała uprzejme zainteresowanie: Tricia kupiła dla siebie kilka powiewnych sukienek i parę niepraktycznych sandałów (ewidentnie drogich), Val kilka bawełnianych bluzeczek (drogich ewidentnie mniej). Moll przypuszczała, że tamte są wcale nie mniej zaskoczone jej nabytkami.

– Hej, a gdzie Luca? – Tricia zerknęła na zegarek. – Przecież sam mówił, żeby się nie spóźnić. Jest już dziesięć minut po czasie.

– Mam nadzieję, że nie stracimy stolika – odezwała się Moll. – Twierdził, że jest takie ryzyko, jeżeli zjawimy się zbyt późno.

– Też mam taką nadzieję – powiedziała Val. – Rozpaczliwie potrzebuję gdzieś usiąść i czegoś się napić.

Tricia mocniej chwyciła torby z zakupami.

– To może ja wrócę do tego ostatniego sklepu? Całkiem nieźle mówili tam po angielsku. Jeśli zdołają mi wytłumaczyć, gdzie jest Il Capriccio, pójdę przodem i przypilnuję naszych miejsc. A wy tu poczekajcie na resztę.

Moll niechętnie doceniła jej decyzję.

– Nie mam pojęcia, gdzie oni się podzieli. Zostawiłam ich przy *duomo*, a to zaledwie pięć minut spacerem stąd.

Zanim wreszcie dostrzegły Lucę i Poppy, lawirujących ramię przy ramieniu poprzez tłum, minęło kolejne dziesięć minut. Czy mnie się tylko przywidziało, czy też oni trzymają się za ręce? – pomyślała Moll. Tak czy inaczej, kilka metrów przed grupą rozdzielili się i Luca pomachał na przywitanie.

– Strasznie przepraszam! – powiedział. – Chodziliśmy to tu, to tam i zupełnie straciliśmy poczucie czasu. Ale dzwoniłem do restauracji. Powiedziano mi, że Tricia trzyma nasz stolik, więc nie ma powodu gnać.

Il Capriccio nie znajdowało się tuż przy brzegu morza, jak większość popularnych turystycznych atrakcji, ale kilka ulic w głąb lądu, schowane w wnętrzu podniszczonego barokowego domiszcza z zapuszczonym ogrodem. Kelner wprowadził ich do salki o niskim suficie, ze ścianami pokrytymi chropawym tynkiem i obwieszonymi czarno-białymi,

oprawionymi w ramki fotografiami. Stare zdjęcia przedstawiały miejscowe pejzaże. Pomna, że najlepsze jedzenie jest często podawane w najmniej pretensjonalnych wnętrzach, Moll nabrała otuchy.

Dopiero po kilku chwilach rozpoznała młodego człowieka, który siedział obok Tricii przy stoliku pod oknem. Do Moll dotarło, gdzie go widziała.

– Czy to aby nie szef kuchni z winnicy, którą zwiedzaliśmy? Jakżeż on się nazywał...? Santo coś tam? Ciekawe, co on tu robi.

– Tak, chyba masz rację. To on – zgodziła się Val.

Bez kucharskiego stroju Santo wyglądał jeszcze młodziej: ciemna grzywka opadająca na brązowe oczy, ocienione długimi, błyszczącymi rzęsami, gładko ogolona oliwkowa skóra. Moll nie zdziwiła się, widząc zachwyt na twarzy Tricii, która już zdążyła poprosić, żeby do ich stolika dostawiono dodatkowe krzesło.

– Santo ma dziś wolne, więc przyjechał, by zorientować się, co oferuje konkurencja – wyjaśniła. – Uznałam, że żadne z was nie będzie miało nic przeciwko, jeśli się dosiadzie. W końcu im nas więcej, tym więcej dań możemy spróbować.

Gdy usadowiono się wygodnie, kelner niemal natychmiast przyniósł przekąskę – niewielkie talerzyki z ricottą posypaną pistacjami. Luca i Santo skupili się na menu i po ożywionej dyskusji uzgodnili, że zaczną od plasterów wędzonego miecznika, półmiska okładniczek, przybranych płatkami suszonego chili, i małych czerwonych krewetek w sałatce z pomarańczy, dymki i pietruszki.

Dania pojawiły się błyskawicznie. Ponieważ nie cierpiała robienia notatek przy stole, Moll sfotografowała każde, zanim przystąpiła do degustacji. Wiedząc, że jedzenia będzie znacznie więcej, spróbowała zaledwie parę kęsów każdej potrawy. Miała nadzieję, że zdjęcia wystarczą, żeby przywołać je z pamięci.

Odbywszy ponowną naradę, Luca i Santo zamówili kolejne dania. Moll poczuła, że już nigdy nie zapomni tutejszych *arancini*, małych, smażonych ryżowych kuleczek podlanych sosem z barwną i dzikim fenkułem. Ani dwóch dań z makaronu. Na jednym piętrzyło się spaghetti przybrane świeżymi sardynkami i koprem włoskim, na drugim makaron kolanka i małże w sosie zagęszczonym mielonymi pistacjami.

Jako następny pojawił się miecznik, tym razem podany w sosie ze słonawych zielonych oliwek, i danie ze słodkich tunezyjskich bakłażanów zapiekanych z serem *caciocavallo*.

Moll nie zwracała sobie głowy udziałem w ogólnej rozmowie, skupiona na rozpoznawaniu smaków na każdym z talerzy. Santo zdawał się pochłonięty tym samym. Traktował jedzenie z powagą, wachając je i smakując w pełnym koncentracji milczeniu. Na Tricię zwracał uwagę wyłącznie w przerwach pomiędzy poszczególnymi potrawami.

Moll pożałowała, że to nie ona siedzi obok Santa. A tak chętnie porozmawiałyby o daniach, którymi się właśnie raczyli! Wypytałaby, jak wysoko ocenia on menu w Il Capriccio i czy jego zdaniem tutejszy szef kuchni jest podobnie do niego zaangażowany. Czy dania, których próbował, wpłyną w jakikolwiek sposób na jego własne? Przypomniała sobie, jak pięknie prezentowały się potrawy podawane w restauracji przy winnicy, podczas gdy tutaj serwowano je na sposób domowy, na wyszczerbionych półmiskach. Czy zdaniem Santa jest to istotne?

Tyle można się było jeszcze nauczyć o jedzeniu! I właśnie to Moll tak kręciło. Na pewno wolałaby wyszkolić się na szefa kuchni niż na pracownika socjalnego, ale miała już wtedy dziewczynki i potrzebowała zajęcia, które nie kłóciłyby się z godzinami nauki w szkole.

Wreszcie w pojawianiu się kolejnych dań na stole nastąpiła przerwa. Luca zamówił kawę i zaproponował chwilę odpoczynku przed ostatnim punktem menu, czyli *cannoli*.

– Kilka minut? – Tricia poklepała się po żołądku. – Ja prędko na deser nie będę gotowa. Może ktoś podzieli się ze mną *cannoli* na pół? Wszystkie te kalorie i węglowodany... Nie zmieszczę się w dopiero co kupione sukienki!

Moll miała kompletnie gdzieś problemy innych kobiet z sylwetką. Myśleć o jedzeniu w kategoriach kalorii, zawartości tłuszczu i ilości węglowodanów? Jakby to nie były tylko liczby, które trzeba pododawać? Czy mogło być coś bardziej nudnego? I to jeszcze w trakcie posiłku, który wszystkim tak smakował... No cóż, szczerze mówiąc, uznała tę uwagę za brak dobrych manier.

Wiedziała z doświadczenia, że grupka kobiet jest w stanie rozprawić godzinami o tym, co zjadły, a czego nie zjadły, i o tym, jak się z tym czują. Na szczęście poza krótkimi uwagami, że czują się bardzo mocno syte, Valerie i Poppy chyba nie zamierzały robić z tego wielkiej sprawy.

Moll, obawiając się, że mogą jeszcze zmienić zdanie, wzięła stery rozmowy we własne ręce.

– No więc opowiedz nam, co robiliście z Luca przez całe przedpołudnie – zwróciła się do Poppy. – Gdzie się podziwialiście przez cały ten czas?

– Zwiedzaliśmy... Tak trochę... Zaraz wam pokażę. – Poppy pogrzebała w torebce. – Chciałam odszukać dom, w którym urodził się mój dziadek. Problem w tym, że nie znam dokładnego adresu, bo dziadek wyemigrował do Australii, kiedy był jeszcze na tyle mały, że prawie nic nie pamięta z Ortygii. Ma tylko to stare zdjęcie, na które natrafiłam w jednym z rodzinnych albumów. Zabrałam je, nic mu nie mówiąc, i przywiozłam ze sobą, bo miałam nadzieję, że pomoże w poszukiwaniach.

Poppy zaprezentowała pogniecioną czarno-białą fotografię, zapakowaną dla ochrony w przezroczystą plastikową koszulkę. Widnieli na niej poważna kobieta z ciemnymi włosami i uśmiechnięty chłopczyk w marynarskim ubranku, stojący razem w drzwiach domu, pod balkonem udekorowanym barokowymi kamiennymi zawijaszami.

– Miałam nadzieję, skoro wyspa jest tak mała, że jakoś to miejsce znajdę. Kłopot jednak w tym, że mnóstwo tutejszych domów wygląda niemal tak samo jak ten – wyjaśniła Poppy ze smutkiem. – Luca i ja błądziliśmy w labiryncie wąskich uliczek. Co jakiś czas trafialiśmy na miejsce, które wydawało się pasować do zdjęcia, ale potem dostrzegaliśmy różnicę w kamiennych wykończeniach czy odmienny łuk drzwi. Wreszcie zobaczyliśmy... Zrobiłam kilka ujęć. Proszę, popatrzcie i powiedzcie mi, jakie jest wasze zdanie.

Poppy podała aparat ponad stołem.

Fotografie zrobiono z różnej perspektywy.

Dom o murach nadgryzionych zębem czasu stał przy wąskiej alejce.

– Ten balkon wydaje się dokładnie taki sam, jak na twoim zdjęciu – zgodziła się Moll, przyglądając się uważnie. – Jakie są szanse trafienia na inny budynek z dokładnie takim samym wykończeniem?

– Nie jestem pewna. Ale dom obok też wydaje się pasować. – Poppy uniosła i aparat, i starą fotografię, zbliżając jedno do drugiego. – Nie, to chyba tylko taka moja romantyczna mrzonka... Miałam nadzieję, że poczuję jakąś więź z tym miejscem, wrażenie przynależności, ale nic z tego.

– Twój dziadek już nigdy nie przyjechał na Sycylię? – zaciękawiała się Moll.

– Nie, nigdy. Domyślałam się, że wcześniej była to bardzo długa i kosztowna podróż, a dziś nie pozwala mu na nią zdrowie. Nie mam pojęcia, czy na wyspie pozostali jeszcze jacyś jego krewni. Stracił kontakt ze wszystkimi, poza jedną gałęzią rodziny, która przeniosła się do Ameryki. Dorastając, nigdy nie czułam się Włoszką, w domu nie rozmawiało się w tym języku.

Dziadek był naszym jedynym łącznikiem z przeszłością, lecz i on sam uważa się teraz za Australijczyka.

– Zapukaliście do drzwi? – zapytała Tricia.

– Tak, ale nikogo nie było.

– Powinnaś tam pójść jeszcze raz, po lunchu. Może jednak znajdziesz kogoś, kto będzie w stanie ci pomóc?

– Może i tak? Ale to niemądre, prawda? Znaczący co ja niby powiem tym ludziom, nawet jeśli łączy nas jakieś pokrewieństwo?

– To przecież nic niezwykłego, że człowiek chce dotrzeć do swoich korzeni? – zwróciła się Tricia do Santa i Luki. – Mam rację?

– Jak najbardziej – przytaknęła Santo. – Cudzoziemcy ciągle ich tutaj poszukują.

Z Anglii, z Ameryki, z całej masy miejsc, do których trafiali Sycylijczycy. Są nawet chyba jakieś strony internetowe dla emigrantów, pragnących odnowić kontakt z dalekimi krewnymi, którzy pozostali. Za opłatą kontaktują się ze wszystkimi z twojej rodzinnej miejscowości, noszącymi to samo nazwisko co ty.

– Wyobraź sobie tylko, jak byłoby fajnie, gdybyś odszukała jakiegoś dalekiego kuzyna albo ciotecznego wnuka twojego dziadka – powiedziała Tricia. – Musisz spróbować. Pójdę z tobą, jeśli będziesz chciała.

Poppy zerknęła na Luce.

– A jest czas?

– Oczywiście, jeśli macie ochotę. Chociaż to ja powinienem z tobą pójść, w razie gdybyś potrzebowała tłumacza. Ale wiesz... Możliwe, że twoja rodzina rozproszyła się na cztery strony świata wiele lat temu i nikt tutaj nie pozostał. To były ciężkie czasy. Większość ludzi uważała, że znajdą lepszą przyszłość gdzie indziej.

– Jeśli ona nie zapuka do tych drzwi, raczej się nie dowie – zauważyła Tricia.

Moll, o dziwo, zgodziła się z tym twierdzeniem i z rozpędu zacytowała zdanie wycytane w jednym z poradników:

– Tak. „Życie jest zbyt krótkie, aby tracić czas na czekanie pod drzwiami”.

Valerie uśmiechnęła się lekko.

– Jakbym słyszała Jean-Pierre’a! Ale i tak uważam, że Tricia ma rację. Nawet jeśli mieszka tam ktoś spoza rodziny, być może podsunie ci jakieś wskazówki.

Ponieważ na wyspie mieli spędzić jeszcze parę godzin, Tricia zasugerowała szybki spacer. Żeby spalić trochę lunchowych kalorii.

– Osobiście mam nastrój na zdecydowanie powolną przechadzkę – powiedziała Valerie.

– Ja również – przytaknęła Moll. – Ale nie oglądaj się na nas, jeśli chcesz pognać przed siebie. Pójdziemy tą samą trasą, tylko w swoim tempie.

Santo zaproponował Tricii swoje towarzystwo i wspólne okrążenie nadmorskiego bulwaru. Wydawała się zadowolona. Wyruszyli. Raźnie przebierali długimi nogami, niespecjalnie przejmując się tłumami na chodniku. Moll z przyjemnością pozostała w tyle. Niezależnie od swoich starań czuła się swobodniej, kiedy Tricii nie było w pobliżu.

Sprawdziła mapę.

– Pójdziemy do fontanny Aretuzy? – podsunęła Val. – Może tam znajdziemy jakieś miejsce, żeby usiąść przy morzu i napić się kawy?

– Brzmi idealnie.

– Kto wie, ile czasu zajmie Luce i Poppy ta wycieczka. Zależy, czy zastaną kogoś w domu. Tak czy inaczej, chyba nie musimy się śpieszyć.

– Naprawdę mam nadzieję, że Poppy odszuka kogoś z rodziny – powiedziała Valerie. –

I że zostanie mile przyjęta. Wydaje się nieco zagubiona. A może to ja coś sobie roję? Jak uważasz?

– Nie, zgadzam się z tobą. I skłonna jestem podejrzewać, że już zdążyła kogoś znaleźć. Valerie spojrzała zdziwiona.

– Słucham?

– Ale to nikt z rodziny – ciągnęła Moll.

– No, teraz to już mówisz zagadkami.

– Chyba widziałam wcześniej, jak ona i Luca trzymali się za ręce – roześmiała się Moll.

– Naprawdę tak to wyglądało.

– Poważnie? Jak miło! – ciepło powiedziała Valerie. – Naprawdę wspaniale.

– Pewnie tak.

– Nie pamiętasz, jak to jest czuć dreszcz rodzącego się zainteresowania i zastanawiać się, czy kiedykolwiek znajdziesz sposób na bycie razem? Ani jak to jest, kiedy już się to faktycznie wydarzy?

– Nie bardzo – przyznała Moll. – Ze mną i moim byłym, Keithem, tak nie było.

Mieszkał dwie ulice dalej i nasi rodzice się znali. Nawet nie bardzo sobie przypominam, jak to się stało, że zostaliśmy parą. Chyba poszliśmy do kina, a potem on mnie pocałował. Moje wszystkie przyjaciółki miały chłopaków, a ja czułam się jak wyrzutek, taka... No cóż, rozumiesz. Więc się po prostu wydarzyło.

– I skończyło się tym, że za niego wyszłaś.

– Tak, kiedy zaszłam w ciążę z Rae. Byliśmy już wtedy ze sobą z pięć lat i małżeństwo wydawało się naturalną kolejną rzeczą. Rozstaliśmy się osiem lat później.

– Ja też popełniłam swoją porcję błędów – powiedziała Val. – Mój pierwszy mąż pił.

Mam na myśli prawdziwe picie, takie od rana do nocy, butelki poukrywane po całym domu. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Kiedy go poznałam, wydawał się po prostu rozrywkowym facetem, takim, który wie, jak się bawić. A mój drugi mąż... No cóż, ograniczmy się do stwierdzenia, że był jeszcze gorszy.

– Aż wreszcie pojawił się Jean-Pierre...

– Tak. Koniec końców trafiłam na dobrego mężczyznę. Mam nadzieję, że trafisz i ty.

– Nie sądzę – odparła Moll. – Nie ja.

Doszły do fontanny i zerknęły przez otaczającą ją wysoką kamienną balustradę. Ujrzały smętnie wyglądającą sadzawkę w kształcie półkola, z kilkoma kaczkami i kępą papirusu.

– Mało to atrakcyjne – stwierdziła Moll, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu przewodnika. – Zastanawiam się, o co tyle hałasu.

Valerie przeczytała napis na przytwierdzonej do muru mosiężnej tabliczce.

– Tu jest napisane, że to źródło słodkiej wody. I że starożytni Grecy wierzyli, że powstało, bo została w nie zamieniona nimfa Aretuza. Uciekała przed awansami niechcianego zalotnika.

– Dość skrajne rozwiązanie.

– Owszem. Zwłaszcza że łobuz dał się zaraz potem zamienić w rzekę, żeby móc łączyć swoje wody z jej wodami.

Moll parsknęła śmiechem.

– Mężczyźni... Jakie to typowe!

– Nawet moi byli mężowie nie posunęliby się tak daleko. – Valerie również się roześmiała.

Zajęły ocieniony markizą stolik w lokalu w rzędzie barów i restauracji, które ciągnęły się wzdłuż długiego nadmorskiego muru. Miejsce było piękne i zdecydowanie warte ceny tych

paru drinków, na które nawet nie miały ochoty. Zapłacili, byle tylko móc tu odpocząć i nacieszyć się widokiem.

Moll poprosiła o gazowaną wodę mineralną, Valerie zamówiła espresso. Przez chwilę siedziały w milczeniu. Moll oglądała zdjęcia, które zdążyła zrobić wcześniej, i przygotowywała notatkę o lunchu w Il Capriccio do umieszczenia na swoim blogu.

– Ach, jak przyjemnie... – Valerie wyciągnęła nogi tak, że jej łydki znalazły się w słońcu. – Bardzo odprężające.

Moll podniosła wzrok.

– Biedna, narwana Tricia. Podejrzewam, że zdążyła już zaliczyć pierwsze okrążenie. Galopowanie wokół tej wyspy w największy upał to prawdziwe szaleństwo.

– Możliwe – zgodziła się Valerie. – Ale wy dwie dzisiaj... Jakoś się lepiej dogadujecie.

Moll zmarszczyła nos.

– Nie zamierzam udawać, że ją lubię. Uważam, że jest niebezpieczna.

– Niebezpieczna? – zaśmiała się Valerie. – Jak to?

– Chodzi o jej sposób bycia wobec mężczyzn. Tak dzisiaj z Santem, jak i z Vincenzem Mazzarą wczoraj wieczorem.

– Flirtuje. Nie ma w tym nic złego.

– To sposób oznajmiania, że może mieć wszystko, co zechce. Nawet ich.

– Ojej, ty jej naprawdę nie lubisz, prawda?

– Ani odrobinę.

– No cóż... Mnie Tricia wydaje się interesująca, zabawna i bystra. Ale co do jednego masz rację... – Valerie wskazała ręką. – Już wracają.

Tricia maszerowała nadmorską promenadą, popijając wodę z plastikowej butelki i rozmawiając z Santem, który wyciągał nogi, aby dotrzymać jej kroku. Żadne z nich nie rozglądało się dokoła, więc nie zauważyli ani Moll, ani Valerie. Rozmowa, czegokolwiek dotyczyła, pochłaniała ich całkowicie.

– Dobry Boże, oni naprawdę odwalają okrążenia! Jak sądzisz, ile zaplanowali?

– Żałuję, że nie mam aż takiej energii. – Valerie miała smutną minę.

– Naprawdę? Ja jestem zbyt pełna, żeby się ruszać. Wolę już raczej sobie odpuścić.

Odsiedziały przy stoliku nad wodą kolejne pół godziny (i dwa następne napoje), przyglądając się ludziom i gawędząc o byle czym. Dostrzegły Lucę i Poppy, przechadzających się wzdłuż nadmorskich murów.

Valerie pomachała ręką, żeby przyciągnąć uwagę pary.

– Tu jesteśmy! – zawołała. – I jak poszło?

Moll nie spodziewała się spektakularnego sukcesu, więc nie zdziwił jej widok opuszczonego kciuka Poppy.

– Strata czasu, serio – powiedziała rozczarowana Poppy, podchodząc. – Niewarta waszego czekania przez pół popołudnia. Przepraszam.

– Jak szkoda! – powiedziała Valerie współczująco. – Spędziłyśmy tutaj czas naprawdę uroczo, więc nie czuj się winna.

– Tym razem był ktoś w domu? – zapytała Moll.

– Tak. Jakaś matka z dwojgiem dzieci – odparła Poppy. – Przemiała. Uparła się, że nas poczęstuje kawą i takimi małymi biskopcikami, a potem oprowadziła po domu, który okazał się oczywiście maleńki. Ale ona nie jest moją krewną. Zdaje się, że przez te lata dom kilka razy przechodził z rąk do rąk. Ta *signora* nie ma pojęcia, dokąd mogła się przeprowadzić rodzina dziadka.

– A gdyby tak spróbować w ratuszu? – podsunęła Valerie. – Może istnieją jakieś

rejstry narodzin, zgonów i małżeństw? Mogłabyś tam zdobyć przydatne informacje.

– Być może. Ale czy naprawdę warto poświęcać cały swój czas na uganianie się za duchami, skoro szanse, że dotrę do czegokolwiek, wydają się raczej marne? – odparła Poppy smutno. – Zostało zaledwie parę dni i szkoda je marnować. Kto wie, kiedy będę mogła sobie zrobić kolejne wakacje.

Tym bardziej szkoda tak łatwo się poddać, pomyślała Moll. Albo Poppy chce znaleźć swoich krewnych, albo nie.

– Każdy na tej wyspie może się okazać kimś z twojej rodziny, a ty nie masz o tym pojęcia – stwierdziła. – Ten kelner. Ludzie, którzy tam spacerują.

– Ale to bardzo dalekie pokrewieństwo – broniła się Poppy.

– Mimo wszystko.

– Przynajmniej obejrzałam dom od wewnątrz i wyobraziłam sobie, jak wyglądało dzieciństwo dziadka. A to już coś, nieprawdaż?

Moll, która miała pewność, że na przestrzeni dziejów przedstawiciele jej własnej rodziny ledwie co wystawiali nos poza wyspę, pochodziła z klasy robotniczej, co zawsze powtarzała jej matka, niezłomnie z tego dumna. W oczach matki wystarczyło być kimś zwyczajnym. Nie, Moll nie zazdrościła Poppy tej kropelki włoskiej krwi, ale gdyby istniała szansa, że to ona jest w jakiś sposób spokrewniona z kimś na tej maleńkiej wysepce, na pewno odrobiłaby porządnie pracę domową, zanim jeszcze wsiadłaby do samolotu.

– Mogłabym poszukać dla ciebie informacji w Internecie – zaproponowała. – To nie potrwa długo. Ot, umieszczenie kilku wpisów na forach i poszukanie na Facebooku ludzi, którzy noszą to samo nazwisko.

– Naprawdę?

– Masz konto na Facebooku, tak?

– Owszem. Ale tylko dlatego, że Brendan twierdził, że to się przydaje w pracy – przyznała Poppy. – Bo poza tym to okropna strata czasu. Wolę mieć prawdziwych przyjaciół i kontaktować się z nimi twarzą w twarz.

– Ja też – zgodził się Luca. – Mam, oczywiście, stronę szkoły kulinarnej, ale to wszystko. Moi przyjaciele to ludzie, których widuję codziennie.

Moll nie rozumiała ich podejścia. Mieli na wyciągnięcie ręki cud technologii i nie potrafili dostrzec jego potencjału.

– To może spróbuję po powrocie do Favio? To przecież nie zaszkodzi.

(2) Filiżanka czekolady na gorąco i intryga

Zanim wrócili do miasteczka, zdążył już zapaść wieczór. Tricii z nimi nie było. Przesłała króciutkiego esemesa z informacją, że przyjęła zaproszenie spędzenia wieczoru z Santem i mają się o nią nie martwić ani na nią nie czekać.

Moll uniosła brwi, lecz nie powiedziała ani słowa.

Jej pokój był w takim samym stanie, w jakim go zostawiła. Rzeczy walały się wszędzie, łóżko było rozgrzebane. Moll postawiła torby z zakupami pośrodku podłogi, złapała laptopa i połączyła się z siecią. Miała kilka wiadomości, na które należało odpowiedzieć. Lola i Rae przesłały jej zdjęcie kota śpiącego na nasłonecznionym parapecie okna. I jeszcze jedno, z lasagne, które sobie podgrzały na wczorajszy obiad. Moll z ulgą obejrzała dowód, że dziewczynki odżywiają się jak należy, i szybko odesłała im w odpowiedzi zdjęcie, na którym uwieczniła widok z tarasu, wraz z opisem lunchu w Il Capriccio.

Poświęciła mniej więcej pół godziny na rozpuszczanie wici w sprawie dziadka Poppy, którego nazwisko – Planeta – wydawało się stosunkowo banalne. Nawet gdyby nie wpadła na

jakikolwiek ślad, przynajmniej spróbowała. W Internecie nigdy nic nie wiadomo. To kwestia tego, czy odpowiednia osoba w odpowiedniej chwili zobaczy coś, co się napisze. A wtedy sprawy mogą się potoczyć bardzo szybko.

Miło byłoby spędzić wieczór na przeszukiwaniu stron internetowych i rozmaitych forów, tak jak często Moll spędzała wolne godziny w domu. Ale tutaj miała wrażenie, że marnuje potencjał, jaki niesie ze sobą czas. Wylogowała się z Internetu, wyłączyła laptopa i poszła sprawdzić, co porabia reszta. Nikt nie miałby ochoty na prawdziwy obiad po takim długim lunchu, ale może czas już na drinka?

Na tarasie siedziała Valerie. Przebrała się w bardziej eleganckie rzeczy i chyba nawet zrobiła nieco mocniejszy makijaż niż zwykle.

– Wychodzisz? – zapytała Moll.

– Obie wychodzimy. Zapomniałaś? Vincenzo przychodzi, by zabrać nas na czekoladę na gorąco.

– Och nie! On chyba miał na myśli tylko ciebie.

– Nie żartuj. Miał na myśli nas obie.

– Mimo to uważam, że wolałby, gdybyście poszli tylko we dwoje – uściśliła Moll.

Valerie robiła wrażenie podenerwowanej.

– Nie, naprawdę, musisz z nami iść.

Moll nie miała ochoty stawać się piątym kołem u wozu, ale kusilo ją spróbować czekolady, którą wszyscy tak wychwalali.

– No dobrze... Skoro nalegasz. Na trochę – poddała się. – Ale ja się nie stroję. On ma zauważyć nie moją kreację.

Val przesunęła palcami po czarnej jedwabnej sukience, jakby chciała wygładzić niewidoczne zagniecenia.

– Och, to taka starość. Mam ją od wieków.

– Wyglądasz absolutnie uroczo – oświadczyła Moll. – Napijemy się przedtem drinka? Co ty na to? Naszło mnie właśnie na gin z tonikiem. Zawołam na górę, do Poppy, i zobaczę, czy ona też ma ochotę.

– Poppy wyszła pięć minut temu. Nie powiedziała dokąd.

– Pobiegać?

– Nie, raczej mi się nie wydaje. Nie ubrała się do biegania.

– Och... No cóż, wygląda na to, że wszyscy wychodzą dziś wieczorem. Może złapiemy ją gdzieś później.

Moll dumna była ze swojego zabójczego ginu z tonikiem. Sekret kryły w sobie wysokie szklanki, mnóstwo lodu, śmiało wyciśnięta świeża cytryna i szczodra ręka przy nalewaniu alkoholu. Wypiły drinki na tarasie.

Przy pierwszym łyku Val aż się wzdrygnęła.

– Oj, ależ to daje kopa!

– Wiem. Idealny, prawda? Marnuję się w tej opiece społecznej. Powinnam prowadzić koktajlbar.

– Albo restaurację. Jesteś dobrą kucharką.

– Niestety, to mnie ominęło.

– Masz przed sobą jeszcze dwadzieścia pięć lat pracy. Może nawet więcej, biorąc pod uwagę, jak toczy się ten świat. Gdybyś chciała, mogłabyś się łatwo przekwalifikować. Jestem pewna. – Valerie raz jeszcze, ostrożnie, łyknęła ginu. – Choć pewnie restauracja to zabawa dla młodych...

– Dla mnie już za późno – stwierdziła Moll. – Wydaje mi się, że w tym punkcie życia

raczej nie będę się angażować w żadne nowe początki.

Z obrzeża tarasu miały widok na leżące poniżej schody. Valerie zerknęła na nie co chwila. Zdawała się niespokojna: bawiła się srebrnym wisiorkiem na szyi, grzechotała lodem w szklance, ciągle wygładzała materiał sukienki. Moll przypuszczała, że kobieta tak właśnie powinna się czuć przed pierwszą randką. Chociaż ona sama nigdy takiej randki nie odbyła.

Było już niemal ciemno, kiedy Vincenzo Mazzara wspiął się po schodach.

– Ach, moje panie, dobry wieczór! – zawołał w ich stronę. – Mam nadzieję, że jesteście gotowe, by spróbować ze mną jednej z najlepszych czekolad w Favio.

Miał na sobie białą lnianą koszulę, lekko rozchyloną pod szyją, ukazującą cienki złoty łańcuszek. Zdawało się, że zadał sobie tyle samo zachodu w związku ze swoim wyglądem, co i Valerie.

– Jak najbardziej – odparła Moll. – Zaraz zjeździemy. Prawda, Val?

Gorąca czekolada okazała się tak kremowa i gęsta, że do degustacji potrzebowały łyżeczek. W niczym nie przypominała łagodnego, mlecznego kakao serwowanego w angielskich kawiarniach. I dzięki Bogu. To była prawdziwa czekolada, ciemna i gorzko-słodka, roztopiona w filiżance. O gęstości zastygającego budyniu.

– Tak naprawdę to napój na zimę – przyznał Vincenzo. – Kiedy człowiek się jej napije, ma wrażenie, że jego krew krąży żywiej.

– Nie potrafię sobie wyobrazić Favio zimą. Jest wtedy smętne? – zastanowiła się Moll, nabierając na łyżeczkę kolejną pończotną porcję.

– Bez turystów jest spokojniej. I niebo jest bardziej szare. Ale mamy swoje sposoby na podniesienie na duchu. Nie tylko tę gorącą czekoladę, ale i słodko-kwaśny gulasz z królika, nasze gęste zupy z ciecierzycą i kalmarami, nasze *pasta al forno*. Wszystkie te ciężkie potrawy, tak unikane podczas długich gorących miesięcy, stają się naszą zimową pociechą.

– Nie sądziłam, że dzisiejszego wieczoru poczuję jeszcze głód. Nie po tym ogromnym lunchu. Ale pan sprawia, że znów mi ślinka napływa do ust – powiedziała Moll.

– Jest pani prawdziwą miłośniczką jedzenia, jak sądzę. – Głos Vincenza pobrzmiwał aprobatą.

– To moja pasja – przyznała Moll. – Dom mam pełen książek kucharskich. Piętrzą się na parapetach i na wszystkich półkach. Wciąż sobie obiecuję, że już żadnej nie kupię, ale kiedy widzę kolejną, nie potrafię się oprzeć. Córki mówią, że mam obsesję.

– Jak tu się ustrzec obsesji? – zapytał Vincenzo. – Jedzenie tak naprawdę jest rodzajem cudu, czyż nie? Człowiek bierze jakąś surowiznę, przekształca ją na tysiące sposobów, napełnia nią swoje ciało, a wkrótce potem ona staje się twoją skórą, twoimi włosami, twoją krwią. Czy może istnieć coś bardziej magicznego?

– Wielu ludzi nie przejmuje się tym, co je – stwierdziła Moll. – Wszystkie te kobiety, które za bardzo dbają o figurę, aby mieć frajdę z dobrych dań. Tricia na przykład. Jak przypuszczam, zbyt wiele gorącej czekolady nie wypila wczoraj wieczorem, prawda?

– Tricia? – zastanowił się Vincenzo. – Ona jest inna, moim zdaniem. Czerpie energię z innych rzeczy. I przyjemność również.

Filiżanka Moll była już prawie pusta. Czuli, że czekolada oblepia wewnątrz jej ust, ślizga się po zębach.

– Nie lubię marnotrawstwa – stwierdziła. – W moim domu jedzenie się dojada. Nie wyrzucam przylepek ani tłustszego kawałka mięsa. Kości przerabiam na wywary. Skórki z parmezanu roztapiam w zupach. Kupuję najlepsze składniki, na jakie mnie stać, i wykorzystuję do ostatniego kawałeczka.

– To całkiem włoski sposób – zgodził się Vincenzo.

– Ale zanika, nieprawdaż? Czy skończy się tak, że wszyscy będą żyć tym, co przywozi się z supermarketu w torebkach i kartonach? Nawet tutaj, we Włoszech?

– Mam wielką nadzieję, że nie – powiedział Vincenzo. – Między innymi dlatego chcę stworzyć przewodnik. Żeby pomóc ludziom rozpoznawać jakość i trzymać się z dala od śmieci. To w pewien sposób moja misja. Coś, co mogę zrobić, żeby włoskie zamięłowanie do dobrej kuchni tak szybko nie umarło.

Valerie popijała wolniej. Jej filiżanka wciąż była do połowy pełna.

– Ludzie są dziwni, kiedy chodzi o jedzenie – stwierdziła, bawiąc się łyżeczką. – Tacy autorytarni i skłonni do ocen. Znałe mi kobiety wiecznie rozwodzą się o najnowszych dietach: beznabiałowych, bezglutenowych, ubogowęglowodanowych, makrobiotycznych, co tam jest ostatnio modne. Niemal zaczynają prawie ci kazania. Czasami miewałam wrażenie, że moje zamięłowanie do sera i mięsa zagrażało przyjaźniom. Ale przecież nie istnieje jedyny właściwy sposób odżywiania.

– Dopóki używa się świeżych składników i odpowiednio je przyrządza, nie – zgodził się Vincenzo.

– A jeśli lubię śmieciowe jedzenie? – zapytała Valerie. – Jest taki pomarańczowy ser, który sprzedaje się w plasterkach i który smakuje nieco jak plastik. Potrafię zjeść całą paczuszkę na przekąskę. Uwielbiam go w wersji roztopionej, na białym chlebie. Lubię też tę bitą śmietanę, którą wyciska się z puszek. To taka świetna zabawa. I muszę się przyznać, że widywano mnie w Dunkin' Donuts.

Vincenzo zakrył dłońmi uszy.

– Nie, nie! Proszę przestać, ja tego nie zniosę – powiedział ze śmiechem.

– Ale to prawda. A co gorsza, nie jestem pewna, czy naprawdę przejmuje mnie fakt, że oliwa z oliwek to extra vergine czy nie. Dopóki smakuje jak trzeba.

– Pani to mówi, żeby się nade mną poznęcać – poskarżył się Vincenzo.

– Lubię jedzenie, dobre i złe – powiedziała Valerie z uśmiechem. – Kiedy byliśmy razem w Nowym Jorku, Jean-Pierre i ja urządzaliśmy sobie wieczory filmowe z popcornem, paczkami chipsów i pizzą z pudełka na grubym cieście. Lubiałam je tak samo jak nasze wyjścia na miasto na obiad.

– Ale to nie jest prawdziwe jedzenie – sprzeciwiła się Moll.

– Jest. I jest pyszne.

– Nigdy nie jadłem pizzy na grubym cieście – przyznał się Vincenzo. – Jak ona smakuje?

– Mmm, jest pyszna! – upierała się Valerie. – Trzy rodzaje sera, *jalapeño*, może trochę słodkiej papryki, szynka, klopsiki mięsne...

– *Madonna mia!* To wszystko to na pojedynczej pizzy?

– Czasem i więcej – zaśmiała się Valerie. – W jednym miejscu niedaleko mnie nakładają składniki do oporu. Za jedyne dziesięć dolców.

– Zaraz powiesz, że McDonald'sa też lubisz – stwierdziła Moll.

– No cóż... Nie mogę udawać, że od czasu do czasu nie jadam. Chociaż wolę Wendy's.

Robią tam całkiem przyzwoite frytki z sosem chili i z serem.

– Moje dziewczynki tak jedzą, chociaż wiedzą, że ja tego nie cierpię – powiedziała Moll.

– A mój były mąż był typowym miłośnikiem ryby z frytkami. Chociaż prawdziwe frytki potrafią być całkiem pyszne, kiedy jeść je gorące, aż parzą. Opakowane w gazetę, w mroźny wieczór, palcami w soli i tłuszczu. Temu nie jestem przeciwna.

Vincenzo się zamyślił.

– Sposób jedzenia wiele mówi o tym, jakimi ludźmi jesteśmy – powiedział. – Ja sam uważam się za człowieka obdarzonego ciekawością kulinarną. Jestem gotów spróbować waszej

pizzy na grubym cieście czy waszej ryby z frytkami. Nie zatracę przez to otwartego umysłu. Ale jeśli te rzeczy okażą się niedobre, drugiego kęsa do ust nie wezmę. Nigdy nie jadam wyłącznie po to, żeby się najeść.

– A ja wcale nie muszę próbować tych frytek z sosem chili i z serem – sprzeciwiła się Moll. – Potrafię sobie wyobrazić, jak smakują. Nie cierpię marnować na byle co własnego głodu, tak samo jak nie lubię marnować jedzenia.

Vincenzo pokiwał głową.

– Pięknie się różnimy.

– Chyba tak – zgodziła się Moll.

– Mimo to nie ma powodu, żebyśmy nie potrafili się ze sobą dobrze dogadywać, lubić się, cieszyć wspólnie spędzonym czasem, nawet w sobie zakochiwać. Te różnice sprawiają, że stajemy się sobie nawzajem ciekawi.

– Mówi się, że przeciwieństwa się przyciągają, nieprawdaż? – odezwała się Valerie.

Moll uznała, że to sygnał. Udała, że ziewa, i zaczęła szukać w torbie drobnych.

– Jestem nieco zmęczona – powiedziała. – Ale wy dwoje powinniście jeszcze tu zostać i napić się czegoś na dobry sen. Wieczór jest taki śliczny!

Valerie ścisnęła torebkę. Wydawała się zbita z tropu.

– Sama nie wiem...

– Może szklaneczkę amaro? – podsunął Vincenzo. – Mają tu lokalne, naprawdę bardzo dobre. Pijemy to jako rodzaj toniku. Cudownie działa na trawienie.

– No dobrze – zgodziła się Valerie, odkładając torebkę. – Tak, to niezły pomysł.

Odchodzącą od stolika Moll dobiegły jeszcze strzępy rozmowy tamtych dwojga. Valerie śmiała się z jakiejś kwestii Vincenza. Obejrawszy się na nią, siedzącą w plamie miękkiego światła, z włosami zebranymi z twarzy i upiętymi, elegancką w czarnym jedwabiu, Moll pomyślała, że Val wygląda o wiele lat młodziej i bardzo radośnie.

Wieczór był ciepły, a Moll czuła się ocieślała po czekoladzie na gorąco, więc nie śpiesząc się, ruszyła przed siebie główną ulicą. Przekonała się, że Favio po zmroku to całkiem przyjemne miejsce. Tricia, oczywiście, wyrażała się wcześniej na ten temat lekceważąco, ale przecież tak miło jest patrzeć na grupki młodych ludzi, zbierające się, żeby jeść *gelato*, i na pary przechadzające się ramię przy ramieniu, korzystające z chłodniejszej pory dnia.

Przeszła spory kawałek za schody, które zaprowadziłyby ją z powrotem do domu Luki, zasłuchana we fragmenty muzyki dolatujące z zatłoczonej pizzerii, a potem przystanąła, by przyrzeć się oświetlonej fasadzie jakiegoś kościoła. Czuła się tutaj bezpiecznie, o wiele bardziej niż w Londynie, gdzie w mroku czaiły się zagrożenia dla samotnie spacerujących wieczorami kobiet. Nie zauważyła band podpitych wyrostków, żadnych wściekłych młodych ludzi, nawet i żebraków. Jeśli w Favio istniały przestępstwa i brzydota, były ukryte bardzo starannie.

Moll usłyszała głos Orsoliny, zanim jeszcze zobaczyła dziewczynę wychodzącą z pizzerii. Włoszka rozmawiała głośno ze starszym mężczyzną. Na pożegnanie ucałowała go lekko w oba policzki.

Od samego początku Moll oceniała Orsolinę jako dziewczynę piękną, ale płytką. Przyglądając jej się teraz, nie dostrzegła nic, co by pozwoliło zmienić tę opinię. Choćby ten sposób, w jaki odwróciła się zwróciła od swojego towarzysza, balansując na cienkim obcasie, to, jak zarzuciła srebrnobłękitną paszminę na ramię i ruszyła przed siebie ulicą. Wszystko wydawało się wystudiowaną elegancją.

Orsalina wymięłaby Moll, zupełnie jej nie zauważając, gdyby ta nie zatrzymała Włoszki grzecznym:

– *Buona sera.*

– Och, witam – odparła Orsolina. – Późno dziś pani spaceruje. Gdzie przyjaciółki?
– Porozchodziły się. Każda w swoją stronę.
– I zostawiły panią samą? Biedactwo. – Głos podszyty był winem i lekko ochrypiły od papierosów.

– Naprawdę, zupełnie mi to nie przeszkadza – odparła Moll.
– To może przyłączy się pani do mnie? Idę do baru na gorze na ostatniego drinka. Robią tam dobrą gorącą czekoladę. Chociaż ojciec chyba by się ze mną nie zgodził...

– Dziękuję, ale jedną właśnie wypiałam.
Orsolina wzruszyła ramionami.
– Czemu się tam nie wybrać, tak czy inaczej? Zamierzam spotkać się z paroma znajomymi. Będzie przyjemnie.

Moll się zawahała. Z jednej strony dostała szansę bliższego poznania miejscowego życia, z drugiej nigdy nie czuła się pewnie, wchodząc do sali pełnej obcych ludzi. Lekka rozmowa ciążyła nieznośnie, a Moll wiedziała, że zawsze robi złe pierwsze wrażenie. Łatwiej byłoby wrócić do własnego pokoju i po prostu pogadać z przyjaciółmi na Facebooku i Twitterze.

– Luca też tam będzie – zachęciła Orsolina. – Proszę zajrzeć choć na jednego drinka.
Na wieść, że może w barze trafić na kogoś znajomego, Moll poczuła więcej entuzjazmu. Poza tym wcale nie śpieszyło jej się tak bardzo do powrotu.

– No dobrze, dziękuję. Zajrzę z panią.
Razem weszły po schodach prowadzących do katedry. Orsolina raz czy drugi zachwiała się na nierównym gruncie i przystanąła, by zdjąć buty. Bez obcasów nie sięgała Moll nawet do ramienia. Była naprawdę drobnuteńką kobietką. Przy takich Moll czuła się niezdarna i z miejsca uświadamiała sobie, że z jej ubrań sterczą luźne nitki, a w pasie ma wałki tłuszczu.

W tej części miasteczka było spokojnie. Poza cykaniem pasikoników na drzewach Moll słyszała tylko uderzenia podeszew własnych butów na korkowych koturnach o kamienne stopnie. I o wiele bardziej miękkie kroki nagich stóp Orsoliny.

To Włoszka przerwała milczenie.
– Proszę mi powiedzieć... Dobrze się pani bawi w szkole kulinarnej Luki?
– Och, tak, jest świetnie. Luca to znakomity nauczyciel.
– Jemu też to sprawia przyjemność. Bardzo polubił waszą grupę.
– A nie zawsze je lubi? – zapytała Moll.
– No przecież. Zdarzają się osoby roszczeniowe, dla których nic nie jest wystarczająco dobre, z innymi przebywanie dzień w dzień jest nudne. Ale waszą grupę uwielbia, bardziej chyba niż którąś kiedykolwiek przedtem.

– Naprawdę? Skąd taki pomysł?
– Zwykle nie spędza z gośćmi swoich wolnych wieczorów. A wczorajszy spędził jednak z tą Australijką. Poppy, prawda?

Powiedziała to dość lekko, a mimo to Moll i tak przyszło do głowy, że Orsolina jest zazdrosna. Czyżby ona dostrzegła coś, co oprócz Moll przeoczyły chyba wszystkie? Te iskry pomiędzy Lucą a Poppy, te fale wzajemnego zainteresowania? Postanowiła sprawdzić te domysły.

– Ma pani rację, faktycznie z nią był – odparła tak obojętnie, jak tylko zdołała. – Dzisiaj na Ortygii też poszedł z Poppy na samotny spacer. Prawdę mówiąc, ulotnili się na dość długo.

– Ale przecież ona tu zostanie tylko parę dni, a potem pojedzie do domu. Australia jest kawał drogi stąd.

– Tak, to spora odległość – zgodziła się Moll. – Ale słyszała może pani, że Poppy chyba ma tu jakąś rodzinę? Próbowaliśmy jej pomóc w poszukiwaniach. Czy nie byłoby interesujące, gdyby Poppy odkryła, że ma jakiś stały związek z tą okolicą?

Orsolinie wyrwało się ledwie dosłyszalne, niecierpliwe syknienie.

– Zamieściłam parę wpisów w Internecie – dodała Moll. – To niesamowite, do czego można tam dotrzeć. Wcale się nie zdziwię, jeśli uda nam się popchnąć sprawę do przodu.

A wtedy Poppy zostanie, być może, na Sycylii nieco dłużej...

Orsolina przystanęła. Chwyciła Moll za ramię.

– Co on w niej widzi? Proszę mi powiedzieć! Jest ładniejsza od mnie? Nie wydaje mi się. Zabawniejsza, ciekawsza, seksowniejsza? O co chodzi?

Zdziwiona siłą reakcji, Moll strząsnęła przytrzymującą ją dłoń.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Zastanawiała się, jak zareagowałaby Orsolina, gdyby wiedziała, że jej własny ojciec siedzi teraz w kawiarni poniżej i flirtuje z pewną starszą panią. Czy wobec niego bywa równie zaborcza? Moll ledwie się powstrzymała, aby nie sprawdzić i tego.

– Dziwię się, że Luca, mimo swoich lat, wciąż jest wolny – stwierdziła. – Jest przystojny, inteligentny i czarujący. Dlaczego nie usidliła go dotąd żadna kobieta?

– Próbowaly – odparła Orsolina. – Ale Luca nigdy się nie angażuje.

– Więc uważa pani, że Poppy zainteresował się na poważnie? – Moll poczuła, że chciałaby, żeby tak się stało.

Zirytowana Orsolina syknęła ponownie.

– Ona nie jest dla niego odpowiednią osobą. Ja go znam od lat, rozumiem lepiej niż ktokolwiek inny. To do mnie zwraca się o radę. Spędza więcej czasu w naszym domu niż we własnym. Jest w bardzo bliskich stosunkach z moim ojcem. Mogę pani powiedzieć na pewno, że między nimi nic nie będzie.

I wtedy Moll oświeciło. Tylko z jednego powodu ta dziewczyna mogła zaprosić taką kobietę jak ona na drinka.

– Niepokoi się pani, że Luca dziś wieczorem znów będzie z Poppy. Tak?

– Wiem, że z nią jest. Barman w tej knajpie to przyjaciel. Wysłał mi esemesa.

– I ma pani nadzieję, że ja rozproszę jej uwagę? Że Poppy uzna, że powinna rozmawiać ze mną, a nie z Lucą.

– Proszę się nie wygłupiać.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, Moll odsunęła się od Włoszki.

– No cóż, będzie pani musiała znaleźć inny sposób na rozdzielenie tych dwojga – odpaliła. – Nie pozwolę, by wykorzystywano mnie do podobnych rzeczy. Idę do domu.

– Oszalała pani? Przecież to tylko drink, nic więcej! – zawołała w ślad za nią Orsolina, lecz Moll szybkim krokiem ruszyła przed siebie. – Naprawdę, ma pani zupełnie mylne wyobrażenie...

Moll darowała sobie odpowiedź. Szybko schodząc po schodach, poczuła niejaką satysfakcję na myśl, że od początku miała rację co do Orsoliny. Płytko, owszem. Ale i przebiegła. Jaskrawy kontrast z Poppy, bez żadnych wątpliwości. Australijka, z jej niewymuszonym uśmiechem, zawsze otwarta i życzliwa wobec wszystkich wokół...

Moll wiedziała, wobec kogo chce być lojalna. Gdy tylko wróci do pokoju, sprawdzi komputer. Jeśli nie pojawiły się żadne odpowiedzi na jej posty o dawno zaginionych krewnych Poppy, zarzuci sieć szerzej. Ma sporo kontaktów, z pewnością ktoś jej przyjdzie z pomocą i podda jakiś pomysł.

Wcześniej interesowała się poszukiwaniami Poppy tylko na pół gwizdka. Ale teraz się

zapała. I odniesie sukces.

Z miłości do jedzenia

Luca Amore rozmyśla o fotografiach. O tym, w jaki sposób potrafią mówić prawdę, i o licznych sposobach, którymi można je zmusić, by kłamały. Przykro mu, że używał obiektywu do opowiadania tak wielu kłamstw. Lata minęły, a on czuje coraz większy wstyd.

Przez długi czas Luca stosował rodzaj pokuty własnego pomysłu, odmawiając sobie tego, co kiedyś stanowiło jego napęd. Prowadził spokojniejsze, bardziej proste życie, a jednak nie zdołało ono odmienić jego uczuć. Teraz, tutaj, w barze z tą kobietą, zastanawia się, czy wreszcie nie odnalazł tego, czego przez cały ten potrzebował.

Za pomocą aparatu mógłby odmienić jej twarz: wydobyć cieniem kontury, zatrzeć delikatne zmarszczki pod oczami, sprawić, że będzie wyglądała jeszcze młodziej i jeszcze piękniej. Ale mógłby też zrobić portret nieupozowany, pokazać, jak ona wygląda naprawdę. Nos obsypany piegami i nieco błyszczący od upału, tusz do rzęs rozmazany ciemną plamą, uśmiech ściągający skórę w płytkie bruzdy.

Jest pewien, że ona wolałaby przedstawienie uczciwe. Ma zbyt czyste spojrzenie, by nosić w sobie próżność. Luca nie dostrzega w niej niczego sztucznego. Cera nie ukrywa się pod warstwami makijażu, paznokcie nie są doklejone, włosy to chyba ten sam zwyczajny brązowy odcień, z jakim się urodziła. Własne piękno zdaje się jej zupełnie nie interesować.

Luca cieszy się, że siedzi obok niej w tym niewielkim barze, leniwie sącząc limoncello. Lubi słuchać jej głosu: tego, jak się unosi pod koniec każdego zdania, jak przeciąga samogłoski. Ona mówi, opowiada mu o różnych rzeczach ze swojego życia, a on zastanawia się, czy zdoła ją powstrzymać przed powrotem.

Luca nie miał zamiaru się w niej zadurzyć. To przyszło niepostrzeżenie. Przypomina sobie teraz, jak nieśmiała była pierwszego dnia. Niemal bała się ciasta przy robieniu *cavatelli* i potrzebowała jego pomocy. Luca pamięta, że dotknął jej zbyt ciepłych palców, co wtedy ją zdeprymowało. Myśli o tym pierwszym razie, kiedy zostali sam na sam. Wspólnie konserwowali kapary i obchodzili się nawzajem dokoła, sortując je, odrywając przydługie łodyżki, muskając się ramionami, układając warstwy delikatnych zielonych pączków w słoiczkach, przesypując je drobną solą morską.

Nawet gdy już zrozumiał, co się dzieje, Luca nie miał pojęcia, jak jej okazać swe uczucia. Zdecydował po prostu być w pobliżu. Wystarczyło mu widzieć ją każdego ranka, dostrzegać połysk włosów spiętych w rozkołysany koński ogon, brzoskwiniową cerę i częsty uśmiech.

Na Ortygii zaryzykował i wziął ją za rękę, a ona jej nie odsunęła. Bardzo łagodnie oplótł palcami jej palce i szli w ten sposób przed siebie wąskimi uliczkami. Dłonie mieli ciepłe i powilgotniałe od dotyku. Ścisnął mocniej.

Mimo to żadne słowa nie padły. Luca boi się, że mogą zniszczyć tę delikatną więź, która pojawiła się między nimi. Ale zostały już tylko cztery dni. Cztery dni, żeby odmienić bieg życia. Własnego i jej. Czy to wystarczy?

Poppy

Brendan, odkąd tu przyjechałam, wysyła mi codziennie ze trzy esemesy. Głównie w sprawach zawodowych, choć żadna nie jest wystarczająco ważna, żeby zakłócać mi wypoczynek. Jest tak, jakby nie chciał mi pozwolić, abym uwolniła się od niego całkowicie. Jesteśmy rozwiedzeni, prowadzimy osobne domy, a mimo to musi być ze mną w kontakcie.

Myślałam, że wszystko układa się jak należy, ale teraz widzę, że po powrocie do domu będę musiała dokonać paru istotnych zmian. Wspólne zajmowanie się handlem nieruchomościami to nie taki znowu dobry pomysł. Daje mu pretekst, żeby do mnie dzwonić, a nawet czasem wpadać do mnie do domu. A wtedy zawsze musi coś skomentować. Dlaczego zdecydowałam się pomalować ściany na ten konkretny odcień bladego zielononiebieskiego? Czysta biel wyglądałaby lepiej. „Biały zawsze dobrze się prezentuje”, powtarza.

Uwielbiam mieszkać sama. To maleńki tarasowy domek w Paddington, tak wężutki, że człowiek czuje, iż niemal bez trudu mógłby dotknąć obu ścian, rozpościerając ręce. Jest w nim ciąg kuchenny, z którego schodki prowadzą na dziedzińczyk; posadziłam tam różne rośliny w donicach. A na górze mam maleńki balkonik w sypialni. W letnie poranki lubię siadać na zewnątrz, na parę minut, przy kawie.

Zanim się tam wprowadziłam, musiałam zredukować stan posiadania, ale całkiem dobrze było pozbyć się nienoszonych ubrań i pudeł pełnych rzeczy, na które nigdy nawet nie spoglądałam. Życie wydaje mi się teraz mniej zagracone. I nie ma znaczenia, że dom jest tak mały, skoro mieszkam w nim tylko ja.

Niesamowite, ilu przyjaciół usiłowało mnie ustawić z jakimś innym mężczyzną. Po co ten pośpiech? Kiedy im tłumaczę, że nie jestem jeszcze gotowa, zaczynają dowodzić, że zegar biologiczny tyka. Zupełnie jakbym miała się z kimś zejść tylko dlatego, że starzeją się moje jajniki. Tak, oczywiście, kiedyś chciałabym mieć dzieci, ale jeśli tak się nie stanie, życie się dla mnie nie skończy. Przecież można się spełniać na inne sposoby, nieprawdaż?

To limoncello jest takie dobre! Kiedyś raz w domu próbowałam go i pomyślałam, że przypomina płyn do zmywania naczyń. Może dopiero tutaj, na wakacjach, mogłam poczuć, jakie jest pyszne? Na wakacjach nic nigdy nie jest takie samo jak zwykle, prawda? Wszystko smakuje i wygląda przyjemniej. I wydaje się o wiele bardziej rozkoszne. Jestem pewna, że gdybym zabrała ze sobą do domu butelkę, likier po otwarciu wcale nie smakowałby tak dobrze.

W głowie mi się nie mieści, że zostały nam tutaj tylko cztery dni. Powinnam była zarezerwować dłuższy pobyt, ale nie wiedziałam, jak się będę czuła na takim samotnym wyjeździe. Nie miałam pojęcia, że będę się tak dobrze bawić.

Bardzo, bardzo żałuję, że nie mogę zostać dłużej na Sycylii. Chciałabym zobaczyć więcej – pojechać do Taorminy, Cefalu, Stromboli. I być może wykorzystać szansę dowiedzenia się czegoś więcej o rodzinie dziadka. No ale przecież mogę tu kiedyś wrócić. Albo zacząć szukać w Internecie z domu, jak podpowiada Moll.

Wiesz, ten wyjazd przeszedł moje wszelkie oczekiwania. Udało ci się osiągnąć coś wspaniałego z tą swoją szkołą kulinarną, Luca. Naprawdę, wspólnie gotując, czuje się tę miłość z nazwy. Mam niemal wrażenie, że twoja *nonna* nas obserwuje i kiwa głową z aprobatą, widząc, co się dzieje w jej kuchni.

Jaka szkoda, że nie możesz odnaleźć jej notesu z przepisami. To by było coś niezwykłego, taki łącznik z przeszłością. Ja sama pochodzę z nowego kraju i z rodziny, która powstała tam od podstaw. To nawet może być całkiem ekscytujące samo w sobie, ale z drugiej

strony zazdroszczę ci, że masz tutaj tak głębokie korzenie. To musi dawać ci poczucie przynależności, ta świadomość, że całe pokolenia chodziły tymi samymi ulicami, wspinały się po tych samych schodach, jadły jedzenie, które zrodziła ta sama ziemia.

Czy mam ochotę na kawę? Nie, nie mogę pić kawy po nocy. Kofeina mnie nakręca i nie pozwala mi zasnąć. Ale chętnie napiłabym się tej niesamowitej czekolady na gorąco.

Och, patrz, idzie twoja przyjaciółka Orsolina! Może i ona zechce się z nami napić czekolady? Obok jest wolny stółek. Przesiądę się i zrobię jej miejsce między nami.

Dzień piąty

(1) Pałasz ogoniasty i dobrowolna zguba

To taka przyjemność budzić się ze światłem, a nie na odgłos budzika. Poppy nabrała zwyczaju leżenia w łóżku. Pozwalała myślom błądzić przez dziesięć, dwadzieścia minut albo i dłużej. Nie mając żadnych bieżących trosk, a dzień z góry zaplanowany, czuła, że jasność myślenia przychodzi jej o wiele łatwiej.

Ten czas, ta przestrzeń, ten spokój... Było właśnie tak, jak powinno być w wakacje. Brendan zawsze lubił określać się jako „aktywny wakacjowicz”. Musiał ciągle coś robić: surfował, jeździł na rowerze, bez końca angażował się w jakieś domowe przeróbki z użyciem elektronarzędzi. Obnosił tę swoją ruchliwość niczym honorowy medal, jakby zwolnienie tempa miało oznaczać porażkę.

Poppy zaczynała rozumieć, że nie ma ochoty być tak zaganianą osobą. Zaszokowało ją to odkrycie. Przecież w dzisiejszych czasach świat opiera się na wypełnionych kalendarzach i wiecznie dzwoniących telefonach, prawda? Plany zajęć coraz ściślej napakowane są zadaniami. „Niedoczas, kompletny niedoczas”, powtarzają wszyscy jak mantrę. Czy od tego można się w ogóle uwolnić? Przecież tak wygląda nowoczesny tryb życia. A mimo to Poppy powoli dorastała do myśli, że dobrze byłoby spróbować.

Wreszcie poczuła się gotowa, by odsunąć pościel, usiąść na łóżku i spuścić bose stopy na podłogę. Dziś rano nie wybierała się pobiegać, zdążyło się zrobić zbyt gorąco. Zdziwiła się, że niespecjalnie się tym przejęła.

Zastanowiła się, co też Luca przyniesie dzisiaj na śniadanie. Może znów truskawki – słodszych nigdy dotąd nie jadła – i te leciutkie jak puch *cornetti*, które można moczyć w filiżance kawy z mlekiem?

Poppy sprawdziła telefon. Przed zaśnięciem wyciszyła go, spodziewając się, że Brendan będzie się z nią kontaktował. I faktycznie, trzy nieodczytane wiadomości. Jedna z informacją, że ma nową pozycję, która pójdzie na rynek w tygodniu jej powrotu do domu, jedna z prośbą o jej opinię w sprawie pewnej oferty i ostatnia, z pytaniem, jak mijają Poppy wakacje.

Naprawdę wolałaby, żeby przestał. Czemu on sobie ubzdurał, że tak daleko od pracy Poppy będzie się nią tak przejmował? „Odzywaj się”, brzmiało zakończenie ostatniego esemesa od Brendana. Ale dlaczego miałaby to robić? Co złego w tym, że człowiek na parę dni odcina się od swojego zwykłego życia? A niech piętrzą się mejle i wiadomości w skrzynce głosowej, niech strony kalendarza pozostaną puste, a domy niech trafiają na rynek bez jej udziału! Jest tutaj, we Włoszech, zbiera nowe doświadczenia i spotyka nowych ludzi! Co przecież teraz jest ważniejsze.

Nieco przygaszona Poppy wzięła prysznic i ubrała się. Nie zawracając sobie głowy odpowiadaniem na wiadomości od Brendana, zostawiła telefon wyciszony i zeszła na dół.

Koleżanki jeszcze spały, a Luca dotąd nie przyjechał. Najprawdopodobniej był zmęczony, bo wczoraj wieczorem zasiedzieli się do późna, rozmawiając bez końca. Dołączyła do nich Orsolina, której również nie śpieszyło jakoś się z powrotem do domu. Kiedy wyszli z baru, miasteczko było kompletnie uśpione. Na ulicach bez ludzi i samochodów zdawało się, że głosy ich trojga odbijają się echem od kamiennych zabudowań.

Pożegnawszy się z Poppy u stóp schodów, Luca i Orsolina poszli dalej razem, nadal rozmawiając głośno. Tyle że przeszli z angielskiego na włoski. Byli w swoim towarzystwie

naturalni, tak wzajemnie serdeczni. Na pewno są parą, jak podejrzewała Tricia.

Poppy dostrzegła jednak, że Luca pozostaje w serdecznych stosunkach ze wszystkimi. Przypomniała sobie, jak wziął ją za rękę tamtego popołudnia na Ortygii, łagodnie, bez najmniejszego ostrzeżenia. W pierwszej chwili poczuła zaskoczenie, ale zaraz przypomniała sobie, że Włosi bardzo lubią fizyczną bliskość. Przecież widziała, jak mężczyźni co rusz obejmowali się i nieustannie poklepywali nawzajem. Chodziło wyłącznie o przyjazne uczucia i życzliwość. A mimo to cudownie było iść z nim za rękę po ulicach, a kiedy wreszcie puścił jej dłoń, Poppy zrobiło się trochę przykro. Brendan nigdy nie lubił trzymania się za ręce, zaś ona zdała sobie sprawę, że właśnie czegoś takiego jej brakowało.

Nalała sobie szklankę soku pomarańczowego z lodówki i poszła na taras. Otwierając przeszklone drzwi, wystraszyła kilka dzikich kotów. To była najładniejsza część domu, podnosząca jego rynkową wartość. Niby nic specjalnego: terakotowe płytki, wokół balustrada z kutego żelaza, ale roztaczał się stąd widok na słoneczne, złote jak miód domy po drugiej stronie. Poza tym przez większość dni dobiegała tu orzeźwiająca bryza. Poppy wyobrażała sobie, jak babcia Luki wychodzi tu, aby odetchnąć od rozgrzanej kuchni, jak wiesza pranie, podlewa oregano i bazylię w donicach, nawołuje na dzień dobry do sąsiadów, pisze coś w swoim notesie. Taras był idealnym miejscem do przyjmowania gości albo do posiedzenia w samotności i zebrania myśli. Poppy czuła się tu jak w domu.

– O, dzień dobry. Wczesnie dziś wstałaś. – Głos Moll zabrzmiał rzeško. – Zrobić ci kawy?

– Przepraszam. Właśnie miałam się za to zabrać.

– Nie, nie, siedź tu sobie. Wiem, gdzie jest wszystko. Zajmę się tym.

Poppy słyszała, jak Moll krząta się po kuchni. Później wyczuła w powietrzu aromat świeżych ziaren kawy, a kilka minut później usłyszała syk maszynki.

– No i proszę bardzo – powiedziała Moll, przynosząc tacę. – Nie ma mleka, więc będziesz musiała zadowolić się espresso. Jedna łyżeczka cukru, tak?

– Zgadza się.

– Ach, nie ma to jak pierwsza poranna kawa! – Moll usadowiła się na krześle obok. – Nie masz nic przeciwko, że też tutaj posiedzę?

– Nie, skądże – powiedziała Poppy, chociaż wcześniejsza samotność bardzo jej odpowiadała.

– Wróciłam wczoraj wieczorem dość wczesnie i znów trochę pogrzebałam w sieci na temat twojej rodziny. Okazuje się, że jest mnóstwo ludzi o nazwisku Planeta, ale na Ortygii nie znalazłam żadnych.

Poppy była rozczarowana.

– Widocznie wszyscy się powyprowadzali. Jak podejrzewał Luca.

– Ale mam też dobre wiadomości. Udało mi się znaleźć jakichś Planetów niedaleko miasteczka Noto. Najprawdopodobniej nie są z tobą spokrewnieni, ale nigdy nic nie wiadomo. Ponieważ jutro mamy zwiedzać Noto, może moglibyście z Lułą sprawdzić ten ślad?

Moll zapisała trzy imiona z nazwiskami i kontaktami na kartce wydartej z notesu.

– Ten tutaj to jakiś prawnik – powiedziała, wskazując na pierwsze. – Ta, zdaje się, prowadzi zakład fryzjerski. Co do ostatniego nie jestem pewna.

– Serdeczne dzięki. – Poppy wzięła kartkę, wdzięczna za starania. – W głowie mi się nie mieści, że aż tyle udało ci się dowiedzieć w tak krótkim czasie.

– No cóż, nie było to znowu tak strasznie trudne – odparła Moll. – A jeśli te nazwiska zawiodą cię donikąd, mam jeszcze porożsyłane wici na paru internetowych forach.

Poppy popijała kawę małymi łyżkami. Mocny i słodki napar dodawał energii.

– Jak sądzisz, czy powinnam poprosić Luce, żeby do nich zadzwonił, zanim pojedziemy do Noto? Sprawdzić, czy jest jakaś szansa na związki z moją rodziną?

– Tak. To niezły pomysł – zgodziła się Moll.

– Chociaż sama nie wiem... Jak byś ty się poczuła, gdyby skontaktował się z tobą obcy człowiek, twierdząc, że jest twoją rodziną? Mogą sobie pomyśleć, że zależy mi na pieniądzach albo co.

– Wahasz się, prawda? Ale dlaczego?

– Chyba się waham – przyznała Poppy. – Tak naprawdę to przez dziadka. On zawsze powtarzał, że przeszłość nie ma znaczenia, że liczy się wyłącznie przyszłość. Wyjechał z Ortygii niedługo po zrobieniu tamtego zdjęcia. Wyobraź sobie, że zostajesz odcięta od wszystkiego, co znasz, i zaczynasz nowe życie na drugim krańcu świata. A teraz? W jego wieku to może być trudne. Powrót do ludzi, których wtedy utracił.

– Ale przecież robisz to dla siebie, a nie dla niego – zauważyła Moll. – Dowiedzenie się czegokolwiek o miejscu pochodzenia rodziny jest rzeczą całkiem rozsądną. Moim zdaniem twój dziadek nie ma racji. Przeszłość jednak się liczy.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tak, oczywiście. To część tego, co sprawia, że jesteśmy, kim jesteśmy. Ja tam lubię sobie wyobrażać, że coś po mnie zostanie dla moich dziewczynek, ich dzieci i kolejnych pokoleń. To jeden z powodów, żeby mieć dzieci, czyż nie tak? Można liczyć się dla innych.

– Mój były mąż zawsze powtarza, że jedyny powód założenia rodziny to posiadanie kogoś, kto się tobą zajmie, kiedy będziesz już stara i niedołężna – powiedziała Poppy.

Moll się roześmiała.

– Ależ urocze podejście!

– Och, Brendan nie jest taki zły. Ale nie przepada za małymi dziećmi.

– Ja sobie nie wyobrażam, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie miała dziewczynek – stwierdziła z namysłem Moll. – Chyba nie miałyby celu. Przecież wszyscy jesteśmy jak ogniwa w łańcuchu, czyż nie? Rozciągającym się od przeszłości w przyszłość. Moim zdaniem w takiej myśli jest jakaś pociecha.

– A jeśli człowiek nie ma dzieci?

– To łańcuch ulega przerwaniu.

– Witam. Dzień dobry. Co się przerwało?

To była Valerie. Wyglądała dzisiaj inaczej, mniej zmęczona, wręcz pełna werwy. Rozpuściła włosy, które spływały srebrzystymi falami na jej ramiona.

– Jeszcze nic – powiedziała Moll. – Przynieść ci kawę? – zapytała. – A potem chcę usłyszeć wszystko o twoim wieczorze.

– Nie ma o czym opowiadać – zastrzegła się Valerie. – Wypiliśmy parę drinków, a potem zrobiliśmy sobie spacer główną ulicą i rozmawialiśmy.

– My? To znaczy kto? – zainteresowała się Poppy.

– Tylko Vincenzo i ja.

– Naprawdę? – Poppy ucieszyła się w imieniu koleżanki. – Poszłaś na randkę?

– Och, przestań – zaprotestowała Valerie niemal dziewczęcym tonem.

– A więc jednak Tricia miała rację! W tym producencie czekolady kryje się materiał na romantycznego kochanka – żartowała Poppy.

– Ależ nic podobnego! To po prostu przemiała znajomość – zaprotestowała Valerie. –

A Tricia gdzie się podziała?

– Pewnie jest jeszcze na gorze i walczy z włosami na śmierć i życie – powiedziała zgrzyźliwie Moll.

– Naprawdę? Cichusieńko tam, więc założyłam, że zdążyła już zejść na dół.
– Nie, na dole ani śladu – powiedziała Poppy.
– Dziwne... A wiecie, nie słyszałam też, żeby wczoraj wieczorem wracała. – Valerie zaczynała się niepokoić. – A któraś z was? Mam nadzieję, że trafiła do domu bez szwanku.
– Pójść na górę i sprawdzić? – zapytała Poppy.
– Tak. I zanieś jej filiżankę kawy – podsunęła Moll. – W maszynie zostało jeszcze trochę.

W pokoju Tricii w powietrzu unosił się tylko leciutki zapach jej perfum. Okiennice były otwarte, łóżko zasłane, prostownica do włosów zimna. Poppy pojęła, że Tricia nie wróciła na noc. Domyśliła się, że musi wciąż być z Santem.

Zamknęła drzwi i zeszła do kuchni. Zapewne Moll będzie miała na ten temat sporo do powiedzenia... Antypatia tamtej do Tricii nie łągodniała w najmniejszym stopniu.

– Och, niemądra dziewczyna! – westchnęła Valerie, kiedy usłyszała wiadomość. – Ale chyba nie sądzicie, że ona naprawdę...

– Pewności nie mam – przyznała Poppy.

– No pewnie, że tak – powiedziała Moll stanowczo. – Przecież było oczywiste, że tak będzie, kiedy tylko z nim znikła. No ale to jej osobista sprawa i mąż nie musi się dowiedzieć. Żadna z nas mu o tym nie powie, prawda?

– No, raczej nie – zgodziła się Valerie. – Jeśli to tylko wakacyjny romans, nie stanie się, być może, nic złego.

– Jestem pewna, że to dla niej nie pierwszozna – stwierdziła Moll.

Poppy nie była przekonana. W końcu Tricia pracowała jako prawnik od rozwodów i zdawała sobie sprawę z kłopotów powodowanych lekkomyślnym postępowaniem. Czy byłaby gotowa na podobne ryzyko?

– Ciekawe, kiedy zamierza wrócić. Mamy dziś rano lekcję gotowania, prawda?

– Nie przejmie się, jeśli ją ominie – powiedziała Moll. – Bardziej interesuje się szefami kuchni niż tym, co oni gotują. W sumie był taki moment, kiedy zdawało mi się, że ostrzy sobie pazurki na Vincenza Mazzarę. Cieszę się, że zostawiła go tobie, Val.

– Moll, naprawdę źle interpretujesz... – zaczęła Valerie.

W tej samej chwili usłyszały otwieranie frontowych drzwi. Valerie umilkła.

To był obładowany zakupami Luca. Przyniósł torbę ze świeżą rybą, kolejną pełną warzyw, kilka butelek wina i wielkie pudło ciastek.

– Dzień dobry, dzień dobry! – zawołał, pozwalając drzwiom zatrzasnąć się za sobą.

Kompletnie nie zaniepokoiła go nieobecność Tricii.

– No właśnie, z samego rana dostałem od niej esemesa – powiedział, wypakowując produkty na śniadanie. – Ma zamiar spędzić dzień w winnicy, z Santem. Chyba planuje, że dołączy do nas dopiero jutro.

Poppy od początku ciągnęło coś do Tricii. Tamta wydawała się jej zuchwała i zabawna. Ot, taka koleżanka, która sprawia, że wszystko wokół nabiera kolorów. Jednak czegoś podobnego się nie spodziewała.

– Czy takie rzeczy zdarzają się tutaj często? – zapytała Lucę.

– Od czasu do czasu – przyznał. – Mieliliśmy tu parę romansów. Jedna pani zakochała się w kelnerze z pizzerii przy drodze na dole. Prawie jej nie widywaliśmy, chyba że on akurat pracował. Później, żeby z nią być, przeniósł do Anglii. Są razem, zdaje się, do dziś.

– Ale Tricia jest mężatką! Ma rodzinę...

– Ja nie mówiłem, że to w porządku, tylko że tak się czasem zdarza. – Luca postawił na stole talerz z ciastkami. – Jeszcze kawy?

– Sama zrobię. – Poppy dotknęła makinetki, by sprawdzić, czy jest wystarczająco chłodna, żeby ją rozłożyć. – Ja tylko po prostu się dziwię. Mówiła, że jest niezadowolona ze swojej pracy, a nie z małżeństwa. Odniosłam wrażenie, że jej mąż to dość przyjemny facet. To on przecież zarezerwował dla niej miejsce na ten wyjazd.

– Santo to też miły gość – stwierdził Luca. – Ale na razie zapomnijmy o tych dwojgu. Zjedzcie śniadanie, a potem pokażę wam, jak my, Sycylijczycy, łamiemy wszelkie zasady i łączymy ser i rybę w tym samym daniu.

Moll zmarszczyła brwi.

– Moja matka od wieków podaje dorsza w sosie z sera cheddar – powiedziała. – Zawsze uważałam, że on zagłusza smak ryby.

– Ta będzie lepsza – stwierdził Luca. – Do tej pory chyba już nabrałaś do mnie zaufania?

Poppy zjadła kilka ciastek, wypila kolejną kawę i poszła poszukać fartucha. Perspektywa lekcji gotowania już nie wprawiała jej w niepokój. Odwrotnie, nie mogła się już doczekać, że nauczy się czegoś, co mogłaby później odtworzyć we własnej kuchni.

„*Turbanti z pałasza ogoniastego, carciofi ripieni, caponata di mandorle*”, pisał na tablicy Luca.

– Dzisiaj przygotowujemy lekki lunch, który będziemy mogli zjeść na tarasie – zapowiedział. – W czasach mojej *nonna* zaczęlibyśmy go od dania z makaronem, ale teraz, nawet we Włoszech, usiłujemy jeść go nieco mniej.

– A ja myślałam, że makaron to tutaj niemal religia – powiedziała Moll.

– To fakt. To ta jedyna rzecz, z której nigdy i za nic bym nie zrezygnował – zgodził się Luca. – Ale od czasu do czasu dzień bez makaronu nie zaszkodzi.

We czwórkę zajęli miejsca przy długim kuchennym blacie. Luca ułożył na czystej powierzchni filety z długiej ryby.

– Naprawdę ją uwielbiam – powiedział głosem pełnym uczucia. – Po sycylijsku mówimy na nią *spatulidda* i jemy upieczoną z ziołami albo po prostu z grilla. W taki sposób moja *nonna* przygotowywała ją dla swoich bliskich, więc naturalnie danie należy do moich ulubionych. Pamiętam, że to był jeden z pierwszych przepisów zapisanych w jej notesie, tym, który zawsze trzymała w kuchni. Oczywiście teraz go nie mam, ale próbowałem babcinej wersji tyle razy, że z odtworzeniem dania nie miałem kłopotu.

Zagonił je wszystkie do pracy: Poppy tarła na tarce ser *caciocavallo*, Moll przygotowywała okruchy z bułki, a Valerie siekała koper włoski i kapary. Kiedy wszystko zostało połączone razem i doprawione, Luca pokazał, w jaki sposób nałożyć warstwę mieszanki na długi filet z pałasza, a potem zwinąć go w turban i umocować drewnianym szpikulcem.

– Czasem gotowanie bardzo przypomina zabawę, nieprawdaż? – odezwała się Poppy, nakładając gruboziarnistą panierkę na filet.

– Nie za dużo – ostrzegł ją Luca. – Jeśli coś zostanie, posypiemy rybę z wierzchu. Nic się nie zmarnuje.

Turbany z pałasza umieszczono w lekko posmarowanej oliwą brytfannie razem z pokrojonymi w ćwiartki pomidorami. Po polaniu jeszcze większą ilością oliwy ryba gotowa była do wsunięcia do piekarnika.

– Szkoda, że nie udaje mi się przekonać dziewczynek, że gotowanie to frajda – powiedziała Moll z żalem. – One zdecydowanie tak tego nie widzą.

– Ja też nie widziałam, dopóki nie przyjechałam tutaj – zaczęła Poppy. – Zawsze czułam presję, kiedy mieliśmy z Brendanem gości na obiedzie. Martwiłam się, że jedzenie się nie uda. Być może gotowałam nie te potrawy co trzeba. To chyba Luca sprawia, że wszystko wydaje się

tak proste i zabawne. Kiedy będę próbowała zrobić to w domu sama, już mi tak łatwo nie pójdzie.

Luca zerknął na nią, ale nie odezwał się ani słowem.

– Spróbuj zwinąć jeszcze jeden taki turban. Przekonaj się, że załapałaś, o co chodzi – doradziła Moll. – To wcale nie jest aż tak trudne.

Kiedy już przygotowały wszystkie, Luca odstawił naczynie z filedami na bok i zajął się demonstrowaniem przygotowywania *caponata* z migdałów, zielonych oliwek i selera naciowego. Poppy zauważyła, że wyznaczał szczególnie dużo zajęć właśnie jej. To ona prażyła migdały na złoty kolor, ona przygotowywała warzywa, a potem dusiła je do miękkości. Musiał dostrzec, że Poppy ma najmniej pewności siebie spośród wszystkich kursantek, i starał się, jak mógł, pomóc jej dogonić grupę. Poppy nie była przyzwyczajona do takiej troski ze strony mężczyzny. Brendan nigdy nie miał zdolności wyłapywania, co ona tak naprawdę czuje.

Caponata bulgotała, a one przygotowały resztę posiłku, obluzowując listki niewielkich kolczastych karczochów i nadziewając warzywa posiekanymi sardelami, czosnkiem, pietruszką i miętą. Później ugotowały je na parze.

Kiedy rybne turbany trafiły do piekarnika, Valerie i Moll zajęły się nakrywaniem do stołu. Poppy oparła się o kuchenny blat, zadowolona z obecności Luki, i obserwowała, jak gospodarz sprząta kuchnię.

– Dzisiaj nie robimy deseru? – zapytała.

– Nie. Jest zbyt gorąco... A może po lunchu poszlibyśmy do miasteczka na granitę? Jutro mamy bardzo napięty grafik, więc dziś nacieszymy się leniwym popołudniem. Później ugotuję obiad dla nas wszystkich.

– Naprawdę? I wcale nie poprosisz nas o pomoc?

– Możesz mi pomóc, jeśli będziesz miała ochotę. Ale jeśli wolisz się zrelaksować, nie ma sprawy.

– Nigdy nie masz dosyć gotowania i sprzątania? – zaciekawiała się Poppy, patrząc, jak Luca wyciera blat.

– Na razie nie. Czasem gotowanie mnie bawi, jak zauważyłaś wcześniej. W inne dni to przygoda, bo sam do końca nie wiem, co mi wyjdzie. Bywa też wyzwaniem, jeśli potrawa jest trudna.

– Powinieneś napisać książkę kucharską. *Z miłości do jedzenia* – podsunęła.

– Myślałem o tym. Może kiedyś.

– Mógłbyś nawet sam zrobić do niej zdjęcia.

Luca zmarszczył brwi.

– Fotografowanie jedzenia bardzo się różni od pracy, którą wykonywałem kiedyś. Nie jestem pewien, czybym sobie poradził.

– Ja bym twoją książkę kupiła – stwierdziła Poppy. – Naprawdę pomogłeś mi w ostatnich dniach odkryć jedzenie. I otworzyłeś mi oczy na wiele spraw.

– Serio? – Luca był chyba zadowolony. – Na przykład?

– Że ważne są składniki, że nie ma potrzeby fiksować się na jakimś ideale, że jedzenie może być czymś szalenie ciekawym. Kiedyś po prostu jadłam, nie zastanawiając się nad historią danego dania ani dlaczego w ogóle powstało.

– A więc ta podróż ci się przydała. I przecież jeszcze się nie skończyła. – Luca się uśmiechnął. – Nigdy nic nie wiadomo, może najlepsze dopiero nadejdzie?

Poppy pomogła mu zsunąć turbany ze srebrzystej ryby na talerze i polała je sosem. Zniosła talerze na taras, a Luca zajął się otwieraniem schłodzonego wina rosato.

– Kolejny wspaniały posiłek! – westchnęła Valerie, zasiadając do stołu. – Szczęściarzy

z nas, nieprawdaż?

– Owszem. A biedna, pocziwa Tricia nie ma pojęcia, co ją omija – stwierdziła Moll.

Poppy jadła z apetytem, pozwalając smakom wymieszać się, zanim przełknęła kęs.

Z każdym następnym coraz silniej ogarniała ją przyjemność. Ten mariaż ryby, okruchów bułki i sera okazał się rewelacyjny. Dania warzywne też były smaczne: *caponata* słodko-kwaśna na typowy dla sycylijskiej kuchni sposób, który Poppy zaczynała bardzo lubić, karczochy ze słonawą nutą, nadaną im przez sardele.

Kiedy skończyli, Luca dolał im wina i przyniósł pozostały ser oraz talerz cienko pokrojonego, jędrnego kopru włoskiego. I bochenek pieczywa w kształcie zwiniętego węża, posypany po wierzchu sezamem.

– Skoro mamy pić, musimy również jeść – oświadczył.

Miał zaróżowione od wina policzki. Błyszczały mu oczy.

– Na zdrowie! – powiedział, unosząc kieliszek. – Za was wszystkie.

Siedzieli na tarasie, aż słońce zmieniło położenie i parasol nad stołem przestał dawać wystarczająco dużo cienia. Do tej pory zdążyli skończyć już drugą butelkę wina i Poppy czuła przyjemny rausz. Słuchając gawędzenia i śmiechu swoich nowych przyjaciółek, pławiła się w upale. Przez krótki czas poczuła, że świat jest dokładnie taki, jaki powinien być. Dziwne, ale poznała tych ludzi zaledwie parę dni temu, a już czuła się pośród nich swobodnie, o wiele bardziej beztrudno i lekko niż przez całe wieki do tej pory. Zupełnie jakby tutaj udało się jej odprężyć i stać sobą w sposób w domu nie do końca możliwy. Uznała, że widać tak właśnie działają na człowieka wakacje.

– Chyba już pora na granitę – oświadczył Luca. – Kawiarnia na *piazza* robi wspaniałą, z cytryną i miętą. Bardzo odświeżającą. Kto się ze mną przejdzie?

Moll, oczywiście, zgodziła się z miejsca; Poppy jeszcze nigdy nie zdarzyło się spotkać kogoś równie otwartego, gotowego na każdy smak. Valerie trzeba było do wyjścia ponamawiać, przede wszystkim dlatego, że obawiała się powrotu do domu po stromych schodach.

– To ja tylko wezmę torbę – powiedziała Poppy z entuzjazmem. – A potem dogonię was w drodze na dół.

Na górze w sypialni zerknęła na telefon i znalazła kolejną porcję poirytowanych esemesów od Brendana. Tym razem niepokoił się, bo nie zareagowała na poprzednie. Czy wszystko u niej w porządku? Czy on ma dzwonić do Interpolu?

W Australii był teraz środek nocy, ale Poppy mimo to wysłała szybką wiadomość o treści: „Wszystko dobrze, pozdrawiam” i z pełną poczucia winy satysfakcją wyobraziła sobie, jak dźwięk nadchodzącego esemesa wyrzywa Brendana ze snu.

Zanim odszukała krem z filtrem i kapelusz i wrzuciła do skórzanej torby na ramię błyszczący do ust, klucz i telefon, pozostali zdążyli już wyjść z domu. Poppy napomniała się, że jest na wakacjach i ma się nigdzie nie śpieszyć. Kiedy już upora się z przypiływem złości na Brendana, dogoni towarzystwo.

Schodząc w dół po stopniach i skręcając w stronę *piazza*, pozwoliła myślom błądzić. Rozmyślała o Moll i uprzejmości, z jaką tamta w jej sprawie przekopywała Internet. Zastanawiała się, co też strzeliło do głowy Tricii, żeby zdecydować się na spędzenie nocy z Santem. Tak ją to pochłonęło, że nie zauważyła Orsoliny, szybko nadchodzącej wąską alejką prowadzącą w stronę *dolceria* Mazarów.

– O Boże, bardzo przepraszam... – powiedziała, kiedy wpadły na siebie z impetem.

– Ach, nie, to moja wina – sapnęła Orsolina, przytrzymując się ramienia Poppy. – Nie patrzyłam, gdzie idę. Na dodatek chyba sobie zwichnęłam kostkę na tych niemądrych obcasach...

– Nic ci nie jest?
– Nie jestem pewna. – Krzywiąc się, Orsolina spróbowała obciążyć kontuzjowaną stopę.
– Chyba tylko mocno ją naciągnęłam. Czy pomogłabyś mi dojść z powrotem do domu? Pewnie będę musiała dać trochę jej odpocząć.

– Jasne, nie ma sprawy – zgodziła się Poppy, przerażona, że Orsolinie coś się przez nią stało.

Kuśtykając z powrotem alejką, Orsolina mocno się wsparła się na jej ramieniu i raz czy drugi sapnęła z bólu, ale poza tym nie odezwała się ani słowem. Krok po kroku minęły *dolceria* i skierowały się w stronę starych drewnianych drzwi wprawionych w skalne zbocze.

– No, nareszcie jesteście – powiedziała Orsolina z ulgą.

Poppy zdumiała się na widok domu w całości wykutego w skalistym wzgórzu, gdzie tylko kilka zaopatrzonych w okiennice okien i niskie drzwi zdradzały, że w środku się mieszka. Za drzwiami ukazało się chłodne, pogrążone w półmroku wnętrze. Kiedy oczy do niego przywykły, Poppy dostrzegła pomalowane na biało chropowate ściany, kremowe grube świece, czekające na zapalenie, i stary kredens z drewna orzecha włoskiego, z widocznym rysunkiem słoików, na którym poustawiano oprawione w ramki fotografie.

– Co za niezwykle wnętrze! – powiedziała.

– Nasza rodzina mieszka tutaj od setek lat. Uważaj na sufit, miejscami jest nisko.

Poppy pomogła wejść Orsolinie przez łukowate drzwi do zaskakująco sporego saloniku, gdzie Włoszka przysiadła ostrożnie na podniszczonej skórzanej kanapie i potarła bolącą kostkę.

– Czy mogłabyś mi przynieść trochę lodu? Może wtedy nie spuchnie... Kuchnia jest za tamtymi drzwiami. – Wskazała na rząd otwartych, sklepionych przejść.

Pomieszczenia przypominały te rodem z baśni. Każdy pokój został wykuty w skale. Wiedzioną nawykami Poppy zaczęła układać w myśli ulotkę z opisem nieruchomości.

– Moja praca polega na sprzedawaniu domów – powiedziała do Orsoliny, wróciwszy z torbą lodu, który znalazła na dnie zamrażarki. – Ale jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takiego jak ten.

– Kiedyś wielu ludzi w Favio mieszkało w takich skalnych domach. Były bardzo proste, ot, nory, wcale nie takie, jak nasz. Moja rodzina powiększała go przez lata, każde pokolenie dodawało coś od siebie. Rozejrzyj się, jeśli masz ochotę.

Poppy nie dała się prosić. Zawsze lubiła oglądać obce wnętrza, zerkać na życie odmienne od jej własnego.

– Z wielką chęcią.

– Proszę, nie krępuj się. Chętnie bym cię oprowadziła, ale lepiej będzie, gdy tu zostanę i trochę się zajmę tą kostką.

Poppy zaglądała w każde drzwi. Znalazła małe gabinet Vincenza i stary pokój dziecienny. Na górze było kilka sypialni, połączonych mrocznymi korytarzami, wydrążonych wokół kamiennych filarów. Pokoje miały sufity z wygładzonego kamienia i drzwi prowadzące na niewielki taras. Widać było wyraźnie, który należał do Orsoliny: ubrania i biżuteria zajmowały tu każdą wolną powierzchnię. Pozostałe były mniej zagracone. Nad łózkami wisiły proste krzyże, zaś w alkowach stały świece.

Poppy zeszła na dół i przyjrzała się dokładniej zdjęciom na kredensie. Na wielu widniał Luca. Tu był na jakiejś łodzi z Vincenzem, tam przy stole w pizzerii. Była też nowsza fotografia: nagi do pasa Luca na plaży, z Orsoliną, gibką w swoim bikini. Tworzą ładną parę, pomyślała Poppy. Trudno nie pozazdrościć tego, co zdaje się ich łączyć... No i wspólnej przeszłości. Poppy wszystko to w swoim życiu pozostawiła za sobą. I choć wiedziała na pewno, że jej decyzja była słuszna, tak czy owak towarzyszyło jej poczucie, że nie powiodło się

jej coś bardzo istotnego.

– Co za niesamowity dom! – powiedziała do Orsoliny, znajdując ją z torbą lodu wciąż przyciśniętą do kostki. – Taki niezwykły.

– Urodziłam się tutaj. I tu przyjdą na świat moje dzieci. – W głosie Orsoliny brzmiała spokojna pewność. – Nigdy byśmy go nie sprzedali.

I Poppy wtedy to dostrzegła. Tę dziewczynę, która miała coś, czego brakowało jej samej – łączność z przeszłością. Orsolina stanowiła ogniwo długiego łańcucha, który będzie się ciągnął w przyszłość. A ten dziwny dom połączy wszystkie jego fragmenty.

– A nie bywa tu zimą ciemno i wilgotno? – zapytała. – Nie robi się ponuro?

– Luca zawsze tak twierdzi. Ale ten dom ma wiele zalet. Zimą osłania nas od niepogody, latem jest zdecydowanie chłodny. Ściany są grube, więc jest cicho.

A wieczorem, kiedy zapali się wszystkie świece, jest szalenie romantycznie. Nawet Luca musi to przyznać.

– Wy dwoje... Długo już ze sobą jesteście? – zapytała Poppy.

Orsolina szerzej otworzyła oczy.

– Ze sobą?

– Och, przepraszam. – Poppy zmartwiła się, że coś odczytała niewłaściwie. – Założyłam, na podstawie tych wszystkich zdjęć, na których jesteście razem...

– Razem nie razem – roześmiała się Orsolina. – Wiesz, jaki jest Luca. I nic nie jest proste.

– No cóż, tak naprawdę go nie znam. – Poppy poczuła się niezręcznie. – Znaczący spędziłam przecież w Favio zaledwie parę dni, więc niby jak miałabym go znać? Ale sprawiacie wrażenie pary...

– Jestem pewna, że koniec końców nią zostaniemy. Po prostu musi trochę potrwać, zanim to do niego dotrze. Wiesz, jacy bywają mężczyźni.

– No, chyba tak – zgodziła się Poppy.

– A Luca ma swoje troski – powiedziała Orsolina. – Jego przeszłość była... No cóż, on po prostu nie jest taką osobą, jaką się na pierwszy rzut oka wydaje. To na pewno.

– Nie jest? – zdziwiła się Poppy.

– Ludzie rzadko już do tego wracają. – Orsolina zniżyła głos. – Ale kiedy mieszkał w Londynie, doszło do pewnej przykrej sprawy... Do kompromitacji. Potem Luca na jakiś czas się stoczył. To mój ojciec go uratował. Spędzali wiele godzin na łodzi, łowili ryby i rozmawiali. Nie wiem, czy bez taty Luca by się uporał z tym wszystkim.

Poppy była już zupełnie zbita z tropu.

– Ale co tak strasznego się stało? – zapytała.

– Naprawdę, nie mogę ci powiedzieć. To jego sprawy, nie moje. Ale wszyscy chodzimy wokół niego na paluszkach, po dziś dzień. Sama więc rozumiesz, czemu nie popycham sprawy nas dwojga. Oczywiście, troszczymy się o siebie nawzajem, ale wszystko musi się toczyć we własnym tempie.

– Jej, mam nadzieję, że wam się uda – powiedziała Poppy całkiem szczerze.

Orsolina uśmiechnęła się dzielnie.

– Dziękuję ci, jesteś bardzo miła – powiedziała cicho. – Któregoś dnia się uda.

(2) Lód i upał

Wyszędłszy ze skalnego domu i szybko ruszywszy w stronę *piazza*, Poppy próbowała sobie wyobrazić, co też takiego, na litość boską, mógł zrobić Luca? Sprawa musiała być poważna, skoro przeżywa ją tak głęboko. Jakaś dziewczyna zaszła z nim w ciążę? No ale

w obecnych czasach to raczej żaden wstyd... Zrobił komuś krzywdę? Trudno było uwierzyć w coś podobnego.

Była już blisko, kiedy dostrzegła go w kawiarni z resztą towarzystwa. Śmiał się, wyglądał przystojnie, jak zawsze. Lecz po tym, co usłyszała przed chwilą, Poppy nie była pewna, czy może ufać takiemu obrazowi.

Nie miała powodu, by wątpić w słowa Orsoliny, chociaż kiedy teraz do nich wracała, przypominała sobie te dziwne chwile, w których zwykła pogoda ducha Luki zdawała się go opuszczać. Jak wtedy, na plantacji oliwek, na przykład gdy Tricia zapytała go o zdjęcia, a on najeżył się cały. Może był to przebłysk, kim ten mężczyzna jest naprawdę? Poppy pragnęła pewności. Gdybyż tylko była tu Tricia! Tak, z nią można by ten temat przedyskutować.

– *Ciao*, Poppy! – zawołał do niej Luca, machając ręką. – Myśleliśmy, że się zgubiłaś.

– Wpadłam na Orsolinę – powiedziała, zauważając puste naczynia po granicie na stoliku.

– Za późno przyszłam?

– My już skończyliśmy, ale ja chętnie wezmę jeszcze jedną. – Popatrzył na Valerie i Moll. – Czy panie dadzą się skusić?

Obie podziękowały i odmówiły. Moll zamierzała uaktualnić swojego bloga o szczegóły porannej lekcji gotowania, Valerie zaś była senna i miała ochotę na drzemkę.

– Zatem tylko ja ci potowarzyszę – zaoferował się Luca. – Na co miałabyś ochotę?

Granita kawowa? Cytrynowa z miętą? Dzisiaj mają też taką z migdałami.

– Kawowa – zdecydowała Poppy. I pożałowała, że zostaną sam na sam. Wszystkie te dręczące ją pytania aż pchały się na usta, lecz żadne nie wydawało się na miejscu. Przypomniała sobie, jak gorąco Moll broniła prawa Luki do prywatności. Naprawdę, nie da się go nie naruszyć podczas wypytywania.

Luca zatrzymał kelnera i poprosił o dwie kawowe granity.

– Orsolina zagadała cię na śmierć? – zapytał, kiedy czekali na zamówienie.

– Pokazała mi swój skalny dom – wyjaśniła Poppy. – Dlatego to tak długo trwało.

– Aha. I co o nim myślisz?

– Jest dziwny. Taki jakiś spektakularny. Ale nie wiem, czy chciałabym tam mieszkać.

Gdyby należał do mnie, przerobiłabym go na apartamenty dla turystów.

Luca parsknął śmiechem.

– Nie pozwól, żeby Vincenzo usłyszał, że to mówisz.

– Obraziłby się?

– Osobiście uważam, że masz rację. Naprawdę, nie tak wyobrażam sobie mieszkanie.

Ale Vincenzo to tradycjonalista pod każdym względem. Życie w siedzibie przodków sprawia mu przyjemność.

– Potrafię to zrozumieć. Musi się tam czuć bezpiecznie i wygodnie. Ale to chyba trochę ogranicza? Mieszkać w taki sam sposób jak twój ojciec, dziadek i wszystkie poprzednie pokolenia...

– Nie uważasz, że szczęście może się zrodzić również z ograniczenia? – zasugerował Luca. – A przynajmniej zadowolenie?

Poppy złapała się na tym, że teraz słucha jego słów uważniej. I zastanawia się nad nimi. Jakby wszystko, co mówił, zaczynało nabierać głębszego znaczenia.

– Tak sobie myślę, co sprawiło, że moi sycylijscy pradziadkowie zdecydowali się nie godzić z ograniczeniami – odparła. – Dlaczego wybrali podróż na drugi koniec świata w poszukiwaniu nowego życia?

– Bieda – stwierdził Luca pewnym tonem. – Niepokój. Nadzieja na coś większego i lepszego.

– Być może nie mogli znieść myśli, że do końca swoich dni pozostaną w tej samej wiosce.

– Jeśli człowiek stworzy sobie dobre życie, to naprawdę nie ma to większego znaczenia, gdzie je spędza – sprzeciwił się Luca. – A jeśli o mnie chodzi, nie mam ochoty mieszkać nigdzie poza Favio. To miejsce oferuje wszystko, czego mi trzeba. Mnóstwo ludzi, których znam, odbiera sprawę podobnie. Na przykład Orsolina. Spodziewam się, że dożyje końca swoich dni w domu, w którym przyszła na świat.

– Czy jej nigdy nie ogarniał podobny niepokój? Nie miała ochoty pomieszkać w większym mieście, stworzyć sobie perspektyw? Przynajmniej przez jakiś czas?

Luca wzruszył ramionami.

– Jej przyjaciele to ludzie, z którymi chodziła do szkoły. A ona ma wygodne życie i wszystkie materialne rzeczy, jakich mogłaby chcieć. To jest jej dom i jest tu szczęśliwa. Po co to zmieniać?

Podano im granitę i Poppy zanurzyła łyżeczkę, żeby spróbować deseru. Kryształki struganego lodu mroziły język, a słodki smak espresso dawał wrażenie ciepła.

– A ty? – zaryzykowała. – Zadowolają cię twoje ograniczenia?

Luca robił dziurki w granicie końcówką łyżeczki.

– Być może dobrze byłoby, gdyby było ich nieco mniej... Ale bez przesady. Lubię życie, na którym mogę polegać.

Poppy zaciekawiała się jeszcze bardziej.

– Zawsze tak to odczuwałaś? – spytała.

– Ależ skąd! Byłem kiedyś młody i niespokojny. Od zawsze mi się wydawało, że gdzieś czeka na mnie coś większego i lepszego. A potem odkryłem, że się mylę. I poszczęściło mi się. Mogłem tu wrócić i zacząć od nowa.

Poppy czuła, że przyszedł czas na to pytanie, i zastanawiała się, jak je sformułować. Co się wydarzyło w Londynie? Jaką okropną rzecz tam zrobiłeś? Jednak nie była w stanie go wyartykułować.

– Życie większości ludzi podlega ograniczeniom – ciągnął Luca. – Wszyscy musimy zarabiać na życie, utrzymywać domy w ładzie, jeść trzy razy dziennie, spać osiem godzin. Nieważne, gdzie człowiek mieszka ani czym się zajmuje, życie zawsze podszyte jest pewnego rodzaju rutyną. Cały trik to sprawić, żeby nie wydawała się taka nudna.

Poppy zdała sobie sprawę, że odpowiedni moment minął.

– Pewnie tak – stwierdziła tylko.

– A co się stało z twoimi pradziadkami, tak koniec końców?

– Och, założyli niewielką piekarnię w Darlinghurst, pracowali od świtu do nocy. Dziadek przejął po nich interes, a potem przez jakiś czas prowadzili go moi rodzice. Więc pewnie masz rację. Przejechali kawał świata, ale ich życie ograniczało się do ciężkiej roboty dzień w dzień. Zupełnie tak samo, jak byłoby tutaj.

– Być może jednak każdy zwykły dzień przynosił ze sobą więcej drobiazgów, które sprawiały im radość? – podsunął Luca. – Może woleli mieć pewność, czym się będą zajmowali do końca tygodnia czy roku?

– No cóż, być może. Taką mam nadzieję. – Poppy spodobała się ta myśl. – Umarli na długo przed moimi narodzinami, więc nigdy nie dowiedziałam się, czy żalowali wyjazdu z Sycylii. Ale mój dziadek zawsze wydawał się zadowolony ze swojej pracy. Miał stałych klientów. Razem z babcią mieszkał w mieszkaniu nad sklepem. Od czasu do czasu zamykali go i jechali na wyścigi do Randwick. Dziadek do dziś dnia lubi czasem zagrać na wyścigach.

Luca napoczął swoją granitę, spijając ją z łyżeczki małymi łykami. Twarz miał

w pełnym słońcu, więc założył ciemne okulary.

Poppy, jako agentka nieruchomości, często próbowała czytać w swoich klientach. Łatwo jej było stwierdzić, czy komuś dom się podoba i czy wyobraża sobie, że mógłby w nim zamieszkać. Zdarzali się wśród nich i podenerwowani, po raz pierwszy nabywający nieruchomość, kłótlivi, którym wiecznie się wydawało, że oto ktoś ich próbuje oszukać, albo tacy, którzy mówili jedno, ale myśleli zupełnie coś innego. Rozpoznawała ich wszystkich. Lecz ten człowiek był dla niej wyzwaniem. Za każdym razem kiedy wydawało się jej, że nakreśliła sobie jego jasny obraz, wydawał się zmieniać. Teraz być może nieco opuścił gardę... Jeśli to prawdziwy Luca, jest o wiele bardziej wrażliwy niż większość znanych Poppy mężczyzn. Bardziej miękki, a zarazem bardziej troskliwy.

– A więc twoi dziadkowie mieli całkiem udane życie, nawet jeżeli skromne – zauważył.

– To prawda – zgodziła się. – Zdaje się, że nie jestem do nich zbyt podobna. Nie zadowalało mnie całkiem udane życie z Brendanem, bo w przeciwnym razie nadal byłabym jego żoną.

– Ale nie byłaś szczęśliwa.

– Nie byłam nieszczęśliwa. To był stan pomiędzy. A mnie wydawało się, że to za mało.

Luca odsunął na bok pusty pucharek po granicie. Spojrzał Poppy w oczy i przez chwilę to spojrzenie podtrzymał.

– A jak sądzisz, co by cię uszczęśliwiło? – zapytał.

– Nie jestem pewna. Niektórzy ludzie do końca życia pozostają niespokojnymi duchami. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie dotyczy to i mnie. Mam nadzieję, że się mylę.

Luca dotknął jej dłoni. Palce miał wciąż chłodne od lodowatego pucharka.

– Nie martw się, Poppy. Myślę, że się zorientujesz, gdy określisz ograniczenia, z jakimi jesteś gotowa żyć – powiedział łagodnie i się uśmiechnął. – Jakim cudem zesłiśmy na takie tematy? Są zbyt poważne jak na słoneczne popołudnie. Powinniśmy się relaksować.

Poppy uznała, że już nigdy nie dowie się prawdy o Luce. Nie żeby miało to jakieś szczególne znaczenie. Za kilka dni wyjazd. Chociaż tak bardzo zaczynała Lucę lubić, choć tak miło było czuć jego dłoń lekko spoczywającą na własnej dłoni... Czy to w ogóle ważne, żeby dowiedzieć się czegoś o jego sekretach?

– Masz rację – zgodziła się. – Być może to pobyt w ponurym domu Orsoliny tak mnie nastroił?

– Ach, w takim razie mam pomysł, jak ci polepszyć nastrój! Już dawno chciałem ci coś pokazać. Dokończ granitę i pójdziemy.

Tak, Luca jest znacznie bardziej wrażliwy, niż mi się wydaje, uznała Poppy. Zdaje się, że pod wieloma względami to mężczyzna niespodzianka.

Luca zostawił na stoliku trochę gotówki na rachunek i wyszli na plac. Wziął Poppy pod ramię i poprowadził ją wąską alejką w stronę kościoła o niewyróżniającej się marmurowej fasadzie.

– Tutejszy ksiądz często go zamyka, bo nie przepada za turystami – ostrzegł. – Mam jednak nadzieję, że dzisiaj nam się poszczęści.

Pchnął drzwi, a te uchyliły się z głośnym skrzypieniem. Poppy poczuła chłodny powiew z wnętrza i wyczuła zapach świętej trójcy: kadzidła, świec woskowych i kurzu. Gdy szli skromną nawą pustego kościoła, kroki odbijały się echem. Luca prowadził między ławkami w stronę ciemnej witryny, wypełniającej dużą połąć jednej ze ścian.

– A teraz popatrz tylko – powiedział, wsuwając monetę do stojącego obok mechanizmu.

Niemal natychmiast scena za szybą została podświetlona i Poppy ujrzała rozległą szopkę bożonarodzeniową, rozmieszczoną na stromej pochyłości szalenie przypominającej tę w Favio.

W pakiecie znalazły się migoczące gwiazdki, osiołki, groteskowo wyglądający mędrzy, pasterze i przepełnieni grozą mieszkańcy wioski. Były też efekty dźwiękowe: muczenie bydła, płacz dziecka, muzyka grana na lutni gdzieś na wzgórzu. Niektóre z figurek drgnęły i zaczęły się poruszać, inne wpatrywały się w żłóbek, pogrążone w adoracji maleńkiego Jezusa. Poppy nigdy jeszcze nie widziała równie wspaniałego kiczu. Zachichotała.

– To jest niesamowite! I jakie okropne!

– Nie, nie. – Luca też się śmiał. – Jeśli ksiądz przyłapie nas na wyśmiewaniu jego słynnej szopki, będziemy mieli kłopoty. Zrobi nam straszliwą scenę, przysięgam. Poppy, przestań wreszcie!

– Nic nie poradzę. Ona jest tak niesamowita...

– Tak, wiem.. Ale śmiechy w kościele...

Nagle Luca objął ją ramieniem w tali, drugą dłonią dotykając policzka. Poppy odwróciła się ku niemu, wciąż na wpół roześmiana. Uciszył ten śmiech ustami. Światełka zgasty, figurki przestały się poruszać, muzyka ucichła. A Luca całował.

Poppy od tej nagłości aż zakręciło się w głowie. Jak przez mgłę docierało do niej, że powinni przestać, ale nie potrafiła się odsunąć. Przywarła do Luki jeszcze mocniej, na chwilę odcinając się od wszystkiego. Poza dotykiem jego warg i ciepłem skóry.

Wreszcie przestali i stanęli naprzeciwko, nachylając się ku sobie i ciężko łapiąc oddech. To Luca przemówił pierwszy.

– Z tego mogą być kłopoty nie mniejsze niż z powodu śmiechu – oświadczył poważnie. – Mamy masę szczęścia, że nie ma tu nigdzie księdza.

– Tak. Owszem – odparła Poppy drżącym głosem.

Potarł policzkiem jej policzek, nabrał powietrza, wdychając zapach jej włosów.

– Czy ty w ogóle zdawałaś sobie sprawę, co do ciebie czuję? – zapytał. Jego ramię tworzyło ciasną obręcz wokół talii Poppy. – Zaskoczyłem cię, prawda?

– Można to tak ująć. – Własny głos wydał się Poppy dziwnym, niezręcznym szeptem.

– I co? Nie masz nic przeciwko? – Uważnie spojrzał w jej twarz.

Przez chwilę pragnęła wyłącznie, żeby Luca pocałował ją raz jeszcze. Żeby nie dał jej czasu na zebranie myśli, które mogły zaćmić to cudowne poczucie, że jest dla niego atrakcyjna.

Zerknęła w przyciemnione okno szopki, a potem znów na Lucę, niepewna, co odpowiedzieć.

– Poppy, czemu milczysz? Powiedz mi, o czym myślisz – odezwał się Luca, nieco rozluźniając uścisk.

– Jestem po prostu kompletnie zbita z tropu – szepnęła. – Aż do teraz zakładałam, że ty i Orsolina tworzycie parę. Trochę ciężko to wszystko ogarnąć...

– Orsolina jest moją dobrą przyjaciółką. Starą przyjaciółką. I to wszystko – tłumaczył.

– To nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że ona oczekuje czegoś więcej.

– Niestety, nic na jej oczekiwania nie poradzę – powiedział Luca stanowczo. – Wierz mi, próbowałam. A zresztą jej oczekiwania nie mają nic wspólnego z tobą i ze mną.

– Kiedy rozmawiałam z nią dziś po południu, powiedziała, że jest pewna, że sprawy między wami dwojgiem jakoś się w końcu ułożą. Mówiła też inne rzeczy.

– Jakie? – Luca się nachmurzył.

Ten pocałunek zmienił wszystko. Nie było powodu, żeby Poppy nie powiedziała tego, co chce powiedzieć.

– Wspomniała o czymś, co stało się, kiedy mieszkałaś w Londynie. O jakimś skandalu. Nie chciała mówić nic ponadto.

Przez kilka chwil Luca rozważał te słowa, a potem skinął głową.

– Tak, rozumiem. Chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej.
– Nie mam do tego żadnego prawa – powiedziała drżącym głosem.
– Jakoś nie dziwi mnie, że chciałabyś wiedzieć więcej o facecie, który pocałował cię przed chwilą.

Poppy spróbowała wziąć się w garść.

– Luca, ja się dopiero co rozwiodłam. Szalenie cię lubię, ale to takie niespodziewane i...
– Przestań albo będę musiał pocałować cię jeszcze raz – ostrzegł. – Wtedy nie będziesz mogła mówić żadnych rzeczy, których wolałbym nie słuchać.

– Nie, nie tutaj. Nie powinniśmy... – Wysunęła się poza zasięg kręgu, który Luca utworzył ze swoich ramion.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się i nagle Poppy znów go zobaczyła, tego beztroskiego, czarującego Luce, jakim go sobie wyobrażała na początku. – Powiem ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć. O wiele więcej, niż kiedykolwiek usłyszała Orsolina. Więcej nawet niż jej ojciec, choć to jedyna osoba, z którą o tym rozmawiałem.

Poppy nagle straciła pewność, że chce wysłuchać jego sekretów. Czy on nie weźmie mojej ciekawości za rodzaj obietnicy?

– Nie musisz.

– Wiem. To taka część mojego życia, którą poznało naprawdę niewielu ludzi. Czuję jednak, że tobie chcę powiedzieć wszystko, choć będziesz wówczas myślała o mnie inaczej. Kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia, Poppy, możesz przestać mnie lubić. Być może nawet znienawidzisz.

Wpatrywał się w nią płonącymi oczami.

– Wiesz, Luca... Jak dla mnie, robi troszkę zbyt dramatycznie – powiedziała Poppy.

– Rozumiem. I przepraszam. – Pozwolił opaść ramionom.

– Chyba wrócę teraz do domu...

– Nie, proszę, nie idź! Chodź ze mną. Tylko do domu mojej matki. Pamiętasz, chciałaś obejrzeć moje zdjęcia? Tam właśnie je trzymam. No chodź – poprosił. – To ci wszystko wyjaśni.

Poppy nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny o podobnej żarliwości. Kompletnie wytrącała ją z równowagi.

– No dobrze – powiedziała niepewnie. – Chyba mogę na chwilę.

Miała nadzieję, że tego nie pożałuje.

Ksiądz pojawił się, kiedy wracali nawą. Szedł w ich stronę zaaferowany, z wielkim kluczem w dłoni.

– Kościół jest zamknięty. *Chiuso!* – wołał naburmuszony. – Co tu robicie?

– Przepraszam, *padre*. Już wychodzimy – odparł Luca. – Przyszliśmy obejrzeć szopkę.

– Szopka też nieczynna – warknął ksiądz. – *Chiuso, chiuso!* Wszystko nieczynne!

Zatrzasnął za nimi z hukiem drzwi, burcząc jeszcze na pożegnanie to swoje: *Chiuso, chiuso!*

Poppy nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– O Boże, wyobraź sobie, co by było, gdyby nas przyłapał na całowaniu! Chybaby oszalał. Co ci odbiło?

Luca ścisnął jej dłoń.

– Nic nie mogłem poradzić. Już od paru dni miałem ochotę cię pocałować. Wyglądało na to, że tylko tam będę z tobą sam na sam.

Matka Luki mieszkała w najwyższej położonej części miasteczka. Jej dom znajdował się za wysoką żelazną bramą. Roztaczał się z niego widok na zabudowania poniżej, zapierający dech w piersiach.

– Nie martw się, mamy chwilowo nie ma – oznajmił Luca. – Rodzina ma również dom w pobliżu plaży, jak wiele w Favio. Kiedy robi się upalnie, mama przenosi się właśnie tam.

Zaprowadził Poppy do kuchni i nalał jej szklankę wody mineralnej.

– Za moment wracam – obiecał.

Czekając, Poppy usiłowała dojść do ładu z tym, co się właśnie stało. Podobał jej się ten pocałunek Luki, nawet bardzo. Taki palący i natarczywy, zupełnie jak te, które zapamiętała jako nastolatka. Życie małżeńskie nie dostarczyło jej podobnego natężenia uczuć, podobnego wrażenia, że usta obrzmiewają od całowania, że zarost ostro drapie skórę... Niemal już zapomniała, jak to może działać.

Ale przecież nie po to przyjechała na Sycylię! Ta podróż miała oznaczać niezależność i przygodę, miała pomóc jej zorientować się, kim naprawdę jest bez Brendana, wiecznie tkwiącego u jej boku. Luca nijak się w tym planie nie mieścił. Jakiś zatroskany, pełen sekretów mężczyzna – zupełnie tego teraz nie potrzebowała. A już zwłaszcza mężczyzny, do którego prawa rościła sobie inna kobieta.

Mimo to Poppy nie zdołała się powstrzymać. Sięgnęła do warg, wspominając smak jego ust. Zastanowiła się, co też on chce jej powiedzieć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że go nienawidzi.

– Proszę bardzo. – Luca wrócił, trzymając w rękach pokryty kurzem karton z przykrywką. – Nie zaglądałem do nich od bardzo długiego czasu.

Odwrócił pudełko i wysypał z niego na kuchenny stół stos zdjęć. Wszystkie były fotosami formatu A4. Niektóre kolorowe, inne czarno-białe, ale wszystkie ukazywały tę samą kobietę. Poppy z miejsca rozpoznała jej twarz. Znała tę szczupłą figurę, przyszyżone jasne włosy, podkreślone czarnym kohlem oczy.

– Dlaczego trzymasz w tym pudle zdjęcia księżnej Diany? – zapytała zdziwiona.

– Myślałem, żeby kiedyś je wystawić, zrobić z nich książkę albo portfolio. Stale dodrukowywałem to cholerstwo.

– To ty zrobiłeś te zdjęcia? – Do Poppy wciąż to nie docierało.

– Tak. Co do jednego.

Zdumiona Poppy wzięła się do przeglądania.

– To jest naprawdę znane, prawda? I jeszcze to. Widywałam je w pismach.

– Pewnie prawie wszyscy je widzieli.

– I to ty je zrobiłeś... – powtórzyła niemądrze.

– Te i tysiące innych. Na tym wtedy polegała moja praca.

Poppy wreszcie oprzytomniała.

– Pracowałeś jako paparazzo!

– Tak.

– I jeździłeś za księżną Dianą.

– Za innymi sławami też, ale za nią przede wszystkim. Wiem, jak to odbierasz. Paparazzi nie cieszą się raczej najlepszą reputacją. Mogę tylko powiedzieć, że wtedy łatwo się usprawiedliwiałem. I wiesz, ona nie zawsze sprzeciwiała się robieniu tych zdjęć. Czasem dawała nam cynk bezpośrednio. Od czasu do czasu nas wykorzystywała. – Wziął do ręki jeden z fotosów. – To zabawne... Można gruntownie znać czyjąś twarz, a mimo to zupełnie nie znać osoby.

Poppy nie mogła uporać się z nowym wcieleniem Luki. To, na razie, było dla niej najtrudniejsze.

– Jak ty w ogóle zdobyłeś taką pracę? – zapytała.

– Przypadkiem.

– I lubiłeś to zajęcie?
Wzruszył ramionami.

– Zdawało się oferować życie bez ograniczeń. Bez ograniczeń sum, które mogliśmy zarobić, miejsc, gdzie mogliśmy bywać, tego, co mogliśmy robić albo mieć. To było ciekawe. Poppy pomyślała, że jest w stanie zrozumieć tę atrakcyjność.

– I co poszło nie tak?
– Znasz przecież odpowiedź. Zginęła. – Skrzywił się. – Zginęła, a ja przy tym byłem.

– W tamtym tunelu? W Paryżu? – Myśląc o oglądanych wówczas wiadomościach, z trudem wydobywała z siebie słowa. Była nieprawdopodobnie zaszokowana faktem, że Luca mógł stanowić jakąś część tamtych wydarzeń.

– Tak, byłem na jednym z motocykli. Tych, które ją ścigały.

– I co się dokładnie stało? – chciała wiedzieć.

Luca nie potrafił spojrzeć w oczy. Przeniósł wzrok z fotografii na stole na rodzinne portrety na ścianie.

– Wszystko potoczyło się tak szybko... – powiedział z wahaniem. – Istne szaleństwo. W jednej chwili mój partner Harry wrzeszczał do mnie, żebyśmy przyspieszyli, bo inaczej ona nam ucieknie, a zaraz potem rozległ się upiorny hałas i zobaczyliśmy, że jej mercedes sunie w naszą stronę. Masa pogiętego metalu, z dymiącym silnikiem i wyjąącym klaksonem. Jego słowa ożywiały tamtą scenę. Poppy słuchała jak zahipnotyzowana.

– I co zrobiłeś?
Luca znów umilkł. Jakby żałował, że zaczął opowiadać.

– Próbowałeś jej pomóc? – naciskała.

Zwiesił głowę.

– Nie. W pierwszej chwili nie zrobiłem nic. To Harry zeskoczył z motoru. Podbiegł do samochodu, a z nim paru innych. Myślałem, że on zamierza jej pomóc, ale miał już w ręku aparat. Zaczął się przepychać i fotografować. Ktoś na niego krzyczał, żeby się odsunął, i usłyszałem, jak Harry klnie. A potem pojawili się inni ludzie, chyba jakiś lekarz czy policjant. Wszyscy robili zdjęcia, błyskały flesze, wyły syreny. Więc i ja wziąłem aparat i zacząłem je robić. Jak cała reszta.

W jego głosie brzmiał taki wstyd, że Poppy nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie wiedziałem, że ona umrze – zastrzegł się. – Pozostali tak. Kierowca, Dodi. Oni nieźle oberwali. Ale ona wyglądała jak zawsze, była piękna. Harry zabrał mnie stamtąd w samą porę. Niektórych z pozostałych zgarnęła policja i wywiozła w furgonetce. My byliśmy wolni, a to znaczyło, że nadal możemy pracować. Czyli fotografować pod szpitalem, gdy wynoszono jej trumnę. Choć tłum na nas pluł i obrzucał obelgami.

– Jak mogłeś zrobić coś podobnego? – Poppy poczuła, że odsuwa się od Luki.

Wbił wzrok we własne dłonie.

– Jak ktokolwiek z nas mógł? To chyba po części działanie adrenaliny i tej niesamowitej koncentracji, kiedy jesteś skupiony na temacie. Zresztą jest coś takiego... Kiedy ma się aparat przy oku, pojawia się bariera między tobą a światem, obiektyw pozwala ci na rodzaj dystansu. Dzisiaj widzę to wszystko z zupełnie odmiennej perspektywy, oczywiście, tak jak trzeba na to patrzeć, jak na pewno patrzyłaby na to moja *nonna*. Teraz odbieram świat zupełnie inaczej. Ale to niczego nie zmienia.

Zaczął wrzucać zdjęcia z powrotem do pudełka, gwałtownie, nie dbając, że ulegną zniszczeniu.

– Nigdy nawet nie spojrzałem na zdjęcia z tamtej nocy. Wszystkie zostały zniszczone. Ale nadal widzę je w głowie, klatka po klatce.

Poppy była wtedy nastolatką. Przypominała sobie swoją lekką obsesję na temat prasowych artykułów i serwisów telewizyjnych poświęconych śmierci w rodzinie królewskiej.

– Za wypadek obwiniano paparazzich, prawda?

– Tak. Winiła nas i opinia publiczna, i niektóre media też, chociaż zawsze z radością publikowały nasze zdjęcia. Koniec końców, ja obwinałem nas tak samo jak oni.

– Ale twój motocykl nie brał udziału w wypadku?

– Nie, byliśmy z tyłu. Ale tak czy inaczej, mercedes gnał, żeby nas zgubić. Nie wiem dlaczego. Chcieliśmy tylko zrobić zdjęcia, a to nigdy jeszcze nikogo nie zabiło. Oczywiście gdybyśmy ich nie ścigali, jechaliby wolniej. Nie doszłoby do wypadku, a ona nadal by żyła. Więc to w pewien sposób była nasza wina. Moja, Harry’ego i innych facetów, którzy tropili ją tamtego lata.

Luca potarł oczy zmęczonym ruchem.

– Potem zabawa się skończyła. Wróciłem do Londynu, ale nie robiłem już żadnych zdjęć ludziom, którzy zostawiali bukiety kwiatów przy ogrodzeniu pałacu Kensington albo stali w tłumie, by zobaczyć przejazd jej trumny. Żałobę po niej odbyłem na swój własny sposób, samotnie. Jeśli wychodziłem z mieszkania, to tylko dlatego, że kończyła mi się whisky. Nie odbierałem telefonów, całymi dniami nie widywałem nikogo. Im więcej myślałem o tym, co ją spotkało, tym bardziej czułem się winny. Ona tak bardzo stała się częścią mojego życia, że nie wiedziałem, gdzie mam się bez niej podziac.

– Czyli dopadła cię depresja? – sprecyzowała Poppy.

Luca znów się zawahał.

– Nie, to przyszło później – powiedział. – Kiedy już zorientowałem się, że część z tych ignorowanych telefonów pochodziła od mojej matki. Dzwoniła, by powiedzieć mi, że *nonna* zachorowała. W końcu napisała list, ale zanim zebrałem się w sobie, żeby go otworzyć, było już za późno. *Nonna* umarła i została pochowana, a mnie ominęła szansa, żeby się z nią pożegnać. To wtedy zrozumiałem, czym jest żal. To wtedy się rozleciałem.

Patrząc na jego spiętą twarz, Poppy widziała ból, który go nie opuszczał. Jakże ciężko przyszło mu opowiedzenie tej historii! I jakie to niesamowicie przejmujące, że akurat ją, Poppy, wybrał na swoją powiernicę! Zapragnęła go dotknąć, ale siedziała po drugiej stronie kuchennego stołu. Między nimi stało pudło ze zdjęciami.

– I to wtedy wróciłeś do Favio? – zapytała.

– Koniec końców tak. Przez długi czas nie wiedziałem, co robić. Ludzie byli dla mnie dobrzy – mama, Vincenzo, Orsolina. Dali mi czas, wyznaczali niewielkie zadania do wykonania, pracę za kontuarem w *dolceria*, kiedy już się nadawałem do pracy. Ale *nonna* zostawiła mi swój dom, a ja chciałem w jakiś sposób uhonorować jej pamięć. Z pomocą przyjaciół i rodziny zacząłem go odnawiać, wymieniać połamane kafelki, przegniłe drewno, rozsypujący się kamień. A potem, któregoś dnia, przyszedł mi do głowy pomysł założenia szkoły kulinarnej.

– I tym się od tej pory zajmowałeś...

Luca pokiwał głową.

– Pragnąłem życia z ograniczeniami. Ale przede wszystkim pragnąłem stać się takim człowiekiem, za jakiego uważała mnie *nonna*.

Poppy wiedziała, że nie powtórzy tej historii żadnej z koleżanek z kursu, choć sensacyjna wiadomość stanowiła świetny materiał do plotek. Ale w tej chwili zgadzała się z Moll: każdy ma prawo do sekretów.

– Powinienem już dawno wyrzucić te zdjęcia. – Luca wstał i zabrał pudło ze stołu. – Nie są mi już do niczego potrzebne.

– Stanowią sporą część twojej przeszłości. Czy to nie jest ważne?

– Nie ten jej fragment. Nie dla mnie.
– Więc po co o tym rozmawiać? Dlaczego mówisz mi o tym teraz, kiedy łatwiej byłoby zachować całą sprawę w tajemnicy?

– Bo Orsolina rzuca przeróżne aluzje, a ja nie chcę, żeby stały między nami. – Luca przycisnął pudło do piersi i spojrzał płonącymi oczami. – Lubię cię, Poppy, więc muszę być w stosunku do ciebie uczciwy i prawdomówny. Nie ma tu miejsca na nic mniej.

Poszedł odłożyć karton na miejsce, a Poppy, która pozostała przy kuchennym stole, usiłowała dojść do ładu z wyznaniem, którego wysłuchała, uporządkować myśli i określić, co teraz czuje do Luki. Próbując się odprężyć, przyglądała się rzędom zdjęć na kuchennej ścianie. Wiele z nich przedstawiało siwą kobietę o szerokiej, urodziwej twarzy. Poppy domyśliła się, że to właśnie *nonna*. Były zdjęcia Luki z matką, chłopca w zgrabnym szkolnym mundurku, na plaży z przyjaciółmi, dorastającego, uderzająco przystojnego nastolatka, a później atrakcyjnego młodego człowieka. Poppy czuła, jakby zwiedzała przygotowaną specjalnie dla niej wystawę, przedstawiającą całe jego życie. No, prawie całe.

– Nie ma tu żadnych zdjęć twojego ojca – zauważyła, gdy wrócił do kuchni.

– Między nim a matką nie ułożyły się sprawy. Wyjechał z Sycylii, kiedy byłem jeszcze bardzo mały. I tak zostałem wychowany przez kobiety. – Wskazał na ścianę. – Większość z nich już nie żyje.

– To smutne.

Luca wzruszył ramionami.

– Takie życie. Kochasz ludzi, tracisz ludzi.

Poczuła przypływ współczucia. Jak miałyby do niego nie wyciągnąć ręki? Co innego mogła zrobić, jeśli nie objąć go ramionami i mocno przytulić? Tutaj, w kuchni jego matki, gdzie zegar tykał na ścianie, pocałowali się po raz drugi. Ale tym razem inaczej, nieśmiało i czule.

Być może trwali tak przez godzinę, a może przez dziesięć minut. Na chwilę Poppy zapomniała o całym świecie. Pozwoliła dłoniom przesunąć się w dół jego pleców i wsunąć się pod tizertkę Luki. Poczuła, że on robi to samo. Początkowo dotykali się z wahaniem, ale nie upłynęło wiele czasu, a skóra lgnęła do skóry. Wszystko zdawało się tak cudowne i nieznanne: jego ciało, zapach i smak, to, co czuły dotykające go dłonie. To, co ona czuła przy nim.

– Luca... Dziękuję, że mi to wszystko opowiedziałeś – szepnęła. – Rozumiem, jakie to dla ciebie ważne, jak się z tym czujesz. Chciałabym, żebyś...

– Cii, nie teraz – powstrzymał ją. – Chodź na górę, Poppy. Dobrze? Bądźmy razem, ty i ja. Dopóki mamy czas.

– Tak – zgodziła się. Nic innego nie mogła powiedzieć.

Później, zaplątani w starą lnianą pościel i we własne objęcia, zdrzemnęli się chwilę. Kiedy już się ocknęli, Luca zaczął ją karmić kawałeczkami tej trzeszczącej, słodkiej czekolady. Poppy poczuła, że to nie mniej rozkoszne niż wszystko inne, co robili razem.

– Jeszcze nigdy nie spotkałam mężczyzny, którzy trzymałby przy łóżku zapas czekolady – powiedziała.

– Wobec tego nigdy nie poznałaś mężczyzny przeszkolonego przez Vincenza. To jego czekolada, oczywiście. Często zjadam ze dwa kawałki jako pierwszą rzecz z rana, żeby się obudzić. No i proszę, teraz znasz już wszystkie moje tajemnice – zaśmiał się niepewnie Luca.

A później, włożywszy do ust Poppy ostatni okruch, zmiął papierek i cisnął go na podłogę.

Poppy zamknęła na chwilę oczy, napawając się roztapiającą w ustach słodyczą z odrobiną pikantności, wygodą łóżka i bliskością Luki.

– Zostańmy tu na zawsze, żywiąc się czekoladą – zasugerowała, wtulając twarz w jego tors.

- Gdyby to tylko było możliwe...
- Pewnie innym by nas brakowało.

Luca westchnął.

– I to raczej prędzej niż później, obawiam się. Obiecałem, że ugotuję obiad, pamiętasz? Będą czekały.

- O, do diabła, faktycznie!

Poppy nie była gotowa na spotkanie z kimkolwiek. Myślała o tym, co będzie potem. Czy Moll, Tricia i Val zgadną, do czego doszło między nimi dwojgiem?

– Ale może jeszcze dziesięć minut. – Palce Luki bawiły się rzeką włosów Poppy. – Albo może dwadzieścia.

- Luca! – Odsunęła się od niego. – Nie spodziewałam się, że do tego dojdzie...

– Ja też nie. – Wyciągnął rękę i spróbował przyciągnąć Poppy do siebie. – Ale jestem szczęśliwy, że tak się stało.

- Za kilka dni wyjeżdżam z Favio.

– Nie musisz – powiedział szybko. – Mogłabyś przedłużyć wakacje i zostać ze mną jeszcze trochę. Zaopiekuję się tobą, obiecuję.

Poppy pomyślała o tym, co na nią czeka w kraju: dom, przyjaciele, praca, no i, oczywiście, Brendan. Czy naprawdę aż tak się jej do tego śpieszy? Czy naprawdę nie mogłaby przeciągnąć tej chwili wolności? Spędzić więcej czasu z Sycylińczykiem, który wydaje się tak skomplikowany i tak pociągający jednocześnie?

- Pewnie mogłabym przebukować bilet... – Wahala się. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Jeśli chcesz, zadzwonię w twoim imieniu do linii lotniczych. – W jego głosie zabrzmiało zadowolenie. Przesunął ciężar ciała tak, że niemal przygniótł sobą Poppy. – Ale w razie czego, gdyby jednak zostało nam tylko tych parę dni, nacieszymy się nimi, ile się da. Dobrze?

I znów zaczął ją całować. Poppy wyczuła na jego wargach lekki posmak czekolady i namiętnie oddała pocałunek.

Pachniała jego łóżkiem. Zdała sobie z tego sprawę, gdy schodzili razem po schodach prowadzących do szkoły kulinarnej. Miała wrażenie, że ten piżmowy aromat ma we włosach i na skórze. Podobał jej się bardziej niż wszystkie używane dotychczas perfumy. Pomyślała, że do niej pasuje.

Szli ręką w rękę po zatłoczonych chodnikach, trzymając się bardzo blisko. Co jakiś czas Luca pozdrawiał kogoś znajomego, a Poppy dostrzegała pełne zdziwienia twarze. Spodziewali się raczej, że zobaczą go z Orsoliną, uznała, zastanawiając się z nagłym niepokojem, ile czasu minie, zanim plotka dotrze do Włoszki.

Puścił jej dłoń, kiedy doszli do sklepów spożywczych przy głównej ulicy, i zajął do rzeźnika, gdzie kupił cienkie plastry cielęciny. Warzywa nabył na straganie. Tutaj wydawał się dawnym Luca, który z pewnością siebie przebierał wśród kawałków mięsa, sprzeczał się o świeżość brokułów i dojrzałość pomidorów. Ale Poppy wiedziała już, że to tylko zewnętrzna powłoka, część, którą on pozwala oglądać światu. W końcu sama również nie domyśliła się, że kryje się pod nią aż tyle.

Z miłości do jedzenia

Luca Amore przygotowuje *carne murata* w szerokim terakotowym naczyniu swojej *nonna*, przekładając cienkie plastry cielęciny cebulą i ziemniakami, pomidorami i ziołami.

Poruszając się po kuchni, czuje na sobie jej oczy. I zastanawia się, o czym ona myśli.

Wszystko, co robi, jest doprawione tym, co Luca teraz czuje. Szykuje pesto z migdałów, śliwkowych pomidorów, posiekanej mięty i czosnku, ucierając je na oleistą masę w moździerz. Wyrabia ręcznie ciasto na makaron, dzieląc je na paski i zwijając w niewielkie kluseczki. Robił to samo dla wszystkich przyjmowanych gości, a jednak teraz czuje się inaczej.

Zazwyczaj szykowanie jedzenia go uspokaja. Człowiek trzyma się znajomej rutyny, zajmuje czymś ręce, pozwalając jednocześnie błędzić myślom. A potem przychodzi nagroda, kiedy zapach piekącego się mięsa czy słodycz duszonych pomidorów napelniają wnętrze kuchni. Jednak dzisiejszego wieczoru Luca czuje się niezdarny. Walczy ze sobą, żeby wykonywać jedną czynność po drugiej, we właściwej kolejności. Chciałby, żeby już było i po obiedzie, i po drinkach na tarasie. Chce zostać sam na sam z nią.

Zastanawia się, czy ona nie żałuje spędzonego z nim razem popołudnia. Nie sposób wyczytać tego z jej twarzy. Policzki ma lekko rumiane, skórę odrobinę błyszczącą, usta obrzmiałe od pocałunków. Całe jej piękno leży w drobnych wadach. To jedna z tych rzeczy, które go do niej przyciągnęły.

Przysiadła teraz na wysokim stołku przy kuchennym kontuarze i rozmawia z pozostałymi, siedzącymi przy stole. Ich rozmowa nic nie znaczy. Ot, kobiety zapełniające ciszę słowami. Luca słucha tego jak muzyki.

Pesto *trapanese* wyszło nieco słonawe. Woda na makaron powinna się już zagotować. Luca usiłuje się skupić. To dość prosty posiłek, a tymczasem on traci panowanie nad sobą. Śpieszy się.

Rzecz, której nauczyła Lucę *nonna*: każdemu daniu należy się tyle czasu, ile ono wymaga. Smakom w sosie trzeba pozwolić dogotować się i wzajemnie przeniknąć, ścięgnięta w mięsie wymagają wielu godzin duszenia, zanim zmiękną. Jedzenie, które się pogania, nie ma głębi smaku i nie można się nim nasycić. Luca zastanawia się, czy z romansami nie jest czasem dokładnie tak samo.

Powinny być setki więcej takich granit zjedzonych wspólnie w kawiarni przy *piazza*, wiele takich popołudni z czekoladą w starej lnianej pościeli jego matki. Muszą się nauczyć, w jaki sposób z czasem przemieszczają się ich zapachy. Potrzebują wielu godzin na rozmowy i jeszcze więcej na wspólne milczenie.

Luca myśli o tak wielu daniach, które mógłby dla niej ugotować. Gdyby tylko miał taką okazję. *Zucchini agrodolce* ze świeżą miętą i płatkami ostrego chili, czarne spaghetti z atramentem mątwy, bakłazany wędzone i skapane w czosnku i cytrynie. Desery, którymi by ją karmił. Ciasta z pistacjami i ricottą, sorbet z opuncji (gdyby Poppy znalazła się tu u schyłku lata), złote, smażone w głębokim tłuszczu ryżowe krokietki z miodem, dla podniesienia na duchu zimą. Martwi się, że do tych posiłków nigdy nie dojdzie.

Luca przeciera kieliszki i sztućce, wyciąga talerze i zastawia stół. Sprawdza makaron i wyjmuje pieczoną cielęcinę z piecyka. Posiłek jest gotowy.

Tylko tego jednego jest pewien.

Tricia

No co tak na mnie patrzysz? Dobrze wiem, co myślisz, ale nie rozumiesz jednego – że ja tego potrzebowałam. Nie mam zamiaru czuć się z tego powodu winna. Wykluczone.

Moje życie jest takie przewidywalne. Dzień w dzień jadę taksówką do pracy i taksówką z niej wracam. Wnętrze mojego biura albo wnętrze sali sądowej, albo wnętrze domu; wszędzie tam muszę trzymać kontrolę, dowodzić. To ja dbam, żeby sprzątaczką była opłacona i żeby w lodówce nie zabrakło jedzenia. To ja umawiam wizyty u dentysty, organizuję zabawy dzieciom i zajmuję się wszystkimi detalami, które pozwalają rodzinie funkcjonować. A tymczasem w głowie zwykle niepokoję się sprawą, nad którą właśnie pracuję. Nie potrafię tych naglących myśli wyciszyć, chyba że osuszę butelkę wina. A nawet i wtedy w tle są jakieś trzaski, jak przy włączonym radiu.

Czasami chce mi się wrzeszczeć albo płakać, albo i jedno, i drugie. Oczywiście, nie robię tego, bo co by sobie wszyscy pomyśleli, gdybym nagle się rozleciała? Nie mogę sobie pozwolić na oddech, zbyt wielu ludzi na mnie polega. Jedyne, co mogę, to przeć przed siebie.

Z Santem przez chwilę udało mi się wyleźć z własnej głowy, oddać kontrolę, stać się kimś innym niż zwykle i, dobry Boże! To było cudowne! Val ma rację co do mężczyzn, którzy potrafią gotować. Są lepsi w łóżku. Szkoda, że nie wiedziałam tego wcześniej.

Tak, bywały i inne okazje. Niezbyt często. Tyle tylko chwil skradzionych ze zwykłego życia, żeby móc nadal funkcjonować. Paul nigdy się nie dowiedział, dzieci na tym nie cierpią. Zawsze dbam, żeby to było coś oddzielonego od normalnego życia, i rygorystycznie się tego trzymam. Czekam i chwytam okazję wtedy, kiedy się da. A Santo był w te klocki świetny, naprawdę doskonały. Pozwolił mi się przenieść w miejsce, w którym potrzebowałam się znaleźć.

Kiedy idziesz do łóżka z mężczyzną, który nie jest twoim mężem, jest zupełnie tak, jakbyś wszystkie nerwy miała na wierzchu. Wszystkie zmysły przytłumione latami braku odmiany natychmiast się wyostrajają. Wiążą się z tym podnieta i ryzyko, tyle jest nowego! Ale przede wszystkim istnieje świadomość, że to się skończy, a wy już nigdy nie będziecie musieli oglądać się na oczy. To obniża stawkę w grze – sprawa nic nie znaczy, więc można sobie pozwolić na kompletny odjazd.

Wczorajszy poranek po był idealny. Santo pożyczył mi jakąś swoją starą koszulę i kapelusz z szerokim rondem i wysłał mnie do ogrodów przy winnicy. Pełna i cięła jak wariatka, cała byłam w ziemi i pocie, a gdy skończyłam, wszystko wyglądało lepiej. Pomijając mnie samą.

Mój tata kiedyś mawiał, że ogród to jedyne miejsce, w którym jest w stanie myśleć jasno. Kiedy wracał do domu po pracy, brał latarkę i spędzał chociaż pół godziny na naszej wąskiej działce, nieważne, jak późno było. Hodował głównie kwiaty: cynie, astry, dalie, wszystko, co nektarem zwabiało motyle i pszczoły. To był jego sposób na ucieczkę. Kiedy miał ręce zajęte ziemią, umiał posortować w głowie różne sprawy, poprzyglądać się im i wszystko porządnie przemyśleć. Przynajmniej tak mi to tłumaczył.

Teraz tam, gdzie kiedyś rosły kwiaty ojca, jest tylko trawnik, a moja mama płaci jakiemuś człowiekowi, żeby przychodził go strzyc. Nawet nie chce słyszeć o jednorocznych roślinach, bezładnie więdnących pod koniec sezonu, o rabatach, które tracą fason, i obumierających kwiatkach. O niczym, co się rozrasta i co trzeba przycinać. Jej zdaniem ogród powinien być jak fotografia i codziennie wyglądać tak samo.

Santo pozwolił mi robić w ogrodzie, co tylko chciałam. Kiedy skończyłam, pomógł mi rozpaść ognisko, żeby pozbyć się śmieci, a potem ugotował to, co zebrałam. I nie trzeba było robić nic, tylko jeść i popijać wino, patrząc, jak on pracuje, aż kuchnia została zamknięta i przyszedł czas, że mogliśmy znów iść do łóżka. Dokładnie tak, jak powiedziała Moll: wszyscy mamy prawo do prywatności, czyż nie? Wolno nam mieć swoje sekrety. No cóż, taki jest mój. I mam nadzieję, że pomożesz mi go utrzymać?

Dzień szósty

(1) Gelato i niewinne kłamstewka

Tricia nigdy nie czuła się winna, kiedy to się działo. Poczucie winy pozostawiała sobie na rano. Zwłaszcza ten dzisiejszy, kiedy wspięła się po schodach do szkoły kulinarnej i otworzywszy drzwi, nadziała się w kuchni na Poppy. Nie musiała się z niczego tłumaczyć – to była w sumie jej własna sprawa – a mimo to złapała się na wyjaśnieniach. Widać było wyraźnie, że Poppy nie ma bladego pojęcia, o czym ona mówi. No cóż, w życiu tej dziewczyny najwyraźniej nie zdarzyło się nic, co by pomogło zrozumieć.

W obliczu jej dezaprobaty Tricia niemal pożałowała, że przespała się z Santem, ale gdyby nie on, trafiłby się ktoś inny. Luca, Vincenzo Mazzara, jakiś przypadkowy kelner czy barman. Zmierzała do tego, od chwili kiedy znalazła się we Włoszech, i żadna siła nie zdołałaby jej powstrzymać. Parę dni zajęło jej, zanim dostosowała się do otoczenia i stała się taką wersją samej siebie, jaką mogłaby być, nie mając męża i dzieci. A potem, na Ortygii, szybko i beztrudno maszerując w towarzystwie tego pięknego młodego kucharza, poczuła, że coś się budzi w jej wnętrzu. Jakieś wygłodniałe, wymagające i niecierpliwie stworzenie, które dobrze знаła.

To ona zaproponowała, żeby spędzili wieczór wspólnie, wyraziła zainteresowanie kolejnym posiłkiem w winnicy i dała do zrozumienia, że chętnie pozwoli się uwieść. Istniała szansa, że on jej odmówi (był w końcu sporo młodszy i możliwe, że gdzieś w tle istniała jakaś dziewczyna). Ale Tricia potrafiła sobie poradzić z odmową. To było ryzyko, które podejmowała za każdym razem.

Myślała o tym jak o wakacjach na wakacjach i nietrudno jej było siebie usprawiedliwić. W pewien sposób rodzina nawet na tym skorzysta, bo Tricia wróci do domu odświeżona, gotowa, żeby z powrotem wejść w koleiny własnego życia. Przynajmniej do następnego razu.

Jak Poppy, z tym swoim eleganckim rozwodem z nudnym mężem, miała niby zrozumieć prostą prawdę, że niektóre potrzeby lepiej jest zaspokajać? Tego ranka Tricia czuła się nieco bezbronna i owszem, nieco winna też, ale tylko przez chwilę, dopóki spoczywały na niej oczy tamtej, a Tricia mogła odczytać w nich myśli przebiegające przez głowę Poppy.

– Ależ oczywiście, że nic nie powiem – zarzekała się teraz Australijka. – Ja nawet nie znam twojego męża, jakże bym mogła? Ale nawet gdybym go znała, twój sekret jest bezpieczny. Nie ma powodów do niepokoju.

– No to więcej o tym nie mówmy, okej? – zaproponowała Tricia.

– A co z Val i Moll? I z Luca? Na pewno się domyślili.

– Val jest zbyt dobrze wychowana, żeby cokolwiek powiedzieć. A Moll... No cóż, po tym, jak na mnie wtedy naskoczyła, dziwnie by wyglądało, gdyby rzecz skomentowała. Jeśli chodzi o Lucę, jestem pewna, że nie takie rzeczy już widywał.

– I nie zobaczysz się już z Santem?

– Nie wydaje mi się. No chyba że znów gdzieś na siebie wpadniemy, ale to mało prawdopodobne. Dobrze... To może jakaś kawa? – Tricia zaczęła szukać w szafce maszynki. – Rozpaczliwie potrzebuję kofeiny.

– Tak, poproszę. – Poppy wciąż miała w głosie dziwny chłód. – Miałam się właśnie do tego zabrać, kiedy weszłaś.

Tricia miała nadzieję, że tamta się rozkrochmali. W przeciwnym razie najbliższe dni zapowiadały się raczej nudno.

– Przypomnij mi, jaki jest plan na dzisiaj – powiedziała, napełniając wodą makinetkę. – Czy my gdzieś nie jedziemy?

– Tak. Do Noto, żeby spróbować prawdziwych *gelato* i pozwiedzać.

– A, właśnie. Brzmi nieźle.

– Moll mówiła, że znalazła tam kilka osób noszących nazwisko mojego dziadka – powiedziała Poppy. – Chciałam poprosić Lucę, żeby do nich podzwonił wczoraj wieczorem, ale potem... Jakoś zabrakło nam czasu.

– Ale tak czy owak ich odszukasz?

– Skoro tam będę, czemu nie spróbować?

– A jak wczoraj? Ominęło mnie coś ważnego?

– Na lunch zrobiliśmy rybę, potem jedliśmy granitę. A jeszcze potem Luca ugotował obiad.

– I tyle?

– Uhm. Spokojny dzień. – Poppy bawiła się różkiem paczki z kawą. – Ale przyjemny.

– Pewnie Luca łąda moment przyjdzie tu ze śniadaniem.

– Tak mi się wydaje.

Nie czekając na swoją kawę, Poppy oświadczyła nagle, że idzie na górę się przebrać.

Miała na sobie dzinsy i pogniecioną powiewną bluzkę, włosy potargane, a pod oczami smugi rozmazanego tuszu do rzęs. Wyglądało na to, że wyszła prosto z łóżka, zarzucając na siebie byle co. Tricia zresztą zrobiła podobnie. Sukienki i sandały kupione na Ortygii wystarczyły na dwa minione dni, ale dzisiejszy poranek zapowiadał się upalnie. Trzeba założyć coś odpowiednio świeżego.

Na górze, w swoim pokoju, podłączyła telefon, żeby szybko podładować baterię, i zastanowiła się, czy nie odezwać się na Skypie do dzieci. Nie oczekiwały wprawdzie codziennych kontaktów, ale mogą się zastanawiać, gdzie znikła tak nagle. Przedtem jednak Tricia chciała wziąć prysznic, zająć się ubraniem i włosami i doprowadzić ponownie do ładu. Nieważne, że ominie ją śniadanie. W ostatnich dniach pozwoliła sobie jeść o wiele więcej niż zwykle, więc dobrze jej zrobi kilka opuszczonych posiłków.

Jeszcze jeden, ostatni raz pomyślała o Santo – o tym, jak wyglądał, kiedy wyłuskała go z bieli stroju szefa kuchni, jak napięta była jego skóra i jak prężyły się pod nią mięśnie. Ach, i ten zapach przyrumienionego masła... A potem włączyła laptopa i zalogowała się do konta na Skypie.

Obdarzenie Paula uśmiechem czy przybranie zwykłego maminego głosu w rozmowie z dziećmi nie było problemem. Niezależnie od wszystkiego Tricia miała dużą łatwość wcielania się w wyuczoną rolę. Podokuczała dzieciom obietnicą prezentów, powiedziała, że wszystkich ich kocha (co było przecież prawdą), przypomniła, że Zara ma wizytę u dentysty, wytłumaczyła Charliemu, gdzie ma znaleźć swój zestaw do krykieta, a potem pożegnała się i ekran pociemniał.

Bywały chwile, kiedy Tricia zastanawiała się, co konkretnie robi Paul w czasie, który spędza z dala od niej. Bywały medyczne konferencje, na które jeździł sam, a także jakieś towarzyskie spotkania. Całkiem możliwe, że zadawał się z innymi kobietami. Tricia nigdy o to nie pytała i nie miała takiego zamiaru. Po co wstrząsać ich życiem? Oboje ciężko pracowali i każdemu należała się chwila oddechu. Im mniej o tym mowy, tym lepiej.

Kiedy zeszła na dół, pozostali byli już po śniadaniu. Usiłowali wmusić w nią ostatnie ciastko, ale Tricia stanowczo stwierdziła, że nie jest głodna.

- Niedługo będziemy próbować *gelato*. A poza tym na lunch i obiad zaplanowane są istne uczyty. Czyż nie tak, Luca?
 - W sumie dziś miał być wolny wieczór – odparł. – Ale dostaliśmy zaproszenie na obiad i... Mam nadzieję, że się nie pogniewacie, ale przyjąłem je w imieniu nas wszystkich.
 - Naprawdę? Od kogo? – Tricia miała nadzieję, że nie od Santa.
 - Zaprosili nas do siebie Vincenzo i Orsolina. On znakomicie gotuje, a ich dom to interesujące miejsce.
 - Och, wspaniale. – Tricii ulżyło.
 - Jak miło. Naprawdę ładnie z ich strony – zawtórowały jej Val i Poppy.
- Jedynie Moll wykazywała mało entuzjazmu, co było dziwne, bo zwykle pierwsza zgłaszała się na ochotnika do nowej kulinarnej przygody.
- Czy to Vincenzo nas zaprosił? Czy może Orsolina?
 - Oboje oczywiście – odparł Luca. – A dlaczego pytasz?
 - Tak się tylko zastanawiam – mruknęła Moll i poszła załadować jeszcze więcej rupieci do swojej i tak zbyt mocno wypchanej torby konduktorki i wyszykować się do wyjścia.

Droga do Noto wiodła przez takie same krajobrazy, jak podczas każdej innej wycieczki – wzdłuż winnic i gajów oliwnych, wzniesień i wąwozów, przykurzonych farm i pastwisk z suchą trawą. Ledwie zerkając przez okno, Tricia wykorzystywała ten czas na robienie notatek na swoim iPhone. Spisała wszystkie rzeczy, które będzie musiała zrobić po powrocie do domu. Są do zapłacenia rachunki, Zarze potrzebny jest prezent na przyjęcie urodzinowe szkolnej przyjaciółki, Paulowi trzeba przypomnieć, że samochód powinien pójść do przeglądu. Organizacja stanowiła jedyny sposób na poradzenie sobie z naporem realnego życia. Czas zacząć się do tego zabierać.

Kiedy zbliżali się do Noto, rozmowa w samochodzie zeszła na temat *gelato*. Tricia nigdy specjalnie nie przepadała za słodyczami, ale w tak upalny dzień, jak dzisiejszy, lubiła lody. Powiedziała o tym teraz.

– To są prawdziwe *gelato* – szybko poprawiła ją Moll. – Są zupełnie inne niż te zwykłe haagen dazs czy baskin robbins.

– Tak, wiem. – Tricia usiłowała opanować zniecierpliwienie. – Chociaż, mówiąc szczerze, nie jestem pewna, czym się różnią.

– Chodzi o proporcje mleka do śmietany i o prędkość, z jaką są ubijane, prawda? – wtrąciła Val. – Jean-Pierre był wielkim fanem *gelato*. Zawsze mówił, że zawiera mniej tłuszczu niż zwykłe lody, więc może sobie pozwolić na dodatkową gałkę.

– Jean-Pierre miał rację – roześmiał się Luca. – Ale jak to ze wszystkimi włoskimi specjałami, których próbowaliśmy, bywa, że zdarzają się *gelato* lepsze i gorsze. Wkrótce odkryjecie różnicę.

– Cieszę się zatem, że nie jadłam śniadania – rzuciła w przestrzeń Tricia.

Kiedy wjechali do Noto, na drodze zrobiło się ciasno. Prowadziło się znacznie gorzej. Skąd biorą się ci wszyscy ludzie? – zachodziła w głowę Tricia. Niektórzy to pewnie turyści, owszem, ale i tak po ulicach przewalają się dzikie tłumy, jak na zwykły roboczy dzień. Pomyślała o długich godzinach spędzanych za biurkiem i o tym, że nawet wtedy trudno jest jej uporać się z nawalem pracy. Czyżby wszyscy inni dysponowali o wiele większą wolnością pomiędzy poniedziałkiem a piątkiem?

– Zatrzymamy się tutaj i do centrum miasta pójdziemy piechotą – oznajmił Luca, skręcając na parking. – Caffè Sicilia znajduje się w pobliżu katedry i innych zabytków wartych

zwiedzania. Jest znana ze swoich ciastek i granity. No i oczywiście z *gelato*.

Ruszyli gromadką przed siebie: Tricia przodem, za nią Poppy z Lucą. Valerie i Moll zamykały tyły. Przemaszerowali obok budynków z różowawego kamienia i weszli na plac pełen siedzących na ławkach staruszków, matek z rozpuszczonymi synkami i ładnymi córeczkami w krótkich sukieneczkach. Tricia zauważyła, że każde włoskie miasto dysponowało odpowiednim kontyngentem takich typów.

Caffe Sicilia było miejscem, obok którego ona przeszłaby obojętnie. Wyglądało dość skromnie – ot, mroczne wejście zacienione markizą i kilka chromowanych stolików na zewnątrz, podobnie jak we wszystkich barach czy kawiarenkach. Wewnątrz znajdowało się wąskie pomieszczenie pełne ciast i ciastek, a na tyłach niewielka gabłota mrożąca, z *gelato* w pojemnikach z nierdzewnej stali.

– Spodziewałam się jakichś obfitych lodowych zwałów... – stwierdziła Tricia. – I większego wyboru smaków.

– Kiedy widzisz tak spiętrzone *gelato*, to znak, że masz do czynienia z podróbką – wyjaśnił Luca. – Z oszustwem.

– Oszukane *gelato*? Serio?

– Jak najbardziej. Mówi się, że w Rzymie do dziewięćdziesięciu procent sprzedawanych *gelato* jest robionych z mieszanki w proszku, a nie ze świeżych składników.

– Ale jeśli dobrze smakuje, czy ma to jakieś znaczenie?

Tricia mogła przewidzieć odpowiedź, ale miała wrażenie, że Luca oczekuje tego pytania, więc jednak je zadała.

– Jak dla mnie ma. Chcę prawdziwego jedzenia, a nie czegoś, co najpierw przerobiono na proszek, a później z powrotem zrobiono z tego coś, co mi podano.

– Zgadzam się – powiedziała Moll. – To dokładnie moja filozofia.

– W takim razie powinnaś wiedzieć, po czym jeszcze poznać fałszywkę – powiedział Luca. – Kolory są zbyt jaskrawe. Mięta powinna być biała, a nie jasnozielona. Prawdziwie pistacjowe mają nieco ziemisty odcień. Jeśli *gelato* są dobre, to kolor jest przytłumiony, za to nagrodą jest smak. Tutaj, w Caffe Sicilia, cukiernik słynie z rozmaitych niezwykłych kombinacji smakowych. Nie boi się eksperymentować z mocnymi słodkimi i niesłodkimi elementami. Moje ulubione to sałatka pomarańczowa z solą morską i oliwą. Uwielbiam też *gelato* z czarnych oliwek.

Tricia zerknęła na Moll, która z rozjaśnioną ożywieniem twarzą przepychała się bliżej gabloty, żeby wybrać smaki dla siebie.

– Czy to pomidor z bazylią? – zapytała. – Coś niebywałego! Ten cukiernik to prawdziwy Heston Blumenthal w dziedzinie lodów!

– Pewnie tak. Tyle że na swój własny, skromny sposób – zgodził się Luca. – Kawiarnia pozostaje w jego rodzinie od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku. To jedno z tych miejsc, które każdy wpisałby do kulinarnego przewodnika Vincenza Mazzary. Tutejsze *gelato* nie mają sobie równych.

– Nie mam pojęcia, co wybrać. – Moll wyglądała na oszołomioną.

– Tak. To zawsze problem.

Tricia nie zamierzała marnować połowy przedpołudnia na takie rozterki, nieważne, jak niespotykane były smaki. Zamówiła gałkę czegoś, co wydawało się najprostsze (migdały i cynamon), a potem usiadła na zewnątrz, w cieniu parasola, żeby to zjeść. I musiała przyznać, że *gelato* są przepyszne. Nie za słodkie, z delikatną orzechową nutą i aromatem przypraw.

Moll pojawiła się, dzierżąc rozek z dwiema gałkami i zamierzając wrócić po więcej.

Poppy zdecydowała się na mocną czekoladę, ożywioną skórką pomarańczową i cytrynową, Val wzięła gałkę nugatowego *torrone*. Nastąpiło ogólne próbowanie wybranych smaków i długa dyskusja, które są najlepsze, ale Tricia nie brała udziału w tym rytuale. Wygodnie rozparta na krześle, zlizywała mleczno-migdałowe kropelki, zanim zdążyły poplamić jej kolana.

Luca opowiadał o Noto: jak miejskim pałacom pozwolono obracać się w ruinę, jak zapadł się dach katedry.

– To była tragedia. Świat sztuki doznał szoku.

– Jakie to niezwykle, że tyle starań wkłada się tu w jedzenie, a tak niewiele wagi przykłada do wszystkiego innego – zauważyła Tricia.

– Jedzenie karmi całe ciało, architektura wyłącznie oczy – stwierdził Luca. – Kiedy ludziom jest trudno, nie wystarcza środków na wszystko. Ale dla Sycylijczyków kamień, który się osypuje i niszczy, ma w sobie pewien rodzaj piękna. Co wcale nie znaczy, że kochamy nasze budowle mniej niż dania.

Kiedy Moll zamówiła drugi rożek, Luca poprowadził panie spacerem obok kościołów o wdzięcznych fasadach, pod opartymi na przyporach balkonami, zdobnymi w cherubiny i nimfy. Był solidnym przewodnikiem, podawał fakty i daty, ale Tricia słuchała zaledwie jednym uchem. Mimo że mówił o trzęsieniu ziemi, które zrównało Noto z ziemią wiele stuleci temu, i o barokowym mieście, które odbudowano na ruinach.

Zrobiła kilka zdjęć dla Paula, który interesował się architekturą, ale poza tym jakoś nie czuła zaangażowania. Może jestem zmęczona po dwóch nocach niemal bez snu, a może te wakacje ciągną się już zbyt długo i zaczynam tracić do nich serce? – pomyślała.

– Zamierzasz odszukać swoich krewnych, korzystając z okazji, że tu jesteśmy? – zwróciła się do Poppy. Ot tak, żeby zainteresować się czymkolwiek.

– Tak. Chyba tak.

– Och, super. Mogę pójść z tobą?

Poppy zerknęła z ukosa na Lucę, pozostawiając mu odpowiedź.

– Kłopot w tym, że mamy z Poppy spory kawał drogi do zrobienia – wyjaśnił. – Zamierzałem zaproponować, żebyście tymczasem poszły i zerknęły na prace konserwatorskie w katedrze.

Tricia przez lata zdążyła się już napatrzeć na zabytkowe kościoły.

– Naprawdę, o wiele bardziej wolałabym... – zaczęła.

– Nie – przerwała jej Moll. – Idziesz z nami. Przeczytałam w przewodniku, że wokół katedry jest poutykanych sporo ciekawych sklepów. Możemy do nich później zajrzeć.

– Och... – wykrztusiła Tricia, zaskoczona tą nagłą serdecznością. – No dobrze. Nie cierpię, gdy omija mnie okazja do zakupów.

– Może mogłybyśmy skręcić tędy? – zaproponowała Moll. – Val, gotowa?

– Tak. Ruszajmy.

Luca z uśmiechem położył dłoń na ramieniu Poppy.

– W takim razie spotykamy się na lunchu. Powiedzmy... Za dwie godziny, na stopniach katedry?

– Naprawdę sądzisz, że wmusimy w siebie lunch po tych wszystkich *gelato*? – Moll pokręciła głową. – Nie, ja na pewno nie dam rady. Nie śpieszcie się. Jeśli któraś z nas zgłodnieje, znajdziemy sobie jakąś pizzę albo *arancini*.

Ona zachowuje się jakoś dziwnie, pomyślała Tricia. Najpierw odmawia posiłku, a teraz, kiedy zawróciły już po własnych śladach, gna przed siebie, zamiast zatrzymać się co kilka kroków i robić zdjęcia. Wyraźnie zwiększa dystans pomiędzy ich trójką a tamtymi dwójkiem. A wszystko przez cały czas z uśmiechem na pulchnej buzi, mimo czoła pokrytego kroplami

potu.

– Dobra robota, moja droga – odezwała się Val, kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu Luki i Poppy.

– Co się dzieje? – Tricia obejrzała się na skręcającą właśnie za róg parę.

– To Poppy nic ci nie powiedziała? – zdziwiła się Moll. – Ujmijmy to tak: nie jesteś jedyną osobą, której zdarzyło się nie wrócić wczoraj na noc do domu.

– Żartujesz sobie...

Tricia przypomniała sobie, jak natknęła się rano w kuchni na Poppy w pogniecionych ciuchach i z rozmazanym makijażem. Tak była jednak pochłonięta własnymi sprawami, że przeoczyła coś, co powinno być oczywiste. Że Poppy też wróciła przed chwilą.

– A ty skąd wiedziałaś? – zadała pytanie.

– No cóż, ja nic nie mówiłam... Ale już od jakiegoś czasu widać całkiem wyraźnie, że coś iskrzy. A wczorajszego wieczoru Luca był zupełnie rozkojarzony podczas gotowania, a jeszcze później zrejterowali oboje do baru, nie pytając nawet, czy chcemy do nich dołączyć. Val mówi, że usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych dopiero dziś rano.

– Nieźle... – Tricia nie miała pojęcia, że słodką małą Poppy stać na coś podobnego.

– A teraz pomyślałam, że miło im będzie spędzić trochę czasu sam na sam – dodała Moll. – Męczyliby się, wlokąc się za nami jako część grupy. A wieczorem? Kto wie, co ta wredna Orsolina uknuła...

Najwyraźniej podczas nieobecności ominęło Tricię parę rzeczy.

– O co ci chodzi? Co znowu z Orsoliną? – zapytała.

– Chodźmy gdzieś, gdzie da się usiąść i napić czegoś zimnego, to wszystko ci opowiem.

Nad szklankami *limonata* z lodem, w kafejce ocienionej gęstymi liśćmi, Moll podzieliła się z koleżankami swoimi spostrzeżeniami na temat Orsoliny.

– Jej życzliwość tamtego wieczoru była wyłącznie na pokaz – powiedziała. – Chciała mnie zaciągnąć do baru tylko po to, żeby usunąć Poppy w cień. Oczywiście próbowała się wypierać, ale jest strasznie zaborcza, gdy chodzi o Lucę. A ja jej nie ufam. Ani jej, w sumie, nie lubię. I z reguły w takich sprawach się nie mylę.

Tricia nie mogła potępiać Orsoliny za to, że Włoszka walczy o swoje.

– Biedactwo. Wychodzi z siebie z tymi wszystkimi markowymi ciuchami, a okazuje się, że typ Luki to dziewczyna naturalna. Mimo wszystko, z Poppy to tylko wakacyjny romans. Nasza Australijka niedługo wróci do domu, a wtedy Orsolina będzie mogła znów startować do Luki.

– Nie jestem tego taka pewna. Dzisiaj świat bardzo się skurczył – powiedziała Moll. – Łatwo im będzie utrzymać kontakt, nawet kiedy Poppy wróci do siebie. Sprawa może się ciągnąć...

Tricia zdecydowanie nie lubiła myśleć o kurczącym się świecie i o tym, że coraz łatwiej jest się nawzajem odnaleźć. Albo nakryć.

– Poppy dopiero co się rozwiodła – stwierdziła. – Nie będzie szukała czegoś na stałe. A nie wiemy przecież, czy i Luca nie przywykł do szybkich pitek.

– Nie wydaje mi się – powiedziała Moll. – Przynajmniej nie tak mówiła Orsolina.

Tricia zastanowiła się, czy Moll nie wyolbrzymia sytuacji. Możliwe, że wyobraźnię ma bogatszą, niż człowiek by się spodziewał, rzuciwszy na nią nieuważnym okiem, pomyślała. Musiała wyrobić sobie niewłaściwy obraz tego czegoś, co dzieje się pomiędzy Poppy a Lucą. Niechć Moll do Orsoliny wydaje się nieco przesadzona. Tricia podejrzewała Moll o skłonność do chowania urazy.

– Och, no cóż... Jak sędzę, to w ogóle nie jest nasza sprawa – rzuciła lekko, nie mogąc się powstrzymać przed wetknięciem niewinnej szpileczki.

O tych sklepach Moll musiała jej zwyczajnie nakłamać. Poza paroma pamiątkarniami i przybytkami handlującymi miejscowym miodem i oliwą Tricia widziała ich niewiele. Kupiła mapę i przewodnik, ale przekonała się, że w którąkolwiek stronę by iść, Noto pełne było wyłącznie klasztorów, kościołów i starego kamienia.

Na drugim krańcu głównej ulicy znalazła zasuszony ogród z palmami, sosnami i oleandrami. Usiadła obok jakiejś fontanny i zaczęła na koleżanki. Zostawiła je nieco wcześniej w sklepie, w którym Moll zagapiła się na pozakręcane słoiki z jedzeniem, jakby to była biżuteria albo buty.

Ze swojej ławki widziała plac zabaw, a na nim dziecko z buzią usmarowaną lodami, obserwujące większe dzieci na huśtawkach. Coś w tym chłopczyku przypomniało Tricii nagle jej własnego syna, Charliego. Może powaga i cierpliwość, zadziwiające u tak małego brzdąca? Korciło ją, by odgonić starsze dzieci, aby mały też mógł się pohuścić.

Biedny Charlie... Tricia miała nadzieję, że życie nie okaże się dla niego zbyt trudne. Zara była bardziej podobna do niej: odważna i pewna siebie, niebojąca się prosić o to, czego chce, lubiana przez innych. Ale Charlie niepokoił matkę. Lękał się tylu rzeczy: dużych psów, wysokich zjeżdżalni, ciemnych pokojów. Łatwo płakał i lubił się trzymać jej spódnicy.

Paul zawsze był wobec syna bardzo czuły. Nigdy nie próbował naciskać, żeby Charlie był odważniejszy (w przeciwieństwie do innych mężczyzn, którzy mieli wrażliwych synów). W weekendy godzinami budowali wieże z klocków Lego albo siedzieli skuleni na sofie z książkami czy oglądając filmy na DVD. Między innymi z powodu Charliego Tricia nadal kochała męża. Czy można patrzeć na tych dwóch razem i go nie kochać?

Teraz patrzyła na biednego, umorusanego lodami dzieciaka. Gdzie jego matka z nawilżaną chusteczką? Gdzie przyjaciele? Na pewno niedaleko, ale w pobliżu nie widać nikogo.

Tricia całkiem radośnie mogłaby przejść przez życie bezdzietna, gdyby nie pewna pijana noc, w połączeniu z niestarannie zastosowaną antykoncepcją. A nawet i wtedy rozważała aborcję, rozmawiając na ten temat z przyjaciółkami. Wpływ małego dziecka na jej karierę i jej ciało, możliwe ograniczenie swobody były tematem ciągnących się długo w noc dywagacji nad niejedną butelką chardonnay. Co ciekawe, Tricia wypiła zaledwie parę łyków. Musiała już wtedy przeczuwać, że jednak zdecyduje się donosić ciążę, tak jak chciał Paul. A gdy już dziecko się urodziło, a ona zobaczyła maleńkie muszelki palców córeczki i jej pulchne stópki, zrozumiała, że postąpiła właściwie.

To Paul namówił ją na drugie. Czyż Tricia nie dysponuje całą szafą ubranek, kredensem pełnym butelek i pompką do odciągania pokarmu? Czy jej rozmowy i tak wiecznie nie dotyczą sposobów znalezienia niani idealnej i najlepszych marek organicznego jedzenia dla niemowląt? Jej życie już i tak uległo zmianie, więc co to niby za różnica?

Ale to jednak była różnica. Ogromna. Charlie chwycił ją za serce i ujmował w sposób, w jaki Zarze nigdy się to nie zdarzało. Żle znosił karmienie, miał większą skłonność do chorób, nocami był płaczący. Paul spacerował wówczas w górę i w dół po schodach, nosząc syna na ramieniu, żeby Tricia choć trochę mogła się przespać. A ona, zamiast odpoczywać, zamartwiała się. A jeśli Paul się potknie i wypuści dziecko z rąk? A jeśli z Charliem coś jest nie tak? Czy to normalne, że niemowlę tak płacze? Zara nie płakała nigdy.

Ile razy Tricia myślała, żeby oddzielić swoje życie od życia Paula, musiała pomyśleć o Charliem. Ona sama mogła coś zmienić, ale czy miała prawo oczekiwać tego od chłopca? Inne kobiety mogły w siebie wmawiać te bujdy o rozwodach w dobrej atmosferze, ale ona

wiedziała lepiej. Ktoś zawsze musi ucierpieć. A w ich przypadku, wiedziała dobrze, byłby to jej syn.

Ponownie popatrzyła na włoskiego chłopaczka z brudną buzią. Wciąż stał w tym samym miejscu, ufając, że prędzej czy później doczeka się swojej kolejki, gdy tymczasem większe dzieciaki huštały się coraz wyżej i wyżej. Serce Tricii łamało się na ten widok.

Wstała z ławki i zawróciła w stronę katedry. Równie dobrze może zajrzeć do środka i pozwiedzać. Koleżanki i tak dogonią ją w końcu.

Wnętrze okazało się zbawiennie chłodne i niespodzianie kojące. Nie było tu zwykłego nagromadzenia religijnych fresków, które uległy nieodwracalnemu zniszczeniu, gdy runęło sklepienie. Zamiast je odnawiać, większość ścian pomalowano zwykłą białą farbą, podkreślającą spektakularny rysunek łuków i zwieńczonych potężnymi gzymsami filarów.

Tricia wślizgnęła się do którejś ławki i skłoniła głowę jak do modlitwy. Ale nie modliła się oczywiście. Nie pamiętała nawet słów modlitwy „Ojcze nasz”, choć recytowała ją przed snem z ojcem jeszcze jako dziecko. Może by tak nie było, gdyby nie straciła go tak wcześnie?

Ktoś usiadł w ławce obok.

– Wszystko w porządku? – usłyszała Tricia ciche pytanie Valerie.

– Tak, a dlaczego?

– Wydawałaś się bardzo zamyślona.

– Myślałam o Poppy i Luce – skłamała. – Jak sądzisz, czy Moll ma rację?

Valerie nie odpowiedziała. Odchyliła głowę i przyglądała się sklepieniu.

– To musiała być dramatyczna chwila, kiedy runęło. Mam nadzieję, że nikt nie ucierpiał.

– W przewodniku napisano, że swoje dołożył wciskający się w szczeliny po trzęsieniu ziemi deszcz. Jedenaście lat zajęło, zanim uprzątnięto gruz i odbudowano katedrę.

– Myślisz, że gdyby przytrafiło się kolejne, zaraz teraz, to wszystko mogłoby się zawalić i zlecieć nam na głowy?

– Niewykluczone. Ale nie możesz iść przez życie, zamartwiając się takimi sprawami.

– Czasem niebo naprawdę potrafi runąć na głowę – odparła Val łamiącym się głosem. –

A wtedy co?

Tricia spojrzała na nią.

– Wtedy trzeba je odbudować, jak sądzę.

Moll znalazły siedzącą w pełnym słońcu na stopniach katedry i żującą jakieś pieczywo.

– *Scacce* – wyjaśniła. – Znalazłam dziupelkę w murze, gdzie je sprzedają. Pachniały tak zabójczo, że nie mogłam się oprzeć. Spróbujcie same.

Tricia poczuła, że jest głodna. Przykucnęła obok, wzięła chlebek przekładany warstwami pikantnego nadzienia z mięsa i brokułów.

– Dzięki.

– A proszę bardzo.

Tricia zatopiła zęby, oddzierając spory kęs. *Scacce* było tłustawe i jeszcze ciepłe.

Valerie zrobiła to samo.

– I co, nadal ani śladu Luki i Poppy? – zapytała pomiędzy kęsami.

– Kompletnie zero – odparła Moll. – Ale jeśli próbują odszukać wszystkich tych ludzi z listy, którą jej dałam, to pewnie trochę im to zajmie.

– Chyba nie ma pośpiechu – powiedziała Valerie. – Możemy posiedzieć sobie tutaj i pogapić się na ludzi.

– Nic innego do roboty nie mamy. – Tricię zaczynała ogarniać nuda. – Chociaż w taki żar jak dzisiaj wolałabym gapić się na ludzi na plaży...

– Też bym popływała – zgodziła się Moll. – Ciekawe, czy zostanie trochę czasu.

- Jeśli Poppy i Luca się pośpieszą, to może tak.
- Przecież im powiedziałam, żeby się nie śpieszyli – przypomniała jej Moll.

W sumie ta Moll to wcale nie taka dziwaczka, uznała Tricia. Ma na swój sposób dobre serce. Nawet jeśli wygląda, jakby ubierała na wyprzedających w lumpeksach i na dziesięć lat starszą, z tymi jej siwiejącymi krótkimi włosami i niemal wygarbowaną, spaloną słońcem skórą. Czy przeszkadza jej to, że jako jedyna z ich grupy nie doczekała się męskiego zainteresowania? Czy miałyby ochotę na flirt? A może faktycznie pasją darzy wyłącznie jedzenie?

Moll sięgnęła po kolejny przekładany chlebek, tym razem nadziewany czarnymi oliwkami, płatkami ostrego chili i roztopionym serem. Ilość tłuszczu, jaką dziennie spożywa ta kobieta, te kalorie i węglowodany...! A mimo to zdawała się nie przywiązywać wagi do zdrowia czy tuszy. Gdyby jednak zrzuciła parę kilo, ufarbowała włosy i poszła na zakupy, może zainteresowałby się nią jakiś facet? To chyba nie jakiś wielki problem zafundować jej zmianę wizerunku? – pomyślała Tricia.

– Mówiłaś coś, że są tu sklepy – odezwała się, bezskutecznie usiłując zetrzeć z palców oleistą warstewkę.

– Być może są, ale nie mam pojęcia gdzie – przyznała się Moll. – Może powinniśmy wrócić do Caffè Sicilia i zjeść trochę tych migdałowych ciasteczek? – zaproponowała.

– Albo na kawę? – Tricia nachmurzyła się na myśl o kolejnej dawce cukru. – Może nawet znajdzie się gdzieś jakieś miejsce, gdzie mogłabym umyć ręce?

– Mogę cię o coś zapytać? – zagała Moll. Kiedy Tricia skinęła głową, ciągnęła: – Po co przyjechałaś na kulinarne wakacje, jeśli tak naprawdę nie interesujesz się kuchnią?

– Bo nigdy wcześniej czegoś podobnego nie próbowałam – odparła Tricia po zastanowieniu. – Paul zawsze mówi, że warto zbierać nowe doświadczenia. Jeździliśmy na rowerach po Dordogne, na nartach w Val d’Isere, żeglowaliśmy po greckich wyspach, wędrowaliśmy z plecakami w Nowej Zelandii. On twierdzi, że nie ma sensu wracać co roku w to samo miejsce. Że jeśli tak się postępuje, wszystko się rozmywa i nie miewa się żadnych wyraźnych wspomnień. Lubi odkrywać rzeczy nowe.

– Niech będzie... A czy uważasz, że te wakacje jakoś zmieniły twoje podejście do jedzenia?

– Było ciekawie. Ale jeśli do końca roku nic nie ugotuję samodzielnie, wcale się chyba nie zmartwię.

Moll skończyła jeść i oblizała palce do czysta.

– Jeśli ja nie gotuję, zaczyna mnie ogarniać niepokój. Spędzam zdecydowanie zbyt wiele czasu, myśląc o kuchni, czytając kulinarne książki i magazyny, planując posiłki. Jest coś ekscytującego w zidentyfikowaniu tego jedyne go składnika, który odmieni danie i zrobi z niego przysmak. Nie umiem malować, nie gram na żadnym instrumencie, więc to taki mój sposób na kreatywność, jak sądzę.

– W naszym domu to niania gotuje obiad dzieciom. Czasem Paul i ja wyjadamy resztki na kolację, siedząc na kanapie z laptopami – wyznała Tricia.

– Omija cię coś naprawdę ciekawego.

– No, to chyba zależy od tego, co człowiek uważa za ciekawe – roześmiała się.

Moll nie odpowiedziała, a Tricia pomyślała, że być może znowu uraziła koleżankę. Zdaje się, że to nie takie trudne, zauważyła w duchu.

– Może jednak pójdziemy na te ciastka? – zaproponowała w ramach rekompensaty. – Spróbuję wcisnąć coś małego, zanim osiągnę swój limit.

W Caffè Sicilia nie było nikogo, kto płynnie posługiwałby się angielskim, toteż

zamówienie odbyło się wśród popisów mimicznych i śmiechu. Moll przesadziła (oczywiście!), więc skończyły nad półmiskiem pełnym drobnych ciasteczek i miniaturowych deserów w jaskrawych i pastelowych barwach.

– To wyzwanie! – oświadczyła, kiedy zasiadły przy jednym z chromowanych stolików na zewnątrz. – Zobaczymy, czy uda nam się odgadnąć smaki.

Zaczęła odkrawać małe kawałeczki od każdego ciastka i je smakować. Odnalazła nuty jaśminu i szafranu, bergamotki i bazylii, czarnej herbaty i mięty. Nie licząc tego najbardziej oczywistego – miodu i migdałów. Zachęcała do tego samego koleżanki.

– Nie chcę popsuć sobie apetytu przed dzisiejszą kolacją u Vincenza – stwierdziła Valerie.

– Ale drugiej szansy nie będzie! – zaprotestowała Moll, zatapiając łyżeczkę w czymś, co wyglądało jak miniaturowa cassata. – Spróbuj chociaż troszeczkę.

Ulegając pokusie, Tricia skosztowała tarty z owocami i słodko-kwaśną marmoladą, której smaku nie potrafiła identyfikować (Moll uznała, że to koper włoski), a potem drugiej, ozdobionej różowym grejpfrutem i pieczoną czerwoną papryką, dziwnie pysznej.

Zawartość półmiska wkrótce zmieniła się w rozpaćkaną, na wpół napoczętą masę. Żadna z uczujących nie miała już siły na więcej.

– Jaka szkoda, że tyle się zmarnuje! – powiedziała Moll. – Gdybyż tylko Poppy i Luca przyszli niedługo...

– Ano. Gdyby – zgodziła się Tricia.

– To chyba dobry znak, że nie wracają tyle czasu – zauważyła Valerie. – Może to oznacza postępy w sprawie?

Tricii przyszło do głowy, że tamta dwójka być może wcale nie szuka tak zawzięcie.

– Myślisz, że Poppy naprawdę zależy na znalezieniu krewnych? Czy to może pretekst, żeby na trochę mieć Lucę tylko dla siebie?

– Zastanawiałam się nad tym – przyznała Moll. – Ona zdaje się taka... nie do końca zdecydowana. W sieci nie znalazłam niczego, czego sama nie mogłaby się dowiedzieć.

Valerie odkroiła plasterek drżącego jak galaretka, mlecznego deseru.

– Biedna Poppy! Rozwód wybija z rytmu, nieprawdaż? Nawet jeśli to ty do niego przesz, przychodzi moment, kiedy dociera do ciebie, że życie, na jakie liczysz, nie dojdzie do skutku. Ona pewnie czuje się zagubiona. Sama już nie wie, czego chce ani kim jest.

Rozwodziłam się dwukrotnie i czułam się dość podobnie. – Przełknęła kęs i zmarszczyła brwi.

– A to ma w sobie jakiś ziołowy posmak... Tymianek? Świeże oregano? Nie jestem pewna.

Moll sięgnęła do półmiska.

– Ja też się rozwiodłam, ale nigdy – ale to przenigdy! – nie czułam się zagubiona. Dokładnie wiedziałam, czego chcę. Mój jedyny problem polegał na tym, że oczekiwanie na to straszliwie mi się dłużyło. – Oblizwała łyżeczkę. – Oregano. Smakuje mi i całkiem się tu sprawdza.

– No cóż, mam większe doświadczenie w rozwodach niż wy obie razem wzięte, choć sama przez to nie przesłam – stwierdziła Tricia. – Rozwód obnaża prawdziwy ludzki charakter. Tyle wiem.

Kończyła kwestię, gdy na horyzoncie pojawili się Luca i Poppy. Nieświadomi, że są obserwowani, trzymali się za ręce, idąc powoli, pogrążeni w rozmowie. A Tricia natychmiast dostrzegła to, co jej umykało do tej pory. Oni za sobą nawzajem szaleli! Byli w samym środku tej pierwszej fazy zainteresowania, kiedy nic, co robi się wspólnie, nie wydaje się zwyczajne ani nudne, i nie liczy się nikt inny. Pamiętała jeszcze, że to ta najlepsza część związku, i poczuła, że zazdrości tym dwojgu. Chociaż wiedziała, że nic nie trwa wiecznie.

Moll zawołała i pomachała ręką, a Luca wypuścił ze swojej dłoni dłoń Poppy. Powiedział coś, a Poppy zarumieniała się. Z nadmiaru słońca czy z zażenowania? Tricia nie była pewna.

Obyło się bez komentarza. Chyba żadna z czekających nie miała nań ochoty. Zamiast tego, ciekawe szczegółów poszukiwań, zasypały Lucę i Poppy pytaniami, jak tylko tamci usiedli przy stoliku.

– No i co? Znaleźliście kogoś? Co powiedział?

– Myśleliśmy, że znów zmarnujemy czas, prawda? – Poppy zerknęła na Lucę. – U prawnika nikt nie otwierał, tamtych drugich w ogóle nie znaleźliśmy, ale potem spróbowaliśmy u fryzjerki. Ona sama wprawdzie wiedziała niewiele, ale była pewna, że ktoś z jej rodziny wyemigrował do Australii. I pomyślała, że być może zdoła nam pomóc jej ojciec. Pokazała nam jego zdjęcie. Wiecie, że on trochę przypomina mojego dziadka? Tyle tylko że wróci do Noto dopiero wieczorem, a my nie możemy aż tak długo czekać. Może do niego zadzwonimy...

– Powinnaś tu wrócić – stwierdziła Tricia. – Jest szansa, lepiej zobaczyć się z nim osobiście.

– Tak – zgodziła się Moll. – Vincenzo i Orsolina na pewno nie pogniewają się, jeśli nieco się spóźnicie. Dopóki nie dojedziecie, to my będziemy reprezentować grupę.

– Jesteście pewne? – zapytał Luca. – Czuję się winny, że was tak zostawiam samym sobie...

– Przecież to i tak miał być wolny wieczór – przypomniała mu Tricia.

– Jasne. Skoro my się nie przejmujemy, i ty pozbydź się poczucia winy – dodała Moll.

– W takim razie chcę tam wrócić – zdecydowała Poppy. – Mam przeczucie, że tym razem jestem blisko.

(2) Obiad pełen niespodzianek

Tricia nie zdawała sobie sprawy, że z dodatkiem czekolady można ugotować aż tyle niesłodkich dań. Vincenzo wyrecytował całą ich listę: potrawka z królika, kurczak w czekoladowym sosie, zupa z czekoladą i nacierana czekoladą wieprzowina. Według niego wiórki ciemnej pyszności przydawały nutki goryczy zwyczajnemu chili con carne, zaś głębi i wyrazistości mięsu duszonemu.

Wprawdzie przemowa gospodarza brzmiała w uszach Tricii jak standardowa gadka dla turystów, ale dobrze, że Vincenzo mówił. Spoglądając na wszystkich tymi swoimi oczami, zapełniał słowami ciszę.

Na początku od niezręcznej sytuacji odwróciły uwagę okrzyki zachwytu – Moll była kompletnie zauroczona swą pierwszą wizytą w skalnym domu. Lecz wkrótce przerwała je Orsolina. „Gdzie Luca?”. „Gdzie Poppy?”. Gdy usłyszała, że są razem w Noto, zacisnęła wargi i odzywała się już tylko sporadycznie.

Tricii nie umknęła zmiana wystawy na kredensie w holu. Na zdjęciach było teraz mniej Orsoliny jako dziecka, a o wiele więcej jej ujęć wspólnie z Lucą. Jeśli to zaplanowane działanie, nie jest zbyt subtelne, skrzywiła się Tricia, zastanawiając się, do czego zmierza Włoszka.

Zdażyły dokładnie na czas, choć Valerie w ostatniej minucie postanowiła zmienić sukienkę. Ta, którą miała na sobie teraz, została uszyta z delikatnej złoto-różowej tkaniny, bardziej powiewna niż dotychczasowe kreacje Val i głębiej wycięta. Oczarowany Vincenzo skomentował piękny wygląd gościa, ujmując obie dłonie Valerie i całując ją w oba policzki. Dawkował swój urok bez umiaru, tak samo jak swoją czekoladę. A później ruszył do kuchni

szukować przystawki, zostawiając na posterunku córkę. Orsolina zebrała torebki i szale pań i zaniósła je do niewielkiego pokoiku obok, gdzie zabawiła przez chwilę.

Teraz towarzystwo zgromadziło się na tarasie w wieczornym słońcu, popijając schłodzone prosecco i pojadając ciepłe *crostini* oblane roztopioną czekoladą, skropione pieprzną oliwą i leciutko posolone kwaśną solą morską. Tricia przekonała się, że takie połączenie smaków jest zadziwiająco kuszące, a mimo to pokręciła głową na propozycję dokładki.

Kiedy się ściemniło, przeszli do jadalni, skalnego wnętrza oświetlonego świecami, z ustawionym pośrodku grubo oheblowanym stołem, przy którym swobodnie zmieściłoby się dwadzieścia osób. Na jednym jego krańcu Orsolina rozpostarła biały obrus, ustawiła kryształowe kieliszki i położyła sztucce.

– Mamy teraz zbyt wiele wolnych nakryć – narzekała. – Mam je zdjąć czy zatrzymać dla Luki i tej Australijki, kiedy już się pojawią?

– Och, Luca powiedział, żeby na nich nie czekać – odpowiedziała Moll pogodnie. – Nie życzyłby sobie, żeby posiłek się zmarnował.

Orsolina przygryzła wargę.

– Tato?

– Zajmijmy miejsca przy stole i zrelaksujmy się – zdecydował Vincenzo. – Zrobiłem na próbę *amuse-bouche*. Taki rodzaj eksperymentu. Zostawię trochę dla Luki i jego przyjaciółki.

Tym razem przyniósł z kuchni trufle z koziego sera, obtoczone w sproszkowanej czekoladzie i tłuczonych migdałach.

– Włączyłem czekoladę do menu, gdzie się dało, jeśli tylko nie zdominowałyby innych smaków – wyjaśnił, zajmując miejsce obok Valerie i uśmiechając się do niej. – Bardzo jestem ciekaw, czy zdołacie ją wyczuć.

Moll była jak w transie. Próbowwała robić zdjęcia, mruczając do siebie coś o oświetleniu. Vincenza tymczasem zajęło puszczenie oka do Valerie. Jego córka siedziała naprzeciwko, nachmurzona i milcząca.

– No cóż, mamy za sobą dzień jedzeniowych eksperymentów – zagaiła Tricia. Prowadzenie lekkich konwersacji przychodziło jej bez trudu.

Valerie nadgryzła przekąskę.

– A dzisiejszy wieczór to najlepsza jego część, prawda?

Vincenzo gwałtownie pokręcił głową.

– Nie decydujcie zbyt szybko. Dopiero się rozpoczął.

– Na pewno nie podasz nam nic, co by nie było idealne – powiedziała Valerie niemal kokieteryjnie.

– Idealne? Nigdy bym tego nie obiecał. Zaserwuję wam jedzenie ciekawe, w zgodzie z tradycją, a mimo to zadziwiające połączeniem dawnych sposobów przygotowania i nowoczesnej wiedzy. Proszę jedynie, żebyście zachowały otwarty umysł na to, co zjecie.

Tym razem zniknął w kuchni na znacznie dłużej.

Tricia męczyła się, żeby jakoś podtrzymać rozmowę. Roztargniona Moll gryzmoła coś w swoim notesie, Valerie wydawała się nieco półprzymiotna, zaś Orsolina siedziała ze znudzoną miną, kompletnie zaniedbując obowiązki gospodyni. Mimo to gdy zastukano do frontowych drzwi, poderwała się błyskawicznie.

– Teraz to na pewno Luca! – Palcami dotknęła włosów, sprawdzając, czy są porządnie ułożone. – Jak to dobrze, zdążył na danie z makaronu. Czy ktoś może dać znać tacie?

Tricia podniosła się od stołu, zanim Valerie zdołała ją ubiec.

– Ja mu powiem. I tak muszę skorzystać z toalety.

Znalazła i kuchnię, i Vincenza, który z fartuchem wokół talii tańczył nad garnkiem

pełnym wrzątku i rondlem z pyrkającym sosem. Kiedy weszła, podniósł wzrok.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Orsolina powiedziała, żeby ci dać znać, że tamci już są.

Mruknął, sięgnął po tacę z makaronem i zaczął go przekładać do garnka z wrzątkiem.

– Luca lubi zjawiać się w samą porę, co?

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Możesz wyjąć miseczki. Tam stoją. – Wskazał głową na zabytkową serwantkę, zajmującą niemal całą ścianę. – Potrzebne będą też łyżki. Takie srebrne, ze żłobkowanymi uchwytyami.

Serwantka okazała się prawdziwą skarbnicą starej ceramiki i innych różności. Niektórych znajdujących się tam przedmiotów Tricia nie potrafiła rozpoznać. Zakładając, że Vincenzo miał na myśli gładkie białe miski w restauracyjnym stylu, wyjęła je i postawiła na kontuarze.

– Łyżkom może się przydać szybkie przetarcie – powiedział, rzucając jej ściereczkę.

Paul śmiałyby się zapewne na widok żony ścierającej patynę z zabytkowych sztućców. Nie takiego zachowania spodziewałby się po Tricii, która prędzej zjadłaby na plastikowej zastawie, niż marnowała czas na zmywanie. Tricia przyjrzała się krytycznie efektom swojej pracy i uznała, że faktycznie idzie jej kiepsko.

– Nie przejmuj się. Są zbyt stare i zniszczone. Nigdy nie będą się błyszczeć – powiedział Vincenzo.

– Dzięki świecom w jadalni nikt raczej nie zauważy...

– Takie zniszczone są mi jeszcze droższe – ciągnął. – Lubię przedmioty z duszą.

Rzeczy, które żyły, zanim ja pojawiłem się na świecie. Wielu Sycylijczyków w moim wieku patrzy na to tak samo. Młodzi ludzie są jednak inni.

Tricia wzruszyła ramionami.

– Widocznie jestem młoda. Wolę rzeczy nowe.

– Ale piękno tkwi właśnie w starości i niedoskonałości. Nowe rzeczy bywają jałowe.

Tricia nie wytrzymała.

– Luca powiedział coś podobnego już wcześniej. Czy wy, mężczyźni, naprawdę w to wierzycie, czy mówicie tak celowo, żeby się przypodobać kobietom w moim wieku? – zapytała cynicznie.

Vincenzo spojrzał zdziwiony.

– Ja wierzę w to całym sercem, w przeciwnym razie milczałbym jak grób. Spójrz tylko na patynę na tych starych łyżkach. Dotykały setek ust, jeśli nie więcej. Albo na rysy na barokowych murach *palazzi* przy głównej ulicy, albo na zagniecenia na furgonetkach Piaggio Ape należących do sprzedawców warzyw na targu. Według mnie wszystko to ma w sobie piękno. Znacznie wykraczające poza ideał nowości. Jest ciekawsze.

– A więc to, co idealne, jest nudne?

Czy ten facet musi flirtować z każdą napotkaną kobietą?

– Owszem, szalenie nudne. Możesz już przestać polerować łyżki mojej ciotecznej babki. Są mi potrzebne właśnie teraz.

Tricia patrzyła, jak gospodarz miesza makaron kolanka z lekkim sosem pomidorowym i nakłada do miseczek. Do każdej dodał kilka czarnych oliwek i gałązkę rozmarynu. Wziął łyżki, napełnił je jakąś grudkowatą mieszanką i ułożył zręcznie pośród makaronu.

– Okruchy bułki, czyli ser dla ubogich – wyjaśnił. – Do posypania makaronu.

– Tylko bułka? – zapytała Tricia. – A może dodałeś jeszcze coś?

– Sól, naturalnie. I pieprz. I trochę posiekanych ziół. – Spojrzał tymi swoimi

żółtawymi oczyskami. – Ach, i owszem, czekolada. Gorzko-słodka, starta bardzo drobno. Integruje się z całością smaku tak mocno, że trudno się domyślić.

Vincenzo wręczył jej dwie porcje do zanieśienia na stół, a przy okazji otarł się o nią w sposób ewidentnie nieprzypadkowy. I niepotrzebny. Tricia nie zwracała sobie głowy reakcją. Czas z Santem zupełnie jej wystarczył. Niemal z ulgą pomyślała, że całą sprawę ma już z głowy i za sobą.

W salonie panował teraz odmienny nastrój. Głównie dzięki Poppy, która aż tryskała entuzjazmem.

Tym razem wyglądało na to, że do czegoś dotarli. Ojciec fryzjerki pochodził z dużej rodziny, z której wiele osób zdążyło przez lata wyemigrować z Sycylii. Mężczyzna był prawie pewien, że jeden z jego wujów nie mógł wyjechać do Ameryki, więc osiadł w Australii, ale zamierzał jeszcze porozmawiać o tym ze swoją siostrą. „Ona ma lepszą pamięć do takich spraw”, powiedział.

– Ma również różne albumy ze starymi rodzinnymi zdjęciami. Ten ojciec fryzjerki umówi nas z nią na spotkanie. Był szalenie miły, prawda? – Odwróciła rozjaśnioną twarz w stronę Luki. – Oczywiście nie mówi ani słowa po angielsku. I niestety, chyba nie rozumiał, kiedy usiłowałam coś powiedzieć po włosku.

Tricia, zajęta obserwowaniem reakcji Orsoliny, nabrała porcję makaronu i podniosła ją w roztargnieniu do ust, zapominając o poszukiwaniu czekoladowego smaku. Tak, ta Włoszka świetnie panuje nad mimiką. I w żaden sposób nie zdradza swoich myśli. Naprawdę, ładnie wygląda z tymi włosami zebranymi z tyłu głowy i opadającymi na jedno ramię. Srebro jej bransoletek pobrzękuje cicho, kiedy porusza dłońmi dla podkreślenia wypowiedzanych słów.

– Nie powinnaś rozbudzać w sobie nadziei – radziła teraz. – Sprawdzaj wszystko, co ludzie powiedzą. Bądź bardzo ostrożna. Świat jest pełen oszustów, którzy wydają się bardzo mili.

– Ale ta rodzina nic nie zyska na pokrewieństwie ze mną – stwierdziła Poppy.

– Tyle że tego nie wie – powiedziała Orsolina. – Uważaj, i już. Ludzie wcale nie muszą być tacy, jakimi się wydają. Potrafią omamić każdego z nas.

Vincenzo przyniósł z kuchni danie główne: policzki wołowe duszone z rozmarynem, podane z podgotowaną cykorią. Mięso, zanurzone w czekoladowym sosie z posmakiem wędzonej pancetty, rozpadało się pod naciskiem noża, a mimo to Tricii trudno było je zjeść z należnym daniu apetytem. Za bardzo pochłaniało ją toczące się przy stole przedstawienie. Coś nieśpiesznie nawiązywało się pomiędzy Valerie a Vincenzem, który podkreślił teraz swój czar na cały regulator. Obok tamtej dwójki siedziało spięte trio z coraz bardziej ponurym Luca.

– Nie ma potrzeby aż tak dramatyzować – mówił do Orsoliny. – A poza tym co ty możesz wiedzieć o oszustach?

– Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy wydają się zupełnie inni, niż są. – Wzruszyła ramionami. – Jak, z pewnością, nam wszystkim.

– W tym przypadku to nie wchodzi w grę – odparł Luca.

– Jesteś pewien? Dopiero co ich poznaliście. To obcy. Ufasz swoim instynktom? Są aż tak wyrobione?

Tricia miała wrażenie, że ta rozmowa wcale nie dotyczy potencjalnych krewnych Poppy.

– A to w ogóle jest twoja sprawa? – zapytał Luca nieco ostrzej.

– Troszczyć się. Nie mam prawa? – Orsolina szeroko otworzyła oczy.

– Naprawdę, nie trzeba – wtrąciła Poppy. – Po prostu zobaczę się ze starszą panią i popatrzę na rodzinne albumy. Nie sądzę, żeby było w tym jakieś większe ryzyko.

Orsolina odwróciła wzrok. Bawiła się bransoletkami, przesuwając je to w górę, to w dół po przedramieniu.

– No cóż – powiedziała cicho. – Trzeba będzie poczekać i zobaczyć, jak się sprawa potoczy.

– Chyba tak – zgodził się Luca.

Tricia wzięła ostatni kęs wołowiny. Nóż i widelec ułożyła tak, by dać do zrozumienia, że już skończyła.

– Co za niezwykły posiłek! – stwierdziła. – I to pod każdym względem.

Moll założyła, że chodzi jej o otoczenie.

– Och, tak, to wspaniała jadalnia. A potrawy! Czy mogłabym dostać przepis na tę wołowinę, czy to może rodzinny sekret?

– W kwestii przepisów nie uznaję sekretów – odparł Vincenzo.

– Więc będę mogła umieścić go na swoim blogu?

– Oczywiście. Gdyby pani tego nie zrobiła, byłbym zrozpaczony – uśmiechnął się gospodarz. Jego złote oczy jarzyły się w świetle świec.

Moll zachichotała, a jej policzki pokrył rumieniec.

A więc nawet i ona nie jest całkiem impregnowana na męski urok, stwierdziła Tricia.

Vincenzo zbierał talerze po obiedzie, Moll wstała, żeby mu pomóc. Zasypywała go pytaniami o czekoladę i mięso, najlepsze sposoby łączenia i równoważenia smaków. Skupił na niej uwagę (ach, to spojrzenie, które traktuje cię tak szczególnie!), kiwając głową przy odpowiedziach i rozśmieszając ją, aż zarumieniała się ponownie.

Tricia podejrzewała, że flirt to jego sposób na życie, w takim samym stopniu część jego charakteru, co pasja do czekolady. Zerknęła na Valerie. Jak bardzo zależy jej na tym mężczyźnie? Miała nadzieję, że nie za bardzo.

Posiłek zakończyły kuleczki z kandyzowanej skórki cytrusów, otoczone w cukrze pudrze. Vincenzo podał je z filiżankami mocnej czarnej kawy, doprawionej kardamonem, i z kieliszkami gęstego, ciemnozłotego wina deserowego.

– Żadnej czekolady? – zdziwiła się Tricia.

– Nie. Właśnie dlatego, że jej oczekiwaliście. – Vincenzo wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. – Niby dlaczego miałbym robić to, czego się po mnie oczekuje?

Wieczór zdawał się dobiegać ku końcowi. Gospodarz zaproponował *passeggiata* po głównej ulicy Favio i być może przystanek w barze przy *piazza* na ostatniego drinka.

– Po takim posiłku lubię wypić szklaneczkę whiskey z lodem – wyznał. – Ciężko się napracowałem w kuchni, więc uważam, że mi się należy.

Orsolina przyniosła torebki i okrycia pań z pokoiku przy holu. Przy okazji zrobiła sobie zabawę, usiłując odgadnąć właścicielkę po wyglądzie dodatków. Stara konduktorka Moll nie nastroczała trudności, podobnie jak kopertówka od Marca Jacobsa należąca do Tricii. Orsolina nie potrafiła się jednak zdecydować, komu przypisać nieco podniszczoną, skórzaną, dużą karmelową torbę na ramię.

– Czyje to może być? Nie mam pojęcia. Zobaczmy... Jest elegancka, więc może należeć do Valerie. Ale jest również praktyczna, jak Poppy. Hm, chyba trzeba poszukać jakiejś wskazówki. – Wyglupiając się, Orsolina zajrzała do środka. – O, tu jest jakaś książka. Może to coś pomoże...

Wyjęła nie tyle książkę, ile plik spiętych razem stronic, pokrytych schludnym, pochyłym, odręcznym pismem i przepasanych elastyczną gumką.

– Ale to nie moje... – powiedziała skonsternowana Poppy.

– Co, u diabła! – zawołał w tej samej chwili Luca. Wyrwał kartki Orsolinie. – Co, u diabła... – powtórzył.

– Ja tego nie wkładałam do swojej torby – zaprotestowała Poppy. – I w ogóle co to

jest?

– To notes z przepisami mojej *nonna* – powiedział Luca. – Ten, o którym ci wspominałem i cały czas się martwiłem, że zaginał. Skąd go masz?

– Musiała znaleźć go i sobie przywłaszczyć – wtrąciła szybko Orsolina. – To jedyne wyjaśnienie. Ukradła go.

Luca przysunął kartki do nosa, wdychając zapach stęchlizny. Zsunął gumkę i zaczął przewracać strony. Niektóre przepisy zostały zanotowane na odwrocie starych pudełek po makaronie, inne na kawałkach woskowanego papieru do pakowania mięsa. Na wszystkich widniało to samo pismo.

– Gdzie to znalazłaś? – zapytał.

– Nie znalazłam tego! – wykrzyknęła Poppy. – Nie mam pojęcia, skąd się tutaj wzięło.

Ktoś musiał mi to podrzucić do torby.

Tricia spojrzała na osłupiałe Moll i Valerie i spróbowała pozbierać myśli. Ktoś musi wstawić się za Poppy.

– To całkiem oczywiste, co się tutaj stało – powiedziała chłodno (a przynajmniej tak jej się wydawało).

– Czyżby? – Poppy wciąż wydawała się otumaniona.

– Książkę podrzucił ci do torby ktoś, kto nie chce, żeby Luca darzył cię zaufaniem. Ktoś zazdrosny.

– Co sugerujesz? – sapnął gniewnie Vincenzo.

– No cóż... Musiałby to być ktoś w miarę bliski Luce, kto w ciągu ostatnich lat był u niego w domu – ciągnęła Tricia. – Może ta osoba pomagała przy remoncie, doradzała przy wystroju i znalazła notes? I przetrzymywała go aż do tej pory? Z jakiegoś tylko sobie znanego powodu.

– Orsolina? – zabrzmiał cicho niski głos Luki.

– Nie wygłupiaj się! To ta kobieta zabrała twój notes, nie ja.

Patrzył na nią, kręcąc głową.

– Której z nas zaufasz? – zapytała ostro Włoszka. – Kobiecie, którą znasz całe życie, czy tej, która jeszcze kilka dni temu była ci zupełnie obca?

Vincenzo spróbował opanować sytuację.

– Musiało dojść do jakiegoś nieporozumienia... – powiedział, biorąc córkę pod ramię. – Może jednak już czas powiedzieć sobie *buona notte*? Jutro powrócimy do tej rozmowy ze spokojniejszymi głowami.

– Nie! – Orsolina strząsnęła jego dłoń.

– *Cara, cara, no!* – Vincenzo powiedział to cicho i szybko, po włosku.

– Próbuję powstrzymać Lucę przed popełnieniem błędu! – odkrzyknęła Orsolina po angielsku.

Tricia patrzyła, jak Valerie otwiera drzwi i bezszelestnie wychodzi na zewnątrz. Moll poszła za nią, ale Tricia nie zamierzała ruszyć w ślad za tamtymi. Rozgrywający się dramat pochłonął ją na dobre.

– Myślałem, że jesteś moją przyjaciółką – zwrócił się Luca do Orsoliny ze smutkiem. – Sądzilem, że dbamy o siebie nawzajem. Dlaczego zabrałaś notes mojej *nonna*? Wiedziałaś, ile dla mnie znaczył.

– Był w jej torbie! – zaprotestowała.

Tricia wtrąciła się ponownie.

– Był, bo ty go tam podrzuciłaś. Daj spokój, to niemądre. Po co Poppy miałyby kraść zniszczony stary notes z przepisami, który nie ma znaczenia dla nikogo poza Lucą?

– Nie mam pojęcia, jakie miała motyw – odpaliła Orsolina.
– Ja też nie, ale wydaje mi się, że wszyscy doskonale znamy twoje – skontrowała Tricia.
– Wydaje mi się, że to dość żalosna próba. Spodziewałam się po tobie czegoś sprytniejszego.

– Ja również – powiedział Luca z twarzą zamienioną w maskę rozczarowania. –
Zawsze myślałem o tobie znacznie lepiej, Orsolino. Co w ciebie wstąpiło? Wiedziałaś przecież, że przetrząsam cały dom, szukając tego notesu.

– Próbowałam ci pomóc! – wybuchła Orsolina. – Robotnicy strasznie bałaganili i zapiski na pewno by się zniszczyły, więc je zabrałam, żeby bezpiecznie przechować. Miałam zamiar go oddać. Ale potem tyle było innych spraw i jakoś mi to wypadło z głowy...

– Aż do teraz – wtrąciła Tricia.

Włoszka uniosła brodę.

– Próbowałam powstrzymać przyjaciela, darzonego przeze mnie serdecznym uczuciem, przed popełnieniem kolejnego wielkiego życiowego błędu. Może i postąpiłam źle, ale nie miałam innego pomysłu.

Luca pokręcił głową.

– Orsolino, czyś ty oszalała?

– Wiesz lepiej niż ktokolwiek, do czego potrafią posunąć się ludzie, co potrafią zrobić – powiedziała szorstko. – Czy ty sam nie kręciłeś i nie kłamałeś tylko po to, żeby zdobyć zdjęcie? I tylko dla kasy? Zrobiłam, co zrobiłam. Z miłości, a nie z chciwości. Mnie się to wcale nie wydaje szaleństwem.

– *Basta!* Dość tego! – huknął Vincenzo.

– Zgadzam się, wystarczy. Wychodzimy. – Luca ujął Poppy pod ramię. – Przyjacielu, to był wspaniały obiad. Szkoda tylko, że tak brzydko się skończył.

Tricia wyszła za nimi przed dom, ale nie oparła się chęci rzucenia za siebie pożegnalnego spojrzenia. Dostrzegła Orsolinę mocno wtuloną w ojcowskie objęcia, z głową schowaną w fałdach koszuli Vincenza. Zdawało się, że kobieta płacze.

Moll i Valerie czekały w ciemnej alejce. Wszyscy ruszyli żwawo i bez słowa. Dopiero na górze, kiedy znaleźli się w szkole jeszcze zdyszani po wspinaczce po schodach, Poppy podniosła dłoń do ust.

– O rany boskie...! – powiedziała.

– Tak strasznie mi przykro – przeprosił ją Luca.

– To nie twoja wina.

– Ale moja przyjaciółka. To ja cię tam zabrałem.

– No cóż, przynajmniej odzyskałeś notes – stwierdziła Poppy. – Czy pozwolisz nam choć zerknąć?

Luca położył na kuchennym stole plik podniszczonych kartek. Przeglądał stronicę powoli i ostrożnie, odczytując nazwy przepisów na głos, od czasu do czasu przekładając je na angielski.

– To przepis na salami. Pamiętam, jak przy robieniu zbierała się cała rodzina. Wszystkie moje ciotki i kuzynki. Zawsze zimą, żeby wędlina nie zepsuła się podczas wysychania. To było jak rodzaj święta.

Przerzucił kilka kolejnych stron.

– A tu *nonna* spisała, jak robić jej smażony bób. O, a tu jest przepis na wykorzystanie dzikiego fenkułu, który można znaleźć przy drodze. Są instrukcje, jak obierać opuncję i przerabiać ją na galaretkę. Myślałem, że niektóre z tych potraw przepadną na zawsze, więc teraz to niemal jak próbowanie ich smaku od nowa.

– I przez ten cały czas miała go Orsolina... – powiedziała Tricia.

Luca ponuro pokiwał głową.
– Przez cały czas.

Z miłości do jedzenia

Jest ta pora w nocy, o której obudzony poddajesz się zmartwieniom. A Luca Amore nie śpi. Leży skulony wokół jej ciała, ich skóry przylegają do siebie, jego serce łomocze tuż przy jej plecach. Luca chciałby szybko znów pograć się we śnie, ale nie pozwala mu na to gonitwa myśli.

Słucha jej oddechu i zastanawia się, jak to się skończy. Czy odwiezie ją na lotnisko w Katanii i będzie patrzył na nią po raz ostatni w hali odlotów? Czy ona obieca, że znów tu powróci? A może będzie jej zbyt trudno skłamać dla polepszenia mu samopoczucia?

Luca wyobraża sobie, jak będzie się czuł, wiedząc, że ona jest gdzieś tam w świecie, chociaż tak daleka od jego własnego. Może zostanie jego znajomą na Facebooku, a on będzie podążał za jej życiem, czytając wpisy? Ta myśl go przygnębia. Chciałby to z nią omówić, znaleźć jakiś sposób na bycie razem. Ale ona śpi. Oddech ma powolny i spokojny, całe ciało odprężone. Luca nie może zakłócać tego snu.

Otwiera więc oczy i zastanawia się, ile godzin pozostało do świtu. Jeśli się od niej odsunie, być może uda mu się zerknąć na zegar na nocnej szafce. Zegar stoi tuż obok pliku kartek, który Luca chciałby mieć teraz ciągle przy sobie i nigdy go nie stracić. Wciąż nie może uwierzyć, że ukrywała go jego przyjaciółka. Zastanawia się dlaczego. W pierwszej chwili był zły, teraz jest mu wyłącznie przykro.

Czy ten notes jest częścią mnie samego, myśli, którą Orsolina usiłowała zatrzymać? Czy aż tak bardzo czepia się nadziei na więcej? Luca nie może dojść z tym do ładu. Był pewien, że jasno się wobec niej określił już wiele lat temu. Nie jest kimś dla niej. Ona była dla niego jak siostra, jak przyjaciółka od maleńkiego. Sądził, że sama to rozumie. Od czasu do czasu widywał ją w towarzystwie innych mężczyzn i zakładał, że się z niego wyleczyła. A tymczasem ona marnowała kolejne lata. Trzymała notes jego *nonna* i knuła.

Luca musi coś zaplanować. Zamyka oczy i przytula twarz do karku Poppy delikatnym ruchem. Nie chce jej obudzić. Na zewnątrz słyszy szczekanie psa i hurgot przejeżdżającej ciężarówki. Favio zaczyna się budzić. Zaciska ramię wokół kobiecej talii, czuje, jak jej brzuch unosi się i opada, czuje ciepło jej skóry i pulsującej pod nią krwi. Wie, że dla niej rozpoczyna się w życiu nowy etap.

I pragnie stać się jego częścią.

Valerie

Och, biedny Vincenzo! Zadał sobie tak wiele trudu, a ten wieczór zakończył się tak przykro. Na bardziej idiotyczny pomysł ta Orsolina nie mogła wpaść. Może i była jakaś szansa, że Luca da się nabrać, przynajmniej przez chwilę... Ale przecież od tego by się w niej nie zakochał. To coś, czego nie da się wymusić. Nieważne, co człowiek by planował i jakie wymyślał intrygi.

Tak, jasne, wypiję, jeśli będziesz robić kawę i dla siebie. Oddałabym życie za filiżankę kawy.

Wyobraźcie sobie, jak zawstydzona będzie Orsolina dziś rano. I jaka smutna. Chciałabym bardzo tam pójść i z nią porozmawiać. Czy wszystkie w pewnej chwili nie robiłyśmy z siebie idiotek dla jakiegoś mężczyzny? Gdy człowiek tak się zaangażuje, czasem ciężko tego uniknąć. Miło byłoby mieć szansę powiedzieć to tej dziewczynie.

Sama pamiętam, jak lata temu byłam młoda i głupia. Nie, nie próbowałam nikim manipulować, ale zdarzały mi się chwile bez godności wobec niektórych mężczyzn. Zjawiałam się w miejscach, gdzie miałam nadzieję na nich wpaść. Wierzyłam, że się mną zainteresują. Dzwoniłam do nich jeszcze długo potem, kiedy oni sami przestawali do mnie dzwonić. Nie chciałam rozumieć aluzji, przesadnie się narzucałam. Tego typu rzeczy.

Aż nagle spotykasz kogoś i wszystko wydaje się działać idealnie. Z powodów nie do końca rozumiałych. A przynajmniej wydaje ci się, że do siebie pasujecie.

Obaj moi mężowie uganiłi się za mną. To byli mężczyźni, którzy mogli mieć każdą kobietę, jakiej zapragnęli – inteligentni i przystojni, szalenie zabawni – a tymczasem wybrali mnie, zwykłą dziewczynę z Manhattanu, która pracowała za kontuarem z dodatkami w butiku Henri Bendel. Patrząc z perspektywy, czułam się raczej mile polecthana ich zalotami niż zakochana naprawdę.

Z Jean-Pierre'em wyglądało to zupełnie inaczej. Na początku nie byłam pewna. Lubiłam go, świetnie nam się razem spędzało czas, ale sparzyłam się już dwukrotnie, więc byłam ostrożna. Coś jednak między nami zaiskrzyło. A w miarę jak mijały wspólne lata, płonęło coraz gorętszym ogniem. Jeśli wyjeżdżał gdzieś beze mnie, po powrocie wystarczyło, żebym na niego spojrzała, i znów czułam ukłucie żądy. Było tak samo aż do końca. No cóż, prawie...

Kochałam Jean-Pierre'a, a on tę miłość odwzajemniał. To takie cudowne uczucie, jedyne w swoim rodzaju. Zaufanie i namiętność, poczucie bezpieczeństwa i podniecenie. Wszystko wymieszane. Człowiek myśli: „Niemożliwe”, a jednak się zdarza.

Mimo to miłość nie przypomina ani jazdy konnej, ani prowadzenia samochodu. To, że raz ci się udało, nie znaczy, że poradzisz sobie za drugim razem. Nie ma na to żadnej gwarancji. Być może Orsolina, gdyby to rozumiała, poczułaby się nieco lepiej? Myślę o jej wstydzie i o tym, że Vincenzo wstydzi się za nią. A z drugiej strony nie chciałabym się wtrącać...

Jak uważacie? Czy powinnam zajrzeć do *dolceria* na parę minut? Tylko po to, żeby się upewnić, czy wszystko u nich w porządku? Czy to może nie na miejscu?

Vincenzo okazał mi tyle uprzejmości, chciałabym mu jakoś pomóc. To dla mnie ważne.

Dzień siódmy

(1) Zapach ziaren kawy i przebudzenie

Różowo-złota sukienka wisiała na drzwiach. Była pierwszą rzeczą, którą Val zobaczyła po otwarciu oczu. Wczoraj wieczorem, mając ją na sobie, czuła się niemal piękna. Był taki moment, przy stole w jadalni, w migotliwym świetle świec, kiedy oczy Vincenza spoczęły na niej, a ona poczuła, że opadają z niej lata. I zapomniała, że jej skóra nie jest już gładka, a włosy gęste i lśniące.

Tego ranka sukienka wciąż wyglądała pięknie, ale Valerie znów była sobą. Wpatrując się w lustro, zachodziła w głowę, jak będzie się czuła na widok własnego odbicia za kolejne pięć czy dziesięć lat. Być może do tego czasu przestanie się tym przejmować? Raczej wątpliwe. Ściągnęła włosy w niski kok i bez większego przekonania spróbowała zrobić twarz. Zanim zejdzie na dół w poszukiwaniu kawy, naturalnie.

Siedziały w kuchni tylko we trzy (z Moll i Tricią) i gawędziły. Rozmowa kręciła się wyłącznie wokół wczorajszego niezwykłego wieczoru.

– Mieści wam się w głowach, że Orsolina zrobiła coś podobnego? – Moll wciąż nie mogła uwierzyć. – Zdawałam sobie sprawę, że ona ma skłonności do manipulowania ludźmi, ale żeby próbować zrobić z Poppy złodziejkę... Nigdy bym nie pomyślała, że posunie się aż tak daleko.

– Postaw się w jej sytuacji. Ona naprawdę bardzo, ale to bardzo go pragnie – powiedziała Tricia.

– Człowiek nie dostaje w życiu wszystkiego, czego zapragnie. To lekcja, którą musi odrobić każdy. – Moll była nieustępliwa.

Valerie zrobiło się żal Włoszki. Numer, który wycięła, był niewłaściwy i niespecjalnie mądry. Zepsuł im wieczór i głupie nadzieje związane z nim przez Val. Wszystkim zwarzył humory. Tak, miłość potrafi zawieść kobietę w złym kierunku. Ale to na pewno nie oznacza, że Orsolina jest osobą złą, nawet jeśli zasłużyła sobie, aby dzisiejszego poranka poczuć się podle.

Pozostałe panie nie potrafiły się zdecydować, czy wizyta Valerie w *dolceria* jest dobrym pomysłem.

– Na pewno byłoby to uprzejme – powiedziała Moll. – Przecież nawet im nie podziękowaliśmy jak trzeba za ten cudowny posiłek. A jeśli któraś z nas w ogóle ma tam pójść, powinnaś to być ty, Val.

– To trochę niezręczne, nie sądzicie? – zastanawiała się na głos Valerie. – Nie chciałabym wydać się im wścibska. Tyle że okazja do spotkania może się już nie trafić. Bardzo źle bym się czuła, gdybyśmy rozstali się w taki sposób.

– Tak czy inaczej, z obojgiem na pewno zobaczy się Luca – zaprotestowała Tricia. – Może przekazać podziękowania w naszym imieniu.

– No tak – wahała się Valerie. – Ale mimo wszystko...

Moll zrobiła dzbanek kawy. Valerie popijała swoją i myślała o wytwórcy czekolady. Czy ucieszyłby się z wizyty, czy raczej wolałby spokój? Nie była pewna, ale podejrzewała, że Jean-Pierre kazałby jej przestać tyle myśleć i pokierować się wewnętrznym instynktem.

– Rzeczywiście może nie wystarczy ci czasu – zauważyła Tricia. – Dzisiejszy grafik jest dość napięty. Jedziemy na degustację kawy, potem na piknik i lunch na plaży.

– Może znajdzie się chwila później – podsunęła Moll. – Mnie się wydaje, że masz rację,

Val, okropnie byłoby pozostawić wszystko tak, jak jest.

– Oni nie będą się przejmować. Jesteśmy ostatnią rzeczą, która się dla nich liczy – powiedziała Tricia z przekonaniem.

– Dla Orsoliny być może, ale nie dla Vincenza – przekonywała Moll. – Będzie myślał o nas. O Val. Jestem tego pewna.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to ci dwoje są do siebie podobni jak dwie krople wody. – Tricia wzruszyła ramionami. – Ale rób, jak uważasz.

Valerie, mimo wszystko, postanowiła posłuchać intuicji. Jeszcze nie była pewna, co zrobi. Może po wypełnionym zajęciach poranku łatwiej jej będzie podjąć klarowną decyzję?

– Myślę, że po południu będzie trochę wolnego czasu przed ostatnią lekcją gotowania – powiedziała. – Może zmienię zdanie do tej pory. Zobaczymy.

Na odgłos obracającego się w zamku klucza wszystkie trzy spojrzały wyczekująco w stronę drzwi wejściowych. Poppy, która starała się wślizgnąć do domu niepostrzeżenie, stropiła się lekko na ich widok.

– Och, cześć. Myślałam, że jeszcze będziecie spały – powiedziała niepewnie. – Wczorajszy wieczór się przeciągnął, nieprawdaż?

– Być może dla ciebie, ale ja padłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki – odparła Tricia żartobliwie.

Poppy zignorowała zaczepkę.

– To ja lepiej pójdę się przebrać – powiedział tylko. – Luca będzie tu lada chwila.

Znikła na górze, a Tricia odwróciła się do Moll.

– Przecież ona musi wiedzieć, że my wiemy, prawda? – odezwała się cicho. – Znaczą zwłaszcza po tej wczorajszej scenie. Jak mogłybyśmy nie wiedzieć?

– No niby tak. Ale dyskrecja nikomu jeszcze nie zaszkodziła, nie sądzisz?

– Więc mam jej o Lucę nie pytać? Czy to chcesz mi powiedzieć?

– Nie miałam pojęcia, że potrzebne ci moje pozwolenie – odparła lodowato Moll.

Valerie miała nadzieję, że nie dojdzie między nimi do kolejnej kłótni. Przyłożyła palce do czoła, czując pulsowanie nadchodzącej migreny.

– Wcale nie chcę cię denerwować – powiedziała Tricia do Moll. – Nie po tym, gdy udało nam się przez ostatnich parę dni zachowywać wobec siebie uprzejmie.

Moll popatrzyła na nią uważnie i niemal ze współczuciem.

– Pytaj Poppy, o co chcesz. Tylko mnie do tego nie mieszaj, dobrze?

– Dobrze – odparła lekko Tricia.

Atmosfera była napięta, a Luca, mimo śniadania, niewiele zdziałał, żeby uległa poprawie. Dzisiejszego ranka wydawał się przygnębiony. Machinalnie nakrywał do stołu, wykladał ciastka i owoce, a kiedy Moll zaczęła go wypytywać o degustację kawy, odpowiadał lakonicznie.

Ta sama niezręczna cisza trwała przez całe śniadanie i w samochodzie. Poppy, zamiast obok Luki, usiadła z tyłu. Tricia i Moll nie odzywały się do siebie.

Na szczęście jazda trwała krótko, bo palarnia kawy mieściła się w niewielkim magazynie w najwyższej części miasteczka. Luca wszedł do środka i przedstawił kursantki starszemu panu ubranemu w jutowy fartuch i zadziornie przekrzywioną czapkę zwiniętą z arkusza gazety.

– To Enrico Molinari. Mówi świetnie po angielsku, więc zostawię was z nim na trochę. Opowie wam o swojej kawie – zapowiedział.

Valerie popatrzyła za odchodzącym Lucą i pomyślała, że przygarbienie ramion wywołała

jakaś porażka. Nie, chyba znów analizuję wszystko przesadnie, napomniała się w duchu.

Starszy pan wręczył gościom czapeczki z gazetowego papieru i uśmiechnął się, gdy je włożyły, namawiając do zrobienia zdjęcia. Valerie od czapki zaswędziała głowa. W palarni panowała duchota. Hałas maszyn, które kawę podgrzewały i chłodziły, był ogłuszający.

Słuchała pogadanki na temat różnych typów ziaren i metod ich obróbki. Enrico mówił rozwleknie o idealnej piance *crema*, o kwasowości, gęstości, lepkości. Valerie wydawało się, że słucha uważnie, ale pod koniec wcale nie była pewna, czy na północy wolą arabikę, a na południu delikatniejszą robustę, czy odwrotnie.

Moll stała na przodzie grupki i zawzięcie robiła notatki, więc wie. Zadawała pytania, przekrzykując hałas maszyn i słuchając ze skupieniem, kiedy Enrico odwrzaskiwał coś na temat miodu i lukrecji albo utrzymującego się w ustach posmaku i środkowych nutach karmelu i czekolady.

Valerie powoli traciła cierpliwość. Zapach kawy przenikał jej ubranie, wnikał we włosy i pory skóry. Panujący w palarni łomot tylko pogarszał ból głowy. Wiedziała, że szkoła kulinarna leży w odległości krótkiej przechadzki, w większości w dół wzgórza. Jeśli się pośpieszy, być może znajdzie chwilę, żeby po drodze zajrzeć do *dolceria*.

Dotknęła ramienia Poppy, żeby zwrócić jej uwagę, drugą dłoń przykładając do swojej skroni.

– Nie za specjalnie się czuję – powiedziała. – Zrobię sobie spacer, odetchnę świeżym powietrzem. Do zobaczenia niedługo w domu.

– Mam pójść z tobą? – zaniepokoiła się Poppy.

– Nie trzeba. Będzie w porządku, kiedy trochę przewietrzę głowę.

Znalazłszy się na zewnątrz i odetchnąwszy powietrzem pozbawionym zapachu kawy, Valerie natychmiast poczuła się lepiej. Nie była pewna drogi, ale uznała, że dopóki będzie się kierować w dół wzgórza, trafi do znanej sobie części Favio.

Rzecz okazała się trudniejsza. Wąskie alejki pełne były zakrętów, czasem wręcz zawracały; wszechobecne schody zdawały się robić to samo. Valerie zgrzała się i zziąwała, ale wkrótce zdała sobie sprawę, że zmierza wprost na katedrę i za chwilę będzie na miejscu. Ładna koralowa bluzka lepiała się do pleców, włosy wysuwały spod spinek. Val była pewna, że wygląda koszmarnie, ale nie miała czasu martwić się wyglądem. Dotarło do niej, że instynkt domaga się, żeby odszukała Vincenza Mazzarę, dopóki miała na to szanse.

Gdy doszła do *dolceria*, nie było w niej za grosz wahania.

– *Buongiorno!* – zawołała, otwierając drzwi, z nadzieją, że usłyszy odpowiadający na powitanie głos Orsoliny. Ale w środku zastała za kasą jakąś nieznaną kobietę. Mimo że angielski tamtej był ledwie zrozumiały, Val dowiedziała się, że zarówno Vincenzo, jak i jego córka są nieobecni.

– A może są w domu? – zapytała. – Tam ich znajdę?

Kobieta wskazała gestem półki za sobą.

– Chce pani czekoladę?

– Nie, nie dzisiaj. Dziękuję.

W alejce Valerie przystanęła, by zdecydować co teraz. Intuicja! – napomniała się w duchu. Skierowała się ku drzwiom w skalnej ścianie i zastukała energicznie. Cisza. Zastukała ponownie.

Otworzył Vincenzo, a Valerie na jego widok odebrało mowę. Mężczyzna wciąż miał na sobie tę samą koszulę w paski co poprzedniego wieczoru, tyle że teraz pogniecioną i rozpiętą do pasa, z wysoko podwiniętymi rękawami. Oczy były zaczerwienione i podpuchnięte, mina znużona.

- To nie jest dobry moment, *cara*. Przepraszam – powiedział, szybko dopinając guziki.
- Przyszłam sprawdzić, czy wszystko u was w porządku.
- Bardzo to miłe z pani strony, ale teraz nie. W porządku nie jest.
- Mógłby pan przekazać Orsolinie wiadomość ode mnie?

Skinął głową.

- Oczywiście.

Valerie zamilkła, próbując zdecydować się, jak ująć myśli w słowa.

- *Signora?* – popędził ją nieco Vincenzo.

– Chcę, żeby wiedziała, że nie jest sama. I powiedzieć jej, że większość z nas popełniła jakieś szaleństwo dla ukochanego mężczyzny. Tak, tak, mnie nie wyłączając. Wprawdzie teraz wydaje się jej, że gorzej już być nie może, ale to minie. Potrzeba czasu. To wszystko.

Drzwi uchyliły się szerzej.

– Moja córka wcale nie czuje, że zrobiła coś złego. Wcale a wcale. I to jest właśnie kłopot.

- Naprawdę? – zdziwiła się Val.

- Rozmawialiśmy całą noc, ale to nie pomogło – westchnął. – Brakuje jej matki.

Valerie była bezradna.

- To na pewno bardzo trudne...

– To nie do zniesienia. – Vincenzo przetarł dłonią twarz. – A może jednak powinna pani wejść do środka? Proszę z nią porozmawiać, jeśli tylko zechce panią widzieć. Już chyba nic nie zaszkodzi...

Valerie przestąpiła próg.

W powietrzu pachniało stęchlizną. Światła było mało, ale nie tak, żeby nie dostrzec naczyń po wczorajszym obiedzie, piętrzących się na stole w jadalni.

– Nie chce nic jeść – powiedział Vincenzo zmęczonym głosem. – Przygotuję jej trochę gorącej czekolady. Ale nie wiem, co jeszcze.

Valerie weszła do kuchni w ślad za gospodarzem. Patrzyła, jak roztrzepuje stopioną słodycz z odrobiną likieru i zmielonego kardamonu. Gdy używał drewnianej trzepaczki z podniszczoną rączką, mięśnie jego ramienia naprężyły się.

- Proszę spróbować! – polecił, nalewając Val odrobinę.

Łyknęła posłusznie.

- Tak. Jest bardzo dobra.

Vincenzo napełnił filiżankę gęstym, parującym płynem i postawił ją na tacy obok kilku papierowych serwetek i talerzyka ze słodkimi biszkoptami.

– Proszę tu zostać, sam jej to zaniosę na górę – powiedział. – Może zgodzi się z panią zobaczyć, ale zbyt wiele nadziei nie mam.

Czekając na jego powrót, Valerie rozejrzała się po kuchni. Wyglądało na to, że oprócz pięknego posiłku kucharzowi udało się zrobić tu wczoraj potworny bałagan. Talerze i rondle piętrzyły się, pokryte plamami zastygłych potraw. Tarki były pozapychane czekoladą, a tłuczki, moździerze, trzepaczki i mnóstwo rozmaitych kuchennych przyrządów – zapaćkane.

Val poszukała wzrokiem zmywarki. Chyba jej nie mają, pomyślała. Chcąc nie chcąc, zakasała rękawy i napełniła zlew gorącą wodą z dodatkiem środka do mycia naczyń. Przynajmniej to jedno mogła zrobić.

Sprzątnęła ze stołu, pozmywała zastawę obiadową. Później przyjrzała się garnkom. Vincenza wciąż nie było. Ciekawa jestem, jak też układa się im rozmowa na górze, w pokoju Orsoliny, zastanowiła się Val.

- *Signora*, moje przeprosiny... – dobiegło wreszcie z holu i w kuchennych drzwiach

pojawił się zaskoczony gospodarz. – Nie trzeba było... Jestem zażenowany.

– Nie trzeba, to drobiazg.

Vincenzo osunął się na krzesło.

– Dziękuję bardzo – powiedział. – Za wszystko. Za to, że pani przyszła. Naprawdę to doceniam.

– Nie chce mnie widzieć, tak?

Pokręcił głową.

– Pewnie i tak niewiele zdołałabym pomóc... Każdemu młodemu wydaje się, że starzy nie rozumieją, prawda?

– Ale ja faktycznie jej nie rozumiem – wyznał Vincenzo. – To znaczy rozumiem, dlaczego Orsolina zrobiła to, co zrobiła. Wiem, co czuje do Luki. Ale nie mogę pojąć, dlaczego nie rezygnuje? Dlaczego nie przyzna się, że to pomyłka?

– Uważa, że miała rację?

– Twierdzi, że o niego zawalczy. Że warto. Próbowałem jej tłumaczyć, że to mężczyzna jak każdy inny. Nawet podzieliłem się z nią szczegółami, które powierzono mi w zaufaniu. Bo myślałem, że wpłynie to na jej opinię o nim, ale nie. Jest uparta i zdeterminowana. Nie zgadza się choćby przeprosić.

Valerie zrozumiała swą pomyłkę co do uczuć kotłujących się w sercu Orsoliny. Ta dziewczyna różniła się od niej jak dzień od nocy. Mimo to spróbowała pocieszyć znękanego ojca.

– Może powinien pan zostawić teraz wszystko własnemu biegowi – zasugerowała. – Z czasem sprawy często układają się same, nieprawdaż? Ta też przyschnie.

Vincenzo westchnął.

– Mam nadzieję. Nie mam pojęcia, co jeszcze mogę jej powiedzieć...

– Jestem pewna, że zrobił pan wszystko, co się dało. Wszystko, co mogłaby dla niej zrobić matka – ciągnęła Valerie łagodnie. – Jeśli rzeczywiście jest tak zatwardziała w swoich opiniach, słowa ich nie zmieniają. Orsolina musi nauczyć się na własnych błędach.

– Obawiam się, że tak – przytaknęła.

– Miejmy nadzieję, że nastąpi to szybko. Zanim dziewczyna zmarnuje najlepsze lata – powiedziała Val z uczuciem.

Vincenzo przechylił głowę na bok, słuchając uważniej.

– Naprawdę uważa pani, że najlepsze lata mijają wraz z młodością, *signora*? To chyba niekoniecznie prawda.

– Tak mi podpowiada doświadczenie.

– Dojrzałość potrafi dostarczyć innych przyjemności. Może nieco łagodniejszej natury, ale wcale niekoniecznie gorszych – upierał się.

Valerie przysła tu wiedzioną chęcią udzielania rad, a tymczasem role się odwróciły. Vincenzo podczas pobytu na górze zdążył zadbać o wygląd: zmienił koszulę na świeżą, przeczesał włosy, obmył twarz. Byłby przystojny w każdym wieku, pomyślała.

– U mężczyzn to działa inaczej.

Podniósł się z krzesła, podszedł do Valerie i stanął obok niej, bardzo blisko, tuż przy kuchennym kontuarze.

– Nie musi tak być.

Nie mogła złapać tchu. Odsunęła się o pół kroku.

– Ja...

Przez chwilę tylko się przyglądał. A potem wyciągnął rękę i przyłożył dwa palce do jej warg, naciskając łagodnie, aż pod naciskiem się rozwarły. Te palce były szorstkie od pracy

i pachniały nieokreśloną słodyczą. Valerie przymknęła oczy, a on przysunął się bliżej, napierając biodrami. Położył dłonie na jej łopatkach, a później przesunął nimi wzdłuż całego kręgosłupa. Val usłyszała własne westchnienie.

– A gdybym panią pocałował? – zapytał.

Przełknęła ślinę i pokiwała głową.

– Tak.

Vincenzo był tak blisko, że poczuła na twarzy ciepło jego oddechu.

– Teraz czuje się pani tak jak wtedy, gdy była pani młoda, prawda?

– Tak – odszepnęła. – Zaczynam tak się czuć.

Obiema dłońmi ujął jej piersi.

– Ja również.

Kiedy ją pocałował, Valerie zapomniała o bożym świecie. O tym, że kiedykolwiek bolała ją głowa, że nienawidzi swojego małego jędrnego i obwisłego ciała. Zapomniała, że w pokoju na górze dąsa się jego córka, zapomniała nawet o Jean-Pierre. Oparła się plecami o krawędź kuchennego blatu, czując jego dłonie błędzące teraz po całym jej ciele, wcale nie delikatnie.

A potem doszedł ją brzęk czegoś rozbijającego się o podłogę.

– Tato!

W łuku kuchennych drzwi stała Orsolina, blada i wściekła. U jej stóp leżała potłuczona filiżanka po czekoladzie.

Vincenzo opuścił dłonie. Odsunął usta od ust Valerie i odwrócił głowę.

– *Vai, vai*, Orsolina – powiedział krótko. – Idź sobie.

– Wiesz, jak się teraz czuję? Wiesz, jak bardzo cię potrzebuję? A ty siedzisz tu z tą kobietą i ją obściskujesz? – warknęła wzburzona Orsolina po angielsku.

Vincenzo miał żalowaną minę.

– Ona ma rację, kiepski moment sobie wybrałem – zwrócił się do Valerie. – *Signora*, bardzo przepraszam.

– Mnie również jest przykro – powiedziała roztrzęsiona Val, przenosząc wzrok z ojca na córkę. – Powinnam chyba już iść.

– *Si, si*. Też tak sędzę – zgodziła się tamta.

Valerie zabrała torebkę ze stołu i uciekła z kuchni. Vincenzo nie próbował za nią ruszyć, choć chyba usłyszała dalszy ciąg przeprosin. Głos był jednak na tyle stłumiony, że nie miała pewności.

Już w alejce próbowała jakoś się pozbierać, ale twarz wciąż miała rozpaloną, a dłonie nadal dygotały. Była tak blisko... Jeszcze parę chwil, a Vincenzo by ją rozebrał. Mógł ją położyć na tej skórzanej kanapie w salonie albo zabrać do łóżka. Valerie nie mogła uspokoić szaleńczo bijącego serca, nie mogła powstrzymać wyobraźni. Rozczarowanie zatrzymało jej myśli.

Powoli szła główną ulicą, a potem po schodach prowadzących do szkoły kulinarnej, z nadzieją, że pozostali zdążyli już wyruszyć na piknik, a ona będzie mogła dokończyć sama to, co zaczął Vincenzo. Tyle że już po raz drugi tego dnia źle obliczyła czas. Otworzywszy drzwi, natknęła się za nimi na Poppy i Lucę z piknikowymi koszami w rękach.

Luca zrobił minę, jakby mu ulżyło.

– Właśnie zastanawiałem się, gdzie się podziałaś. Panie myślały, że jesteś może u Vincenza...

Zarumieniona Valerie szukała słów, ale on nie czekał na odpowiedź.

– Jak tam sprawy u nich?

Skrzywiła się.

- Nie bardzo.
- Tak – powiedział z żalem. – Tak myślałem.

Gdyby nie była tak ogłupiała, Valerie zapewne znalazłaby wymówkę, żeby nie jechać na piknik. Tymczasem poszła schodami w dół, pomagając Poppy nieść jeden z koszy (były dość ciężkie) i rozmawiając o niczym.

Wydawało się, że Luca jest w lepszym nastroju. Umieścił kosze w bagażniku, obiecał rozmaite przysmaki na lunch. Opowiadając o rezerwacie przyrody, w którym mieli go zjeść, promieniował entuzjazmem.

Prowadząc, mówił o historii sycylijskiej kuchni i o tym, jak cenna dawniej była sól. A potem o tuńczykach. Że w dawnych czasach miejsce, dokąd się wybierali, zaspokajało zapotrzebowanie okolicy na obie te rzeczy.

Myśli Valerie od czasu do czasu odpływały gdzie indziej. Wciąż powracała w nich do tamtego dotyku i do reakcji własnego ciała. Owszem, była teraz starsza, ale poza tym nic się nie zmieniło. Gdyby nie to męczące poczucie niespełnienia, zapewne poczułaby ulgę.

Nad nawierzchnią drogi przed nimi powietrze drżało od upału. Wszystkie panie zaczęły smarować się kremem z filtrem i nakładać kapelusze, wyjmować butelki z wodą, szykować się na plażę. A Valerie zastanawiała się, czy w domu Mazzarów ojciec i córka wciąż siedzą w półmroku, w pokoju o przymkniętych okiennicach, pogrążeni w jałowej rozmowie.

Na zewnątrz wiała ledwie wyczuwalna morska bryza, która nasiliła się, gdy ruszyli deptakiem wzdłuż podmokłego wybrzeża. Odświeżała powietrze i łagodziła nieco ból głowy Valerie, która szła za resztą grupy, starając się nie pozostawać zbyt daleko w tyle.

Ścieżka wiodła pomiędzy wysokimi trawami, w stronę niebieskiej wstęgi morza na horyzoncie. Valerie czuła zapach dzikiego kopru i rozmarynu. Z każdym krokiem myśli były coraz jaśniejsze, aż wreszcie do Val dotarło, jak bardzo się myliła. Otóż istnieją mężczyźni podobni do Jean-Pierre'a, mężczyźni jarzący się i skrzący, mężczyźni, którzy potrafią tchnąć życie we wszystko wokół niej, włącznie z nią samą. A skoro przestała ich dostrzegać, musi żyć w świecie, który ją ogranicza.

Luca zaczął, aż Valerie dogoni resztę towarzystwa. Pragnął opowiedzieć wszystkim o ptakach i o rezerwacie, o rzadkich roślinach, które rosną na tych słonawych bagnach. I o połowach tuńczyków z wychodzącego w morze cypla, który mieli odwiedzić przed lunchem.

– Czy masz coś przeciwko, żebym została na plaży? – zapytała Val. – Mogę popilnować koszy.

- Wciąż dokucza ci głowa? – spytała Poppy ze współczuciem.
- Jeszcze odrobinę – skłamała.

Znaleźli miejsce dość daleko od innych ludzi i Luca rozłożył koc, żeby Valerie mogła usiąść.

– Niedługo wrócimy – obiecał. – Tam są do obejrzenia tylko ruiny dawnej fabryki konserw, więc nie zajmie to dużo czasu.

- Nie śpieszcie się. Jest mi tu dobrze.

Val patrzyła za trzema odchodzącymi w towarzystwie mężczyzny kobietami, których przed tygodniem jeszcze nie знаła, a które teraz stały się jej niemal bliskie. Może Tricia wybierze się na wakacje do Nowego Jorku? Umówiłyby się wtedy na lunch. Może Poppy dałaby radę wpaść na parę dni i się u mnie zatrzymać? A może kupić sobie laptopa i śledzić bloga Moll? Wysłać mejle do Luki po ugotowaniu dania, którego ją nauczył?

Z Vincenzem Mazzarą nie wiązała żadnych nadziei. Podejrzewała, że ich wspólny moment przeminął. Mimo to teraz, kiedy wreszcie otworzyły się jej oczy, może dostrzeże innych,

jemu podobnych? Val zaczynała mieć nadzieję.

Podwinawszy nogawki lnianych spodni, przespacerowała się nad linię wody, by pobrodzić w morzu. Woda chłodziła jej kostki. Val weszła nieco dalej, morze sięgnęło do łudek. Następne wakacje spędzę gdzieś nad morzem, postanowiła.

Może wróci na południe Francji albo wybierze się w zupełnie nieznanie miejsce? Można wynająć apartament, można to zrobić razem z przyjaciółmi. Może nawet z którąś z poznanych nowych koleżanek?

Valerie ucieszyła się, że Jean-Pierre nie może zobaczyć, kim stała się w ciągu tego roku bez niego. Zaczęła się bać sama siebie. Poddała się. Być może nie jest za późno, by to odmienić.

Stojąc teraz wśród opływających plażę spienionych fal, z palcami stóp zanurzonymi w piasku, poczuła w ciele siłę. Uniosła ramiona w powietrze, wyciągnęła dłonie w stronę bezchmurnego nieba. Odetchnęła.

Zanim wrócili pozostali, udało jej się przebrać w kostium kąpielowy (przy sporej dozie wygibasów pod osłoną plażowego ręcznika).

– Idę popływać przed lunchem! – zawołała do Luki. – Dobrze?

Reszta podchwyciła tę myśl, lecz Valerie na nich nie czekała. Pobiegła plażą i wskoczyła w morze, nurkując głową pod fale. Gdy wypłynęła na powierzchnię, wzięła głęboki oddech.

– Zimna woda?! – zawołała do niej Poppy.

– Tak! – odwrzasnęła. – Ale fantastyczna!

Valerie zawsze była dobrą pływaczką, niezbyt szybką, ale kiedy już łapała rytm, miała wrażenie, że może tak płynąć bez końca. Jednak od ostatniego pobytu we Francji, kiedy Jean-Pierre był tak chory, a ona nie chciała go zostawiać ani na parę chwil, nie zanurzyła w morzu nawet palca. Teraz nic nie mogło jej powstrzymać. Parła naprzód, aż straciła grunt pod nogami, aż znalazła się za linią łamania się fal. Skręciła równoległe do brzegu i zaczęła płynąć swobodnym kraulem, ciesząc się ruchami nóg w wodzie i świadomością, że ramiona niosą ją przed siebie.

Pokonała długość plaży (a ta krótka nie była), a potem zawróciła z zamiarem powrotu. Odczuwała zmęczenie, więc zmieniła styl na żabkę. Pozostali byli zaledwie widocznymi na plaży kropkami. Co też oni sobie o mnie myślą, zastanowiła się. Że straciłam rozum i zapomniałam, ile mam lat? No cóż, być może. Val wypluła z ust słoną wodę. I co z tego? W sumie może to dobrze zapomnieć?

Poppy stała tuż przy brzegu i z ręcznikiem kąpielowym w ręku. Val wyszła z morza ociekająca wodą i zachwycona.

– Boże, ależ ty pływasz!

Valerie uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Tak. Wiem.

Nie czekano na nią z jedzeniem. Wygłodniała Val wytarła się, okryła ramiona suchym ręcznikiem i zerknęła w stronę otwartych piknikowych koszy. Luca podał jej kanapkę. Był to tylko grubo krojony kawałek ciabatty, z okrawkami żółtego sera, płatkami suszonego chili i pokrojonymi zielonymi oliwkami, a pieczywo zdążyło lekko zmięknąć od pachnącej trawą oliwy, ale smakował wspaniale. Valerie zjadła do ostatniej okruszyny, a potem zajęła się pojadaniem smażonych placuszków z *prosciutto*, pietruszką i serem, karczochów w cytrynowej oliwie i sałatki z fasolki ze słodkimi szalotkami. Słona woda skapywała jej z włosów na kark i spływała po plecach. Val patrzyła na połąć błękitu, którą właśnie podbiła.

– Nie wiedziałam, że jesteś tak dobrą pływaczką – powiedziała Moll z podziwem.

– Wyszłam z wprawy – odparła Val. – Pewnie później będę obolała, ale było warto.

Koszyki zostały zamknięte, lecz nikomu nie śpieszyło się do powrotu. Luca wyjął butelkę

prosecco z torby chłodzącej i nalał wszystkim po trochu.

– Za najlepszą grupę, jaką kiedykolwiek miałem w szkole kulinarnej „Z miłości do jedzenia”! – powiedział, wznosząc swój kubeczek.

– Naprawdę byliśmy najlepsze? – Moll chyba zrobiło się miło. – Będziesz za nami tęsknił, Luca?

– No pewnie! Ale przed nami ciągle dzień jutrzejszy, prawda? – Zerknął na Poppy. – Na razie chyba nie pora na tęsknotę.

– Strasznie szybko to przeleciało – powiedziała Moll. – Ale wiesz... Chociaż przykro mi będzie wyjeżdżać, miło będzie znów zobaczyć dziewczynki.

– Ja też jestem już gotowa na powrót do domu – zgodziła się Tricia. – Do normalnego życia.

Valerie zauważyła, że Poppy nie odezwała się ani słowem. Wpatrywała się w morze i poruszała winem w kubku, ale nie wypila ani łyka.

(2) Zapach dzikiego kopru i pewien dylemat

W drodze powrotnej do samochodu Val ponownie pomogła Poppy nieść piknikowy kosz. Luca pobiegł przodem i zszedł z deptaka, żeby nazbierać młodych paproci i dzikiego fenkułu, uważając, by z każdej rośliny uszczykiwać tylko ociupinę. Niebawem miał w dłoniach pęk pierzastych liści. Przystanął, by odetchnąć ich słodkim anyżkowym aromatem, po czym włożył je do torby-lodówki i odbiegł, by znaleźć więcej.

Poppy jakoś się nie śpieszyła. Szła coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie znalazły się z Val kilka kroków za pozostałymi.

– Czy mogłabym poprosić cię o radę w pewnej sprawie? – zapytała cicho, a Valerie pojęła, że Poppy zwalnia specjalnie.

– Jasne, jeśli tylko chcesz. Jednak nie mogę obiecać, że uda mi się pomóc.

– Umiesz dotrzymać tajemnicy?

– Oczywiście.

– Ale jeszcze nie teraz – wyszeptała Poppy trochę ciszej, bo znów pojawił się Luca. – Później. Przyjdę do twojego pokoju.

– Dobrze.

Jeśli ten sekret ma coś wspólnego z Luca, nie jestem chyba najlepszą osobą do udzielania rad, pomyślała Valerie. Tak bardzo pragnęła, żeby romans tych dwojga jakoś się ułożył! Lubiła oboje i czuła się w całą sprawę osobiście zaangażowana.

– Daj mi tylko chwilę na prysznic – dodała.

– Dzięki – uśmiechnęła się Poppy. – Doceniam.

Valerie miała wrażenie, że jej skóra klei się od soli, a włosy zlepiają w strąki. Popołudniowe słońce lało się przez okna minivana od jej strony, klimatyzacja ledwie wyrabiała, a ona czuła się senna. Uśpił ją głos Moll. Ocknęła się parę minut później, gdy koło trafiło na dziurę w asfalcie. Moll nie przestawała mówić, ale nikt inny jakoś nie kwapił się do udziału w rozmowie. Tricia bawiła się iPhone'm, Poppy wyglądała przez okno. Czy oni jej w ogóle słuchają? – zaciekawilo Val przelotnie.

– Przepraszam, mogłabyś powtórzyć? – odezwała się, zmuszając się do otwarcia oczu.

– Mówiłam o zbieractwie – odparła tamta. – Wiesz, w Anglii można znaleźć bulwy kopru i mnóstwo innych rzeczy też. Pokrzywę, do ugotowania w zupie, wodorosty i naturalnie grzyby. Tyle swobodnie dostępnego jedzenia rośnie dziko i smakuje o wiele lepiej niż kupne produkty...

– A sama zbierasz? – zapytała Valerie z zainteresowaniem.

– Odbyłam kiedyś spacer z przewodnikiem po Hampstead Heath – powiedziała Moll. – Znaleźliśmy masę rozmaitych rosnących tam jadalnych roślin. W samym środku Londynu! Gwiazdnica, łopian, wierzbowka, babka. Wyszedł mi z tego niezły wpis na bloga. Okazało się, że przygodę z jedzeniem można przeżyć, nawet nie oddalając się od domu.

– A jak sądzisz, jak będzie wyglądała twoja następna przygoda? – dociekała Valerie. Moll zmarszczyła brwi.

– Nie wiem jeszcze. Nie planowałam niczego poza tym wyjazdem.

Val nie udało się powstrzymać ziewnięcia.

– Na pewno coś wymyślisz.

Przez resztę podróży podrzemywała, a kiedy wreszcie Luca zaparkował, trudno jej było wsiąść z samochodu. Czuła napięcie mięśni nóg i rąk, obolałe ramiona, lecz było to niemal przyjemne. Zupełnie jak nagroda.

Obmyła się szybko, żeby Poppy nie zapukała i nie odeszła, niesłyszana przez szum płynącej wody. Mimo to ledwie zdążyła się ubrać.

– Wejdz. Gdzie reszta? – zapytała, zerkając na korytarz.

– Chyba obie są w swoich pokojach. Mamy trochę czasu przed lekcją gotowania. – Poppy się zawahała. – Gdybyś jednak wołała odpocząć...

– Nie, absolutnie nie. Siadaj. I mów, co ci nie daje spokoju.

– Zanim zacznę, obiecaj mi raz jeszcze, że nikomu nie powtórzysz ani słowa.

Wprawdzie nigdy nie przyrzekałam, że zatrzymam to w sekrecie, ale może jednak powinnam...?

– Jasne. Obiecuję ci z ręką na sercu – powiedziała Valerie.

Poppy pogrzebała w torbie i wyciągnęła z niej gładką brązową kopertę rozmiaru A4. Wręczyła ją Valerie.

– Luca je zrobił – powiedziała. – Dał do wywołania i podarował mi dziś rano przed piknikiem.

Valerie przyjrzała się uważnie. Wszystkie cztery fotografie ukazywały śpiącą w łóżku Poppy, z włosami rozsypanymi na poduszce, z okrytymi ramionami. Wydawała się spokojna i szczęśliwa.

– Oczywiście domyśliłam się o was obojgu – powiedziała, zastanawiając się, czy to ma być ten sekret. – Wszystkie się domyśliłyśmy.

Poppy pokiwała głową.

– Wiem.

Valerie wsunęła zdjęcia z powrotem do koperty.

– A więc w czym problem?

Poppy przysiadła na łóżku, podciągnęła nogi pod siebie.

– Nie spotkałam nigdy bardziej niesamowitego faceta niż Luca – oznajmiła. – On sprawił, że poczułam się... Zupełnie tak, jakbym usiłowała coś w życiu nadrobić.

– I?

– I on chce, żebym została w Favio na dłużej. Żebyśmy mogli lepiej się poznać.

– A nie chcesz?

– Chcę. Tak, chcę. Tylko nie jestem pewna, czy powinnam.

– Ależ dlaczego? – Valerie nie mogła zrozumieć. – Pracujesz przecież na własny rachunek? Na pewno możesz sobie zrobić jeszcze ze dwa tygodnie wakacji.

– Nie chodzi tylko o to. – Poppy wyjęła kopertę z rąk Valerie i przycisnęła do piersi. – A jeśli ja go źle odczytuję? Jeśli on nie jest osobą, za którą go biorę?

– To ryzyko przy każdym poznanym mężczyźnie.

– Wiem. Ale w przypadku Luki jakoś nie ufam własnemu osądowi.
– Bo bardzo się pomyliłaś, kiedy chodziło o byłego męża? – domyśliła się Val.
– To nie tak, że ja nie rozumiałam Brendana. Nie rozumiałam samej siebie. On jest pracowity, porządny, przewidywalny. Dokładnie taki, jak mi się wydawało. Tyle że okazało się, że ja tego nie pragnę.

– A Luca?

– A w Luce, jak mi się zdaje, siedzi dwóch różnych mężczyzn.

I Poppy wyrzuciła z siebie całą historię. Valerie słuchała w osłupieniu, usiłując wyobrazić dawnego Lucę.

– ... i pokazał mi te zdjęcia – powiedziała Poppy. – Musiał jeździć za nią bez przerwy, dzień po dniu.

– Przecież uganiało się za nią wielu paparazzi.

– Ale ja poznałam wyłącznie Lucę.

– No tak. Rozumiem.

– On przysięga, że to już przeszłość, że jest odmienionym człowiekiem, ale ja nie mam pewności, który to Luca. I to jest mój problem.

– Jedyne wyjście to zaryzykować – zauważyła Valerie.

– A jeśli zabraknie mi odwagi?

Val nie była pewna, co odpowiedzieć.

– Bardzo często bywamy śmielsze, niż nam się wydaje... – zaczęła.

Poppy pokręciła głową.

– Nie ja. Ja nigdy w życiu nie zrobiłam nic specjalnie odważnego. A tu? Zakochać się w mężczyźnie, który mieszka na drugim końcu świata? Czy to nie aby wakacyjne szaleństwo?

Valerie korciło, by wspomnieć o kobiecej intuicji, ale jej własna nie przysłużyła się jej ostatnio.

– Obiektu uczuć raczej nie da się wybrać świadomie – powiedziała zamiast tego.

– Ale mogę zdecydować, czy zostanę, czy wyjadę. I od tego zależy wszystko.

Valerie nie zazdrościła Poppy rozterek.

– A czego chcesz naprawdę? – zapytała.

– Chyba tego, żeby Luca był taki jak na początku. Tym uroczym i przystojnym facetem, który zajmował się nami wszystkimi. Oczywiście to w nim jest, ale są też te inne rzeczy. I to jest problem.

– Rozumiem – powiedziała Valerie ponownie.

– Nie ma łatwych odpowiedzi, prawda? – westchnęła smutno Poppy.

– Jak sądzisz, dlaczego dał ci te zdjęcia?

– Powiedział, że tak wygląda szczęście. – Spuściła wzrok na kopertę. – Jego i moje.

– Ach. – Valerie ujął ten gest, jak zapewne ujął samą Poppy. – Cóż, masz jeszcze jeden dzień na podjęcie decyzji.

– I niemal żałuję, że muszę ją podjąć. Nie mogę myśleć o niczym innym. To mnie wykańcza.

– Nie mam pojęcia, co ci poradzić – przyznała się Valerie.

– A co ty byś zrobiła na moim miejscu?

Valerie pomyślała o Vincenzie i spróbowała wyobrazić sobie własną reakcję na taką prośbę. Nie, ich sytuacja była odmienna i w żaden sposób nie nadawała się na pomocny przykład.

– Nie mam pojęcia. To by zależało od tak wielu czynników... Przykro mi.

– Nie ma sprawy, nie przejmuj się. Nie oczekiwałam gotowych rozwiązań. Chciałam się

wygadać, z kimś tym wszystkim podzielić. Głowa mi pęka od tego. – Poppy wstała i ruszyła do drzwi. – Dzięki, Val. Widzimy się niedługo na dole, tak?

– Tak. I nie martw się. Nie pisnę ani słoweczkiem.

– Wiem – uśmiechnęła się Poppy.

Ostatnia lekcja gotowania wydawała się inna niż poprzednie. Zapewne dlatego, że Val była już świadoma podtekstów, napięć i wzajemnego pociągu Poppy i Luki oraz przeczuwała, że nic jeszcze nie zostało postanowione.

Wypisane na tablicy menu zapowiadało ucztę: makaron z sardynkami i dzikim koprem, królik *agrodolce*, a na deser ciasto z czekoladą, migdałami i marsalą.

Dzisiejszego wieczoru Luca zdawał się być po prostu Luca. Przygotowywał sprzęt i składniki, opowiadał o posiłku, ożywiony, że jeden z przepisów (ten na ciasto) pochodzi z odnalezionego na nowo notesu babci. Właśnie próbował odtworzyć go po raz pierwszy.

– Mam nadzieję, że się uda – mówił. – To receptura mojej *nonna*, musi wyjść dobrze.

Valerie próbowała wyobrazić sobie Lucę zaczajonego po drugiej stronie obiektywu. Nie było to do końca niemożliwe, ale wystarczyła sama myśl, by poczuć dyskomfort. Rozumiała Poppy. Ona też wolałaby nie wiedzieć.

Zaczęli od ciasta. Z czekolady i migdałów przygotowali masę, która stała się kremowa po dodaniu masła, cukru i jajek. Później zajęli się przygotowaniem słodko-kwaśnej potrawy z królika, a kiedy zaczął się dusić, wchłaniając doprawiony octem winnym sos, zagnietli makaron.

– To danie, według mnie, podsumowuje smaki Sycylii – stwierdził Luca. – Od Arabów wzięliśmy rodzyнки, orzeszki piniowe i szafran, morze dało nam świeże sardynki, a ziemia bulwy kopru, które sam zebrałem.

Polecił Moll uprażyć na złoto okruchy bułki. Valerie posiekała cebulę i wypłukała sól z sardeli. Tricia wszystko podsmażyła na patelni. Poppy pozostało tylko patrzeć. Musi mieć niezły zamęt w głowie, pomyślała Val.

Luca wydawał się spokojniejszy. Siekał dziki koper, napełniając kuchnię słodkim zapachem lukrecji.

– Poszukiwania składników do dań mogą dać ogromną satysfakcję – mówił, nie przerywając pracy. – Człowiek nawet sobie nie zdaje sprawy, że czegoś potrzebuje, ale gdy to znajdzie, zmienia plany. I zmienia menu, żeby wykorzystać znalezisko. Zwykle posiłek tylko na tym zyskuje.

– A gdybyś nie znalazł kopru? Co byś zrobił? – zaintrygowała się Moll.

– Dzisiaj poszedłem po niego specjalnie – wyznał. – Wiedziałem również, że na wzgórzu naprzeciwko znajdę kapary. Ale czasami trafiam na coś przypadkiem – ogórecznik, cykorja, dziko rosnące szparagi, nasiona albo zioła – i wtedy próbuję znaleźć sposób, żeby je wykorzystać. Dziko rosnące jedzenie jest nieprzewidywalne, ale warto wysiłku.

Wrzucił na patelnię nieco domowej roboty przecieru z pomidorów, a potem delikatne piórka kopru, filety z sardynek i arabskie przyprawy. Makaron przyrządził *al dente*, nieco rozcieńczając sos wodą po gotowaniu.

– Teraz jesteśmy gotowi, by zjeść ostatni wspólnie przygotowany posiłek – oznajmił.

– Tak naprawdę to sam odwalileś całą robotę – powiedziała Moll, posypując gotowe danie przyrumienioną bułką.

Stół na tarasie nakryto żółtym obrusem i lnianymi serwetkami. Zebrali się wokół niego, napełnili kieliszki winem i wzniesli toast za dobre apetyty, a następnie spróbowali makaronu. Valerie napawała się smakami, których na pewno nie zdoła odtworzyć w domu. W danie, które smakowało Sycylią i słońcem, włożono tyle miłości!

- Będzie mi brakowało tego miejsca – powiedziała. – Jest niezwykle. No i jedzenia.
- Myślisz, że tu jeszcze kiedyś wrócisz? – zapytała Tricia.

Valerie rzuciła okiem na krajobraz. Był piękny, ale tak samo piękne bywały widoki w innych miejscach.

– Prawdopodobnie nie – przyznała. – Chociaż mam nadzieję, że podróżować nie przestanę.

– Ja może i przyjadę – powiedziała Tricia. – Paulowi chyba spodobałaby się Sycylia. Moglibyśmy się wybrać do Taorminy, powylegiwać kilka dni na plaży z dziećmiakami.

Moll zmarszczyła brwi.

– Ja bym bardzo chciała wrócić – powiedziała. – Ale obawiam się, że mogę nie dostać szansy.

Poppy milczała. Valerie pomyślała, że Australijka czuje się niezręcznie.

Luca podał królika z sałatką ze świeżej zieleniny doprawionej cytryną i oliwą. Chociaż Valerie dopisywał apetyt, ciało jej ciążyło. Postanowiła, że zje i pójdzie od razu do pokoju. Miała ochotę zwinąć się w kłębek po ciemku i powrócić myślami do tych paru chwil z Vincenzem. On przypomniawszy jej ciało, do czego jest zdolne, a ona nie chciała znów tego zapomnieć. Nie teraz, kiedy zrozumiała, że jeszcze zostało trochę czasu na miłość, że jeszcze nie jest za późno. Jej skóra może i jest pomarszczona i luźniejsza, włosy nie stanowią już powodu do dumy, ale ona w głębi ducha pozostała kobietą sprzed lat. Dość silną, żeby pływać wśród fali, dość dzielną, żeby podróżować, dość niemądrą, żeby ryzykować uczucia. Mogła być temu mężczyźnie tylko wdzięczna.

Czekoladowe ciasto okazało się ciężkie i wilgotne. A Luca oświadczył, że zasłużyłoby na pochwałę jego *nonna*. zaproponował do deseru słodkie wino w miodowym odcieniu i uniosł kieliszek w kolejnym toaście.

– Za jutro. Za nasz ostatni wspólny dzień. Niech będzie najlepszy ze wszystkich dotąd! – powiedział.

Valerie uniosła kieliszek w stronę nowych przyjaciółek.

– Za najlepsze chwile i najlepsze towarzystwo – dodała.

Z miłości do jedzenia

Luca Amore patrzy na nią, a ona nabiera łyżeczką ricottę i nakłada na ciasto. A potem bierze widelczyk i próbuje, od czasu do czasu oblizując go językiem. Bierze kolejny kęs. I następny. Ma czekoladową smugę w kąciku warg, ale nie zauważa tego. Ciasto jest miękkie jak polewa *ganache*, aromatyczne od czekolady i marsali. Ona zjada swoją porcję do końca, a wtedy Luca proponuje jej dokładkę.

Uwielbia obserwować ją przy jedzeniu. Dzisiaj patrzył, jak wciąga do ust nitki *bucatini*, a sos rozbryzguje się i plami jej tiszertkę, którą ona zaczyna wycierać serwetką. Zapomina o tej czynności zajęta wybieraniem resztek sosu z talerza kawałkiem chleba. Ona nie analizuje każdego smaku, nie robi notatek, nie rozkłada w myślach każdego dania na czynniki pierwsze. Ale nie odsuwa jedzenia na brzeg talerza, nie marnuje go. Poppy je tak samo, jak oddycha. Tak jak biega, jak się kocha. Zapomina się w każdym posiłku, który on jej serwuje. Gotowanie dla niej byłoby radością, myśli Luca.

Ona zgadza się na drugi kawałek ciasta. Tym razem je powoli, odpoczywając po każdym kęsie. Pozwala słodczy roztopiać się w ustach i przełyka bez pośpiechu. Jej włosy wysunęły się z kucyka i opadają na twarz, na wpół skrywając jej wyraz, więc Luca nie może się zorientować, o czym ona myśli. Wie jedynie, że bardzo smakuje jej ciasto zrobione według przepisu, z którego nikt nie korzystał od lat.

Zastanawia się, co na jej temat powiedziała by *nonna*. Był czas, kiedy aprobata babki była dla Luki wszystkim. Jeszcze przed Londynem, zanim utracił kierunek, niemal zawsze próbował ją zadowolić. Wyobraża ją sobie teraz w kuchni. W jego myślach pomieszczenie wygląda jak wtedy: stare, popękane kafelki nad cynowym zlewem, słoiki z przetworami w rzędach na drewnianych półkach, odkształcone rondle i niepasujące do nich pokrywki wiszące na haczykach na ścianie.

Myśli, jak *nonna* robiłaby to ciasto, ucierając ręcznie w moździerzu czekoladę i migdały, ubijając cukier i masło drewnianą łyżką, być może ciężko wzdychając z wysiłku. Dodawałaby jajka uważnie, po jednym, i napominała Lucę, że przy wypiekach najważniejsza jest cierpliwość.

Nie bywała tak cierpliwa, gdy przychodziło do jedzenia. Nierzadko odcinała kawałek ciepłego jeszcze ciasta, a potem dzielili się nim z Lucą, stojąc nad zlewem. Uwielbiała wszystko, do czego dodawało się czekoladę: tarty chrupiące od laskowych orzechów, ravioli na słodko, nadziewane ricottą i cynamonem, ciastka z kandyzowanymi owocami, które robili na ucztę świętego Józefa, mleczne budynie, lody i granitę. Kupowała grube bloki czekolady w *dolceria* Mazzarów i ścierała ją do tych wszystkich dań. Kiedyś robiono czekoladę specjalnie dla niej, w tabliczkach dwa razy większych niż te, które sprzedawano innym klientom.

Nonna Luki bardzo zwracała uwagę na cudze apetyty. *Brava, brava!* – mówiła na widok czystych talerzy po długim posiłku. Kiedy był mały i chorował, spędzała nad kuchnią całe godziny, gotując rzeczy, które mógłby strawić. Delikatne potrawy, takie jak zupa z kopru włoskiego i ziemniaków, z suszonymi kasztanami i połamanym spaghetti. Widok pałaszującego z apetytem wnuka sprawiał jej przyjemność.

Teraz Luca rozumie, bo sam odczuwa podobną. Jedzenie zawsze było dla niego kwestią wyzbycia się zahamowań. Obserwuje, jak Poppy łakomym palcem przesuwa po pozostałych na talerzu czekoladowych smugach, i widzi, że ona odczuwa tak samo.

Moll

Uwielbiam zapach tego miejsca. Jest chyba jakaś roślina, która go wydziela po zmierzchu? Kapryfolium? Jaśmin? Nie jestem pewna. Jesteś ogrodniczką, więc może ty mi to powiesz? Nie wiesz? Och, cóż, to nie tak, że zasadzę ją kiedyś u siebie. Mam zbyt małe ogródeczek, miejsca wystarcza na ledwie parę donic z ziołami. W skrzynkach na oknie hoduję latem sałatę, a w kuchni, przy tym najbardziej nasłonecznionym, pomidory.

Gdybym miała prawdziwy ogród, urządziłabym w nim takie wzniesione grządki. Na jednej trzymałabym tylko szparagi. Wyobraź sobie, że wychodzisz za dom i wycinasz wiosną pierwsze ich pędy, a potem jesz je, ugotowane na parze i maczane w jajku na półmiękkę. Albo podlane sosem holenderskim. Ach, mieć ich tyle, by męczyć się z wymyślaniem, do czego je zużyć: do risotta, do tart. Dziewczynkom pewnie smakowałyby na pizzy.

Oczywiście nigdy nie będę miała grządki ze szparagami. To nie tylko kwestia miejsca, ale też czasu. Trzeba lat, żeby rośliny się zakorzeniły, zanim pojawi się dość pędów, żeby było co zbierać. Czytałam o tym gdzieś w Internecie. A ja miałabym szczęście, gdybym mogła liczyć czas w latach.

Widzisz, to był rak piersi. Zrobiłam wszystko, co mi kazali, a nawet więcej: mastektomia, usunięcie węzłów chłonnych, naświetlania, chemia, leki. Wydawało się szaleństwem zaniedbać cokolwiek, skoro dziewczynki wciąż są ode mnie zależne.

Ale rak piersi daje przerzuty tym szybciej, im wcześniej na niego zachorujesz. Na dodatek mnie się trafiła odmiana dość inwazyjna. Przed wyjazdem zrobiłam badania i wyniki nie były zbyt dobre. Po powrocie mam już wyznaczone prześwietlenia. Wątroba, kości, płuca. Co się da.

Teraz czuję się dobrze, świetnie nawet, ale to coś, co się dzieje w moim organizmie... No cóż, kto wie, ile mi jeszcze pozostało tego dobrego samopoczucia. Właśnie dlatego wyskrobałam gotówkę na wyjazd. W razie gdyby miała to być moja ostatnia szansa na samotną podróż.

Oczywiście robię, co mogę, żeby myśleć pozytywnie. Mówią, że zamartwianie się w niczym mi nie pomoże. Że trzeba mieć nadzieję na dalsze dobre życie, nawet jeśli nie na długie. Mnóstwo rzeczy mi mówią, tak na dobrą sprawę. Jest niezliczona liczba blogów i książek na ten temat. Z początku czytałam wszystko, teraz przestałam.

Jeśli uda mi się wytrwać przez następnych kilka lat, przepchnąć dziewczynki przez studia, zobaczyć, jak się uniezależniają... No cóż, to by mi wystarczyło. Przy odpowiednim leczeniu nie jest wykluczone. Ale i tak trochę mnie boli, kiedy słyszę, jak rozmawiacie o podróżach i przygodach, na które macie nadzieję. To mi przypomina o tym, co mnie ominie. Wtedy robię się smutna albo zła. I myślę sobie: „Dlaczego ja?”. Nieważne, jak pozytywnie staram się do wszystkiego podchodzić.

Czy mogłabym cię prosić, żebyś nie mówiła pozostałym? Poppy jest słodziutka, a Valerie przeurocza, ale męczy mnie znoszenie ludzkiego współczucia. To dodatkowa presja, która nie jest mi potrzebna. Wiem, że ty się nie będziesz rozczulać. Nie jesteś takim typem, prawda? Poza tym nie przepadasz za mną. Nie, nie ma sprawy, nie ma za co przepraszać. Nikt z nas nie przepada za wszystkimi, których spotyka, czyż nie?

Nie wiem właściwie, czemu ja ci to opowiadam. Może dlatego, że wyjazd zbliża się do końca i wracam do domu, w tę czarną dziurę własnej przyszłości. Tutaj łatwiej mi było zachowywać pogodne spojrzenie, nie tracić nadziei, ale niedługo znów będę musiała zmierzyć się z rzeczywistością.

Tak czy siak, przysięgam sobie jedną rzecz – że nie zakończę życia, żałując. Teraz liczą się dziewczynki. Chcę zadbać, żeby były przygotowane na swoją przyszłość, przekazać im wszystko, co sama umiem. Chcę jakoś kontrolować to, jak mnie zapamiętają. Chcę, żeby rozumiały, kim jestem. Kim byłam... I żeby to im pomogło zostać tym, kim zostaną. A na to potrzebuję czasu.

Próbuję im nie pokazywać, jak przerażają mnie te badania, leczenie, ból, który mnie czeka. Próbuję się nimi nie podierać, nie zamartwiać się o nie, nie płakać w ich obecności.

Dzielna? Ależ gdzie tam! Setki i tysiące kobiet są w dokładnie takiej samej sytuacji jak moja. Nie istnieje żaden dobry sposób na śmierć, nie sądzisz? Wszyscy mamy obowiązek żyć jak najlepiej. I tak długo, jak jest to możliwe.

Sądzę, że ten zapach to jednak jaśmin. Gdzieś niedaleko musi jakiś rosnąć. Może znajdę miejsce, żeby w jakimś słonecznym kącie zasadzić jedną czy dwie gałązki? Cudownie byłoby zamknąć oczy i poczuć w moim maleńkim ogródku za domem zapach śródziemnomorskiego tarasu. Gdzieś czytałam, że on rośnie szybko. Mam nadzieję, że tak jest.

Dzień ósmy

(1) Winorośl i pamiętki

Moll obudziła się z bólem głowy i wrażeniem, że powiedziała więcej, niż zamierzała. Dlaczego zdecydowała się zwierzyć akurat Tricii? Mimo to tamta zareagowała wspaniale, przyjęła informacje jak nikt inny. Wysłuchiwała, zadając inteligentne pytania. Bez demonstracyjnego współczucia, bez żadnych: „Och, biedactwo!”. Na pewno tak zachowuje się wobec swoich klientów, pomyślała Moll.

Podczas tych wakacji bywały chwile, kiedy Moll udawało się przestać myśleć o wynikach badań krwi i o tym, co mogą one oznaczać. Nigdy nie zapominała o nich do końca, ale zdołała zepchnąć temat na bok i cieszyć się chwilą. Pomagało jej, że nikt nie wiedział. Wśród znajomych mogła być dawną Moll, silną, która czuje, że sobie poradzi.

Wtórny nowotwór piersi. Nie była pewna, czy tak właśnie zabrzmiała diagnoza, ale wiedziała, co to oznacza. Istnieje wystarczająco dużo stron internetowych na ten temat. To coś, z czym sobie człowiek „radzi”, a nie to „leczy”. Moll patrzyła na te porównania do „podróży” i wywracała oczami. Zdawała sobie sprawę, do czego nawiązują.

Wkrótce badania powiedzą: w jedną albo w drugą. Dziewczynki – i lekarz – woleliby chyba, żeby zapisała się na nie od razu, ale Moll potrzebowała oddechu, tych paru dni udawania, że życie się nie zmieniło. Tego bycia normalną osobą, a nie pacjentem z rakiem. Ale wczorajszego wieczoru, kiedy Luca wznosił toast za ich ostatni dzień, przypomniała sobie, że ten niewielki skrawek czasu, który dla siebie wyrwała, dobiega końca.

Ile razy Moll wspominała komuś o chorobie, miała wrażenie, że psuje mu dzień. Nie zamierzała mówić o niej tutaj nikomu, ale gdy siedziała sam na sam z Tricią na tarasie, wszystko jej się ułalo. Niewątpliwie Tricia była zaszokowana, ale to twarda kobieta, przywykła do obcowania z cudzym bólem, więc rozmowa okazała się łatwiejsza niż zwykle. Moll miała nadzieję, że tamta nie wypapla tego reszcie. Nie, na pewno rozumie, że o pewnych rzeczach plotkować się nie powinno.

Moll wygramoliła się z łóżka jak zwykle, ostrożnie. Przywykła już do wsłuchiwania się w siebie: czy nie boli jej nic nowego, czy nie czuje ostrzegawczego klucia w plecach czy w ramieniu, czy w jej oskrzelach nie gwizdże. Dziś rano ciało wydawało się przyjazne. Nogi są może trochę zeszywniałe, ale to można zwać na wczorajsze spacerunki i pływanie. Zadbam o ćwiczenia po powrocie do domu, poprzysięgła sobie. Codzienny spacer, pływanie w basenie na Highbury. Tak czy inaczej, to na pewno dobrze mi zrobi. Pomyśleć tylko, jaką formą dysponuje Val!

Wzięła szybki prysznic, obwąchała kilka ciuchów i uznała, że są wystarczająco czyste, żeby można je było ponosić jeszcze jeden dzień. Wciąż miała chwilę, żeby sprawdzić, czy na blogu nie pojawiły się nowe komentarze, na przywitanie się z przyjaciółmi na Facebooku i osobami śledzącymi ją na Twitterze. Poza kilkorgiem przyjaciół w realu nikt z wirtualnych znajomych o jej raku nie wiedział. Moll, kiedy otwierała laptopa, była osobą, którą chciała być.

Zeszła na dół, na śniadanie, stęskniona za tymi małymi ciastkami i mocną czarną kawą, którymi raczyła się tutaj co rano. Luca już był i szykował stół na tarasie. Zobaczyła, że przywiózł *'mpanatigghi*, niewielkie półksiężycy napełnione ciemną czekoladą, migdałami, z niespodziewanym dodatkiem mięsa. Moll przypomniała sobie, jak zaintrygowały ją pierwszego poranka, i poczuła, że przebyła daleką drogę. Przynajmniej jeśli chodzi o sycylijską

kuchnię.

- Dzień dobry. Mam wstawić maszynkę do kawy? – zapytała.
- Ach, Moll. Tak, proszę. – Jego głos brzmiał radośnie. – Może zapach ściągnie na dół resztę pań?
- Dzisiaj jedziemy do biodynamicznej winnicy, prawda? Ciekawa jestem, czym różni się od tej poprzedniej.
- Jest interesująca. Na pewno będziesz chciała opisać ją na blogu. Dziś po południu macie wolne, więc będzie czas.
- A ty i Poppy wracacie do Noto? Zobaczyć się z jej ewentualnymi krewnymi?
- Zgadza się.
- No cóż, mam nadzieję, że dobrze pójdzie.
- Ja też – powiedział Luca z przekonaniem. – Bardzo na to liczę.

Być może rzeczywiście sprawił to zapach kawy, ale ledwie zagotowała się woda w makinetce, pojawiła się Poppy, a za nią Tricia i Valerie. Rozsiadły się wokół stołu i sięgnęły po owoce i ciastka. Moll naląła im kawy.

Rozmowę przy śniadaniu zdominował czekający ich dzień. Tricia nie napomykała o wczorajszych wyznaniach i w żaden sposób nie odnosiła się do Moll inaczej. Inni ludzie, bywało, chodzili wokół niej na paluszkach, a ona czuła płynące od nich współczucie i nienawidziła go. Z ulgą dostrzegła, że Tricia nie częstuje jej niczym podobnym.

Zatopiała zęby w *mpanatigghi*, skupiając się na sposobie, w jaki słodycz mieszała się w jej ustach z lekkim kawowym posmakiem. Zdażyła już zapakować do walizki pojemnik tych ciasteczek, aby je zabrać do domu, więc wiedziała, że nie raczy się nimi po raz ostatni. Nie była jeszcze gotowa na żadne „ostatnie” doznania.

– Jeszcze kawy? – zapytała. – Po wczorajszym uważam, że powinniśmy podczas picia zwracać większą uwagę na jej aromat.

– Ja zrobię. – Poppy wstała z miejsca. – A poza tym tak, masz rację. Tę pierwszą filiżankę zawsze pochłaniam bez zastanowienia. Zapominam się nią nacieszyć.

Luca ruszył za Poppy do kuchni, a Moll przez chwilę zastanowiła się, co się dzieje między tymi dwojgiem. Zauważyła te przyływy i odpływy nastrojów i wyczuwała niejaki napięcie, ale nie komentowała tego oczywiście. To była ich sprawa. Tak samo jak jej zdrowie należało do niej.

– Lepiej pójde pogadać z dziećmi na Skypie – powiedziała Tricia, kończąc owoc. – Dziś po południu będę miała ostatnią szansę, by kupić im jakieś prezenty. A wcale nie jestem pewna, czego by chciały.

Moll zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że powinnam coś kupić dla dziewczynek? Przywiozę do domu mnóstwo jedzenia, ale może wołałyby jakieś świecidełka?

– Oczywiście, że będą wołały. W końcu to dziewczynki, prawda? – powiedziała Tricia. – Jeśli chcesz, chodź ze mną na zakupy. Spróbuję pomóc ci znaleźć coś, co im się spodoba.

– No, jeśli nie masz nic przeciwko...

– Zakupom? W życiu! Val, też z nami pójdziesz?

– Nie mam nikogo, komu chciałabym kupować prezenty, poza ewentualnie sobą. Ale chętnie się porozglądam. Tak, może się wybiorę.

– No to umowa stoi. Winnica, potem zakupy i pożegnalny obiad. Dzień zaplanowany – stwierdziła Tricia.

Wyjazd do winnicy się opóźnił, bo zapodziali się gdzieś Luca i Poppy. Moll już widziała oczami wyobraźni te kradzione pocałunki i gorączkowe rozmowy. I miała nadzieję, że jakoś im

się wszystko ułoży. Dla Orsoliny nie czuła najmniejszego współczucia. Im więcej myślała o postępku Włoszki, tym okrutniejszy się wydawał. Ten notes był przecież łącznikiem z ważnym fragmentem przeszłości Luki! Jego *nonna* na pewno chciałaby, żeby go miał.

Jak tylko on i Poppy pojawili się ponownie (nie tłumacząc w żaden sposób swojego zniknięcia), wszyscy prędko zeszli po schodach i zapakowali się do samochodu. Luca prowadził nieco szybciej niż zwykle, ale Moll nie denerwowała się, bo był dobrym i spokojnym kierowcą. A poza tym sposób prowadzenia auta przez innych był jedną z tych rzeczy, na które nie miała wpływu, więc odpuściła sobie martwienie się takimi sprawami.

Przekonała się, że ta winnica odpowiada jej bardziej niż tamta, odwiedzona w pierwszej kolejności. Tutaj wytwórnia mieściła się w prostym budynku, przypominającym stylem hacjendę, na spieczonym słońcem wzgórzu o zboczach porośniętych winoroślą. Grunt pomiędzy jej rzędami uprawiano starannie.

Przy bramie powitał ich młody winiarz. Ubrany był w ubrudzone ziemią dżinsy, miał mocno opalone twarz i ręce. Wyglądał jak prosty rolnik. Ale z powierzchownością kontrastowała żywa inteligencja. Ciekawostkami, których się od niego dowiedziała podczas spaceru wzdłuż rzędu upraw, Moll mogłaby zapełnić cały notes.

W szalenie pomysłowy sposób korzystano tu przy każdej okazji z pomocy natury. Sadzono bób, który pomagał kontrolować poziom azotu w glebie, przynęcano jaszczurki, żeby zwalczały owady, spryskiwano liście winorośli deszczówką z piaskiem, żeby mocniej odbijały światło, zostawiano wodę do picia dla ptaków, żeby nie musiały gasić pragnienia, rozgniatając winne grona. Nawet Tricia wydawała się zafascynowana.

– A więc zupełnie niczego nie dodajecie do wina? – zapytała Moll. – Jest absolutnie czyste.

Winiarz pokiwał głową.

– Żadnego filtrowania, żadnej siarki i żadnego nawadniania gruntu. Wtedy winorośl zapuszcza korzenie głębiej. Oznacza to mniejsze zbiory, ale i poprawę jakości.

– Mniej, ale lepiej – stwierdziła Moll.

– Istotnie. Chodzi o decyzję, co jest ważniejsze.

Na wzgórzu wiał gorący wiatr, więc Moll ucieszyła się, mogąc przejść pomiędzy rzędów winorośli do chłodnej wytwórni, tuż obok kadzi z nierdzewnej stali z chardonnay i starych dębowych baryłek pełnych nero d'Avola. Kiedy rozmawiali o przemianie winogron w wino, znów nie mogła nadziwić się pasji, jaką ci ludzie wkładali w swoją pracę. Zdawało się, że odkryli dokładnie to, co powinni byli robić w życiu. Moll bardzo żałowała, że jej samej się to nie udało, podejrzewając, że teraz już nie zdąży.

Degustacja odbywała się we wnętrzu udekorowanym zdjęciami ze ślubów, które się tutaj odbyły; w jednym kącie pomieszczenia stał nawet stary drewniany ślubny powóz. Nie wyłączając Moll, wszyscy uznali, że to romantyczne.

Kiedy próbowali każdego wina, przyniesiono im przekąski: niewielkie kuleczki ze świeżego tuńczyka doprawione cynamonem, surowe krewetki z oliwą i solą, sałatkę z ośmiornicy, warzywa smażone w cieście, chrupiące *arancini* nadziewane owocami morza.

Jedzenia serwowanego na wspólnych półmiskach Moll zawsze zjadała sporo, ale dzisiaj było go wyjątkowo dużo. Wystarczy dla wszystkich, zwłaszcza że Tricia zaledwie pogryzała nerwowo.

Kiedy Moll przechodziła chemię, wszystko smakowało inaczej. Rzeczy, które zwykle uwielbiała, miały metaliczny, nieprzyjemny posmak. Zasychało jej w ustach i traciła apetyt. Bywały dni, gdy sam zapach wywoływał mdłości; chciała wtedy jedynie jakoś przetrwać na mieszance Complian i w ogóle nie myśleć o jedzeniu. To było równie okropne, jak utrata

włosów. Może nawet gorsze.

Strasznie się bała, że to się powtórzy. Wzięła teraz pulchną zieloną oliwkę, marynowaną w anyżku i chili. Póki jedzenie smakowało tak jak powinno, zamierzała się nim nacieszyć.

– Czy ja mogłabym dostać przepis na te oliwki? – zapytała winiarza. – Prowadzę blog, na którym chciałabym go zamieścić. Wspomnę, oczywiście, o waszych winach.

– A czemu nie? To rodzinny przepis. Takie zawsze są najlepsze.

– Po powrocie do domu muszę poszukać książki z sycylijskimi przepisami – wpadła na pomysł Moll. – Może pojedę do Books for Cooks na Notting Hill? Na pewno będą coś mieli.

– Poczekaj lepiej, aż Luca napiszę swoją. Teraz, kiedy odzyskał przepisy swojej *nonna* – podsunęła Poppy.

Moll odwróciła się do Luki.

– Och, napiszesz? To by było precudownie!

– Chciałbym – odparł. – Ten notes to skarb. Zapomniałem już, jak wiele mieści. No i są jeszcze inne przepisy, które mógłbym pozbierać od przyjaciół. Na przykład od Vincenza. Tyle że to duży projekt. Żeby objąć i to, i w pojedynkę poprowadzić szkołę kulinarną... No, nie wiem. Nie jestem pewien.

– Ależ musisz to zrobić! I to szybko! – zachęcała Moll. – Nie możesz zorganizować jakiejś pomocy?

– Pracuję nad tym. – Zerknął na Poppy i dodał: – Wierz mi, że pracuję.

Moll zastanawiała się, co tym dwojgu stoi na przeszkodzie. Jeśli się lubią, czemu marnują czas?

– A ten przepis na marynowane oliwki? – przypomniała winiarzowi. – Jeśli pan woli, mogę go po prostu zapisać w notesie.

W drodze powrotnej Moll przeglądała notatki i myślała o swoim blogu. Dzielenie się tym, czego się tutaj dowiadywała codziennie, sprawiało jej tyle przyjemności! W domu zdarzało się, że nie uaktualniała wpisów przez tydzień, jeśli akurat w pracy była zajęta, a sprawy, które nadzorowała, okazywały się wyjątkowo przygnębiające. W takie wieczory jadała na szybko: stek z grilla, który zapomniała wcześniej zamarynować, kilka ugotowanych ziemniaków i odrobina sałatki. No cóż, o tym nie warto opowiadać. Lubiła myśleć, że jej czytelnicy wyobrażają sobie, iż jedzenie wzbogaca jej życie, a nie jest jedynie zapychaczem, wypełnieniem talerza na kolanach, gdy razem z dziewczynkami ogląda telewizję.

Luca zaparkował minivana u stóp schodów. Wysiadły wszystkie oprócz Poppy, która miała jechać do Noto i spotkać się ze starszą panią, z którą, być może, była spokrewniona.

– Czy między tymi dwojgiem wszystko jest w porządku? – zapytała Moll Valerie, kiedy brnęły pod górę. – Zdaje się, że atmosfera jest nieco napięta.

– Tak, wiem. – Val się skrzywiła. – Mam nadzieję, że jakoś to sobie poukładają, ale kto to może wiedzieć? Dobrze, że mają prawie wyłącznie dla siebie całe popołudnie.

– Jeśli mają problemy od samego początku, powinni sobie od razu darować – stwierdziła Tricia. – To ma być faza beztraska, problemy pojawiają się później. Nie uważacie?

Valerie, lekko zdyszana, pierwsza dotarła do drzwi i wsunęła klucz do zamka.

– W sumie sama nie wiem...

Tricia zmrużyła oczy.

– Ty coś kombinujesz? Tak?

– Faktycznie, uważam, że jest szansa, że Poppy jutro z nami na lotnisko nie pojedzie – przyznała Val. – A w każdym razie taką żywię nadzieję.

– Ja również – dodała Moll.

Ustaliły, że spotkają się za jakieś dwie godziny. Val chciała odpocząć, Tricia wziąć

kolejny prysznic, a Moll spędzić trochę czasu przy komputerze. Wino nie mieściło się wprawdzie w ścisłym kręgu jej zainteresowań, ale biodynamiczna uprawa winorośli była zbyt fascynująca, żeby o niej nie napisać. Moll dodała jeszcze przepis na sałatkę z oliwek, uczciwie się zastrzegłszy, że nie miała dotąd okazji sama go wypróbować. Podkoloryzowywała może nieco swoje życie pod oczekiwania czytelników, ale jedzenie stanowiło kwestię, w której nie pozwalała sobie na żadne niedomówienia.

Kiedy zamknęła laptopa, przysunęła fotel do okna i usiadła oparta o parapet. Chłonęła widok. W domu z okien mogła dostrzec wyłącznie małe fragmenty: skrawek ogrodu, kwadrat ściany sąsiedniego budynku, wycinek nieba. Stąd roztaczał się widok – w porównaniu z tamtym – bezgraniczny. Moll patrzyła na kolejne rzędy domów z maślanozłotego kamienia, w których obcy jej ludzie pędzili życie zapewne bardzo podobne do jej własnego. Pełne miłości, nadziei i cierpienia. A przynajmniej tak to sobie wyobrażała.

Po tamtej pierwszej diagnozie Moll przysięgła sobie, że jeśli jakoś z tego wyjdzie, nigdy już nie będzie marnowała czasu na zamartwianie się rzeczami trywialnymi. Myślała o wszystkich godzinach wypełnionych stresem: czy podoła nawałowi pracy, prowadzeniu domu, zrobieniu wszystkiego co trzeba. Jej rakowe postanowienie oznaczało oderwanie się od tego poprzez obniżenie pewnych standardów. W domu mógł być bałagan, rachunki zapłacone z opóźnieniem, sprawy w pracy traktowane z odrobinę mniejszą uwagą. Ale była winna samej sobie skupienie się na rzeczach, dzięki którym czuła się spełniona. To dlatego zaczęła prowadzić bloga i planować kulinarne przygody, które mogła na nim relacjonować.

Stare niepokoje zakradały się ponownie, ale próbowała utrzymać je w ryzach. Pieniądzy ani czasu nigdy nie wystarczyło i to się już raczej nie zmieni. Teraz jednak miała prawdziwą troskę, taką, której nie mogła odepchnąć na bok. Wpatrując się w rzędy domów wspinających się na wzgórze po przeciwnej stronie, Moll zastanawiała się, ilu mieszkających w nich ludzi ma zmartwienia podobne do jej zmartwień. Być może w tej chwili jakaś kobieta kładzie dłoń na piersi i wyczuwa guzek? Albo jakaś inna czeka na kurację? Jeszcze inna traci ducha? Moll nie czuła się lepiej, myśląc w ten sposób. Prawdę mówiąc, tylko ją to przygnębiało. Ale przypominało, że to, co się z nią dzieje, jest zaledwie kolejnym etapem życia. Statystycznie choroba powracała u jednej na cztery kobiety. Ktoś musiał wyciągnąć krótką słomkę.

Moll zamknęła okiennice, odcinając widok, i poszła do łóżka. Zwinęła się w pozycji płodowej, wcisnęła twarz w poduszkę i pozwoliła sobie na dziesięć minut absolutnej rozpacz. A potem wstała, krańcem prześcieradła otarła wilgotne policzki i wzięła się w garść.

Spryskała twarz zimną wodą, usuwając ślady łez. Złapała konduktorkę, sprawdziła, czy w środku ma kartę kredytową, i poszła na dół, z nadzieją, że koleżanki są już gotowe.

Tricia nie żartowała, kiedy mówiła, że zakupy to jej specjalność. Przeszły ulicą zaledwie parę kroków, a już trzymała w ręku torbę z apaszką, którą zamierzała podarować swojej matce.

- Nieco dalej jest sklep z biżuterią – powiedziała. – Może zajrzymy?
 - Ty decydujesz – odparła Moll. – Ja idę w ślad za tobą, z nadzieją, że znajdzie coś dla dziewczynek.
 - A o czym konkretnie myślałaś? – zapytała Tricia.
 - O Boże, nie mam pojęcia! Kompletnie nie potrafię kupować prezentów.
 - A jakie są twoje dziewczynki? Czy macie taki sam gust, czy...?
- Moll parsknęła śmiechem.
- Bez obaw. One uwielbiają ładne, błyszczące rzeczy i kochają się stroić. Nie jestem pewna, po kim to mają, ale na pewno nie po mnie.

Wystarczyło zerknęcie na witrynę, a Moll zorientowała się, że jubiler jest drogi. Sklep

pełen był wyzywających naszyjników i pierścionków o maleńkich metkach z cenami, które składały się z liczb o wielu zerach. W zwykłych okolicznościach nawet nie próbowałyby tu wejść, ale Tricia wparowała do środka, jakby to miejsce należało do niej. Moll weszła za nią.

Jej wzrok przyciągnęło kilka sznurków szklanych paciorków wiszących na stojaku na kontuarze. Były w ładnych odcieniach różu.

– Co o tym sądzisz? – spytała.

– Chyba nie najgorsze. – Tricia musnęła paciorki palcami.

– To może je kupię i sprawa z głową?

– Zaczekaj. – Tricia dotknęła ramienia koleżanki. – Ja wiem, że nie masz zbyt wiele gotówki i nie możesz nią szastać bez opamiętania, ale naprawdę uważam, że powinnaś kupić coś porządniejszego.

– Tak sądzisz?

– Daj im coś, co pozostanie pamiątką. Co nosząc, zawsze będą mogły pomyśleć o tobie.

Co będą mogły przekazać własnym córkom, jeśli któregoś dnia będą je miały.

Moll z trudem przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że słowa Tricii nie doprowadzą jej do ponownego płaczu.

– No cóż, tak znowu wiele na Sycylii nie wydałam... – przyznała. – W sumie mniej, niż się spodziewałam. Wszystko zresztą wliczone w koszt pobytu.

– Tutaj jest trochę pięknych rzeczy – zachęciła ją Tricia.

Moll rozejrzała się po sklepie.

– Tak, ale nie wiem, na czym zaczepić oko – powiedziała oszołomiona.

– A co sądzisz o tych tutaj? – zapytała Val, wskazując na jakieś mocno błyszczące srebrne kółka. – Wyglądają zupełnie jak bransoletki zaprojektowane przez Elbę Peretti dla Tiffany's. Zawsze o takiej marzyłam.

– A to jest ładne? – zapytała Moll niepewnie. Jakoś tego nie dostrzegła.

– Tak, to klasyka – wyjaśniła Tricia. – Biżuteria ponadczasowa. Możesz ją nosić latami, i jako młoda dziewczyna, i jako zgrzybiała staruszka.

Moll zerknęła na metkę.

– No, nie wiem... Jeszcze nigdy aż tyle nie wydałam na dziewczynki...

– Mogłabym ci pomóc... Jeśli się zgodzisz – zastrzegła Tricia.

– Nie – odparła Moll gwałtownie. – Chodźmy dalej, jeszcze się zastanowię. Jeśli niczego innego nie znajdę, zawsze mogę wrócić.

– No dobrze – zgodziła się Tricia. – To szukamy dalej.

Ruszyły przed siebie, idąc po jednej stronie głównej ulicy. Gdy sklepy się przerzedziły, przeszły na drugą i zawróciły. Tricia robiła po drodze kolejne zakupy. Nabyła układankę dla syna, letnią sukienkę w kwiatki dla córki. Przymierzyła parę butów, które się jej podobały, ale się nie zdecydowała.

– Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to kolejna para obcasów – przyznała. – Nawet ja to widzę. Tak naprawdę potrzebuję prezentu dla Paula.

– U tamtego jubilera widziałam całkiem ładne spinki do mankietów – zasugerowała Valerie. – Skoro i tak tam wracamy...

– A może przedtem gdzieś przysiadziemy i napijemy się czegoś zimnego? – poprosiła Moll. – Te zakupy mnie wykańczają. Całe to łażenie i oglądanie. Szybki spacer byłby mniej męczący.

– To chodźmy do naszej kawiarni, tej przy *piazza* – podsunęła Valerie. – Chętnie zjem jeszcze jedną granitę. A poza tym tak, posiedźmy chwilę. Nogi mam skatowane po wczorajszym pływaniu.

Moll była przekonana, że kelner je rozpoznał, a myśl, że zaczęły się w okolicy zadomawiać, wcale jej się spodobała. Zamówiła granitę o innym smaku niż ostatnio (słodko-kwaśną, cytrynową), a potem za pomocą kalkulatora w komórce przeliczyła, ile wyda w funtach, jeśli zdecyduje się na tamte srebrne bransoletki.

Suma wydawała się obłędna, ale Moll wyobraziła sobie te ozdoby na gładkiej skórze córek. Pomyślała, że ramiona dziewczynek z wiekiem pokryją się przebarwieniami i stracą jędrność, ale bransoletki dadzą się wypolerować na wysoki połysk i wciąż pozostaną piękne.

– A pieprzyć to! Kupuję – oświadczyła.

– No i bardzo dobrze! – przyklasnęła jej Tricia.

– Może będę musiała wieczorami zatrudnić się jako kelnerka w barze z curry za rogiem, żeby je spłacić.

– Och nie, tego nie rób. Zapach curry przenika wszystko – roześmiała się Tricia. – Znajdzie się jakieś inne wyjście.

– No nie wiem. Ale myślę, że masz rację. Czas już kupić im coś, w czym się zakochają, a nie zmuszać ich do polubienia tego, co lubię ja.

– Twoje córki naprawdę nie interesują się kuchnią?

– Niespecjalnie. Lubią jeść to, co im zrobię, ale nie przepadają za pomaganiem.

Przypominają chyba większość nastolatków. Jeśli zacznę nalegać, traktują tę rzecz jak obowiązek. Chciałabym wierzyć, że to się zmieni, ale pewnie nieprędko.

Tricia wyprostowała się na krześle.

– A wiesz? Właśnie wpadłam na genialny pomysł...

– Żeby zarobić trochę dodatkowej kasy czy żeby jakoś zainteresować dziewczynki gotowaniem?

– I to, i to, prawdę mówiąc. – Tricia przerwała, bo kelner przyniósł jej zamówione piwo. Wziął się do rozstawiania misek ze słonymi chrupkami przekąskami. – Czy ty czasem kupujesz „Telegraph”?

– Nie, „Guardiana”.

– No tak, oczywiście. W każdym razie, jest taka kobieta, która pisze w „Telegraphie” o wypiekach...

– Ty pieczesz? – przerwała zdumiona Moll.

– Nie, no nie żartuj sobie! Ale Paulowi odbiło na temat chleba na zakwasie i lubi ją sobie poczytywać. Opowiadał mi, jak sprytnie rozwiązała pewną rzecz. Założyła w domu niewielką piekarnię, w której całą pracę wykonują jej nastoletnie dzieci. Tylko przez jeden dzień w tygodniu. Sprzedają upieczone przez siebie bochenki i zarabiają na tym. Nauczyło je to i wartości pieniądza, i etyki pracy. No i znaczenia sztuki kulinarnej, jak sądzę. Powinnaś poszukać sobie w Google. To się nazywa The Pocket Bakery.

– A nie ma przy tym zachodu ze skomplikowanymi zarządzeniami higienicznymi? Tricia wzruszyła ramionami.

– A bo ja wiem? Ale jej jakoś się udało. Pomyślałam, że powinnaś zrobić coś podobnego, tyle że ze świeżym, nieprzetworzonym makaronem. Jak te, które robiłyśmy tutaj. Moll miała wątpliwości.

– I komu to sprzedawać?

– Mogłabyś zacząć od sąsiadów. Poroznosić ulotki. I najpierw niewielkie ilości. Założę się, że szybko by chwyciło. Wszyscy uwielbiają świeży makaron, tylko nikt nie ma czasu go robić.

– Mogłabyś zrobić takie *cavatelli* jak na naszej pierwszej lekcji – przytaknęła Val. – I *maltagliati*.

Moll pomyślała, że pomysł kryje w sobie pewne możliwości. Dziewczynki na pewno byłyby zainteresowane zarabianiem; zawsze chciały kupować a to jakieś kosmetyki, a to ubrania. Mogłyby nauczyć się nowej umiejętności, a zamiłowanie do jedzenia przyjdzie z czasem. Nasiąkną nim stopniowo.

– The Pocket Bakery, powiadasz? Wyszukam to sobie.
– No cóż, zawsze to jakiś pomysł – powiedziała Tricia. – Może się nie sprawdzi, ale...
– Jest rewelacyjny! Być może zacznę czytać „Telegraph” w te dni, kiedy ona ma tam swoją kolumnę.

– Nie szalej! – dokuczała jej Tricia.

Molly wyciągnęła notes i zapisała nazwę strony, żeby nie zapomnieć. Zrobiła listę rzeczy, których może potrzebować: drewniane stolnice, jak te, których używa Luca, kartki z przepisami, żeby klienci mogli zrobić makaron sami. Jeśli oczywiście zechcą.

Zaczynała odczuwać ożywienie podobne do tego, które ogarnęło ją, kiedy zaczęła pisać bloga. To wrażenie, że robi się coś autentycznego i wartościowego. Potrafiła sobie wyobrazić swój mały domek wypełniony przedsiębiorczą krzątanią, córki zręcznymi palcami kształtujące *cavatelli* zamiast wysyłać esemesy i grać w gry komputerowe. Jeśli one wezmą na siebie cięższe prace, nie będzie miało znaczenia, że ja kiepsko się czuję, pomyślała. Zrobiła jeszcze kilka notatek na temat miejsc, gdzie mogłaby się zaopatrywać w grubo mieloną mąkę z twardej pszenicy, i schowała notes.

– Skończyłyście? – zapytała, nagle niecierpliwa. – To może zapłacimy i wrócimy po te bransoletki?

Zanim Tricia poprawiła szminkę i pozbierała torby z zakupami, minęło kilka chwil. Wstawały właśnie od stołu, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała Tricia, kiedy Moll dostrzegła, że Valerie zmienia się na twarzy. Odwróciła się, by sprawdzić, co się dzieje, i dostrzegła Vincenza Mazzarę. Nadchodził główną ulicą w okularach słonecznych z szerokimi zausznikami i w tiszertce, obcisłej tylko na tyle, żeby podkreślała szerokość ramion.

Moll zerknęła koleżankę, która wykrzywiła twarz w uśmiechu. Val uniosła dłoń, by pomachać na powitanie.

Dostrzegłszy je, Vincenzo zmienił trasę i podszedł do kawiarni. Kiedy pozdrowił Valerie lekkim pocałunkiem w oba policzki, Moll zrozumiała, po co mu te małe twarzowe ciemne okulary. Na kość policzkową wylewał się spod nich świeży siniec.

Nie umknął również uwagi Tricii.

– Auć... Co pan zrobił z twarzą? – zapytała.

Vincenzo lekko dotknął sińca.

– Mały wypadek. Nic poważnego – odparł. – Czasem się przydarza.

– Naprawdę? Będzie wyglądać niesamowicie, kiedy pociemnieje. Może pan potrzebować jeszcze większych okularów.

Vincenzo nie opuszczał dłoni. Pośpiesznie zmienił temat.

– Cieszę się, że na panie wpadłem. Zastanawiałem się, czy będziecie u Luki dziś wieczorem?

– Wybieramy się do Gospody Utraconych Smaków na pożegnalną kolację – powiedziała Moll.

– Ach tak? Jaka szkoda, że wyjeżdżacie panie już jutro. Ale mam nadzieję, że wieczorem zastanę was w domu choć przez chwilę? Przed wyjściem na kolację albo po powrocie?

– Jestem pewna, że tak. Przed czy po, jak pan woli – powiedziała Moll. – Powinniśmy być.

– Zatem jesteśmy umówieni. Do zobaczenia później.

Vincenzo oddalił się, wycalowawszy je w policzki. Kiedy odchodził, odwracały się za nim wszystkie oczy.

- Jak myślicie, kto mu przyłożył? – zapytała Tricia.
- To faktycznie mógł być wypadek – powiedziała Moll. – Może na coś wpadł.
- Taaak. Na pięść jakiegoś faceta, z którego żoną sypiał – odparła Tricia sucho. Moll się zdziwiła.

- To chyba nie taki typ?
 - Powiedziałabym, że to dokładnie taki typ. Val, jak uważasz?
- Valerie patrzyła w ślad za oddalającą się postacią.

– Sama nie wiem... Może ma to coś wspólnego z tym jego przewodnikiem kulinarnym? Mówił przecież, że to kamień obrazy dla wielu ludzi.

- Chyba w to nie uwierzyłaś? – Tricia była sceptyczna.
- No, nie do końca – przyznała Valerie, uśmiechając się ze smutkiem. – Oczywiście, masz rację, jest beznadziejnym flirciarzem. Ale to nic takiego złego, prawda? Flirty bywają przyjemne. Człowiek może znów poczuć się jak za młodu.
- Nie powiedziałabym, że Vincenzo czuje się w tej chwili jakoś szczególnie wspaniale – roześmiała się Tricia. – Ale owszem, zgadzam się z tobą co do flirtów. – Popatrzyła na Valerie z ukosa. – O ile oboje wiedzą, co robią. O ile nie ma się zbyt wygórowanych oczekiwań.
- Tak, naturalnie – odparła Valerie lekko, zachowując kamienną twarz. – Dopóki żadne nie zostanie jakoś szczególnie zranione i uda się im do końca pozostać przyjaciółmi.

(2) Uczta utraconych smaków

Dziś wieczorem miały złożyć zamówienie samodzielnie, uzbrojone w całą wiedzę nagromadzoną w ciągu ostatnich dni. Moll nie zamierzała ryzykować. Kiedy koleżanki rozeszły się po pokojach, ona przeszła się jeszcze do Gospody Utraconych Smaków i przestudiowała menu przypięte do tablicy przed wejściem. Chociaż było po włosku, przy każdym daniu widniała fotografia, Moll mogła więc ze sporym prawdopodobieństwem domyślić się, co przedstawia. Kusilo ją *cavatelli* z kremowym posmakiem ricotty i świeżą, orzechową nutą zielonego groszku. Ciekawe, co by powiedziała Tricia, gdyby później zamówiła jeszcze szerokie wstążki świeżych flaczków w bulionie z kaparami i pomidorem, pomyślała.

Sporządziła parę notatek do przejrzenia później, a potem zrobiła kilka zdjęć tablicy z menu. Powitalny obiad, który zjedli w tej samej restauracji, ulotniłby się zapewne z jej pamięci, gdyby nie zadbała, aby go opisać w notesie. Miała wrażenie, że podczas leczenia jej mózg nieco przytępsiał i nigdy już nie odzyskał pełnej sprawności. Zdarzało jej się zapominać jakiegoś nazwiska albo gdzie odłożyła klucze, a dziewczynki mówiły wtedy, że jest „zbykowana”. Moll nauczyła się jednak żyć z nagłymi zaćmieniami pamięci i wyrobiła w sobie nawyk uważania na sprawy, o których wiedziała, że chce je pamiętać.

Zastanowiła się, czy kuracja w jakiś sposób nie wpłynęła również na jej umiejętność oceny sytuacji. Czyż to nie ona zachęcała Valerie do niezobowiązującego flirtu z Vincenzem? Wydawał się taki uroczy i nadskakujący. Taki miły. Teraz, po uwadze Tricii, Moll zadała sobie pytanie, czy od początku nie oceniała go źle. Musiała przyznać, że Tricia bywa zdecydowanie przenikliwa, zwłaszcza gdy w grę wchodzi mężczyźni.

Nie do końca chodziło o to, że Moll zmieniła opinię co do koleżanki, niemniej jednak była jej faktycznie wdzięczna. Bransoletki z litego srebra spoczywały w konduktorze, w pudełeczkach przewiązanych wstążeczkami. Prezenty idealne. Moll nie poczuła nawet najłżejszego ukłucia niepokoju, wręczając sprzedawcy kartę kredytową, a teraz robiło jej się ciepło na myśl o twarzach dziewczynek, kiedy rozpakują podarki.

Zawróciła do szkoły kulinarnej, postanawiając, że wręczy córkom upominki, zanim podzieli się z nimi pomysłem na wyrób makaronu. W ten sposób zwiększy szanse, że nie odrzucą propozycji z miejsca. A tymczasem poprosi Lucę o radę w kwestii najlepszego sposobu zapakowania *cavatelli*, żeby kluseczki nie sklejały się i nie wysychały. W wyobraźni projekt nabierał rumieńców. Kolejny powód, by poczuć wdzięczność dla Tricii.

Moll zamierzała resztę wolnego czasu spędzić w Internecie, ale kiedy pchnęła drzwi wejściowe, przekonała się, że Poppy już wróciła i cała aż tryska ożywieniem.

- Och, Moll! – powiedziała. – Tak się cieszę, że jesteś. Czekałam na ciebie.
- Dlaczego? Widziałaś się ze starszą panią? Co ci powiedziała?

Poppy promieniała.

– Jesteśmy rodziną, nie ma co do tego żadnych wątpliwości! Czy to nie jest niesamowite? Tak bardzo jestem ci wdzięczna za pomoc! Sama nigdy bym sobie nie poradziła z odnalezieniem krewnych.

– Zaczynij od początku – powstrzymała ją Moll. – Opowiedz dokładnie, jak było.

– Wiedziałam na sto procent już w chwili, gdy pokazała mi zdjęcie, odbitkę tego, które dała mi dziadek. Ona nazywa się Anna Planeta i jest jego cioteczną siostrą. Ma album pełen zdjęć, zbyt wielu, żeby je obejrzeć dokładnie. Ale dała mi to na pamiątkę. – Poppy zaprezentowała starą fotografię, wydrukowaną na pożółkłym, sztywnym papierze.

Widniały na nim dwie ciemnowłose kobiety na skuterze marki Vespa. Ta z przodu z dzieckiem na kolanach.

– Czy to nie cudowne? To moje dwie cioteczne babki! Luca mówi, że jestem do nich podobna.

Moll przyjrzała się z bliska.

– Może koło oczu i trochę z uśmiechu – zgodziła się. – Ale jesteś od nich o wiele szczuplejsza.

– Zdaje się, że wtedy była moda na większe krągłości. Nie jestem pewna. Tylu jeszcze rzeczy nie wiem... Ale chcę się wszystkiego dowiedzieć. – Oczy Poppy jaśniały.

– A twój dziadek? Co mu powiesz?

– Zobaczą, może uda mi się namówić go, aby tu przyjechał i poznał Annę i jej brata. Ona mówi, że jest też jakieś inne kuzynostwo. Wiem, że dziadek znajdzie tysiące wymówek, żeby nie lecieć tak daleko, ale... Jeśli będzie podróżował powoli, zrobi gdzieś jakiś przystanek, mogłoby się udać.

– Tak, na pewno – przytaknęła Moll.

– Anna, kiedy się zorientowała, kim jestem, aż się popłakała. – Teraz w oczach Poppy zabłyśły łzy. – Oboje są już tacy starzy... Dziadek musi tu przyjechać i poznać ją, zanim będzie za późno.

Moll uścisnęła jej dłoń.

– Też tak myślę. Ale to jego będziesz musiała przekonać.

– Zadzwońię do niego później, przekaże nowinę i zaproponuję rezerwację lotu. Opłacę wszystko, znajdę przyjemny hotel – zdecydowała Poppy. – Jestem pewna, że za nic nie będzie chciał się ruszyć z Australii, ale może, jeśli tu przyleci, odkryje, że jest bardziej włoski, niż mu się wydaje. Słusznie powiedziałaś któregoś dnia, Moll. Trzeba wiedzieć, skąd się pochodzi, utrzymywać łączność z ludźmi, którzy pomogli ci stać się tym, kim jesteś. W tej chwili czuję się tak, jakbym odnalazła brakujący kawałek układanki i wpasowała go nareszcie w puste miejsce.

– To naprawdę świetnie! – Moll szczerze cieszyła radość koleżanki.

– Jeśli kiedyś będę miała dzieci, chciałabym, żeby przyjechały na Sycylię i zrozumiały,

co to miejsce dla nich znaczy. – Poppy znów popatrzyła na zdjęcie. – Zdaję sobie sprawę, że czasy były wtedy inne, ale nie potrafię sobie wyobrazić zerwania kontaktu z ludźmi, których kocham, i świadomości, że zapewne nigdy już ich nie zobaczę. To musiało być okropnie bolesne.

– Ale przecież teraz odnalazłaś rodzinę, a to jest najważniejsze.
– Wiesz, że ja nawet z nimi nie mogę porozmawiać jak trzeba? – poskarżyła się Poppy.
– Anna prawie nie rozumiała, kiedy próbowałam po włosku. Ona chyba zna tylko sycylijski dialekt.

– Gdybyś tu zamieszkała, na pewno byś się nauczyła...
– Może i tak? – zgodziła się Poppy. – Gdybym posiedziała tu wystarczająco długo...
Uradowana Moll patrzyła na radość koleżanki. W pracy nie mogła istotnie odmienić losu swoich podopiecznych, ewentualnie sterowała sprawami w stronę mniejszego zła. Ten przypadek był o wiele prostszy, a jednak bez wskazówek Poppy działałaby niewiele. Moll ogarnęło niemal uniesienie.

Ponieważ to był ich ostatni wieczór, a nastrój Moll poprawił się zdecydowanie, postanowiła zadbać o wygląd. Miała na górze strój jeszcze nienoszony – jedwabistą, niebieską, portfelową sukienkę z wzorem w dalie, którą kupiła na wyprzedazy w internetowym sklepie M&S tuż przed tamtą diagnozą. Nie założyła jej ani tamtego lata, ani żadnego z kolejnych. Sukienka trafiła do walizki w ostatniej chwili, tylko dlatego że była zrobiona z materiału, który nie gniótł się przy ciasnym zwinięciu. Moll, jak zawsze, pakowała się na wariata, nie przypuszczając, że ją w ogóle założy.

A jednak założyła. Sukienka prezentowała się lepiej, niż Moll zapamiętała, nawet jeśli za bardzo odsłaniała nogi. Moll podmalowała oczy szarobłękitnym cieniem, wygrzebała z torebki jasnokoralową szminkę, którą wszędzie nosiła ze sobą, choć nie używała prawie nigdy. Oparła się chęci, by zetrzeć ją natychmiast po nałożeniu, zamknęła torebkę i zeszła na dół.

Gdy wkroczyła do kuchni, Tricia wydała cichy gwizd.

- Popatrzcie tylko! Ale babeczka!
- Nie wygłupiaj się. – Moll się zarumieniła.
- Serio, znakomicie wyglądasz.
- To w końcu szczególnie wieczór, nie? I wszystkie wyglądacie fantastycznie.

Tricia miała na sobie czarną sukienkę, ledwie sięgającą do połowy uda, i buty na niebotycznej szpilce, Valerie tę swoją powiewną różowo-złotą kreację, zaś Poppy sukienkę maksy w odcieniu pawiego błękitu i długie włosy puszczone na plecy.

– Moim zdaniem okazja aż się prosi o kolejkę mojego słynnego ginu z tonikiem – zdecydowała Moll.

Mieszając drinki, słuchając pbrzękiwania lodu w szklankach i syczenia toniku w kontakcie z ginem, miała nadzieję, że zapamięta to samopoczucie. Wszystkie wystrojone, wkrótce mające zjeść przyjemny posiłek, w jakiś sposób wiedziały, że smaki tym razem będą wyraźniejsze. Bo to ostatnia wspólna okazja. Tej chwili Moll nie miała jak sfotografować ani zanotować. Musiała zaufać, że ten ulotny moment pozostanie z nią w mających nadejść tygodniach i miesiącach.

– Luca mówił, że spotka się z nami w restauracji o siódmej – powiedziała Poppy, kiedy stuknęły się oszronionymi szklaneczkami, popijając drinki na tarasie. – Więc mamy czas zaledwie na jedną szklaneczkę. Może to i lepiej, bo takie mocne...

Moll zachichotała.

– Nie ma sensu pić, jeśli człowiek nie zamierza się napić jak trzeba.

Tricia znów uniosła szklankę.

– Za to wypiję.

Rozmowa toczyła się wokół rodziny Poppy. Moll ponownie przyjrzała się staremu zdjęciu dwóch Włoszek, które nie miały pojęcia, ile któregoś dnia będą znaczyć dla pewnej nieznanym przybyłej z drugiego krańca świata.

Gwizd rozległ się, gdy dopijały gin. Moll zerknęła za balustradę tarasu i zobaczyła wspinającego się po schodach Vincenza Mazzarę. W ślad za ojcem szła Orsolina.

– Och, to oni! – powiedziała do Valerie. – Przyszli tutaj.

Tricia podeszła do drzwi, a Moll usłyszała dobiegające z kuchni przeprosiny, że goście nie zostaną poczęstowani drinkiem.

– Mamy się spotkać z Lucą za dziesięć minut – wyjaśniała Tricia – więc obawiam się, że nie wystarczy nam czasu. Ale zapraszam na taras, do Val i pozostałych pań.

– Przyszliśmy, aby zobaczyć się z Poppy – odparł Vincenzo. – I potrzebujemy tylko minuty.

Choć słońce już zachodziło, nadal miał na nosie ciemne okulary. Z tego co widziała Moll, siniak jeszcze się rozrósł, a policzek Vincenza nieco bardziej obrzmiał. Na wpół schowana za plecami ojca Orsolina trzymała w dłoniach wielkie pudło czekolady z *dolceria* Mazzarów. Stała z uśmiechem przylepionym do twarzy.

Vincenzo odstepił na bok i wypchnął córkę dwa kroki przed siebie.

– Przyszliśmy przeprosić, *cara*, czyż nie?

– Tak – powiedziała Orsolina bardzo cicho. I zamilkła.

– No i...? – podpowiedział jej ojciec.

– Bardzo przepraszam za podstęp, jakiego się dopuściłam – wykrztusiła, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Vincenzo ścisnął ją za ramię.

– Orsolina, *cara*, to nie wystarczy.

Włoszka wzięła głęboki oddech.

– Co jeszcze mam powiedzieć? – zapytała, patrząc Poppy w oczy.

Sytuacja była niezręczna. Poppy popatrzyła na Valerie, a potem na nieszczęśliwą dziewczynę dzierżącą w ręce pudełko opakowane w lśniący papier i przewiązane wstążkami.

– No co? – Głos Orsoliny brzmiał tak, jakby szykowała się do konfrontacji.

– To Lucę powinnaś przeproszać, nie mnie. To jego rzecz sobie przywłaszczyłaś – powiedziała Poppy.

– Córką we właściwej chwili przeprosi i Lucę – wtrącił gładko Vincenzo. – Ale wy wyjeżdżacie jutro rano, więc chcieliśmy zdążyć.

Poppy popatrzyła na niego i uniosła brodę.

– Ja nie wyjeżdżam – odparła.

– Przepraszam, sądziłem, że to wasz ostatni dzień...

– Bo jest ostatni – powiedziała Poppy. – Koleżanki rozjeżdżają się do domów. Ale ja zostaję.

Orsolina mocno zacisnęła wargi i rzuciła pudełko na stół. Usiłowała zawrócić, ale ojciec chwycił ją za ramię.

– Są tu osoby, które chciałabym poznać bliżej – dodała Poppy.

– Jakie osoby? – zapytała ostro Orsolina.

– Rodzina, którą dopiero co odkryłam... Na wyspie, z której pochodzę.

– I Luca? – Głos Orsoliny zadrżał.

– Tak, Luca też – powiedziała Poppy łagodnie. – Bardzo mi przykro, Orsolino. Wiem, co do niego czujesz. Ale rzecz w tym, że ja zaczynam czuć podobnie. Więc tak. Przede wszystkim

chcę lepiej poznać Lucę.

Kolorowa grupa zmierzała do restauracji. Odwracały się głowy, przyglądano się im otwarcie, kilku mężczyznom nawet zagwizdało.

Po raz pierwszy żadna z nich ani tego nie zauważyła, ani się tym nie przejęła. Nawet Tricia. Dzisiejszy wieczór był tylko dla nich, więc koncentrowały się wyłącznie na sobie. Chciały jeszcze wycisnąć choć parę ostatnich kropel wakacyjnego klimatu, zanim rozjadą się, każda we własną stronę.

Moll nie musiała ślęczeć nad spisem potraw, ponieważ decyzję podjęła już wcześniej. Pozostałym było nieco trudniej, chociaż wręczone im menu miało tłumaczenie na angielski.

Luca nie wtrącał się, nalegając, aby poradziły sobie same.

– Nauczyłem was wszystkiego, co powinnyście wiedzieć – powiedział. – O reszcie decydujecie wy.

Wyglądał niezwykle przystojnie w białej lnianej koszuli, która podkreślała jego opaloną cerę. I pachniał też ładnie, zapachem, który przypominał Moll dziki fenkuł z domieszką świeżego powietrza i morskiej bryzy. Siedziała po jednej jego ręce; po drugiej miał Poppy. Chociaż starała się nie zdominować rozmowy, nie wytrzymała, żeby nie zadać kilku pytań.

– Dlaczego to miejsce nazywa się Gospodą Utraconych Smaków? – zastanawiała się. – Czy naprawdę zostały utracone?

– Serwują tu staroświeckie dania – wyjaśnił Luca. – Rzeczy, które jadamy z nostalgią, ale w domu raczej ich nie przygotowujemy. Może się zdarzyć, że w przyszłości zostaną zapomniane. Jeśli nie będziemy uważać.

– Mnie się wydaje, że to dotyczy nas wszystkich – powiedziała Valerie z zastanowieniem. Piła dziś szybciej niż zwykle i już kończyła kieliszek prosecco. – Wszystkim nam od czasu do czasu zdarza się zagubić. Ale jeśli mamy trochę szczęścia, odnajdujemy się ponownie.

Moll nie miała pojęcia, o czym ona mówi.

– Tak czy siak, to znakomita nazwa, nieprawdaż? – stwierdziła entuzjastycznie. – Luca, dlaczego nie miałbyś tak nazwać swojego zbioru sycylijskich przepisów? *Księga smaków utraconych*. Zwłaszcza że receptury twojej *nonna* faktycznie przepadły na jakiś czas.

– Rzeczywiście. Ale chociaż bardzo się cieszę, że mi je zwrócono, nie wydaje mi się, aby zawarte w nich smaki zginęły kiedykolwiek – odparł. – Przetrwały w mojej pamięci. I zawsze będą istnieć.

Wreszcie złożyły zamówienie. Tricia, zgodnie z przewidywaniem Moll, skrzywiła się, kiedy ta zamówiła flaki.

– Gumowata wyściółka krowiego żołądka... Doprawdy? – bąknęła.

– To tradycyjne danie – odparła Moll.

– To obrzydlistwo. Sądzę, że są rzeczy, co do których my dwie nigdy się nie zgodzimy.

A mimo to poradziłyśmy sobie całkiem nieźle, nie uważasz?

Moll zerknęła spod oka.

– Przepraszam, jeśli byłam nieco kolczasta... – zaczęła.

– A dajże spokój! Twoje kolce to część ciebie. – Tricia odczekała sekundę czy dwie i dodała: – Wiem, że najlepszymi przyjaciółkami nie zostaniemy, ale odzywaj się od czasu do czasu. Dobrze?

Moll popatrzyła zdziwiona.

– Jeśli sobie życzysz...

– Chciałabym wiedzieć, jak ułożą się sprawy. Z tym makaronowym pomysłem i tak dalej. Może będę mogła w czymś pomóc.

Moll zrozumiała. Może Tricię warto mieć, tak na wszelki wypadek, po swojej stronie?

– Będę się odzywać – obiecała.

Być może zjedzenie czterech różnych dań ktoś nazwałby łakomstwem. Nikt inny przy stole nie podołał takiej ilości. Ale Moll czuła się nienasycona. Pochłonęła bruschettę z pikantnym sosem, z przyjemnością zjadła *cavatelli* z kremową ricottą, zmiotła prawie całą porcję flaków w pomidorowym sosie i jeszcze zamówiła na deser trochę *cannoli*.

Podszedł kelner i napelnił przy stole kuche muszle. Wpatrywały się w niego niemal wszystkie oczy, z wyjątkiem Moll. Ona obserwowała twarze koleżanek. I nagle zdała sobie sprawę, że żadna z tych kobiet do końca nie wie, co im przyniesie przyszłość. Valerie powróci do swojego nowojorskiego mieszkania, Tricia do życia uznanego londyńskiego prawnika, Poppy zostanie z Luca. Dalej jednak leżało niewiadome. Bo plany czasem obracają się wniwecz, nie spełniają się marzenia. Życie może dać im popalić albo zwieść je na manowce. Moll miała jednak nadzieję, że nic takiego się nie zdarzy.

Upiła łyk deserowego wina, które nalał jej Luca. Niecierpliwie czekała na *cannoli*. W tej chwili sobie dogadzała. Naprawdę nie potrzebowała jeszcze jednej oprószonej cukrem słodczy, nadziewanej ricottą, obsypanej pistacjami i polanej waniliowym syropem. A jednak wzięła podany przez kelnera półmisek, przełożyła na talerzyk ciastko i zatopiła w nim zęby.

Z miłości do jedzenia

Osiem dni. Luca Amore nie może uwierzyć, że aż tyle zmieniło się w tak krótkim czasie. Kiedy wyrabiał ciasto na *cavatelli*, kiedy opowiadał o jedzeniu, kiedy konserwował kapary i zbierał bulwy kopru, jego życie przekształcało się i zmieniało bieg. A potem zupełnie wyrwało się spod kontroli.

Teraz wszystko wydaje się znajome, a jednak nieznanne.

Dzisiaj Luca robi zwykłe rzeczy. Cztery świeże fartuchy wiszą na kołkach w kuchni, tablica została wytarta do czysta, a nowe menu wypisane kredą. Talerze ustawione w stos, lśniące sztucze i rondle. Szkoła kulinarna „Z miłości do jedzenia” niedługo znów zacznie działać.

W przeszłości tę chwilę przeznaczał na oddech. Dawał sobie szansę na spisanie pomysłów i robił inwentaryzację. Ale Luca powyrzucał już swoje spisy, bo na samą myśl o nich dostawał bólu głowy.

Teraz oczami wyobraźni przygląda się wszystkiemu, co go czeka. Najpierw trzeba zabrać Poppy, żeby poznała jego matkę. Potem muszą sobie znaleźć jakieś mieszkanie, bo przecież nie będą wiecznie siedzieć w domu jego *mamma*. I, co najważniejsze, muszą nauczyć się rytmu wzajemnych nastrojów, zrozumieć, w jaki sposób mają się pocieszać, przepraszać, jak świętować. Wiedzieć, kiedy się zbliżyć, a kiedy lepiej spędzić nieco czasu osobno. Spieść to bycie razem tak, żeby odpowiadało im obojgu.

Osiem dni. A jednak Luca ma pewność. Lecz jego przekonanie musi dać napęd obojgu, bo Luca podejrzewa, że ona nie zawsze czuje ten sam brak wątpliwości. Jej lista spraw jest równie długa, jak lista Luki, może nawet dłuższa. Ona musi zdecydować, co zrobić z całym swoim życiem w Australii: z domem, pracą, rodziną i przyjaciółmi. Prędzej czy później... Ale nie dzisiaj. Jeszcze nie w tym tygodniu. Ani w następnym.

Teraz ona robi *cavatelli*, jeszcze nieco niepewnie, ale nie tak jak wtedy, za pierwszym razem. Niektóre kluseczki tworzą grube grudy, inne są delikatne, a ona wie, że ugotują się nierówno. Luca mówi, żeby się nie przejmowała, nie muszą być idealne. Nic nie musi być takie.

Potem może posiedzą na tarasie, tylko we dwójkę. Może wzniosą szklaneczkę za Moll, Val i Tricię, wypiją za ich zdrowie i pomyślą przyszłość. A później zjedzą *cavatelli*, które przygotowała ona. Z jednego półmiska, tak jak się to często zdarzało Luce i jego babci.

Osiem dni. Luca Amore zakochiwał się w niej po trochu, w miarę jak mijał każdy z nich.

A teraz każdy dzień, jaki spędzą razem, będzie nadzieją, że ona pokocha go również.

Przepisy „Z miłości do jedzenia”

CAVATELLI Z CYNAMONEM I SOSEM Z MIELONYM MIĘSEM

500 g gruboziarnistej mąki z twardej pszenicy

letnia woda

1 łyżeczka soli

500 g mielonego mięsa wieprzowego doprawionego na sposób włoski (najlepiej nasionami kopru włoskiego i płatkami chili)

oliwa z oliwek extra vergine

1 szklanka mocnego czerwonego wina

1 łyżeczka sproszkowanego cynamonu

przecier pomidorowy (kartonik passaty albo słoik przecieru domowej roboty)

starty ser caciocavallo ragusano (można użyć pecorino)

Mąkę wymieszać z letnią osoloną wodą w takich proporcjach, żeby otrzymać dość twarde ciasto. Wyrobić je i uformować z niego grube *spaghettoni* (wałki), a następnie pokroić na jednocentymetrowe kawałki. Zwinąć je na zębach widelca (lub posługując się specjalną deseczką) za pomocą kciuka i uformować z nich *cavatelli*, czyli niewielkie morskie muszelki. Kiedy wszystkie będą gotowe, rozłożyć je do przeschnięcia. Robiąc *cavatelli*, pozostałe ciasto nakrywać ściereczką, żeby nie obeschło.

Doprawione mięso wieprzowe usmażyć na oliwie na średnim ogniu. Dolać wino, a gdy alkohol odparuje, dodać cynamon, a następnie sos pomidorowy. Zmniejszyć płomień i trzymać sos na małym ogniu przez kwadrans.

Makaron ugotować w osolonym wrzątku; kiedy *cavatelli* wypłyną na powierzchnię, będą gotowe. Odcedzone przełożyć do miski z sosem, dokładnie wymieszać i posypać startym serem.

CZEKOLADOWY KURCZAK Z FAVIO

6 kurzych udek

500 ml wina prosecco albo innego białego

3 łyżeczki nasion kopru włoskiego

2 goździki
30 g startej gorzkiej czekolady
1–2 średnie cebule
4 łyżki oliwy extra vergine
1 łyżka cukru
chili (tak dużo albo tak mało jak lubisz)
4 łyżki białego octu winnego
szczypta soli

Zamarynować kurczaka w prosecco i zostawić na noc. Utluc w moździerzu nasiona kopru i goździki razem z czekoladą, odstawić. Cebulę posiekać i podsmażyć na dużej patelni na oliwie, a potem zwiększyć gaz i dodać udka. Smażyć, obracając, aż kurczak zrumieni się równomiernie.

Dodać mieszankę czekolady, kopru i goździków, cukier, sól i chili. Wlać ocet. Zmniejszyć gaz, przykryć patelnię i pozwolić, by kurczak dusił się na małym ogniu 30–40 minut. Jeśli płyn za bardzo odparuje, dodać nieco prosecco.

KURCZAK AGRODOLCE

oliwa z oliwek extra vergine
1 szklanka białego octu winnego
2 ząbki czosnku
4 liście laurowe
6 udek z kurczaka
2 łyżki kaparów
2 średnie cebule
200 g zielonych oliwek
3 marchewki
sól i pieprz

2 łydgi selera naciowego

1 szklanka białego wina

2 łyżki cukru

świeża papryczka chili

Podgrzać oliwę. Obrać i zmiażdżyć ząbki czosnku, wrzucić na patelnię, podsmażyć na złoto i usunąć. Włożyć kurczaka, zrumienić go na dużym ogniu. Kiedy będzie złotobrązowy, wyjąć i trzymać w cieple. Posiekać cebulę, marchewkę i seler, podsmażyć na patelni na pozostałym tłuszczu. Po kilku minutach, kiedy warzywa lekko się zezłocą, włożyć kawałki kurczaka. Cukier rozpuścić w occie i mieszanką równomiernie skropić mięso. Dodać listki laurowe, kapary, oliwki, sól i pieprz, dobrze wymieszać i zalać białym winem. Gotować na niewielkim ogniu. Jeśli ktoś ma ochotę, można przed podaniem posypać posiekanym świeżym chili.

(Przepisy autorstwa Katii Amore: www.lovesicily.com)

Podziękowania

Kiedy pisałam tę powieść, chciałam, żeby czytelnik mógł poczuć się jak piąta osoba uczestnicząca w wakacjach Poppy, Tricii, Valerie i Moll. Choć historia ta i występujące w niej postaci są fikcyjne, dobra wiadomość brzmi następująco: można odwiedzić szkołę kulinarną, która mnie zainspirowała. W Love Sicily (www.lovesicily.com), w pięknym mieście Modica spędziłam najciekawszy w moim życiu wyjazd przeznaczony na zbieranie materiałów. Podziękowania należą się Katii Amore (jak mogłabym oprzeć się takiemu nazwisku!) i jej pomocnikom: Angelo i Pinutchy. Dziękuję również nowym przyjaciółkom, które tam poznałam – Hillary, Sally i Maureen, starym przyjaciółkom, którzy znosili moje humory podczas pisania tej książki, oraz współpracownikom, którzy mnie wspierali, a zwłaszcza tym z wydawnictw Orion, Hachette NZ, Hachette Australia, New Zealand Woman's Weekly i Herald on Sunday.

Raz jeszcze dziękuję Katii za to, że pozwoliła mi opublikować przepisy niektórych wspólnie gotowanych dań w Love Sicily. Kolejne inspiracje kulinarne odnalazłam na stronach *Made in Sicily* autorstwa Giorgio Locatello i *My Cousin Rosa* Rosy Mitchell oraz na niezliczonych blogach. Do blogosfery zwróciłam się również z prośbą o pomoc w zrozumieniu sytuacji Moll (w szczególności powinnam wymienić tu znakomity artykuł napisany dla „Independent” przez Ismenę Clout). Spotkania z pisarką i dziennikarką Rose Prince z *The Pocket Bakery* podczas pobytu na Międzynarodowych Targach Książki w Sharjah również stanowiły inspirację. A *The Diana Chronicles* autorstwa Tiny Brown udzieliły wielu informacji.

Niektóre wspomniane w książce miejsca istnieją naprawdę – Caffè Sicilia w Noto słynie z niezwykłych lodów, Dolceria Bonajuto w Modice (która zamieniła się w *dolceria* Vincenza Mazzary) – z czekolady.

Dedykuję tę książkę dawnym i nowym przyjaciółkom oraz Italii, która dostarczyła mi tak wielu historii. Wznoszę toast za jeszcze inne liczne wakacje w tamtych okolicach. Ups, co ja powiedziałam! Mam oczywiście na myśli wyjazdy poświęcone zbieraniu materiałów...